



AGNIESZKA MEYER

KARMIN



AGNIESZKA MEYER

KARMIN



*„Idę jak jest zapisane, niebawem odpocznę,
ale ty będziesz wędrował aż do mego powrotu”.*

*Matthew z Paryża
Fragment legendy spisanej w opactwie St. Albans po wizycie
biskupa z Armenii w 1228 r.*

ROZDZIAŁ I

Sejf

Znów szedł tym samym brukiem. Październikowe słońce wypełniało kamienny wąwóz oślepiającą poświatą złota zmieszanego z sepią, pomyślał, że gdyby nie szyldy oraz wszechobecne samochody, ulica wyglądałaby jak pocztówka z przeszłości. Zatrzymał się przed drzwiami banku. Drewno było ciemniejsze niż pamiętał i przez chwilę usiłował się na tym skupić. Ponad pięćsetletnie istnienie Banca dei Monti Paschi di Siena było prawdziwym cudem – ten sam znak, ta sama nazwa. Nieprawdopodobna ciągłość, a dla niego jedna zmienna mniej. Tak było do wczoraj. Przypadkowa lektura gazet w czasie lotu uświadomiła mu, że baobab finansów przeznaczony jest na ścięcie. Oczywiście nazywało się to inaczej, ale dla niego przejęcie oznaczało nowe procedury bezpieczeństwa utrzymywania kont, a przede wszystkim sejfów. W tym jego sejfie z pamiątkami, do których prawie nie zaglądał. Teraz, zmuszony do tej wizyty, oprócz irytacji na niepojęte dla niego gry rynków finansowych, czuł też rosnący niepokój.

Pamiątki... Większości nie zamierzał się pozbyć, kilku nie mógł. I jeszcze ta jedna, której nie potrafiłby, choć wielokrotnie chciał. *Souvenirs* – tokeny wspomnień. Tak właśnie je widział. Żetony w postaci zdjęć, listów i przeróżnych rzeczy, wrzucane przez ludzi w grającą szafę pamięci. W nadziei, że otworzą właściwą przegródkę i znów usłyszą, jak ojciec nucił przy goleniu tango, przy którym tańczyli kiedyś tak zakochani. Zobaczą obraz jej twarzy, tamto spojrzenie, poczną zapach perfum na styku włosów i szyi, słodko-słoną woń dzieciństwa... W zasadzie nie potrzebował ich, więc po co trzymał? Teraz nie chciał zastanawiać się nad odpowiedzią, miał wystarczająco dużo problemów

związanych z przeszłością.

Jego obecność zarejestrowało milczące oko kamery, a potem cichutkie syknienie odblokowało boczne wejście. Zobaczył własne odbicie w kolejnych soczewkach i drgnął ze wstrętem. Nienawidził elektronicznych asystentów, wpadał w panikę, zastanawiając się, kto znajduje się po drugiej stronie obojętnie śledzących go maszyn.

– Signore David Sachs.

Dokumenty sprawdził nierzucający się w oczy urzędnik w równie obojętnym dla oczu garniturze. Wyrecytował standardowe formułki dotyczące procedury wejścia, których David starał się nie słuchać, skupiając się na misternym wzorze kolczyka sekretarki. Procedury znał na pamięć.

Wreszcie został sam. Ściana niedużego sejfów składała się z mnogości stalowych skrytek, faliście odbijających jego postać. Z niechęcią stanął przed swoim pięcioszufladowym rzędem. Dolne kasety otwierał przy każdej z nielicznych wizyt, długo oglądając stare listy i zgromadzone w nich przedmioty. Trzech od góry tylko dotykał, głaszcząc w zamyśleniu ich powierzchnię. Usiadł na chwilę i uspokajał oddech, patrząc na najwyższą. Zdał sobie sprawę, jak rzadko do niej sięgał, kiedy kilkakrotnie pomylił kod. Wreszcie trafił.

Ledwo się trzymały. Poprzecierany pergamin był pożółkły jakby wylała się na niego herbata ze zbyt blisko postawionej szklanki. Zdobienia były miejscami niewidoczne, pigment wyblakł. Dogorywały słowa i ich znaczenia. Przypomniawsobole poruszony dłonią liść po dawnej, wielkiej suszy. Rozsypał się w pył jak zwęglony papier. Założył przyniesione ze sobą specjalne rękawiczki, myśląc z wdzięcznością, że dzisiejsze są cienkie jak naskórek; mógł przez nie poczuć fakturę stronic, wypukłość liter, ziarenka kruszących się inicjałów. Niepewnie sięgnął na dno szuflady, ale tylko dotknął wierzchniej strony, nie wyjmując jej. Teraz był zły także na siebie, a nie tylko na chore systemy bankowe. Popęnił

błąd, unikając tej wizyty tak długo.

Ostrożnie pogładził kartki, wydały mu się bezbronne i opuszczone w metalowym prostokacie pojemnika. Z największą ostrożnością musnął czerwony kształt na brzegu pergaminu.

– Masz mało czasu – jego własny głos pobrzmiwał sarkazmem. Zamykając szufladę odniósł wrażenie, że w metalowym kliknięciu słyszy westchnienie rezygnacji.

Potrzebował cudu, ludzkiego lub boskiego. Nie był wybredny.

Test

Stał tuż obok niej w sali odpraw. Jeszcze była tu, ale wiedział, że jej dwutygodniowa nieobecność będzie boleć. Ostatni pocałunek, ostatnie „zadzwoń?”.

Odwróciła się na krótko przed zniknięciem w pasażerskiej części lotniska, krzyżując ręce na piersiach: ich kod. Miał absurdalne poczucie, że coś ją gnębi, ale złożył to na karb wyjazdu, z mimowolną satysfakcją notując jej smutek. Stał jeszcze przez chwilę wpatrzony w puste miejsce po niej i ruszył do zostawionego na parkingu samochodu. Idąc, wsłuchiwał się w miarowy odgłos własnych kroków i usiłował nie myśleć. Dostawczy „ogórek” cierpliwie zniósł kolejne, zbyt mocne trzaśnięcie drzwiami. Z rezygnacją wrzucił wsteczny. Zamiast przestrzeni za sobą, Max nadal widział jej postać, proste, jasne włosy, pełne usta i oczy, których kolor nie dawał się zamknąć w żadnym znanym mu opisie. Szary brzmiał nijako i smutno, a jej spojrzenie pulsowało ciepłem i magnetyzmem szlachetnego metalu. Przebiegł go skurcz na wspomnienie jej ciała, miejsc, które uwielbiał dotykać. Kark, zagłębienie na styku obojczyka i szyi, piersi. Obraz twarzy w chwili, gdy jej miękkie, trochę nieśmiałe spojrzenie przetapiało się w płynną rtec, żywą i migoczącą. Wyczarowywał w nim zapamiętanie bez śladu wyuzdania, a to podniecało go silniej niż ostry seks. I jeszcze coś, co przytrafiło mu się tylko z nią. Przy Selinie stapały się uczucia, które kiedyś trzymał starannie oddzielone. Chciał kochać się z nią aż do zatracenia, a jednocześnie budziła w nim tkliwość, jaką w ludziach wywołują dzieci.

Wrócił do pustego mieszkania i pozbierał to, co zostawiła. Książki, ubrania, album zdjęć. Wszystkie jej rzeczy były tu tylko na chwilę i podobnie jak ona – tylko gośćmi. Nie można było udomowić ich, przyzwyczaić się do ich

obecności. Książki po pewnym czasie zniknęły, w zamian pojawiały się inne. Łapał się na komplementach dla nowej bluzki czy sukienki, które okazywały się wcale nie nowe. Po prostu teraz akurat przyniesione z równorzędnej rzeczywistości, mieszkania, które wynajmowała z koleżanką ze studiów. Żywiołowa Greczynka Zoe pogodziła ich kilka razy, za każdym tłumacząc Selinie zawilości męskiej psychiki. W tym drugim świecie przepadła na czas egzaminów, wiedząc, że obok niego nie będzie w stanie skupić się na nauce. Raz zniknęła na kilka dni po kłótni wywołanej jego zazdrością. Prześladował go obraz Seliny siedzącej na płocie, w połowie po jego stronie, a w połowie gotowej do zeskoczenia na drugą. Zawieszanej między dwoma mieszkaniami, krajami i językami. Tłumaczyła mu, że nie chce być od niego zależna, że musi stanąć na własne nogi, bo mimo świetnych studiów i rzadkiej specjalizacji jest w jego kraju tylko gościem.

Akceptował tę tymczasowość, choć z coraz większym trudem. Chciał budzić się i zasypiać obok niej, pragnął wyłączności. On sam wchodził we wszystko w stu procentach i lubił poczucie zadowolenia płynące z pełnego zaangażowania. Zresztą tylko tak potrafił.

*Sei brav*¹ – Max mimowolnie uśmiechnął się do pozostawionej na stole kuchennym kartki. Znad łóżka obserwował go ich wspólny portret narysowany przez Jensa, najlepszego kumpla, z którym Max przeszedł wszystko: szkołę, pierwsze miłości, imprezy, szalone jazdy na Zachód, do Francji i Holandii. Pobili się kiedyś nawet, w czasach kiedy poglądy polityczne miały dla nich znaczenie, bo Max był tak samo wojującym lewicowcem, jak Jens radykalnym liberałem. Niecały tydzień później upili się do nieprzytomności, zgodnie zapominając o całej sprawie.

W zasadzie nazywała się Sabina, ale wymazał z pamięci jej prawdziwe imię. Nie lubiła go z jakichś niejasnych dla niego powodów. Mówiła, że jest staromodne, poza tym wspominała coś o matce, która wyborem imienia chciała

wpłynąć na jej charakter. On również uważał, że Selina brzmiało lepiej niż niegdyś popularna w jego ojczyźnie Sabine. Imię to kojarzyło mu się raczej z pokoleniem matki niż rocznikami kobiet, którymi się interesował.

– Selina – ktoś, kto jak księżyc świeci odbitym światłem – przeczytał wyjaśnienie w księdze imion.

– Ty jesteś tym słońcem? – zapytała trochę zaczepnie.

– Ależ skądże, tylko czytam ci źródła językowe, ostatecznie sama wybrałaś sobie to imię – odpowiedział nieco urażony i rozbawiony zarazem. – A wiesz, jakie zdrobienie ma u nas Sabine? *Biene*², taka, co ma żądło.

Zapamiętał mocne trzepnięcie gazetą przez głowę, a potem pogoń po kuchni za uciekającą Sabiną-Seliną. A potem... Z wysiłkiem wyłączył dalsze wspomnienia, dając nura w zajęcia, które przynajmniej przez większość kolejnych dni odciągały go od pustego mieszkania. Objechał kilka targów z częściami motocyklowymi, nadrobił zaległości towarzyskie, w tym dawno planowaną rozmowę z Jensem, który rzadko pojawiał się w mieście od czasu pełnego zaangażowania się w rodzinny biznes. Winnica w dolinie Saary, blisko granicy z Luksemburgiem, pochłaniała bez reszty jego czas i energię.

– Jak z Seliną? – spytał Maxa na odchodnym.

– Trafiony, zatopiony.

– Zazdroścę, u mnie zastój. No, pustynia.

– Spokojnie, nawet na pustynię spada w końcu deszcz – Max uraczył Jensa mocnym uderzeniem w plecy. – Dzwon, jak będziesz w okolicy. Może znów zrobimy męski wypad do Paryża lub Amsterdamu? Jak za starych, dobrych czasów.

– Ty też wpadaj, po wino czy bez powodu. Sam lub z nią.

Pożegnali się wylewnie i z żalem. Max zaprzyjaźniał się rzadko, ale mocno, brakowało mu bratniej duszy, jaką zawsze był Jens. Gdyby mógł mieć takiego brata... No cóż, od losu dostał siostrę, która teraz mieszkała jeszcze dalej. Mieli

całkiem niezły kontakt, o ile można o takim mówić, jeśli ludzi dzieli odległość jak z Niemiec do Australii. Kontakt mógł być lepszy, miał tego świadomość, ale nie o tym myśli się, uciekając z domu w wieku szesnastu lat, a potem prowadząc dość intensywne i – nazwijmy rzecz po imieniu – dzikie życie. Aż do trzydziestu kilku wiosen. Jak zawsze, za późno człowiek łapie się na banalnej prawdzie, że pewnych rzeczy nie da się nadrobić.

Z szumiącą głową i podzwaniając sześcioma butelkami najlepszego rocznika z winnicy przyjaciela, wyszedł z wewnętrznego patio przy Theatinerstraße. Wstąpił do ukrytej tam cukierni, mając nadzieję, że mocna kawa postawi go na chwilę do pionu. Max czuł się lekko i radośnie, jedynie oślepiający zimowy blask słońca, zwielokrotniony przez kryształki śniegu, psuł nieco jego nastrój. Po alkoholu stawał się bardziej niż normalnie wrażliwy na światło i teraz przemykał podcieniami, czując łzawiące oczy. Szedł na pamięć i dopiero na Odeonsplatz zorientował się, że bezwiednie wybrał dłuższą drogę. Wszystko po to, by przejść obok Residenz³.

Spojrzał na drzwi wejściowe, wystarczyło. Zgodnie z życzeniem jego podświadomości powrócił obraz pierwszego spotkania, tamto zaintrygowanie. W zasadzie nie chciał wtedy przyjść, ale nalegania kolegów przełamały jego opór. Końcowe przyjęcie dla wszystkich pracujących przy odtwarzaniu oryginalnego wystroju pałacu. Znalazł się na nim jakieś trzy miesiące po rozstaniu z Annabel, pamiętał ulgę i zadowolenie, że idzie sam.

Jej początkowo nawet nie zauważył. Nie była typem „zrobionych”, rzucających się w oczy kobiet. Nie prowokowała strojem, zachowaniem, nie patrzyła z erotycznym wyzwaniem w oczach. Chyba w ogóle nie była w jego typie, o ile taki miał. Najpierw usłyszał miękki i zbyt poprawny *hochdeutsch*⁴ o wschodniej melodii zdań. Szczupła, wysoka, choć i tak niższa od niego o głowę. Dymno-niebieski żakiet, ciasno dopasowany w talii i biodrach. Długa, prosta spódnica o piaskowym odcieniu jej włosów. Podszedł bliżej, zauważył

mocne rozcięcie, szczupłe kostki. Podniósł wzrok i trafił na oczy. Pomyślał, że wyglądają jak srebrne patery zebrane w muzealnej części pałacu. Nie potrafił określić, co go zaintrygowało. Ani wtedy, ani później nie zdołał tego nazwać.

Ktoś przedstawił ich sobie, chyba myślała o czymś innym, bo z roztargnieniem zapytała, czy Shell jak stacja paliw. Zapamiętał swoje rozbawienie, gdy wyjaśniał, że nie ma nic wspólnego z koncernem ani z angielskim znaczeniem identycznie brzmiącego słowa. Odwdzieczył się jej komplementem na temat wyjątkowości jej nazwiska.

– Wiem, wiem, nie brzmi jak Kowalski i nie mam pojęcia skąd Hanaj.

Ze zdumieniem pomyślał, że on sam również nie wie niczego o swoim. Nazwisko było z nim zawsze, od urodzenia. Jedną z tych oczywistości, których nigdy nie kwestionował i nie dociekał. Przyniósł jej czerwone wino, potem jeszcze jedno. Rozmawiali przez następną godzinę; stopniowo tłum wypełniający wielkie sale wygłuszył się i zlał w jedną szemrzącą masę bez twarzy. Max przestał zauważać otoczenie.

Do tej pory szybko decydował, kto mu się podoba, a kto nie. I dość szybko potrafił wyczuć, czy mu się uda. Wiedział, że wbrew oficjalnym trendom kobiety pociągało jego nieco obcesowe obejście i potrafił na tym zagrać. Ona zdawała się nie dostrzegać tego rysu jego charakteru. Poruszała się w innej częstotliwości, nie wchodziła w typowe konwencje rozmowy na oficjalnych przyjęciach. Żadnego słownego flirtu, chociażby jego możliwości.

Bawił go sposób, w jaki używała niemieckiego, jej zachwyty niektórymi słowami. Mówiła, że w jej ojczystym języku nie istnieje *Haßliebe*⁵, *jajn*⁶, *Schadenfreude*⁷.

– Jako pojęcie tak, ale nie jako nazwa. To musi być bardzo wygodne móc określać tak skomplikowane rzeczy jednym słowem. W sumie to dziwne, wszystkie trzy są u nas mocno w użyciu.

– Naprawdę?

– Niestety – podobało mu się, że miała dystans.

– A taka *Libelle*⁸, pięknie brzmi! – mówiła radośnie. – Albo *Spiegelei*!

Jajko na lustrze jest po prostu śliczne!

– Nie rozumiem... – był zaintrygowany jej entuzjazmem.

– U nas jest posadzone.

– Naprawdę? – Po chwili oboje chichotali, porównując wyświeglające im się w wyobraźni obrazy. Jajko Seliny siedziało na skraju krzesła, wymachując cienkimi nogami, jego hologram z ponurą miną zajmował pół więziennej pryczy.

– No, jak siedzieć, to siedzieć – wyjaśnił.

– Aha, jeszcze *Nervensage*⁹! – Opis ludzkich nerwów krojonych ręczną piłą ubawił go jak świetny żart. Powiedział, że wróży jej karierę kabarecistki, na podobieństwo wielu innych żyjących z parodiowania niemieckich dialektów. Potem cała sala usłyszała jego śmiech, gdy przez swoje przypadki odmieniała niemieckie imiona własne.

– Naprawdę to robicie? Z naszym Helmutem Kohlem czy Fassbenderem?

– Ten Fassbender¹⁰ nie do końca jest wasz – zauważyła przytomnie.

Ze zdumieniem odkrywał, że ktoś może lubić niemiecki, rzadko napotykał takie reakcje cudzoziemców. Bawiło ją nadużywanie słowa „katastrofa”, jako uniwersalnego określenia na rzeczy trudne czy straszne.

Rozmawiała z nim bez śladu kokieterii, nie potrafił znaleźć żadnego punktu zaczepienia, przewidzieć jej zachowania. Nie dlatego, że już wtedy chciał tego związku, raczej intrygowała go odmiennosc reakcji, jaką w niej wzbudzał. Uzmyslowił sobie, że jest starszy i po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy to nie problem.

Po przyjęciu wyszli razem. Lekceważąc protesty, odprowadził ją do pobliskiej stacji metra. Zapytała, czy kiedykolwiek był w Polsce, w sumie to tak blisko. Nie, nigdy. Uczciwie powiedział, że nigdy nie interesował go tamten kierunek. Kojarzył mu się z szarością i smutkiem. Generalnie z brakiem

powodów do wizyt. Jeździli z kumplami do Francji, Holandii, Włoch. Wiadomo. A potem, sam nie wiedząc dlaczego, wyrzucił to z siebie:

– Wiesz, nie mówię o tym nikomu, nie ma się czym chwalić. Jestem spokrewniony z Goebbelsem. Nie wiem dokładnie, pochodzimy z jednej miejscowości i jak saga rodzinna niesie, jesteśmy oddaleni od siebie o jakieś dwadzieścia zaułków.

– To znaczy? – otworzyła szeroko oczy.

– Pokrewieństwo nie jest dalekie – wyjaśnił.

– To też ładne, te zaułki. – Zatrzymała się w pół kroku i niepewnie pociągnęła temat. – Pytałeś kogoś o szczegóły?

– Nabrali wody w usta – przyglądał się jej reakcji.

– Niesamowite, nikt nie chciał ci nic więcej powiedzieć?

– Nie, rodzice poważnie potraktowali denazyfikację. Podobnie jak cała rodzina. Nikt nie drażył tych tematów, raczej starali się zapomnieć. Ja też nie drażyłem.

– Pochodzenia się nie wybiera. Ale pamiętać trzeba, mimo wszystko.

Zabrzmiało to bardziej jak sentencja filozoficzna niż komentarz do jego sytuacji. Mimo że nie był pewien, czy zrobiła to dla niego, poczuł wdzięczność. Milczeli przez kilka sekund. Miał wrażenie, że przyspieszyła i bezwiednie zaczął zwalniać, stając przy witrynach zamkniętych sklepów i prowokując kolejne dyskusje językowe. Zaczął żałować, że nie zna się na tym lepiej. Tak naprawdę, dobrze znał się jedynie na drewnie, z którym pracował i które kochał. Ten temat jednak pominął, przecież nawet nie był konserwatorem drewna, w zasadzie tylko bardzo dobrym rzemieślnikiem. Kimś stojącym bardzo nisko w hierarchii gości obecnych na przyjęciu, z którego właśnie wyszli. Nigdy nie przejmował się ustalonym przez innych porządkiem społecznym i podziałami klasowymi, ale wtedy poczuł się nieoczekiwanie dla siebie niepewnie. Stacja była blisko i już chciał zaproponować spacer do następnej, kiedy tuż koło wejścia do podziemia

odwróciła się, jakby nagle przypominając sobie o czymś.

– Wiesz jak wyglądają twoje oczy? Zamrożony ciekły tlen. Albo woda z rozpuszczonym w niej lapis lazuli. Ścięta na galaretkę i podświetlona od środka punktowym reflektorem.

– Słucham? – Zatkąło go zupełnie. Jeszcze czegoś takiego nie słyszał od kobiety. Parsknął śmiechem, usiłując wyobrazić sobie tak urządzone wnętrze swojej czaszki.

– To w końcu lód czy galaretka?

– Nie wiem.

Ze wzruszeniem zauważył, że na serio zastanawia się nad pytaniem.

– W każdym razie piękny kolor.

– Lapis lazuli – patrząc w górę obracał te słowa w myślach, jakby usiłował zagęścić przed oczami rozmyty błękit nieba.

– Taki jest wpływ zawodu na dobór komplementów, bo to był komplement, prawda? – Zagroził jej drogę do schodów prowadzących na perony.

Nie odpowiedziała, ale dostrzegł w jej oczach zdziwienie, że tak to przyjął. Wtedy jakby sobie przypomniała, że potrafi i pół kokieteryjnie, pół z rozbawieniem zapytała:

– To częste w twoich okolicach?

– Nie, jednorazowa mutacja – odparł, zastanawiając się nad zaskakująco poważnym tonem swojego głosu.

– Rozumiem – kącki jej ust drgały od powstrzymanego śmiechu. Okręciła się na pięcie i zanim zdążył poprosić o numer telefonu, zwinnie wyminęła go i zbiegła po schodach na dół.

– *Bye, Max!* – dobiegło go echem z metra.

Wysiadł na stacji noszącej nazwę ulicy, przy której mieszkał. Tym razem napis Giselastraße nie cieszył go i po kilku minutach z niechęcią pchnął ciężkie,

drewniane drzwi wejściowe. Coraz wolniej wchodził na drugie piętro, bez przekonania przekręcił klucz w zamku. Przed nim był weekend. Długi weekend.

Złapał ją kilka razy, ale napięty plan pobytu oraz różnica czasu ograniczyły jego telefony. Czuł się rozdrażniony. Była w tych rozmowach nieobecna, czasem smutna. Milczał, słysząc jej głos, boleśnie uświadamiając sobie, jak daleko jest jej ciało, jasne włosy, które lubił przesypywać między palcami, gdy leżeli obok siebie.

– *Scheiße, ich vermiße dich*¹¹ – wyrywało mu się przez zaciśnięte zęby. Cisza aż dźwięczała w słuchawce. Pragnął, by powiedziała coś, co by go uspokoiło. Teraz jeszcze bardziej irytowało go, jak ciężko przychodziło jej mówienie o uczuciach. Bała się wielkich słów, jakby powiedzenie ich na głos mogło odebrać im moc albo ściągnąć nieszczęście. Tłumaczył jej, że tego potrzebuje. Że nawet mężczyźni tak mają, nawet on.

Dwa wolne dni postanowił zabić tak samo skutecznie jak poprzedni weekend. Szybko uporał się z tym, czego nienawidził – wyniesieniem starych, niepotrzebnych rzeczy, przejrzeniem ubrań. Nie było tego wiele, Max był minimalistą i nie znosił gromadzenia przedmiotów. Miał wrażenie, że odbierają mu przestrzeń, oddech i umysł. Dotarł do kuchni. W szafce pod zlewem ze specjalnego pojemnika pączkowały plastikowe torebki przeznaczone na recykling. Wyjął całość i zaczął metodycznie składać wszystkie małe fragmenty plastiku w jedną dużą torbę. Znalazł przy okazji kilka starych wizytówek oraz automatycznie wrzucanych do środka i zapomnianych rachunków. Machinalnie zbierał skrawki papieru, z rozpędu czytając pomięte wydruki. Na jednym z nich dojrzał długą nazwę pobliskiej apteki przy Münchener Freiheit. Ratiopharm – środek przeciwbólowy, którego używała na zatoki i... Poczuł, jak zastyga z wyciągniętą ręką – test ciążowy. Rozprostował nieduży i nieco wyblakły kawałek papieru. Obejrzał pod światło i poczuł przyspieszające tętno. Kupiony dzień przed jej wyjazdem!

Usiadł na kuchennym krześle, tym samym, na którym kochali się ostatnim razem. On ogarnięty wizją jej nieobecności, gorączkowo rozpinający jej bluzkę, podciągający do góry spódnice. Trzymał ją na kolanach, tu, na starym thonecie¹², który był twardy, niewygodny i trzeszczał przy każdym poruszeniu. Kiedy skrzypienie ustało, ogarnął ich szaleńczy śmiech.

– Pamiętasz *Delikatessen*¹³ – zapytał, łapiąc oddech i opierając skroń na jej ramieniu. – Krzesło to za mało, musimy mieć takie łóżko jak w filmie.

– Przestań – spazmy śmiechu, w które wpadli oboje, sprawiły, że wycierała łzy z kącików oczu – sąsiedzi nas znienawidzą.

*Schwangerschaftstest*¹⁴ – przeczytał po raz kolejny. Kosz w łazience był pusty, przeszukał wszystkie inne. Próbował się dodzwonić, ale nie odbierała. Telefon milczał przez cały następny tydzień. Był wściekły, coraz bardziej zdając sobie sprawę, że milczy nieprzypadkowo. Zazwyczaj uciekała od rozmów, od odpowiedzi, gdy nie wiedziała, co zrobić. Potrzebowała czasu na decyzję. Myśli kiełkowały w niej, rosły, a on z zewnątrz na ogół bezradnie obserwował utajony metabolizm jej rozterek. Potrafiła być asertywna, ale na swój wymijająco-przeczekujący sposób. „Tak jak teraz” – myślał gorączkowo. Przypomniawszy sobie, jak często powtarzał jej, że wolność jest podstawowym filarem jego życia. Wolność od nadających wagę sakramentów. Nigdy nie wspominał o ślubie, po prostu całym sobą chciał z nią być. Nie było planów dotyczących dzieci. Nie zdążył jej powiedzieć, że dla niego byłaby to oczywistość. Jeśli miałyby się pojawić dziecko, zaakceptowałby je bez namysłu. Zwłaszcza, gdyby była to córka, bo z obawą myślał o posiadaniu syna. Co zrobić z synem?

Dalsze rozmyślenia przerwało mu pojawienie się ikonki nowej wiadomości w poczcie. Mail od Seliny. Miała szansę zostać na dodatkowym warsztacie, wróci później.

-
- 1 *Sei brav* (niem.) – bądź grzeczny.
 - 2 *Biene* (niem.) – pszczoła.
 - 3 *Residenz* – pałac rodziny Wittelsbachów i rezydencja królów Bawarii.
 - 4 *Hochdeutsch* – w węższym znaczeniu termin ten odnosi się do standardowego języka literackiego.
 - 5 *Haßliebe* (niem.) – zbitka miłości i nienawiści.
 - 6 *Jajn* (niem.) – i tak, i nie.
 - 7 *Schadenfreude* (niem.) – radość z czyjegoś nieszczęścia.
 - 8 *Libelle* (niem.) – ważka.
 - 9 *Nervensege* (niem.) – ktoś irytujący, działający na nerwy.
 - 10 Michael Fassbender – słynny aktor o korzeniach niemiecko-irlandzkich.
 - 11 *Scheiße, ich vermiße dich* (niem.) – cholera, tęsknię za tobą.
 - 12 Michael Thonet (ur. 2 lipca 1796 r. w Boppard, Niemcy, zm. 3 marca 1871 w Wiedniu) – niemiecko-austriacki stolarz i pionier przemysłowej produkcji mebli wykonanych z klejonych ze sobą i giętych prętów, początkowo palisandru, potem buczyny (określanych jako meble thonetowskie). Nagrody – m.in. wyróżnienia na Wielkiej Wystawie Światowej w Paryżu w 1855 i 1867 r. W roku 1859 powstało słynne krzesło numer 14, „krzesło wszystkich krzesel”. Do dziś wyprodukowano ok. 60 mln sztuk tego modelu.
 - 13 *Delikatesy* – czarna komedia francuska z 1991 r. ze słynną sceną testowania sprężyn łóżka.
 - 14 *Schwangerschaftstest* (niem.) – test ciążyowy.

Lotniska

Kilkanaście metrów poniżej miejsca, w którym oparł stopy, droga wiła się stromo w dół, tworząc gwałtownie zatrzymujące się nad przepaścią ucha igielne. Zawsze wyobrażał sobie, że asfalt bierze rozbieg, a potem skręca w ostatniej chwili, przed samym urwiskiem. Jeszcze głębiej ciągnęła się niska zabudowa odpornych na trzęsienia ziemi domów, przechodząca w małe – jak na amerykańskie warunki – centrum finansowe. Im dalej sięgał jego wzrok, tym bardziej miasto nabierało nierealnego, niebieskiego odcienia wyretuszowanego zdjęcia. Ledwo widział jego kres, zlewający się z nieskończonym błękitem oceanu. Miał szczęście, mgła jak na życzenie wycofała się z pierwszymi promieniami słońca, a szósta rano nie była godziną wybieraną przez turystów. W bezruchu kontemplował widok ulubionej metropolii nowego świata, potem zamknął oczy, chłonąc ciszę. Najrzadziej doświadczane i najcenniejsze dobro.

Twin Peaks... Indianie używali tych wzgórz do lustrowania okolicy w poszukiwaniu zwierzyny. Hiszpanie ochrzcili je „piersiami Indianki”, ostatni zdobywcy zmienili nazwę na Bliźniacze Wzgórza. Podobały mu się obie nazwy. Wciągnął głęboko w płuca oceaniczne powietrze i już miał wyciągnąć się na trawie, gdy rzucony zza jego pleców cień sprawił, że odwrócił się zaskoczony. Dziewczyna stała za nim bez ruchu, wpatrując się w jakiś punkt blisko jego prawego łokcia.

– Piękny, prawda? – zmieszana wskazała palcem, starając się usprawiedliwić swoją obecność. Srebrzystoniebieski motyl wielkości ćwierćdolarówki wygrzewał szeroko rozpostarte skrzydła tuż nad suwakiem jego plecaka. David zastygł, starając się go nie spłoszyć.

– Masz szczęście – powiedział powoli – można go zobaczyć tylko na tych

wzgórzach, czasem w parku w mieście, pojedyncze sztuki jeszcze w górach San Bruno.

Otworzyła szeroko oczy i powolnym ruchem sięgnęła po aparat.

– Szybko, jeszcze parę lat i zniknie – zabrzmiało jak ponaglenie i w myślach skarcił się za ton, który coraz częściej słyszał we własnym głosie. Odczekał, dopóki *Icaricia icariodes missionensis* nie stał się cyfrową kopią swego istnienia i wstał zrezygowany. Za dziewczyną pojawili się następni ludzie, oczywiście z aparatami, teleobiektywami, przewodnikami.

– Zniknie, jak wiele innych – rzucił sam do siebie, ruszając w kierunku samochodu zaparkowanego po drugiej stronie szczytu.

Poczuł znajomą mieszaną irytacji i zmęczenia. Kolejna, nieudana próba odpoczynku w miejscu niezajętym ludzką aktywnością, nieskażonym reklamami, niepokrytym betonem. Wolnym od hord usiłujących zatrzymać w swoich elektronicznych gadżetach wszystko to, czego jeszcze nie posiadali w domach. Ostatniego motyla, mgłę spływającą ze wzgórz, widok na zatokę, uśmiech obcego dziecka czy jeszcze zakochanej pary wychodzącej z kościoła.

Następnym razem trzeba przyjść wcześniej – zganił się w myślach, zjeżdżając za szybko w kierunku centrum San Francisco. Włączył radio i do wnętrza Chryslera miękko wpłynęły dźwięki *No surprises* Radiohead, zamieniając złość i pośpiech w rezygnację.

Tak właśnie będzie: żadnych alarmów, żadnych ostrzeżeń. Najpierw delikatny, a potem żelazny uścisk dłoni z tlenkiem węgla.

– Zagalopowałeś się, nie o tym jest piosenka. Choć kto wie – droczył się sam z sobą, zmieniając głos – Yorke to inteligentny facet, może wie, o czym śpiewa.

Turyści irytowali go, nie tylko tu. Wszędzie. Szybko rozpoznawał zwiedzających, znał na pamięć każdą większą wypożyczalnię samochodów i specjalne oznaczenia tablic rejestracyjnych.

– Skąd ten niesmak, wyglądasz identycznie. – Głos, jakim do siebie

przemawiał, pobrzmiewał coraz częściej sarkazmem i zniecierpliwieniem typowym dla starych ludzi. Irytowało go słuchanie siebie samego, a jeszcze bardziej to, że nie potrafił przestać. Nie wytrzymał, dorzucił cierpko: – Prowadzisz wynajęty samochód, jeździsz i tylko oglądasz, więc skąd ta wyższość? Wieczny turysto!

Potem zapomniał o sarkazmie i niczym „oni”, poddał się pięknu okolicy, po raz kolejny dziwiąc się, jak dobrze się tutaj czuje. Mimo braku ochronnej warstwy historii zamkniętej w kruszejącej patynie europejskich miast, w kanałach sprzed stuleci, na cmentarzach pamiętających...

– Dosyć – odpędził natarczywe obrazy epidemii, głodu i wojen, usiłując skupić się na tu i teraz. Na tym, że lubi to miasto, choć urosło na kamiennych wzgórzach bez korzeni, z niczego. Może nie do końca z niczego, złoto daje energię bomb atomowych i powód do osiedlenia się w każdych warunkach. Znów trzeba ruszyć w drogę. Między innymi przez nie.

– Bogactwa! Raczej przekleństwa naturalne. – Uderzył w kierownicę, a potem zamilkł na dobre.

Ponad godzinę jeździł bez celu, leniwie i z przyjemnością. Jeszcze jeden dzień na miejscu – powtarzał w myślach, usiłując wyłączyć wyobraźnię spieszącą się do jutra, pędzącą na lotnisko. Zatrzymał się na Huntington Square i usiadł przed Katedrą Łaski. W prześwitach ulic między domami widać było, jak wysoko znajdował się plac, w oddali lśnił ocean, tworząc niesamowite złudzenie optyczne. Wyglądał jak ściana wody zatrzymana niewidzialną szklaną taflą, a on miał wrażenie, że znajduje się we wnętrzu gigantycznej niecki wodnej, która ze skupieniem przygląda się miastu i zabieganym w jego wnętrzu ludziom. Oparł głowę na ciepłej, mimo pory roku, krawędzi drewnianej ławki, wciśniętej między nieduży plac zabaw a fontannę ozdobioną wielkimi żółwiami. Rozluźnił ciało, nawet stąd widział powierzchnię Wrót do Raju, lśniącą niczym skórka świeżo rozłupanego kasztana. Jego uwagę rozproszyła delikatna jak porcelanowa figurka

Chinka, która zawiesiła na gałęzi platana klatkę z ptakiem. Nie zwracając na nikogo uwagi, w absolutnej koncentracji rozpoczęła ćwiczenia tai-chi. Przez chwilę wyobraził ją sobie na tle tarasowych wzgórz w Chinach, nieskończenie powoli poruszającą dłońmi, ramionami. Może miała te wzgórza w sobie, może jak on, gdy zamykała oczy, potrafiła przenieść się w odpowiedni kontekst. Przez kilka minut z prawdziwą przyjemnością przyglądał się subtelnym, ale pewnym ruchom, jakby tańczyła poruszana niesłyszalną muzyką. Wbrew rozumowi nadśluchiwał przez chwilę, potem jego wzrok powędrował znów na kościelne wrota. Miedzianobrazowe światło przypominało mu bliźniacze lśnienie po drugiej stronie globu. Dźwięki miasta oddalały się, aż zanikły zupełnie. Zapadał się w siebie, dryfując poza rzeczywistością.

– Kopia – pomyślał bez wzgardy. – Lepsze takie niż szklane.

Zamknął oczy, a jego mózg posłusznie przywołał każdy detal ponad sześćsetletniego oryginału, podziękowanie dla Stwórcy za obronę Florencji przed zarazą w 1348 roku. Pomyśleć, że Lorenzo Ghiberti, zanim przeszedł od planów do końcowego efektu, postarzał się o dwadzieścia siedem lat. Dwanaście spędzonych na robieniu projektu i odlewów, kolejne piętnaście na właściwej pracy nad kawałkiem brązu. David odepchnął tęsknotę, której nie mógł się pozbyć. Brakowało mu roślinnego, żmudnego dojrzewania ludzkich dzieł w czasie. Dzisiejsze dzieła sztuki pączkowały przez podział, kopiowały się w błyskawicznym tempie jak wirusy, tworząc zastępy lustrzanych podobnych egzemplarzy. Tak, ta kopia też powstała błyskawicznie, z odlewu wykonanego na oryginale. Ale przynajmniej była jedna. Z rozbawieniem pomyślał, że autentyk wprawiony w budynek powstał z marmuru pozyskanego z rozbiórki bezbronnych pogańskich budowli. Podróbka zamieszkała w cementowych, doskonale udających kamień ścianach gotyckiej katedry, na kontynencie, który nigdy nie przeżył gotyku.

– Co za ironia – rzucił na głos i po raz kolejny skarcił się w myślach za

idiotyczny zwyczaj rozmów ze sobą.

Chwilę później poczuł znajomy ból głowy.

– Zaraz, przecież niczego nie biorę. – Na prawie pustym placu swobodnie zadawał na głos pytania. Wyciągnął z kieszeni marynarki małe pudełko z lekarstwem i rozwinął ulotkę. Studiował ją przez chwilę, a potem rzucił bez gniewu, raczej ze znużonym rozczarowaniem:

– Firmy farmaceutyczne.

Spojrzał na drzwi. Wrota do Raju. Gates of Paradise. Porta del Paradiso, nazwane tak przez samego Michała Anioła. A to o czymś świadczyło. Niemal identyczne, ale wiodły do zupełnie innych światów. Nie da się przenieść obecnej w budynkach historii.

Gdy mijał je w Italii, wpadał do ciemnej, niedużej przestrzeni, stąpał po kamiennej, ponad osiemsetletniej posadzce, by trafić na grobowiec antypapieża Jana XXIII. Nad głową, bizantyjskim światłem tajemniczo pobłyskiwały trójkątne freski, pod którymi jako dziecko siadywał Dante Alighieri. Ciekawe, czy podobnie jak turyści zadzierał głowę, podziwiając sceny śmierci i zmartwychwstania. David wielokrotnie zastanawiał się, czy tamten sufit zawędrował do *Boskiej komedii*. Pewnie tak, przecież mózg magazynuje wszystkie ujrane obrazy. TAM panowała historia wypłukiwana przez nieustające fale zwiedzających. Uzbrojeni w aparaty, przewodniki we wszystkich językach świata, w namaszczeniu wchłaniający przeszłość i – jak mu się wydawało – niezauważalnie wynoszący ją z wnętrza katedry. Na swoich źrenicach, w cyfrowych klatkach wspomnień, bez końca. Kradnący tchniętą w ściany energię i nie pozostawiając niczego oprócz pieniędzy. Westchnął zniecierpliwiony, jeszcze raz spoglądając na katedrę. Tu, gdy po raz pierwszy przekroczył próg „błyskawicznych wrót”, wpadł w olbrzymią przestrzeń wypełnioną filtrowanym przez witraże światłem. Jego stopy przemierzyły olbrzymi labirynt, odwzorowany na posadzce katedry Notre-Dame w Chartres.

Po lewej minął kaplicę AIDS, znak miasta i czasów.

Z pewnością dożyje kiedyś teleportacji. Coś jak w „Star Treku”, ale z pewnym ulepszeniem. Czy nie cudownie byłoby mieć takie obrotowe drzwi? Pchnięcie w lewo – San Francisco, pchnięcie w prawo – Florencja. Zamiast potwornie męczących go samolotów i lotnisk. Westchnął i z żalem otworzył oczy. Dziewczyna z motylem przypomniała mu, że musi się pospieszyć. Wstał z ławki, posłał dyskretny uśmiech staruszce, której miękkie ruchy zdawały się zapęłniać cały plac niewidzialnymi liniami. Prawie widział je w powietrzu. Potem zamieniły się w białe, rozmywające się smugi, jak te, które zostawiają za sobą lecące w bezchmurny dzień samoloty. Oddał wypożyczony samochód i jeszcze raz przelotnie spojrzął na paszport, jak zawsze upewniając się, czy wszystko zapamiętał. Tego nawyku nauczył się z żołnierską surowością i konsekwencją. Nigdy nie zdarzyło mu się zapomnieć nazwiska czy daty urodzin. Imię zgodnie z prawdą pozostawało zawsze to samo. David był wystarczająco uniwersalny, pasował do wielu krajów i języków. Poza tym zżył się z oficjalną historią na swój temat. Pierwsze dwie godziny minęły mu na czytaniu, z zadumą przeglądając pięknie ilustrowany *Gap in nature*, przedstawiający nieistniejące już zwierzęta. Porównał ułożenie i kolor piór ptaka dodo na mistrzowsko wykonanym rysunku ze swoimi wspomnieniami. Z uznaniem pochylił głowę, boleśnie dokładne podobieństwo. Przerzucił jeszcze kilka stron. Potem obejrzał jakiś historyczny, idiotycznie naiwny i fałszujący przeszłość film. Krótka, ale jednak przerwa przed drugim lotem.

Przesiadał się w Nowym Jorku niejako na własne życzenie – przegapił bezpośredni lot do Niemiec. Nawet nie był to zwyczajowy powód, czyli atak, po prostu źle odczytał godzinę.

– Idiotycznie – wymamrotał. W zasadzie nie spieszył się, ale irytował go sam fakt skutku, jaki jedno błędne przesunięcie oczami po bilecie miało dla płynności jego podróży. Zdekoncentrowany przestał uważać na to, co dzieje się wokół

niego. Stał wraz z walizką i bagażem podręcznym przed stalowymi drzwiami windy mającej zabrać go na następny poziom lotniska, automatycznie omiatając wzrokiem stojących obok niego ludzi. Jak zawsze – w zasadzie nie widząc ich i nie rejestrując ich istnienia. Wtem wzrok Davida przykuły szare oczy i kolor włosów, na który był tak nieodporny, jak niektórzy na pyłek traw czy roztocza. Nie potrafił go opisać. Coś pomiędzy nordyckimi ludami Skandynawii a bardziej złotym odcieniem Słowian. Przynajmniej kiedyś takie definicje i rozróżnienia coś oznaczały. Kiedyś, przed chemiczną paletą niezliczonych odcieni na życzenie i przed masowymi wędrownkami ludzi. Zapatrzył się w płowo-cytrynowe pasma spływające poniżej ramion, pszeniczno-łniany kolor z pasemkami złota. I pewnie przez te włosy przegapił wszystkie sygnały ostrzegawcze. Zajęty obserwowaniem światła przesuwającego się po kosmyku opartym o pasek torby wpłynął z tłumem do wnętrza gigantycznej windy. Dopiero teraz orientując się, że metalowe drzwi miękko zamknęły wraz z nim kilka języków. Zaatakowały go jednocześnie, zanim udało mu się odpowiednio ustawić zmysł słuchu i mózg. W innym miejscu wystarczyłoby uciec, przesunąć się, wyłączyć chociaż kilka z nich, ale na tak małej przestrzeni nie miał żadnych szans.

– *Ich habe's nie gesagt...*

– *I told you yesterday...*

– *...nessuno Si merita le tue lacrime...*

Jego jaźń przełączała się w sekundowych odstępach pomiędzy różnymi dźwiękami, światami różnie brzmiących uczuć. Słowa odbijały się od otaczających luster, wracały zwielokrotnionym rykoszetem, bombardując jego słuch. David miał wrażenie, że co chwila wpada w rezonans z inną częstotliwością, że wkrótce jego mózg rozstroi się. Zamknął oczy, usiłując skupić się na jednym.

– Spokojnie... – powtarzał w myślach. – Ok, są Włosi.

Na szczęście para stojąca tuż obok niego nie przestawała dyskutować.

Jednostajny strumień jednego języka, wystarczająco bliski i nieprzerwany, by chwycić się go w myślach. W ciągu kilku sekund wyciszył wszystkie inne i z całych sił skupił się na melodyjnej kłótni po prawej. Starał się nie myśleć o tym, że ktoś z pasażerów właśnie teraz mógłby go o coś zapytać. Przytrafiło mu się to niezliczoną ilość razy, ostatnio na lotnisku w Los Angeles. Na szczęście Amerykanie nie drażą za bardzo, szybko sklasyfikowali go jako – delikatnie powiedziawszy – *mentally challenged* i zostawili w spokoju. Prawie niezauważalne wyhamowanie, wysiadł.

Wielojęzyczność – ludzie zazdrościli mu tego daru, ale nikt nie pytał o cenę. Naprawdę, czasem nienawidził globalizacji. I wind w dużych hotelach, biurach Manhattanu czy portach lotniczych, takich jak ten.

– Oprzytomniej – rzucił niemal bezgłośnie. Bez problemów przeszedł kontrolę bagażu podręcznego. Na sam spód kieszeni podręcznej walizki schował granatowy amerykański paszport, przesuwając na wierzch niemiecki. Nie było to konieczne, ale lubił wjeżdżać do Europy jako obywatel Unii.

– Nasze dzisiejsze menu oferuje państwu...

Jak zwykle, lekko zirytował go profesjonalnie wzbudzający zaufanie głos stewardesy, bliski prawdziwej serdeczności i usypiający spokój. Dziewczyna, podobnie jak zawartość karty, była o kilka gwiazdek lepsza od tego, co oferowała klasa ekonomiczna. Dyskretnie obsługiwała podróżujących. David nie miał skłonności do luksusu ani do snobizmu. Jednak przy jego częstotliwości podróżowania, możliwość wyciągnięcia się praktycznie horyzontalnie oraz jedzenie przypominające prawdziwą żywność traktował jako minimum rekompensaty za to, co znosił. Z przyjemnością powrócił do menu. W przeciwieństwie do innych zmysłów smak Davida z biegiem czasu nie zubożał, a jedzenie było w zasadzie jedyną przyjemnością, którą odczuwał z niezmienną intensywnością. Podniósł talerzyk na wysokość twarzy i całym sobą chłonał aromat sałatki. Z zachwytem przyjrzał się konstrukcji pieczolowicie

spiętrzonych z młodziutkich fasolek. Potem ostrożnie pozwolił kubeczkom smakowym na zetknięcie się z aksamitną powierzchnią nasączonych cabernetem gruszek, słuch wyłapał króciutki moment delikatnego pęknięcia powierzchni listków sałaty rzymskiej i znów język przekazał mocniejszy akcent prażonych orzechów włoskich. David sam siebie nazywał kulinarnym synestetykiem¹⁵, tylko zamiast zwyczajowego połączenia dźwięku i obrazu dysponował dwuzmysłowym odczuwaniem jedzenia. I bynajmniej nie chodziło o smak i węch. Obraz tego co na talerzu, w umyśle Davida ożywał. Sałata unosiła się dzięki sprężystości młodych listków i pędów, jakby chcąc nadażyć za uciekającymi do atmosfery kabiny cząsteczkami dresingu winegret zmieszanego z sherry. Danie główne w jego oczach przeistaczało się w prawdziwą scenę walki. Perfekcyjnie przyrządzona palia wędrowna zastygała w przerażeniu obok przyczajonego zawijasa sosu chrzanowego, który niczym nieruchomy wąż ostrego smaku czekał na stosowny moment, by zatopić zęby w delikatnym cieple ryby. Niemi świadkowie sceny grozy – krążki polanej octem balsamicznym, a następnie grillowanej cebuli, młodziutkie ziemniaki oraz bób z dodatkiem natki pietruszki. Pacyfistyczne warzywa, jakże często będące tylko tłem dla występujących w roli głównej zwierząt. David odegnał nadchodzące wspomnienia wielkich, przemysłowych ubojni i najdelikatniej jak potrafił skończył rybę, z nabożeństwem odkładając na brzeg talerza mieniącą się skórkę. Z ulgą skupił się na deserze. Magdalenka ze świeżuteńką truskawką, która przypomniła mu słońce i zapach wyidealizowanego ogródka. Ziemia, zanurzone w niej korzenie wydały mu się w samolocie tak absurdalne, że niemal parsknął śmiechem. Wrócił mu humor – uwielbiał dobre jedzenie. Tym razem nie zdążył pomyśleć o plastikowym kurczaku z białym, pozbawionym wszystkiego poza kaloriami ryżem, podawanym w przypominającym styropian pudełku. Jego głowy nie zaprzątnęły bielutkie, zachowujące nieskończoną świeżość bułeczki, serwowane z plastelinowatym serem żółtym. Ponoć z Holandii. Przy tym

wszystkim jego wyjątkowa synestezja gasła i zamierała, a on sam wielokrotnie w takich sytuacjach lądował o pustym żołądku, rozdrażniony szarpiącym go głodem i jednocześnie widokiem jedzenia zaciskającego jego przełyk na supeł.

Kabina klasy biznes airbusa miała tylko sześć siedzeń, dając każdemu z jej pasażerów luksus przestrzeni i większość ze znajdujących się w niej szczęśliwców nie próbowała nawet jej opuszczać. David zazwyczaj wielokrotnie przemierzał całą długość pokładu. Ale teraz, zamiast tradycyjnej rundy zrobił to, czego nie zdążył wcześniej. Odchylając zagłówek fotela do prawie poziomej pozycji, położył się. Prawdziwa przyjemność, odległości między fotelami pozwalały zmęczonemu ciału na swobodę nieosiągalną w klasie ekonomicznej. Przytłumione światło, ledwo słyszalny szum silników sprawiły, że pracujący na pełnych obrotach umysł Davida zdecydował się odpuścić. Rozluźnił mięśnie, a ciało dopasowało się do załamania fotela. Jak zwykle zapadł w sen, jakby spadał z wieżowca: szybki lot w czarną otchłań. Obudził się nagle po kilku godzinach. Natychmiast wrócił do pozycji siedzącej. Drobną różnicą wysokości z pewnością nie była wyczuwalna dla większości pasażerów, ale jego ciało, poddane treningowi niezliczonych lotów, potraktowało ją jak dzwonek alarmowy. Nie było to jeszcze podchodzenie do lądowania, zdążył ze śniadaniem, a nawet podwójnym espresso z mlekiem i szklanką świeżo wyciśniętego soku z sycylijskich pomarańczy i omletem. Stewardesa zastygła na chwilę, gdy poprosił o lokalną gazetę. Była przyzwyczajona do wielojęzycznych gości, ale delikatne echo bawarskiego akcentu w zestawieniu z używanym parę godzin wcześniej kalifornijskim amerykańskim zaintrygowały ją. Nie mniej niż wygląd pasażera. Niezbyt wysoki, ale bardzo szczupły, w nieokreślony sposób przypominał jej widzianych kiedyś na pokładzie Somalijczyków, cudownie smukłych ludzi o giętkich ciałach, niewiarygodnie długich kończynach i palcach. Różnił się od otoczenia rozpulchnionego białym chlebem, fast foodem i telewizją. Rozmytego nadmiarem. Wszystko w nim przykuwało uwagę. Prawie

czarne włosy i ciemno oprawione oczy, tęczęwki wyglądające jak promieniście rozchodzące się nitki mokrego mchu. Nie mogła się zdecydować: twarz pomiędzy bizantyjską ikoną a robotnikiem z dublińskich doków. Nie bardzo też potrafiła sobie wytłumaczyć, skąd ma te skojarzenia. Ikony widziała tylko na reprodukcjach, a w Dublinie była, owszem, ale tylko w porcie lotniczym. Twarz przypominająca rzymskie mozaiki albo stare obrazy. W jakiś nieuchwytny sposób niedzisiejsza. Przez chwilę zapomniała, co miała zrobić, na szczęście mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi zajęty zbieraniem bagażu podręcznego. Metodycznie poskładał wszystkie czytane w trakcie śniadania kartki, pożegnał się krótko i opuścił samolot.

Lotnisko Franza Josefa w Monachium przemierzał na pamięć. Podobnie jak większość innych dużych lotnisk. Wraz ze skromną liczebnie grupą pasażerów jego klasy skierował się do specjalnej części portu, gdzie właściciele drogich biznesowych garniturów mogli odświeżyć się i przygotować przed porannym spotkaniem w firmach.

I wtedy kątem oka zarejestrował jednocześnie dwie rzeczy: srebrzystoniebieski kolor skrzydeł motyla na okładce magazynu, zaraz potem fragment tytułu „Rare books &...”. Brakujące słowo znajdowało się pod zgiętą ręką kobiety. Niezwykle jasna skóra i tamte pszeniczno-cytrynowe włosy. Dziewczyna przyciskała zwinięte strony łokciem do ciała, usiłując jednocześnie wcisnąć automatyczną rączkę walizki. Stał niezdecydowany, obserwując ją przez szerokość korytarza. Siadła przy stoliku jednej z wielu lotniskowych kawiarni, potem postawiła przed sobą filiżankę, rozłożyła czasopismo i zaczęła przerzucać kartki. Nerwowo zakreśliła kilka rzeczy, rozglądając się co jakiś czas i wyraźnie na kogoś czekając. Nie zdążył pomyśleć czy to coś znaczy, wykonać żadnego ruchu. Patrzyła z napięciem przed siebie, a potem w nagłym odruchu rozpoznania ruszyła w kierunku idącego na wprost niej mężczyzny. Górował nad otoczeniem wzrostem i wręcz agresywną energią. Bardzo wysoki, bardzo

nordycki. David drgnął mimowolnie. Wysoki pocałował kobietę z namysłem i – jak się Davidowi zdało – bez radości. Wziął jej bagaż, a potem, nie patrząc w jej kierunku, ruszył do wyjścia. Podążyła za nim spięta. David odczekał do momentu, gdy zniknęli za rozsuwanymi drzwiami prowadzącymi na zewnątrz i podszedł do stolika. Z namysłem przejrzał strony wypełnione odręcznymi zapiskami na marginesach, w pustych miejscach stron, gdzie były reklamy. Przez kilkanaście sekund przyglądał się ogłoszeniu obwiedzionemu podwójną linią i opatrzonemu wykrzyknikiem.

Starannie złożył czasopismo i schował do zewnętrznej kieszeni podręcznej walizki, potem spojrzął w górę, gdzieś ponad sufit hali lotniskowej.

– Dziękuję – powiedział ze szczerą wdzięcznością.

¹⁵ Synestezja – łączenie wrażeń odbieranych przez jeden ze zmysłów z doznaniem związanym z innym zmysłem, np. przekształcanie wrażeń słuchowych we wzrokowe („barwa dźwięku”).

Tak czy nie?

Diesel mruczał cicho, jakby usiłował samym dźwiękiem ogrzać atmosferę panującą we wnętrzu samochodu. Max znów miał uczucie, że widzi ją po raz pierwszy. Wszystko to, co znał tak dobrze, po raz kolejny wydało mu się niepokojąco obce. Który to raz pomyślał, że siedząca obok Selina reprezentuje chłodny, ale tylko optycznie, typ blondynki. Szare oczy miały w sobie ruchliwość rtęci, nie na darmo w jego języku określanej mianem *Quecksilber*¹⁶. Bywało, że nabierały zielonkawych odcieni, w szczególnie jasne dni stawały się prawie niebieskie. Włosy przypominały mu jesionowe drewno o mieszanym usłojeniu. Z przemiennie ułożonymi prawie białymi, złotymi i jasnobeżowymi pasmami.

Wszystko w niej było miękkie: skóra, spojrzenie, włosy i głos. Jej wygląd był odbiciem tego, co nosiła w sobie, nie do końca mogąc się zdecydować, jaką być i czego chcieć.

Ta jej nieokreśloność, nieuchwytność fascynowała go i pociągała. Może dlatego, że był zupełnie pozbawiony tego rysu charakteru, może dlatego, że to czyniło ją tak różną od kobiet, które dotąd znał. Może, bo jego twardy i zdecydowany charakter nie potrafił sobie podporządkować jej wiecznie umykającej, światłocieniowej istoty. Kątem oka obserwował jak siedzi, patrząc nieruchomo przed siebie. Wydawała mu się nieobecna.

Selina czuła, że sztywnieje. Paraliżował ją ból w odruchowo spinających się ramionach, w kostkach palców bezwiednie zaciśniętych na uchwycie torby. Jeszcze do wczoraj nie przypuszczała, że sprawy przybiorą taki obrót. Przez pierwsze minuty na lotnisku nie zorientowała się w sytuacji, nawet kiedy Max zaczął drążyć, gdzie była i żądał szczegółów, nie dając się niczym zagadać. Nigdy

wcześniej tego nie robił, nie był typem faceta sprawdzającego listę jej połączeń telefonicznych, nie domagał się spowiedzi z przeszłości. Skłamała. Po raz pierwszy, odkąd byli razem.

Już na lotnisku zobaczyła w jego spojrzeniu cień, którego wcześniej nie dostrzegła, nawet gdy był zły. Przypomniało jej się, jak w laboratorium potrąciła butelkę z kwasem, który ściał kolor przygotowywanego pigmentu. Czym jest kłamstwo i jak może tak zmienić człowieka, jego spojrzenie? Tam, na ruchomych schodach lotniska, poczuła się jak odrzucona książka, która zamiast opowiedzieć fascynującą historię miłosną okazała się seryjnym, tandetnym romanssem.

Drgnęła, gdy w końcu odezwał się:

– Pozwól, że podsumuję. Chcesz, ale tak naprawdę nie chcesz. Może, ale nie teraz. Może nigdy. Po prostu odsuwasz mnie w czasie. Tylko że ja nie mogę już tak... Rozumiesz? Wykorzystujesz mnie. Nie przerywaj! – uderzył pięścią w deskę rozdzielczą. – Po prostu brak ci odwagi, by ze mną być. Chcesz, żebym cię gonił, bo wydaje ci się, że jak powiesz „tak”, to od razu stracę zainteresowanie.

– To wcale nie jest... usiłowałam ci to już napisać...

– Kłamiesz.

Skuliła się w sobie, po raz pierwszy w życiu użył w stosunku do niej tego słowa.

– I jeszcze ten przedłużony wyjazd... – Zawahał się, ale dokończył. – Sprawdziłem, w ostatnich dniach nie było żadnego sympozjum, żadnego warsztatu, nic dla konserwatorów książek – ostatnie słowa wypowiedział z pogardą, po czym już ciszej dodał: – Znalazłem rachunek z apteki.

Zamarła, a on zjechał na pobocze.

– Jesteś w ciąży? A może byłaś? Spójrz na mnie.

Miała wrażenie, że ktoś wyciągnął z samochodu resztki tlenu.

– Odpowiadaj, chociaż tyle możesz dla mnie zrobić. To proste, tylko jedno

słowo, tak albo nie.

Potrząsnęła przecząco głową, nie była w stanie podnieść oczu, patrzyła uparcie na kołnierz jego skórzanej kurtki. Tej samej, która trzeszczała na zszyciach, gdy obejmował ją, gdy przyciągał do siebie... Kontury błyskawicznego zamka zaczęły tracić ostrość, spychała w dół idący z brzucha szloch.

Milczał przez chwilę, która w jej głowie wystarczyłaby do okrążenia całej kuli ziemskiej. Puścił jej ramiona, włączył silnik, a potem obcy głos, tylko przypominający jej Maxa, którego znała, powiedział:

– Nie mogę cię tu zostawić, ale w centrum wysiadasz.

Zamroziło ją, nie drgnęła w czasie kilku minut jazdy dzielących ich od przedmieść Monachium. Miała wrażenie, że nie oddycha. Zahamował przy Pinakotece i nie patrząc w jej kierunku, rzucił:

– Teraz.

Ręce trzęsły się jej tak, że ledwo otworzyła drzwi. Wsiadł na chwilę, nie patrząc na nią, wyjął z bagażnika walizkę i postawił obok jej stóp. Odjechał natychmiast.

Stała przez chwilę jak wyrzucony na skałę rozbitek. A potem zwymiotowała na trawnik.

Adaggio

Kolejnym wynajętym samochodem David wyjechał z hotelu przy Maximilianstraße i skręcił w kierunku Isartorplatz. Postanowił zwolnić trochę tempo podróży. Dwa loty pod rząd, w tym jeden transatlantycki, to dużo, nawet dla niego. Poza tym lubił trasę na południe, a długie i płynne jazdy samochodem separowały go na jakiś czas od ludzi. Po przekroczeniu mostu Ludwiga śledził już wskazówki na A8, z radością przekraczając gdzie indziej dopuszczalne prędkości. W krystalicznie czystym powietrzu wjechał wcześniej rano w Alpy. Sprawy zawodowe niespodziewanie szybko załatwił w malowniczych okolicach Garmisch-Partenkirchen, utrwalając na klatce wspomnień maleńkiego gryzonia żyjącego właśnie – i już tylko – tutaj. W duchu życzył sobie, żeby zawsze było to tak nieskomplikowane i mało angażujące. Gładko przemknął przez fragment Austrii, a po dwóch godzinach znalazł się na terenie Włoch. Nadal widział przed sobą obwiedziony podwójną linią anons wystawy zamieszczony na drugiej, prestiżowej stronie „Rare Books & Collections”. Miał pewność, że dotrze do niej. To była kwestia tygodni. Samo zakreślenie mogło nic nie znaczyć, ale dodatkowe zapiski na marginesach i podkreślone informacje upewniły go, że warto. Jechał, ledwie rejestrując autostrady, najpierw A13, potem A22, przekonując się na głos, że na pewno wymyśliłby lepsze nazwy niż zestaw cyfr i liter. Coś bardziej pasującego do anonimowych krajobrazów, jednostajnie przesuwających się za szybami samochodu. Skoro huragany i tornada miały własne imiona, dlaczego nie miały ich tak ważne, pokojowe i łączące ludzi drogi? A13 wyglądała jak dorosła wersja gry w statki, precyzyjny cel ataku.

Czuł się zadziwiająco rześko, ale wiedział z doświadczenia, że czas na odpoczynek. Nadal egzystował bez Modafinilu, a to na dłuższą metę kończyło

się atakiem. Nienawidził budzenia się w nieznanym miejscu i pośpiesznego odtwarzania przebiegu wypadków, które przegapił, a w zasadzie przespał. Wprawdzie miał przygotowane orzeczenie lekarskie wraz z medycznie uzasadnioną prośbą o nierobienie badań w czasie, gdy jest nieprzytomny, nagrał też odpowiednią wiadomość na komórce, a w portfelu nosił kilka równiutko złożonych banknotów w dobrze widocznej przegródce. Nigdy ich nie ruszał, nawet gdy brakowało mu pieniędzy.

Pomyślał o lekach, dobrodziejstwie czasów, w których przyszło mu żyć. Xyrem, Provigil, a ostatnio Modafinil. Cuda współczesności, dzięki którym mógł kontrolować to, co kiedyś było zupełnie poza zasięgiem jego woli. Odzwyczajał się od strachu przed tym, gdzie i w jakim stanie się obudzi, jeśli będzie miał atak. Przestał się bać odludnych miejsc czy pustych ulic. Te, wbrew pozorom, były najbezpieczniejsze, problemem zawsze byli ludzie. Złodzieje, lekarze, stróże porządku, bezdomni, wariaci, a także kobiety. Przejęte znaleździem i po kobiecemu opiekuńcze.

Leki, oczywiście, miały swoją ciemną stronę, tak zwane skutki uboczne, ale z tym mógł sobie poradzić. Na ogół bez protestu i z wdzięcznością płacił tę cenę, okazjnie przeklinając pod nosem ból głowy, nadwrażliwość na temperaturę czy chwilowy brak czucia. Szczególnie ten ostatni potrafił przygnębić go na wiele godzin. Nie potrzebował znieczulenia jakiegokolwiek zmysłu, wręcz odwrotnie. Mimo wszystko leki najnowszej generacji były niczym magiczny napój. Zdarzało mu się w zasadzie bezkarnie nie spać tydzień lub dłużej. Myślał przy tym o śnie według jego definicji. Bezdennym, przychodzącym bez ostrzeżenia, czarnym tunelem, w który wpadał bez fazy przejściowej i z którego równie nagle był wyrzucany. Sen kojarzył się ludziom z czymś miękkim, kojącym i dającym siłę. Zapytany o jego definicję, David każdy z tych przymiotników zastąpiłby przeciwieństwem. Mglista, agresywna otchłań, pozbawiająca energii, a najczęściej orientacji w czasie.

Drogowskaz na Wenecję sprowadził go na ziemię. Jak zmiana wysokości w samolocie, jak kolor okładki trzymanej kobiecą ręką. Skręcił do miasta i skierował się do Palazzo Abadessa. Nie rezerwował pokoju z wyprzedzeniem, tu nie musiał.

Gina pracowała w Palazzo od kilku lat, w turystyce – od niemal trzydziestu. Znała każdy typ podróżników. Jednak nawet jej pamięć, zapchana obrazami pokoleń turystów, zmęczona coraz szybszą rotacją zwiedzających, zatrzymywała się przy wspomnieniu tego jednego mężczyzny. Widziała go dwukrotnie i była pewna, że nigdy nie zapomni. Gdy stanął w drzwiach hotelu, na dalszy plan zepchnęła gości, pilne telefony i zamówienia. David obsypał komplementami słynny z bujnej roślinności ogród, a potem oczywiście ją samą. Bez słowa komentarza przyjęła niemiecki paszport wystawiony na Davida Sachsa, nie chciała pytać, gdzie zginął David Carta. Ostatecznie nazwisko można zmienić, a tego mężczyznę wpuściłaby i bez dokumentów. Niepytana sięgnęła po klucze do pokoju, utrzymanego w kolorystyce starego złota, z pojedynczym łóżkiem pod baldachimem.

Kieliszek prosecco, którym witano tu gości, podzielał na Davida podobnie jak rozkładany fotel airbusa. Wszedł na piętro, odłożył walizkę i wziął niespieszny prysznic. Satynowa pościel i cisza w sekundę wchłonęły całe napięcie z jego ciała. Z ulgą rozpoznania błędził wzrokiem po słonecznej tapecie z domieszką damasceńskiego jedwabiu, seledynowo-mlecznym szkłem żyrandola powstałego stulecia temu na pobliskiej Murano. Wchłaniał dyskretny zapach starego drewna z siedemnastowiecznych mebli i z miłością patrzył na drewniany sufit nad sobą. Zawsze widział w nim strukturę ciała starych drzew, ich naczynia krwionośne, zabalsamowane woskami, olejami i troską człowieka. Czuł wyrzuty sumienia myśląc o tym, że teraz ogrzewają siedziby tych, którzy je ścięli. Freski, polichromowane okna z ołowianym szkłem zawirowały i drewniane stropy nagle straciły nieruchomą pewność siebie. Ich kontury nabrały płynności, a potem zwały

w jedność z wyglądającymi niczym wnętrze wielkiej muszli schodami. W środku, jak w oku tanecznego cyklonu, wirowali goście: Turner, Monet, Byron, Ruskin, wreszcie Thomas Mann. Sen, sen był teraz najważniejszy, musiał odsunąć w czasie moment powrotu do chemicznej przytomności.

Kolejne dni spędził na pracy i dokumentowaniu. Tutaj było to trochę mniej przygnębiające. Ostatecznie cały świat pomagał w powstrzymaniu zagłady miasta. Po katastrofalnej powodzi w 1966 roku ludzie nagle oprzytomnieli. Budowano śluzy, bez przerwy wypompowywano wody gruntowe. Usiłował nie myśleć o nocnych przypływach oblizujących chodniki, krawędzie drzwi wejściowych. O chwilach, gdy plac Świętego Marka zmienia się w sadzawkę. Nie chciał widzieć odpadających tynków, pękających domów i zjawiska dla niego relatywnie nowego – zanieczyszczeń przychodzących z wodą. Z dala wyglądał jak turysta robiący zdjęcia, przyglądający się nieprawdopodobnej egzystencji tego miasta. Tyle tylko, że utrwał w głowie zupełnie inne obrazy niż oni. Rysy, zanik i zniszczenie. Bynajmniej nie tylko miasta. Jego wzrok przesunął się z budynków na brodzącego błotniaka stawowego i jego długonogich pobratymców. Nieliczni ludzie docierający na pół bagienną część laguny traktowali go jak nieszkodliwego wariata. Wiadomo – ekolog lub zielony.

Tydzień później stał gotowy do drogi, czekając na rachunek za nocleg i zjedzone na miejscu kolacje. Z przyjemnością spojrzął pod nogi, atrium w całości wyłożone było antycznym marmurem. Przeniósł wzrok na witrażowe okna w kolorach czerwieni, granatu i żółci... Czerwień królewskich szat, dostojników dworu i sędziów, ale też ochrony przed czarownicami. Żółć, równowaga między sprawiedliwością królewskiej czerwieni i miłosierdziem niebiańskiej bieli. A potem kolor wszystkich prostytutek w tym mieście. Niebieski, czystość i świętość, a zaraz potem kolor diabła. Ludzie... Wyjrzał przez dwuskrzydłowe drzwi otwierające się na prywatną przystań hotelu. Łodzi

jeszcze nie było i cichy jak cień kamerdyner poinformował go, że pojawi się za kwadrans. David cofnął się do wnętrza w poszukiwaniu zacisznego miejsca, w którym mógłby przeczekać.

Do opuszczenia Palazzo Abadessa dzieliły go minuty, kiedy nadeszła dziewczyna. Typowa amerykańska nastolatka w szortach, koszulce z wizytówką jakiegoś lokalnego, mało ważnego uniwersytetu i z nieodłącznym przewodnikiem w ręku. Ale nie to przykuło go do miejsca, w którym stał. Miała na uszach słuchawki. Nie te małe, wkładane do małżowiny usznej, jakie standardowo dołączano do telefonów komórkowych. Z tych nic by nie usłyszał. To były porządne, duże i głośne Skullcandy. Ciemnofioletowe, z charakterystycznym logo w kształcie czaszki i dodatkowo subwooferem. Irytujące, kto by się spodziewał Doorsów w murach, których narodziny przypadły na 1540 rok? Muzyka wyciągnęła go z tunelu przeszłości, zakłóciła organiczną spójność tego miejsca, ale jego wyobraźnia zaczęła posłusznie okręcać wirujący temat *The End* wokół spirali schodów. Już chciał odsunąć się od natarczywych dźwięków, gdy usłyszał następny kawałek.

Ze słuchawek, które dziewczyna ściągnęła z uszu, żeby lepiej skupić się na czytanej tekście, podплыnęły do Davida dźwięki *Fiest of Friends* i fragment *Adaggia*, które Morrison wstawił do swego utworu.

Echo dawno nieodczuwanej tęsknoty pulsowało wraz z dźwiękami wytłumionej muzyki. Kiedy ostatni raz rozmawiał z kimś tak naprawdę? Z kimś, kto go znał lepiej niż on sam. Nie mógł sobie przypomnieć. Na chwilę chwycił go strach, że problem z wyznaczaniem punktów w czasie może być skutkiem ubocznym leków. Miesiące czy lata, a jeśli tak, to ile? Usiadł w stojącym obok fotelu i przymknął oczy, coraz bardziej zaskoczony i przygnębiony faktem, że nie pamięta. Otworzył je na chwilę, gdy przyniesiono rachunek, a potem poprosił o możliwość pozostania w atrium przez kilka minut.

– Ależ oczywiście, signiore Sachs.

Wyciągnął z bocznej kieszeni walizki cieniutkiego laptopa i zaczął uderzać w klawisze.

Minęło już tyle lat, Tomaso, lecz ciągle czuję Twoją nieobecność...

Alkohol

Max nie mógł sobie znaleźć miejsca, twarz Seliny wyskakiwała jak natrętna reklama z każdego zakątka Monachium. Z kawiarni i restauracji, w których bywali, uczelni, na której zdobyła dyplom. Następnego wieczora po awanturze w samochodzie wyszedł z domu, automatycznie kierując się w stronę parku. Nie chciał ludzi, potrzebował łagodnej, nieoceniającej obecności natury. Stanął przed ścianą zieleni i... Niech to szlag, miał pod nosem największy śródmiejski park na świecie i nie mógł do niego wejść. Zabrakło mu miejsc w tym cholernym mieście, z którymi nie łączyłoby się żadne wspólne wspomnienie. A te wyskakiwały seriami, zupełnie jakby przekraczał linie podczerwieni automatycznie uruchamiające prezentacje wideo. Usiadł na ławce przy wejściu do parku, z bezbrzeżną zazdrością obserwując mijające go rozanielone pary, rowerzystów i biegaczy z adrenaliną w oczach. Nawet turecka rodzina, pchająca w wózku sarniookie niemowlę, zdawała się przechodzić specjalnie obok niego, demonstrując szczęście i beztróskę. Usiłował skupić się na odległych tematach, wzorze na pniu płatanu, kształcie gałęzi kasztanowca, porowatości kory dębu. Ostatecznie drewno było jego żywiołem. Nic z tego, projekcja w jego głowie stawała się coraz wyraźniejsza, a drzewa traciły na realności.

Pamiętał wszystko, z dokładnością do dni, a nawet godzin. Piątek, trzynastego maja, trochę po szóstej wieczór.

Udało mu się wyciągnąć ją na film. Zdziwiła się, że idą do małego, niezależnego kina Lichtenspiele, leżącego blisko płynącej przez miasto Izary i w bezpośrednim sąsiedztwie Englische Garten¹⁷. Wcześniej, w pobliskich łaźniach Mullersche Bad, pokazał jej kilka wykonanych przez siebie kopii autentycznego wyposażenia. Drewniane kabiny do przebierania się, poręczce, ramy przeszkleń

w drzwiach i oknach. Oczywiście w stylu *art nouveau*. Była pod niekłamanym wrażeniem, powiedziała, że secesja to jej ulubiony styl i że od tej pory będzie jej kojarzyć się właśnie z nim. Zapytała, czy nie próbował malować czegoś w stylu Muchy czy Klimta, ale zaprzeczył szybko, trochę za ostro, oświadczając, że jest bardzo, bardzo dobrym, ale tylko stolarzem. Nie, nie jest artystą, nie unosi go na ogół wena twórcza, robi to bo lubi, ale także dlatego, że w życiu trzeba coś robić. Inaczej spada się tam, skąd trudno wrócić. Pociągnął ją przez ulicę, lekceważąc światła i pasy. Milczała i domyślił się, że wystraszył ją ostrością komentarza na temat zawodu. Wskazując budynek, który wyrósł nagle przed nimi objaśnił, że stoją przed drugim najstarszym kinem w Monachium, w przerobionym dawnym teatrze *variété*. Z ulgą zmieniła temat, dopytując się, na co idą. Zaintrygował ją opowieścią o filmie wyświetlanym tu niezmiennie od trzydziestu lat. Napięcie wzrosło, gdy w holu zobaczyli grupkę dziwnie wyglądających młodych ludzi. Dwóch z nich pod koszulami miało gorsety, w rękach paczki ryżu i karty. Max nie zdążył jej wytłumaczyć, że każda projekcja to także publiczność, znająca na pamięć wszystkie dialogi, uczestnicząca w akcji przez sypanie ryżem czy lanie wodą. Kasjerka poinformowała o nagłej zmianie. Z powodów technicznych, bez zapowiedzi, odwołano pokaz i zamiast na oczekiwany hit weszli na tak samo niekomercyjny, choć mniej „kontrowersyjny” film. Mała sala z łatwością pomieściła garstkę widzów, oni sami siedli w ostatnim rzędzie z uwagi na płaskie ustawienie krzeseł i jego wzrost. Włoskie *Cinema Paradiso*, nostalgiczna opowieść o powrocie do dzieciństwa i pierwszej miłości, która zostaje na zawsze. Max ukradkiem obserwował odbijające się w jej źrenicach błyski światła. Migawki ze starego miasteczka na Sycylii, paradę lokalnych mieszkańców, pierwsze zauroczenie. Szepnęła, że film spodobałby się matce. Potem ze zdziwieniem zauważył, jak jej oczy stają się szkliste, jak nerwowo trze policzek. Siedziała zahipnotyzowana końcową sceną. Pocałunki z amerykańskich i włoskich filmów, wycięte niegdyś na polecenie miejscowego księdza,

niepodzielnie panującego w miasteczku strażnika moralności. Pracowicie sklejące latami w jeden film i zostawione na pamiątkę zamiast pożegnalnego listu czy testamentu. Zanim pojawiły się napisy końcowe zauważył, jak ukradkiem wyciera łzy, sprawdzając jednocześnie, czy nie rozpułynał się tusz.

– Co cię tak wzięło?

– Nie potrafię tak jednym słowem...

– Hej, to tylko film. – Usiłował ją objąć, ale odsunęła się zniecierpliwiona.

– Wiem, wiem. Już wracam do rzeczywistości – ostatnie słowo wypowiedziała zawstydzona i zła. Miał wrażenie, że była poirytowana swoją słabością, tym, że nie potrafi mu wytłumaczyć.

– W sumie film powinien wywoływać emocje, poruszać coś w człowieku. – Usiłował ją udobruchać, tym razem bez ironicznego uśmiechu na twarzy. – Temu się udało.

– Wiesz, zatęskniłam za ulicami Krakowa, bieganiem po parku... – Ciągle jeszcze walczyła ze szklistością oczu, usiłując nie odpowiadać na jego spojrzenie. – Przypomniał mi się chłopak z naprzeciwka, przyglądał mi się, wystawał przed domem i nigdy nie ośmielił się na nic więcej. Nawet mieliśmy podobne kino. Może nie tak słodkie, bez balkonu, ale z cudowną atmosferą. Było też pianino, czasem puszczali nieme filmy...

Nadal siedzieli na swoich miejscach, czekając aż wszyscy wyjdą.

– Boże, dzieciństwo jest jak... – nie mogła znaleźć słów. – Jak spacer z wata cukrową i jednoczesne zdarcie kolan, bo zapatrzyłeś się na uciekające w niebo gołębie.

Przyglądał się rozczulony i zniecierpliwiony zarazem.

– Przepraszam, mam jakąś lukę w odporności. Czasem tak reaguję. No, już. – Zamachała rękami, demonstrując suche oczy.

Zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze, błyskawicznie pochylił się, by ją pocałować. Nie zdążyła odsunąć się ani zaprotestować.

– Nie mam problemu z płaczem. Jeśli chcesz, możesz zacząć od początku. Ta luka w odporności – potrząsnął głową – fajne, znam zbyt wiele osób, które nie mają żadnych.

Nie oddała pocałunku ani nie skomentowała go. Wstała i szybko schyliła się po stojącą na ziemi torebkę, udając, że nie widzi ręki, którą chciał ją przytulić.

Skierowali się do wyjścia, ona wciąż z zaczerwienionymi oczami i niepewnie przygryzająca pasemko włosów, on zdziwiony jej milczeniem. W drzwiach wyjściowych zorientowali się, że w czasie seansu przegapili drastyczną zmianę pogody. Powietrze na zewnątrz było gęste od wiszącej wilgoci, mrowiło ich od elektryczności, wielkiej energii gotowej do przeobrażenia się w błyskawicę. Patrzyła z niepokojem w granatowe niebo. Miał wrażenie, że ją drażni albo że się go boi. Że szuka pretekstu, by pożegnać się jak najszybciej.

– Chyba musimy się pospieszyć, zaraz lunie. – Nie patrzyła na niego, mówiąc w przestrzeń, i tym go sprowokowała. Nie chciał się żegnać, zaczęła go intrygować. Zupełnie jak wtedy przy zejściu do metra.

– Zdamy jeszcze przejść przez park, no, chodź, nie bój się – pociągnął jej rękaw i zanim zdążyła odmówić, biegli na skos przez Englische Garten. Drzewa drżały przed nadciągającym żywiołem, zamilkły nawet ptaki. Mijali uciekających przed burzą ludzi, pod kołami pchanych z pośpiechem wózków dziecięcych rozpryskiwał żwir. Rowerzyści na szczęście gnali swoim szlakiem, formując oddzielny strumień uciekinierów. Obok nich przemknęła para na rozgrzanych i poganianych koniach. Wyszli na otwartą przestrzeń i właśnie tam, na samym środku olbrzymiej łąki, dopadło ich. Lunęło nagle, bez wstępnego preludium nieśmiałych kropel. Bez pomruku nieba i bez ostrzegawczych grzmotów. Biegając za nim krzyczała, że chyba znaleźli się pod gigantyczną rynną. Świat wokół nagle nasycił się granatem, szemrał i groził potopem. Ściana deszczu w sekundę przemoczyła ich na wylot. Zanim dobiegli do najbliższych drzew, ubrania ciasno oblepiały ich ciała, rzęsy nie nadążały zatrzymywać spływającej

do oczu wody. Nawet tusz ostatecznie dał za wygraną, a jej twarz wydała mu się bez makijażu przedziwnie jasna i prawie dziecinna.

– Chyba pomyliłem się w obliczeniach – śmiał się Max. Uwielbiał wiatr i burzę. Gdyby nie miłość do drewna i przypadek, który zdecydował o zawodzie, zostałby pewnie żeglarzem. Kątem oka prześlizgiwał się po sylwetce Seliny. Nagle wyrazistej i mimo ubrania prawie nagiej. Jedwabna bluzka dokładnie odwzorowała ramiączka stanika, kształt ściągniętych zimnem piersi. Spódnica za nic nie chciała odkleić się od wnętrza ud. Białe kosmyki włosów falistą linią odprowadzały krople deszczu po szyi, obojczykach, wzdłuż mostka. Wyciągnął rękę do jej mokrych ust, ale odsunęła głowę.

– Max, zwolnij, prawie się nie znamy. Jesteś dla mnie za szybki.

– Chcesz powiedzieć, że czas usprawiedliwia pewne rzeczy? Że trzeba odczekać, jak z wyrokiem, żeby się uprawomocnić? – Był zirytowany. Dostrzegł w jej oczach zaskoczenie, zaraz potem gniew.

– Mam cię przeproszać?

Zapanował nad rozczarowaniem, ale dobry humor, który miał jeszcze w kinie, ulotnił się wraz ze słoneczną pogodą. Chwilę później z nieba sypnęło gradem, a powiewy wiatru nabrały lodowatego tonu. Drżała ze zdenerwowania i zimna jednocześnie. Poczul wyrzuty sumienia.

– Chodź, jesteśmy blisko mojego mieszkania, nie możesz jechać mokra.

– Nie, dziękuję, dam sobie radę...

– Przestań, nic ci nie zrobię. Zrozumiałem przekaz.

– Jaki przekaz?

– Że dostałem kosza. Dotarło. Nie zachowuj się jak dziecko.

Podziałało natychmiast. Potem nauczył się, że na ogół tak reagowała na sugestię, że jest niepoważna lub nierozsądna. Posłusznie ruszyła we wskazanym kierunku. Najpierw biegli, potem szli, starając się chować pod balkonami budynków. Nie na wiele się to zdało, deszcz zmieszany ze słabnącym gradem

zaczynał ukośnie, wiatr porywał kuleczki lodu, roznosząc je we wszystkie szczeliny wąwozu ulicy. W końcu dopadli wejścia. Z trudem wyciągnął klucze z przemoczonych spodni. Pchnął olbrzymie drewniane drzwi starej kamienicy. Opowiedziała mu później, że mignął jej wtedy cień domu przy Augustiańskiej w Krakowie. Podobne popękane kafelki na podłodze, wytarte setkami zelówek. I wewnętrzne podwórko z charakterystycznym zapachem sieni. Zmatowiałe szybki w łuszczących się szprosach wewnętrznych drzwi, wyslizgane poręcze wzdłuż schodów. Że on i jej babcia mieszkają podobnie. Na chwilę przeraziła się, że wspomina mieszkanie babci jako dom, ale szybko skupiła się na porównywaniu obu miejsc. No cóż, jeśli fasady pokazywały różnicę w zamożności miast, to na tym przykładzie widać ją było według niej najlepiej. Zostawiając mokre ślady na schodach, prawie wbiegli na drugie piętro. Oczywiście on nadawał tempo. Wpuścił ją przodem i pokazał łazienkę, oddalając się jednocześnie do kuchni.

– Wrzuć wszystko do suszarki, dam ci parę rzeczy. Myślę, że będą pasować.

– Twoich rzeczy?

– Nie, mojej siostry. Nie patrz tak podejrzliwie. Mieszka w Australii, od lat. Raz na jakiś czas wpada w odwiedziny. Trzyma tu taki żelazny zestaw.

Wręczył jej dwa T-shirty, dżinsy i spódnice.

– Sorry, bielizny nie mam. Aha, zamknij się od środka, na wszelki wypadek – dorzucił zgryźliwie.

Zniknął w kuchni, jakby przestała istnieć. Trzasnęła drzwiami, co przyjął z mimowolnym uśmiechem. Parę minut później pojawiła się obok niego, z uczuciem bolesnego *dejá vu* przyglądała się wysokim sufitom i sztukaterii. Powiedziała, że jedynie podłoga była zdecydowanie inna. „U niej” parkiet ułożony w jodełkę, u niego wielkie, pięknie zawoskowane deski. Max nadal w mokrym ubraniu stał nad kubkami z herbatą, do jednego z nich dolewając koniak. Ruchem głowy zapytał, czy też chce. Odmówiła. Spojrzał przelotnie

i obojętnym tonem skomentował, że nieźle wygląda. No, może poza tym, że siostra jest jednak wyższa, co widać po spodniach.

Parząc sobie język i przętyk, szybko wypila zawartość kubka.

– To moje najcenniejsze kufle do piwa – spróbował neutralnie.

– No jasne, a już myślałam, że jesteś fanem herbaty.

– Chyba nie masz mi za złe? Piję, co chcę.

Skinęła głową z udawaną powagą i wycofała się do łazienki sprawdzić suszarkę. Jej rzeczy były dalej półwilgotne. Zauważył przez uchylone drzwi zniecierpliwiony gest, jakim zatrzasnęła klapę.

– Idź w tym, jeśli tak ci się spieszy. Oddasz później.

Drgnęła zaskoczona, a potem szybkim ruchem wyjęła swoje rzeczy i wrzuciła do plastikowej torby.

– Dzięki za wszystko, muszę już lecieć.

Zirytowany pomyślał, że zachowuje się jak nastolatka, która nagle wystraszyła się swojej pierwszej randki. Gdy wyszła, próbował się przekonać, że odczuwa ulgę. I prawie by mu się udało, gdyby nie maleńka zadra wrażenia, że coś przegapił i że gdyby mógł, przewinałby przebieg tego wieczoru jak taśmę filmową. Zmieniając jednak zakończenie. Zadzwoiła następnego dnia, ostrożnie pytając o możliwość zwrotu ubrań.

– *Donnerwetter*¹⁸, nie uwierzysz, rozłożyło mnie. Mam trzydzieści dziewięć, w stawy ktoś wkręca mi śruby, a w głowie słyszę cały swój warsztat. Z wiertarką na czele.

Usłyszał, jak napięcie z jej głosu znika, ustępując miejsca rozbawieniu:

– Przynajmniej masz lepszy humor.

– Daj spokój, szkoda życia i energii.

– Przywiozę wszystko.

– Nie trzeba, mówiłem, że siostra rzadko wpada. Nie musisz się spieszyć.

– Miałam na myśli jedzenie, lekarstwa i coś wzmacniającego na te trzydzieści dziewięć kresek.

– Chcesz je wzmocnić?

Parsknęła śmiechem, on też nie wytrzymał, zamilkł chwilę później wobec ataku kaszlu.

– Dobra, dobra, przejdźmy na polski, zobaczymy, jak sobie dasz radę.

– Ok, nic nie mówię. Ale serio, jeszcze coś złapiesz...

– Chyba skrajny sarkazm, jest dość zaraźliwy – powiedziała tym razem bezbłędnie. – Zresztą to na pewno tylko przeziębienie. Koniak nie pomógł, stałeś w mokrych ciuchach i z mokrą głową. Do tego bosko na zimnych płytkach.

– Wiesz, że jest u nas takie określenie: polska mama...

– Jeszcze słowo, a nie dostaniesz jeść. Będę wieczorem – rzuciła.

Zjawiała się parę godzin później. Z szerokim obiadowym termosem, buteleczką pełną ciemnego płynu i dwiema fiołkami. Z niedowierzaniem obserwował, jak odmierza wyciąg z ziół, potem na dłoń wysypała kilka granulek leków homeopatycznych. Nie wierzył w nie, ale nie skomentował. Specjalny – jak go określiła – rosół połknął na raz, czując chwilę później falę gorąca rozchodzącą się w żyłach i pot uciekający przez wszystkie pory.

– Boże, czego tam dosypałaś? Na pewno jest prostszy sposób, by mnie zabić.

– Proste nie są tak widowiskowe – odpowiedziała, zajęta sprzątaniami wczorajszych talerzy. Jej głos nabrał zaśpiewu kogoś, kto jednocześnie w myślach powtarza jakąś znaną sobie melodię.

– Zostaw, mogę zamówić kogoś...

– Wiem. – Wzruszyła ramionami. – To później. Ale teraz musi być porządek i – sięgnęła do przepastnej torby i wyciągnęła z niej szklaną, ciemną buteleczkę zakończoną atomizerem – i atmosfera – dokończyła.

Okręcając się wokół własnej osi, rozpyliła w pokoju obłoki jakiegoś płynu.

– Nalewka bursztynowa, będzie ci łatwiej oddychać i spać.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Zamknął oczy, miał wrażenie, że odparowuje wysoko pod sufit mieszkania, a Selina jest surrealistyczną, zwiewną wróżką, sypiącą z dłoni brokatem dobrych czarów.

Obudził się w nocy, czując jej dłoń na czole. Krótki moment, w którym ledwo majaczący zarys jej sylwetki przypomniawszy mu przez sekundę dotyk matki. Miał chyba dziesięć lat, anginę i lewitował w gorączce. Był pewien, że umiera, a Ilse jawiła mu się wtedy na kształt anioła. Zasnął znowu, tym razem mocno, jakby ktoś po prostu wyłączył jego mózg i ciało. Rano stwierdził, że jest słaby i wysycha z pragnienia, ale po temperaturze nie było śladu. Wszedł do salonu i omal nie dostał zawału. Przyjął za oczywiste, że wróciła do domu, tymczasem leżała na kanapie pod dwoma wielkimi ręcznikami kąpielowymi, skulona w pozycji płodu. Domyślił się, że nie znalazła nic innego, może nie chciała go budzić przeszukiwaniem szaf. W duchu dziękował sobie, że został w podkoszulce i bokserkach, na ogół spał nago.

Otworzyła oczy prawie jednocześnie z jego wejściem.

– O Boże, przepraszam. – Zmieszana odgarniała włosy z twarzy, jednocześnie szukając komórki.

– Nie gniewam się...

– A niech to, miałam być w domu, obiecałam Zoe pomoc przy egzaminie.

– Zamówię ci taksówkę – powiedział, myśląc o tym, że koniecznie musi wziąć prysznic.

Jakby zgadując jego myśli, szybko znalazła się w drzwiach, oszczędzając mu dalszych obserwacji własnego stanu.

– Wpadnę jutro wieczorem, po drodze z pracowni. Sprawdzę, jak postępy w leczeniu i przywiozę ciuchy siostry.

Zgodnie z zapowiedzią po ósmej usłyszał dzwonek. Wbiegła zdyszana, na stole wylądowały wyprane i wyprasowane rzeczy Marion, obok postawiła nową

butelkę z jakąś miksturą i kartkę.

– Co to za hieroglify?

– Instrukcja zażywania.

– Już uciekasz?

Zatrzymała się w pół kroku.

– Mam zostać?

– Pewnie, sąsiedzi są przyzwyczajeni do widoku młodych kobiet wymykających się stąd chyłkiem nad ranem.

Wykonał obronny ruch, widząc jej minę. Nie wiedział dlaczego, ale prowokowała go do takich tekstów. Kiedyś niby z humorem uprzedzał w ten sposób, jaki jest. Ale teraz? Teraz chyba zależało mu na jej reakcji. Na sprzecznie...

– Rany, żartowałem. Nie bój się, pamiętam, dostałem kosza...

– Nie nazwałabym tego tak.

Zaskoczył go powrót rozdrażnienia, chciał wiedzieć dokładnie.

– A jak?

– Po prostu nie wiem, co myśleć o tobie.

– A może zapytasz samą siebie? – bezwiednie podniósł głos.

– Co ci się stało?

– Nic. Mam wrażenie, że nie potrafisz komunikować co naprawdę czujesz.

Ze zdziwieniem zauważył powstrzymywane łzy.

– Nie krzycz, zapominam, co chcę powiedzieć, nie wspominając o niemieckim.

Stał zdezorientowany własnym wybuchem i jej reakcją.

– Przepraszam.

Wzięła głęboki oddech, jak przed skokiem do basenu.

– Nienawidzę wymawiania się dzieciństwem, to takie... łatwe. Moja matka

często krzyczała. Pamiętam, że już wtedy tak miałam. Zaczynałam się. Ale... pewnie masz rację.

– To mamy jakieś podobieństwa w rodzinach. U mnie krzyczał ojciec, tylko że na tym się nie kończyło.

– Cholera, naprawdę?

Rozśmieszyło go to słowo w jej ustach i w tym kontekście. Ciągłe wywoływała w nim skrajne uczucia, od zniecierpliwienia po czułość.

– I...? – zaryzykowała.

– Przestał mnie bić, bo urosłem za szybko. Zresztą alkohol odebrał mu siłę i szybkość. Potem wyprowadziłem się... Zanim zdążyłem mu oddać.

Podeszła teraz całkiem blisko.

– A twoja siostra?

– Jej nie zdążył dotknąć, urodziła się dużo później.

– Boże... Biedny byłeś – z wrażenia nie znalazła innego słowa. Pomyślał, że u kogoś innego zabrzmiałoby to idiotycznie, ale w jej oczach dostrzegł prawdziwe współczucie.

Poczuł jej dłoń na policzku, poniżej kości policzkowej. Cofnęła ją natychmiast, jakby uzmysławiając sobie, że nie jest małym dzieckiem. Złapał ją za nadgarstek i przytrzymał. Przełożył jej dłoń na drugą stronę twarzy, a niepewnie wiszącą wzdłuż ciała rękę przycisnął do swojego brzucha. Pozwoliła, ale wyczuł wahanie. Normalnie nie odpuściłby tak szybko, ale z nią nic nie było normalnie, poza tym ciągle jeszcze kręciło mu się w głowie, a ciało miał osłabione gorączką. Pocałował wewnątrz jej dłoni.

– Dzięki za wszystko.

Zapadła między nimi pełna napięcia cisza, Selina nie podnosiła wzroku, patrząc na miejsce, którego dotknął ustami. Ugiął kolana, by zajrzeć jej w oczy.

– Hej, postaram się chorować jak najczęściej.

Uśmiechnęła się, jak miał wrażenie, z wdzięcznością. Odbili w kierunku humoru i dobrze udawanej lekkości, która na chwilę uniosła ich ponad naelektryzowaną przestrzeń między ich ciałami.

– Nie trzeba, wpadnę, nawet jeśli będziesz absolutnie zdrowy.

– Obiecujesz?

– Tak.

Nie puścił jej dłoni, po żartach i humorze nie było śladu.

– Wzięłem to poważnie. To nie wykręt?

– Poważnie.

– Ok. Kiedy?

– Za dwa tygodnie, teraz wyjeżdżam. Praktyki...

Dotrzymała słowa.

Zrobił popisowy stek z truskawkami i zielonym pieprzem i wielką miskę sałaty z uwielbianej rukoli, pomidorów i fety. Na stole znalazło się wino od Jensa. Opowiedział jej o miejscu, w którym się urodził i za którym tęskni. O Nadrenii, szkole, smakach z dzieciństwa.

– Pumpnikiel, hmm... Ciągle go czuję – mówił, jednocześnie dziwiąc się, że nadal tak jest.

– Chyba raz jadłam, jako dziecko, w Polsce. Był w takich małych, prostokątnych paczuszkach owiniętych przezroczystą folią. Nie smakował mi.

– Serio? Niesamowite! No wiesz, gdy pomyślę, że gdzieś za daleką wschodnią granicą mała Selina jadła mój czarny chleb...

Śmiali się przez chwilę zjednoczeni wspólną wizją.

– Ale tego pewnie nie wiesz, jest taki kościół, w małej dziurze Soest... Dla nas to już Prusy, bo za Dortmundem. Mają tam obraz *Ostatnia wieczerza*. Zgadnij, co Jezus podaje apostołom.

Jasne włosy zafalowały, gdy pokręciła głową przecząco: nie, nie ma pojęcia.

– Piwo i pumpernikiel z szynką.

– Naprawdę? Muszę tam pojechać.

Przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

– Chyba ci brakuje twojej małej ojczyzny?

– Wcale nie jest taka mała, wypraszam sobie.

Przyglądał się jej oczom, jednocześnie zastanawiając się nad jej pytaniem.

– Nie myślałem, że to widać. Brakuje, nawet bardzo.

Jak zawsze był zaskoczony, gdy ktoś odczytywał jego głęboko skryte uczucia. Żył w przeświadczeniu, że są niewidoczne dla innych. Selina przechyliła głowę, przygryzając jednocześnie prawy kącik ust – gest, który później pokochał. Opowiedziała mu krótko, że dla niej ojczyzna rozciągała się na cały kraj i bardziej tęskni za Warszawą, w której studiowała, niż za miejscem pochodzenia. Nie chciała wytłumaczyć dlaczego, wracając szybko do jego osoby.

– A czego dokładnie, jeśli mogę spytać, brakuje ci najbardziej?

– Języka, ludzi, wiesz, oni tam są inni. Przyjaciół i... bliskości granicy. Przepraszam, nie obraż się, zachodniej granicy.

– Za co mam się obrażać? Pewnie z połowa mojego kraju chciała w pewnym momencie znaleźć się za jakąkolwiek zachodnią granicą. – Strzeliła palcami. – A te Prusy to serio?

– Jasne. Absolutnie serio. My średnio poczuwamy się do Niemiec. Bliżej nam do Holandii, Francji, czegokolwiek, byle na zachód. W ostateczności może być Watykan.

– Jesteś wierzący?

– Tak mam wpisane w deklaracji podatkowej, *romisch-katholisch*. Ale czy ja wiem? Chyba tak. Ciebie chyba nie muszę pytać?

– Zdziwisz się – powiedziała ostrożnie. – W mojej nie ma takiego wpisu.

– Tu mnie zaskoczyłaś, czyli statystyki kłamia.

– Statystyki nie, ale nie jestem średnią statystyczną. Zresztą ty też nie.

Zamilkł, usiłując z powrotem ułożyć rozsypane puzzle z napisem „Selina”.

Wstała, by pomóc zebrać talerze, ale powstrzymał ją gestem dłoni.

– Siadaj, jesteś gościem.

– To co mam robić?

– Opowiedz, jak trafiłaś w świat pigmentów.

– Nieodwzajemniona miłość do książek. – Niepewnie, jakby nieprzekonana, że może, usiadła na starym, drewnianym krześle, opowiadając mu, że przypomina jej meble stojące w babcinej kuchni. Thonet, te same wypukłe litery wytłoczone na zaokrąglonym oparciu. Obiecał jej wtedy wizytę u babci, z którą najwyraźniej mieli tyle wspólnego. Spłukiwał talerze i szybko układał je w wąskiej zmywarce, schowanej w zabudowie starych frontów kuchennych.

– Nieodwzajemniona? – wrócił do tematu.

– Wiesz, chciałam pisać, ale to był przerost ambicji nad możliwościami. Poza tym, u nas naprawdę jest co... – zatrzymała się – no wiesz, jest co ratować.

– Między innymi dzięki nam?

– Można tak na to spojrzeć. W Warszawie prawie nic nie zostało, ale już na przykład w Krakowie spokojnie... Do emerytury.

– Co było z Warszawą? Przepraszam za ignorancję historyczną, wiem, że była zburzona, ale znam niewiele szczegółów.

Opowiedziała mu o systematycznym podpalaniu miasta, o tym, że w Bibliotece Krasieńskich niemieccy żołnierze musieli otwierać książki, żeby złapały ogień. Nie chciały się palić. Podobnie było w Bibliotece Załuskich. O tym, że Żydzi w getcie musieli oddać praktycznie całe słowo pisane. Wszystkie swoje zbiory. Mówiła coraz wolniej, w końcu przerwała.

– Przepraszam, idiotycznie się czuję, opowiadając te wojenne historie.

– Dlaczego ty miałabyś się źle czuć? Mów dalej.

To było kolejne nowe uczucie. Coś, o czym rzadko na co dzień myślał. Historia wpychająca go w szufladę z napisem „Niemcy”. Tamci Niemcy, o których w jego pokoleniu mało kto myślał. Nieoczekiwanie znalazł się w szeregu, w którym nigdy nie stał. Bo przecież zawsze był najpierw Maxem, potem Nadreńczykiem i gdzieś na samym końcu wyskakiwała przynależność państwowa, o której przypominały mu mapa pogody w wiadomościach, paszport i język, w którym z nią rozmawiał. O ironio, właśnie z nią, bo u siebie tak nie mówił, a w Monachium z przyjemnością używał swojego dialektu, denerwując nim miejscowych.

– Wolałabym o pigmentach, może być?

Skinął głową, że tak, oczywiście. Słuchał zafascynowany innością świata, w którym przebywała. On z mozołem wydobywał piękno z drewna, przy okazji niszcząc jego ciało. Ona usiłowała zatrzymać kolory i kształty dotknięciem na tyle delikatnym, by nie zniszczyć materii, na której istniały.

Podszedł do niej zahipnotyzowany opowieścią i światłem, które wokół niej widział. Zamilkła, czując, że już nie słucha. Jakby tylko na to czekając, zamknął się wokół nich gęsty kokon ciszy. Max pocałował ją powoli w czoło, przy nasadzie włosów. Tym razem nie odsunęła się, nie spuściła wzroku. Odgarnął prawie białe kosmyki, a ona – jak nasłuchujący ptak – pochyliła w bok głowę, odsłaniając zagłębienie między mostkiem a długą szyją. Zapach jej skóry przywodził mu na myśl wakacje nad morzem, coś prawie zapomnianego. Słono-słodka nuta zmęczonego długimi, letnimi dniami dzieciństwa, z domieszką jakiegoś kwiatu. Zaprowadził ją do sypialni i rozebrał, starając się nie spieszyć. Wydała mu się potwornie bezbronna i jednocześnie, w prawie perwersyjny sposób, podniecająca. Błyskawicznie zdjął własne ubranie, a potem ostrożnie pociągnął ją za sobą. Pełne piersi, niezwykle szczupłe kostki u nóg, fosforyzująco biała skóra z prześwitującymi niebiesko żyłkami. Całował ją coraz szybciej, nie nadążając z dotykiem. Chciał być wszędzie naraz, dotykać ze wszystkich stron,

w każdy możliwy sposób. Podniósł wzrok i zobaczył, jak oczy Seliny zaczynają żyć własnym życiem. Przesuwał się po jej ciele, z zafascynowaniem obserwując szarość tęczy przetapiającą się w coś płynnego, migotaniem odpowiadającego na jego dotyk. Jej ciało wchodziło z nim w rezonans przyspieszający jego oddech. Jaśniała radosnym podnieceniem, nieskalanym – przebiegło mu przez myśl. Czymś, czego nie widział na rozkładówkach męskich gazet ani w filmach. Wszedł w nią chciwie, balansując między rosnącym napięciem a instynktownie wyczuwaną potrzebą delikatności. Poruszał się coraz szybciej, cały czas czując na sobie szare spojrzenie. Nie zamknęła oczu, żeby skupić się na własnej przyjemności, jak robiła to Annabel. Czuł, że jest z nim i dla niego. Spojrzał w jej twarz dokładnie w momencie, gdy jednolicie gładka powłoka rozlanej rtęci jej oczu rozprysła się na milion mikroskopijnych kuleczek. Usłyszał jęk i przeraził się, nie poznając własnego głosu.

Przyciągnęła jego głowę, poczuł słoną wilgoć.

– Co się stało, zrobiłem coś nie tak?

Zaprzeczyła ruchem głowy, a potem uśmiechnęła się przez łzy, że aż ścisnęło go w środku.

– Fuck! – rzucił na głos w pustym o tej porze wejściu do parku.

Świat tonął w ciemności. Siedział na ławce zupełnie sam, czując pełną chłód gęstwiny zieleni. Ok, nie zadzwoniła, nie próbowała się z nim skontaktować. Zinterpretował to w jedyny możliwy dla niego sposób. Od jazdy z lotniska do teraz wyrósł między nimi mur, zbudowany ze słów, które padły, i tych, które powiedział tylko sobie. Ale przecież musiała je słyszeć, musiała wiedzieć.

Zawrócił w kierunku domu i poddał się wewnętrznemu. Mimo wspomnień o ojcu, mimo twardego postanowienia, że on się tak nie da.

Wszedł na drugie piętro i starannie zamknął drzwi. To była ostatnia

czynność, jaką wykonał cicho i spokojnie. Potem przez całą długość apartamentu poszybowała leżąca w przedpokoju rakietą tenisową, uderzając w niewidoczne przeszklenie między kuchnią a salonem. Szkło, jak przystało na hartowaną materię, zawisło w siateczce niezliczonych pęknięć, nagłą mglistością zasłaniając widok szafek. Tam, gdzie ostatnio razem z Seliną kroił włoskie pomidory i świeżą bazylię, gdzie gotowali makaron i gdzie nie skończyli przygotowywania spaghetti. Nawet nie dotarli do sypialni...

Ból trafił go pod mostkiem. Z nim Selina zgadzała się na to, czego nie robiła z nikim innym. Nie musiał pytać, wiedział to, widząc w jej oczach zaskoczenie, wahanie, a potem to, co go doprowadzało do gorączki. Przełamywanie w niej wstydu i – jak to sam nazywał – „katolickiej przyzwoitości”. Ciągnął ją do łóżka i kochał się z nią tak, jakby dawno się nie widzieli. Potem trzymał w ramionach, pilnując jej myśli. Bo czuł, że Selina czasem się go boi.

Los szyby podzieliła mniej odporna na ciosy lampa, kobaltowy stolik. W końcu spragniony mocniejszych wrażeń Max zaatakował z furią dotąd ocalałą kuchnię. Łomot wyrzucanych garnków i tłukących się talerzy zmroził całe piętro. Podłoga kuchni usiana była szkłem i porcelaną obróconą w biały pył. Jak po alianckich nalotach, o których opowiadała mu ciotka.

Stał cieknącą po nadgarstku strużkę krwi, nawet nie zauważył, kiedy i czym się skaleczył. Wziął głęboki oddech i już na spokojnie podszedł do barku. Odrzucił ze wstrętem słabe trunki, ręka sama natrafiła na ciemnozieloną butelkę absyntu, prezent od kumpla z Pragi. Poza piwem i winem miał tylko to. Jego rozsądek gdzieś znikł zastraszonego niedawnym atakiem. Nie podpowiedział rozcieńczenia.

Rozwścieczony brakiem natychmiastowej reakcji organizmu, Max nalewał szklankę za szklanką, paskudnie, potwornie trzeźwy. Z tyłu głowy rosła mu ołowiana kula, oddech się rwał, a coś galaretowatego i słonego rosło w piersiach. Ból wchodził w skronie i okolice splotu słonecznego. Tak jak wtedy, gdy musiał

oddać niepoczytalną matkę do zakładu. Tak jak wtedy, gdy oszedł ojciec. Nie, teraz było gorzej. Pomyślał w ułamku sekundy, że powinien był dać jej dojść do słowa, dać czas. Ale Max nigdy nie opanował zdolności, którą posiadała większość ludzi: robienia czegoś z namysłem i powoli. Nawet alkohol pił teraz według wyznawanej przez siebie filozofii życiowej. Zalać się na maksa – zdążył jeszcze pogratulować sobie słowotwórczego talentu, gdy nagle absynt zaskoczył. Na podniebieniu poczuł eksplozję piołunu, anyżu i czegoś jeszcze, czego nie zdążył już nazwać. Obraz z etykiety butelki tracił kontury, usłyszał jeszcze echo słów w łaźni, że secesję będzie odtąd kojarzyć z nim. Że to jej ulubiony styl. Przed jego oczami wirowały obrazy, które znieruchomiały, zlewając się w mgłę o barwie mrożonego groszku. Zachwycony zaśmiał się na głos i zdołał złożyć ostatnie logiczne zdanie:

– Alkohol, sanitariusz w potrzebie, jak w piosence¹⁹.

Potem opuściły go słowa i zapadł się w mgłę, która uparcie tworzyła secesyjne wzory, zupełnie jak na rozmywającej mu się w oczach etykiecie. Początkowy odcień mgły zaczął nabierać smug butelkowej zieleni, zgniłej trawy, srebrzystej i miękkiej w dotyku szaławii. Zielona chmura powoli opadała na dół, przeistaczając się w łąkę, na której powstała wizja nocnego pikniku.

Ażurowe stoliki ze szmaragdowymi blatami podtrzymywały wydłużone zielone butelki. Smukłe kobiety w sukniach do ziemi i z podkreśloną talią obracały w delikatnych palcach kieliszki i swoje dalekie myśli, pozornie słuchając słów szeptanych im do ucha przez towarzyszących mężczyzn. Żółte oczy kotów uczestniczących w nocnej zabawie unosiły się w powietrze, by na tle granatowego nieba okazać się żółtymi kręgami światła staromodnych latarni gazowych. Te z kolei płynęły dalej, powoli stapiając się z gwiazdami. Chlorofilowa zieleń, hibiskusowa czerwień, kobaltowy błękit – suknie kobiet nie były już sukniami, tylko kolorami o intensywności niewystępującej w przyrodzie. Max osunął się powoli z fotela, znieczulenie działało. Czuł się

lekki, pozbawiony bólu i zielony.

Prawa ciężenia przestały obowiązywać, stoliki, latarnie, koty – nawet światło – delikatnie tańczyły w takt cichutko grającej na krańcach jego mózgu muzyki. Potem koty odwróciły się, zmrużyły oczy i zasnęły. Gasły kule światła żarzących się latarni, rozplýwały się zwiewne kobiety i towarzyszący im mężczyźni. Kolory traciły na intensywności pochłaniane przez sączącą się zieleń, a z niej wyłoniła się rusalka w kolorze oksydowanej miedzi. Jak z obrazów Muchy.

Powoli i zmysłowo zaciągnęła się z długiej szklanej fifki, a potem – na wzór Absoloma z disneyowskiej *Alicji w Krainie Czarów* – wydmuchała zwiewne, dryfujące w oceanie zieleni litery: Max, Maaax?

Rusalka miała twarz Seliny, nadal trzymała w dłoni długiego papierosa, a jej oczy były nieskończenie szare i smutne. Wszystko wokół zamarło, jej włosy przestały się rozwiewać, zastygł dym z trzymanego papierosa, ustało łagodne kołysanie mgły. Tylko jej łzy płynęły jednostajnie i niepowstrzymanie. Próbował rzucić w nią butelką absyntu, ale nie dał rady, przewrócił majaczący kształt, a resztkę alkoholu wsiąkła w mięsisty dywan. Nie miał nawet siły podnieść głowy, zwiesił ją między kolanami i objął ciasno rękoma. Zdał sobie sprawę, że płacze razem z nią.

Kolejnego dnia przejrzał na oczy i nie rozbił już niczego więcej tylko dlatego, że każdy dźwięk wywoływał bolesne echo w jego głowie. Po ósmej wieczorem zjadł śniadanie złożone z sucharów, dopiero wtedy był w stanie pozbierać się na tyle, by woda nie wywoływała w nim odruchów wymiotnych. Spakował rzeczy Seliny i wysłał taksówką na jej adres, wskazując Zoe jako adresatkę. Blisko północy metodycznie powyłączał wszystkie kanały kontaktu. Komórki – służbową i prywatną, telefon domowy, posunął się nawet do odłączenia dzwonka przy drzwiach wejściowych. Przewyciężając największego w życiu kaca, zalogował się na chwilę na swoje konto i wysłał do klientów i najbliższych przyjaciół wiadomość o zmianie. Potem zlikwidował dotychczasowy adres.

Jedyną rzeczą, której nie udało mu się wyłączyć, była ciągle powracająca piosenka Herberta Grönemeyera *Samoloty w brzuchu*.

Dałby wszystko, żeby ten cholerny tekst przestał grać w jego głowie. Sam siebie złożyłby w ofierze, żeby tylko w końcu zapadła w niej cisza.

fühl mich leer und verbraucht alles tut weh	Czuję się pusty i wykorzystany, wszystko mnie boli,
hab flugzeuge in meinem bauch	a w brzuchu mam samoloty.
kann nichts mehr essen	Nie mogę nic jeść,
kann dich nicht vergessen	nie mogę o tobie zapomnieć,
aber auch das gelingt mir noch	ale i to mi się w końcu uda.
gib mir mein herz zurück	Zwróć mi moje serce.
du brauchst meine liebe nicht	Ty nie potrzebujesz mojej miłości.
gib mir mein herz zurück	Zwróć mi moje serce,
bevor es auseinanderbricht	zanim pęknie.
je eher, je eher du gehs	Im szybciej, im szybciej odejdziesz, tym łatwiej mi będzie... 20

Zacisnął zęby, nie mógł się znów upić, żołądek nie przyjmował w zasadzie niczego. Dopiero kolejna noc przyniosła ukojenie. Ciemność w połączeniu z absolutną ciszą, brak telefonów i maili zwolniły go z czuwania. Zasnął kamiennie, mocno, bez snów. Dwa kolejne dni spędził w mieszkaniu o wodzie i sucharach, a następnego postanowił zająć się pracą. Zlecenie na intarsję, których na ogół unikał ze względu na czasochłonność i zbyt małe, według własnej oceny, doświadczenie, powinno zaangażować go na sto procent.

Portret córki w drewnie, na osiemnaste urodziny. Drobnostka, samo zdobycie drewna zajęło mu kilka tygodni. Zanim zabrał się za obraz, robił jego projekt, patrząc na przesłane zdjęcie. Całość przeniósł na kalkę techniczną, a następnie na kawałek forniru służący za tło. Specjalnym nożem wyciął z niego wszystkie elementy, które miały być wypełnione innymi gatunkami drewna. W lustrzanym odbiciu obrazu, który miał powstać. W puste miejsca tablicy mozolnie wklejał kawałeczki odpowiednich oklein, zgodnie z kolorystycznym projektem z własnej

głowy. Potrzebował ich naprawdę dużo. Włosy wyciął z czarnego hebanowego drewna, jasną sukienkę z brzozy, chustka spływająca z szyi była tak naprawdę fragmentem limby. Na pozostałe części ubrania złożyły się orzech kaukaski i orzech afrykański. Skórzana torba przewieszona przez ramię była luksusem – zdobyty na aukcji kawałek drewna o niesamowitej fakturze, imbuła, afrykańskie drzewo praktycznie niedostępne w sklepach. Cieniuteńkie gałązki krzaka z rodzinnego ogrodu powstały dzięki jabłoni indyjskiej podpalonej w gorącym piasku. To dodało roślinie głębi. Gdy wypełnił całość, podkleił ją specjalnym papierem i za pomocą prasy hydraulicznej, w temperaturze stu dziesięciu stopni Celsjusza przykleił na drewnianą, nieco grubszą płytę. Totalne skupienie, noże, skalpele, cieniutkie paseczki drewna, absolutna precyzja przy nadawaniu odpowiedniego wyrazu rysom twarzy. Mózg zajęty mechaniczną pracą, precyzją, doborem kolorów i cieni. Przez dwa tygodnie po czternaście godzin w warsztacie, sześć godzin snu. Również tam. Działo. Czuł się jak dobrze naoliwiona maszyna, pracująca na wysokich obrotach. Znieczulenie, brak myśli, zero wspomnień. Prawie wpadł w euforię zaskoczony, że tak łatwo się pozbierał.

A potem zrobił błąd. Pierwszy raz w życiu na tym etapie, niemal pod koniec, przy szlifowaniu. Cała wielotygodniowa praca była do wyrzucenia. Może niekoniecznie na śmietnik, ale nie nadawała się do pokazania takiemu klientowi i nie za taką cenę.

To jedno potknięcie, bez przyczyny i na finiszu, pociągnęło następne. Coś pchało go do pokazania środkowego palca rozumowi i własnym zasadom. Telefon do Annabel pod byle jakim, naprędce wymyślonym pretekstem. Wylądowali w łóżku, a nazajutrz rano, zupełnie jak w dowcipie, prawie dostał ataku paniki, zastanawiając się, kim jest kobieta leżąca obok i co ich łączy. Nie zadzwonił więcej. Znali się na wylot, domyśliła się dlaczego, a on wiedział, jak bardzo ją zranił.

A potem już nie mógł przestać spadać. Pił codziennie, nie na tyle, by przestać

funkcjonować, ale bez picia nie dawał rady dotrwać do nocy. Wyrzucił płytę The Cure i Grönemeyera tylko po to, by nazajutrz rano drżącymi rękami przeszukać śmietnik. Już ich nie było. Oprzytomniał któregoś ranka, widząc w lustrze poszarzałe spojrzenie w obwódce zaczerwienionych powiek. Tak puste, że prawie wciągnęło go w lustro. Schował wstyd do kieszeni i zadzwonił do Jensa. Kilka godzin później rozmawiał z Martinem, jego bratem.

Przez chwilę wspominali wspólne imprezy. Kiedyś, jeszcze tam, w Nadrenii. Szalone jazdy do Venlo w Holandii, potem do Amsterdamu. Oczywiście po haszysz i żeby uciec od siebie i swojego kraju. Bo mieli taką fazę.

– Przyjeżdżaj, potrzebuję pomocy, chcę zrobić sklep z winem dla turystów. Potem rozejrzysz się za czymś własnym.

Martin również wylądował w interesie winnym, tyle że z dala od brata. Znalazł swoje miejsce wśród emigrantów z Włoch, Niemiec, Francji i RPA, miał małą, dobrze prosperującą winnicę w Kalifornii. Niezły punkt zaczepienia. Max podejmował decyzję przez kilka tygodni, a potem nieomal w ciągu godziny zawiadomił klientów o przeniesieniu pracowni, jednocześnie wyznaczając termin oddania rozpoczętych prac. Firma, którą wynajął, błyskawicznie spakowała cały sprzęt stolarski: lutownice, dłuta, kątowniki, pilarki, szlifierki. Wiertarki oddał znajomemu, po raz pierwszy ze złością pomyślał o różnicy w napięciu. Kiedyś była to dla niego prawie atrakcja turystyczna, jak inny język albo flaga państwowa. Zostawił gwoździe, ale wziął ulubione młotki i piły. Oddzielnie, z namaszczeniem ułożył werniksy, lakiery, bejce i woski. Zabrał także kilka sztuk najcenniejszych zrobionych przez siebie mebli. Tych, których nie sprzedał i które dzięki jego renomie oraz odmowie wystawienia na rynek już teraz wyceniane były wysoko.

Apartament przy Giselastraße postanowił wynająć, miał na tyle rozsądku, by się go nie pozbywać. Ostatecznie jedyna i – jak się okazało – bardzo dochodowa rzecz, którą odziedziczył po ojcu. W zasadzie zamiast niego, przecież ojciec

jeszcze żył. W miejscu, do którego Max kiedyś zamierzał wrócić. Na „jego” pograniczu, w Nadrenii, rzut kamieniem od Holandii. Max przed laty zaprzestał ostatnich prób kontaktu, wszystkie zostały odrzucone. Do pewnego czasu miał nadzieję na jakiś gest ze strony ojca, na zwykłe ludzkie „przepraszam”, na sygnał, że był dla ojca ważny. Nie doczekał się. Rheinhardt żył tak, jakby miał głęboko wdrukowane pragnienie śmierci. Tak nazywał to Jens, który jako jeden z niewielu kumpli Maxa dostąpił wątpliwego zaszczytu zetknięcia się z nim.

– Stary, po ojcu to masz chyba tylko wzrost i wpływ na kobiety. Poza tym nie rozumiem... – Jens potrząsał w zdumieniu głową, usiłując wychwycić wspólne im cechy.

– Tyle mi wystarczy, niczego więcej nie warto po nim brać – Max nie chciał ciągnąć dyskusji, jakby bojąc się, czy bystry umysł Jensa nie dostrzeże jednak innych podobieństw. Jakiejś genetycznie uwarunkowanej cechy, której nie udało mu się w porę dostrzec i wykorzenić.

– Nigdy nie słyszałem gościa, który mówiłby tak czarująco i ozdobnie. Nie masz pojęcia, jak ze mną rozmawiał o winach, on jest cholernie inteligentny, Max.

– Jest inteligentny, bardzo. I jednocześnie bezdennie głupi. To naprawdę się zdarza. I uwielbia się uzależniać. Od czego się da. Żyje tak, jakby chciał jak najszybciej zejść. Nie wiem, dlaczego. Kiedyś próbowałem to rozwikłać, teraz już nie.

Zamilkł, nagle zdając sobie sprawę, że to różniło ich najbardziej. On już jako dziecko był zachłanny na życie. Z opowieści wszystkich członków rodziny wyłaniał się obraz Maxa łobuza. Jednego z tych dzieci, przez które matki wcześniej siwieją. Zawsze w ruchu, zawsze ciekawego tego, co jest za kolejną ulicą czy płotem. Gotowego skoczyć z każdego dachu, wspiąć się na każde drzewo, przepłynąć jezioro... Pozbawionego strachu, wyobraźni. Zawsze głodnego świata i adrenaliny. Od zawsze w ofensywie. Za to ojciec cofał się

w siebie samego. Z wiekiem coraz bardziej. Jego czarujący i elokwentny – a w przypadku kobiet – uwodzicielski sposób bycia był tylko kamuflażem. Tak naprawdę czarował tylko siebie. Chorobliwie zazdrosny o żonę, której obecność była wyznacznikiem jego powodzenia, sygnałem dla świata, że udało mu się. Bo Ilse była piękna, inteligentna i przykuwała uwagę wszystkich, zarówno mężczyzn jak i kobiet. Właśnie tak miało zostać, mogła przykuwać, intrygować, ale należeć tylko do niego. Była potwierdzeniem jego sukcesu, siłą tym większą, im bardziej widziała tylko jego. Max na zawsze zapamiętał zamknięte drzwi do sypialni rodziców i przepastne, puste noce, z wąłym światłem małej lampki i mokrym futerkiem wielkiego pluszowego królika pod policzkiem.

Syn był zaskoczeniem i ustępstwem, na które Reinhardt niechętnie się zgodził. Wyłom w uwadze Ilse niepodzielnie skupionej na nim. Mały wyjątek, który – jak wiele innych – stawał się regułą. Rosnąca siła i niespożyta energia Maxa pozbawiły ojca palmy pierwszeństwa w domu. Tak przynajmniej widział to Reinhardt, nie pamiętając pełnych strachu oczu Ilse i syna, kiedy wracał do domu. I może właśnie ta wyrwa w pamięci, brak zrozumienia, co się działo z nimi oraz z nim samym, nakręciła rozpaczliwą desperację, z jaką usiłował nie dać się pochłaniającej go depresji. Prześladował go wyraz oczu Ilse i małego, nie taki, jak pamiętał, nie taki, jak by chciał. Poza domem – dusza towarzystwa i uwodziciel, po skończonej zabawie unicastwiał się powoli. Pijąc, paląc i – jak domyślał się Max – gdy miał za co, biorąc mocniejsze rzeczy. Ten ostatni element sprawił, że babcia przezornie zapisała wartościowe mieszkanie w centrum bawarskiej stolicy wnukowi, a nie jedynemu synowi, słusznie obawiając się, że zostanie przepite, ewentualnie zamienione na prowizję dla dilerów. Byłaby w stanie wybaczyć alkohol, ale narkotyki napawały ją śmiertelnym strachem i pewnością, że z tej drogi nie ma powrotu.

Nałogi ojca dały Maxowi trzy pokoje w starej kamienicy monachijskiej starówki. W połączeniu z artystycznie wykonaną przez niego ręczną stolarką

przełożyło się to na niezły comiesięczny wpływ na konto. Najemcy znaleźli się w ciągu dwóch tygodni, utwierdzając go w przekonaniu, że podjął właściwą decyzję. Całym sobą potrzebował zmiany, totalnej i ostatecznej.

Znał biegle angielski, wiedział, że da sobie radę w każdym kraju. Zanim pogadali z Martinem, przez jakiś czas myślał o przeniesieniu się na Wyspy: Anglia, może Irlandia? Jednak jego ekspansywna natura przeważała.

Pragnął odległości, inności i rozmachu.

17 Englische Garten – ogród angielski, wielki (4,17 km²) naturalny park, położony w samym sercu Monachium wzdłuż przecinającej miasto rzeki Izary.

18 *Donnerwetter* (niem.) – burza, ale też potoczne, nieco staromodne określenie „psiakrew”, „do kroćset”.

19 *Alkohol* – piosenka Herberta Grönemeyera.

20 Autor Herbert Grönemeyer. Utwór „Flugzeuge im Bauch” czyli „Samoloty w brzuchu”. Album „Bochum” 1984.

ROZDZIAŁ II

Dublin

Dublin przywitał Selinę jej ulubioną pogodą, rozstrzelony w drobniuteńkie kropelki deszcz przyjemnie osiadał na skórze, włosach i ustach. „Darmowe spa” – pomyślała, z błogością wciągając głęboko do płuc wilgotne powietrze i wspominając ostatnie dwa miesiące spędzone w Armenii. Suche powietrze, nieznośną temperaturę i niezwykle życzliwych ludzi, a przede wszystkim Matenadaran²¹, największe na świecie muzeum manuskryptów. Piękne i praktycznie nieznane.

Wsiadła do taksówki i podała adres najstarszej uczelni Irlandii, Trinity College. Za nic nie potrafiła wymówić jej nazwy w języku irlandzkim, ale już w drodze obiecała sobie, że się nauczy. Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć: zbieg okoliczności? Cudowny przypadek? Wśród pięciu milionów zgromadzonych tu woluminów czekał stary iluminowany rękopis, który miał być obiektem jej pracy. Podobnie jak najszlachetniejszy egzemplarz zbiorów, iluminowaną *Księgę z Kells*, „jej” manuskrypt również wysłano w 2000 roku na wystawę do Canberry. Oba powróciły z – jak to określono – „drobnymi uszkodzeniami pigmentu”. Ekspertyzy wykazały winnego – drgania silników samolotowych, nie było kogo skarżyć, więc sprawa ucichła. *Księga* już dawno odzyskała dawny blask, jej manuskrypt nie był aż tak ważny. Czekał w kolejce kilka lat, aż do teraz. Przyszło jej na myśl, że szkoły konserwacji papieru nie przewidywały kiedyś tego typu nieszczęść, w każdym razie nie w jej roczniku.

Zostawiła walizkę w apartamencie przydzielonym jej przez władze uniwersytetu i ruszyła na spotkanie z Dublinem. W jedyny możliwy dla niej

sposób poznawania jakiegokolwiek miasta: pieszo i bez mapy. Zawsze robiła tak w nowych miejscach, pozwalając miastu odkrywać się przed nią takim, jakie było. Bez obcego spojrzenia przewodników, mimowolnego wybierania atrakcyjnych czy najbardziej znanych fragmentów. Lubiła włóczyć się zarówno po historycznych, starych dzielnicach, jak i zaniedbanych, opuszczonych miejscach pozbawionych turystów. Mimo bariery języka – odczuwała swojskość, podobały jej się ludzkie wymiary i nieduże odległości. Miasto, które potrafiła objąć wyobraźnią, poczuć się prawie wewnątrz. Dublin jawił się jej na podobieństwo dalekiej, ale serdecznej rodziny, która po latach nieobecności bez słowa przyjmuje niezapowiedzianą wizytę. Pierwszego dnia chodziła w ten sposób ponad pięć godzin. Następnego wybrała się do Glasnevin zobaczyć znany cmentarz. Uwielbiała nekropolie, im starsze, tym bardziej. Z jednej strony panicznie bała się śmierci, nie mogąc pogodzić się z jej nieuniknionością i z brakiem wpływu na moment zakończenia życia. Ale właśnie na cmentarzach spływał na nią chwilowy spokój. Ukojenie dawała solidność granitowych płyt, siła wersów wyrytych na ich gładkich powierzchniach. Traktowała je jak magiczne zaklęcia powstrzymujące upływ czasu, erozję pamięci i bardzo chciała wierzyć w ich moc. Łąki doniczkowych kwiatów i wieńców okrywających nagrobki, migotanie świec, żółć chryzantem przypominających jej złote płomienie zniczy. Wszystko to, zapamiętane z jej rodzinnych nekropolii, dawało chwilową pewność, że pamięć coś ocala. Dawało nadzieję, a może tylko – myślała, czując ogarniającą jej głowę ciemną chmurę – złudzenie nadziei. Fatamorganę przejścia istniejącego w kamiennym murze odgradzającym tamten świat, do którego zbliżała się z każdym dniem. Z pewnością była to forma obsesji, niewyleczonego strachu przed czymś innym, ale nie chciała w tym grzebać. Wystarczyły jej przeżywane co jakiś czas przebudzenia. Z koszmarów wracała na jawę mokra z przerażenia, z zaciśniętym gardłem i łomoczącym sercem. Za każdym razem śniła, że umarła i że nic, absolutnie nic nie da się już

zrobić. Po sekundowej uldze przychodził kolejny zimny strach. Tak, żyje, tym razem udało się, ale nadejdzie dzień, w którym przebudzenia nie będzie. Ten strach jej nie opuszczał.

Wędrowała niespiesznie, zapominając o mieście i czekającej ją pracy. Przesuwała wzrokiem po szeregach celtyckich krzyży czując, jak zanurza się w szarości kamienia, z którego były wykonane. Jeśli potrafiła, czytała napisy na mogiłach, słysząc w głowie coraz bardziej natarczywą litanie recytowaną przy byle okazji przez jej matkę. Nanizane na jej monotony, zgorzkniały głos paciorki nieszczęść będących uniwersalnym wytłumaczeniem współczesnych problemów jej ojczyzny. Potężny sąsiad, głód, wojny, katolicyzm i alkohol... „Ach, stereotypy” – pomyślała zawstydzona. Ale, jak to określano w angielskim, *close enough*²². Wszechobecna zieleń ucieszyła jej zmysły, z rozczuleniem przyglądała się rudowłosemu chłopczykowi idącemu za rękę z matką. Rozglądał się po cmentarzu radośnie, niespieszony śmiercią i krzyżami.

Przeniosła wzrok na niebieskawą od patyny płytę nagrobka, a potem drgnęła, słysząc za sobą niemiecki. Turyści – uspokoiła siebie samą, ale stłumiony ból zaćmił niczym źle zrosnięta kość. Ból jak wspomnienie ziemistego i ciepłego zapachu makowca w czasie Wigilii. Co za paradoks rodzinny. Jej ojciec miał wdrukowaną zupełnie inną reakcję na dźwięk niemieckiego. Rozpaczliwy bieg po wiślanym wale oddzielającym zimnoszare fale rzeki od jego wioski. Wielokrotnie wykrzyczane „*Halt!*”²³. Przypadek, a raczej głód, który zmusił dziecięcą gromadę co odważniejszych chłopców do pieczenia ziemniaków w popiele ognisk. Pech chciał, że w czasie powstania szalejącego po drugiej stronie wody, o którym nie mieli pojęcia. Tak samo jak o zakazie dawania znaków samolotom zrzucającym skąpą pomoc walczącym. Dla ojca niemiecki łączył się przewodem nerwowym z tamtym obrazem, uruchamiał migawkę zwierzęcego strachu. Dla niej te same dźwięki niosły za sobą pamięć dotyku, który magnetyzował jej skórę. Jak każda para, mieli swój specjalny slang,

zrozumiały tylko dla nich. Tamte dni, kiedy leżąc wymyślali językowe neologizmy. *Maßeinheiten*²⁴, tytuł strony zawierającej nazwy miar, kontynentalnych i amerykańskich. *Streicheln*²⁵, miękkie brzmienie czegoś delikatnego, zalotnego, ciepłego jak kocia sierść i lekkiego.

Streichelneinheit – jednostka głaskania, gładzenia, pieszczoty...

– Ile? – zamyka oczy i odchyła głowę. – Ile?

Jej dłoń zakreślająca w powietrzu znak nieskończoności. On pochylający się nad jej głową.

Głos, który stawał się coraz głębszy z każdym powolnym przesunięciem palcami po jej włosach.

Nie tu, nie teraz. Nie powinna w ogóle o nim myśleć, nie zasługiwał na to. Nikt nigdy nie potraktował jej tak bezwzględnie, nie zranił tak głęboko. Usiłowała odepchnąć cichy głos... Nie, raczej przecucie, że ona też go zraniła. Dlaczego ma wrażenie, że na odległość czuje jego ból? Prawie pół roku nie dał żadnego znaku, że tak jest. Że myśli o niej, że ona nadal coś dla niego znaczy. A jednak z uporem wracał do niej obraz obejrzanego kiedyś programu na Discovery Channel. Idiotyczne – o wielorybach. Zawsze miała skłonność do dziwnych skojarzeń. Przenikliwy ton tęsknoty i bólu, jaki słyszeli ludzie w głosie nawołujących się z odległości dziesiątek kilometrów ssaków.

Max... Pierwszy raz dostrzegła go wtedy na przyjęciu w Residenz. Może przyjęcie było zbyt wielkim słowem, raczej bankiecie. Pożegnalny prezent dla wszystkich osób miesiącami przywracających temu miejscu dawny wygląd.

Parkieciarze, konserwatorzy papieru, kamienia, tapicerzy i najlepsi specjaliści od stylowych mebli. Masa ludzi, z której znała tylko kilku kolegów po fachu. Najpierw dostrzegła bardzo wysoką i bardzo nordycką postać. Sprawiał wrażenie kogoś, kto w każdy gest i słowo wkłada maksimum uwagi i energii, wywołując w ludziach niepewność i napięcie. „Żyjący zbiornik pod ciśnieniem” – pomyślała.

O mało nie powiedziała, jak bardzo jego imię pasuje do wrażenia, które na niej wywarł, zamiast tego w popłochu idiotycznie zapytała, czy Shell, jak stacja benzynowa. Okazał się mieć ludzkie cechy i zaskakujące poczucie humoru. Słuchał jej wywodów na temat niemieckiego, jego śmiech słyszała chyba cała sala. Nie zwracał uwagi na odwracające się głowy, nie rzucał spojrzeń typowych dla większości ludzi znajdujących się na dużych imprezach. Sprawdzających, kto jest i czy są widziani.

Wyszli razem mimo jej protestów, mimo że do metra było kilkaset metrów. Prawie na odchodnym nagle powiedział, że jest blisko spokrewniony z Goebbelsem, i przystanął, obserwując jej reakcję. Zastanawiała się, czy mu to ciąży. I co ona czułaby na jego miejscu. W zasadzie usiłowała się zastanawiać, bo paraliżował jej zdolność myślenia.

Początkowo nie wiedziała, co ją tak hipnotyzuje. Nienaturalny wręcz kolor oczu, który dotąd kojarzyła raczej z pięknymi kobietami i chłodem, niż z mężczyzną i energią? Potem zdała sobie sprawę, że u Maxa przyciąga ją intensywność. Spotkali się później kilkakrotnie. Zawsze miała wrażenie, że jego organizm działa w oparciu o inny metabolizm. Decyzje podejmował szybciej niż większość znanych jej ludzi, praktycznie nie używał słów: „nie wiem”, „chyba”, „jakby” czy „pomyślę”. Usłyszała je po raz pierwszy, do tego niemal w jednym zdaniu, gdy zastanawiał się, czy jest wierzący.

Nie słyszała nigdy, by cokolwiek zrobił z rozsądku, bo tak powinno być lub bo nie ma lepszego wyjścia. W jego słowniku nie istniało „na wszelki wypadek”, nie podejmował „wyważonych” decyzji. Nie przyswajał powiedzeń o pokornym cieleciu, powszechnie cytowanych mądrości, że nie zawsze ma się, co się lubi, a kompromis był słowem, które kojarzył raczej z urzędem skarbowym niż z realnym życiem. We wszystko łądował się w stu procentach i nie potrafił zrozumieć, jak można zadowalać się tylko częścią. Tą stroną Maxa była zafascynowana. Ale była też druga. Momenty, w których bała się jego szybkich

słów, gwałtownych reakcji. Czasem sprawiał wrażenie bezwzględny. Zresztą, nie tylko na niej. Pragnęła jego obecności, jego energii i jednocześnie czuła się wiecznie nieprzygotowana na kogoś takiego jak on.

Przez pierwsze tygodnie oboje poruszali się po sinusoidzie skrajnych uczuć. Wzajemnej fascynacji i jednocześnie zniecierpliwienia sobą. Miała wrażenie, że irytuje go swą niepewnością, że jest wiecznie spóźniona i niedojrzała. Niepewna siebie, jak nastolatka z płynnym, nieustabilizowanym wnętrzem. Przy nim jej niezdecydowanie i strach przed podejmowaniem decyzji pogłębiały się. Ciągłe stawiał ją pod ścianą dookreślania się, nie akceptując odkładania czegokolwiek w czasie. Żył tak, jak ona nigdy nie potrafiła. Całym sobą.

Pierwszy wybuch gniewu u Maxa sparaliżował ją zupełnie. Zadziałał stary mechanizm z domu, kiedy krzyczała na nią matka. Przestała myśleć, czuła, jak jej mózg zamienia się w breję niezdolną do wyprodukowania jednej logicznej myśli. Wymazała to z ulgą ze wspomnień widząc, jak szybko Max zapomina. Nie pielegnował urazy, natychmiast reagował na dobro i zło. Pierwsze przyjmował w siebie zachłannie, bez pytania, czy zasłużył i czy powinien się odwdzięczyć. To drugie usuwał z siebie jak najszybciej, tak jak żołądek pozbywa się zatrutego pokarmu. Imponował jej. Ona potrzebowała dni na przepracowanie uczuć, ubranie ich w słowa. Czasu, by zdobyć się na odwagę wypowiedzenia trudnych rzeczy. Czasu, by przeprosić. Może dlatego bała się przyznać przed nim i samą sobą, jak bardzo jej na nim zależy.

No i... ciągnęło ją do niego. W zasadzie od samego początku. Wysoki, mocno zbudowany, o silnych rękach wyrobionych fizyczną pracą. Uwielbiała jego dłonie, długie palce, stwardniały od drewna i narzędzi naskórek. Ukradkiem patrzyła na nadgarstki, wyraźnie zarysowane ścięgna i kości dłoni. Wydawały jej się bardzo erotyczne. Płowe, pozbawione złota włosy, w których chciała zanurzyć palce, przeczesać dłonią. Gdy dłuższy czas spędzał w warsztacie, gdy zapominał o czasie, pojawiał się z kilkudniowym zarostem, który wzbudzał

w niej tkliwe podniecenie. Miał kolor wypalonych słońcem traw i – jak się przekonała przy okazji przyjacielskiego całusa w policzek – o dziwo, był miękki. Pierwszy raz naprawdę zaskoczył ją w kinie, kiedy pocałunkiem w usta zareagował na jej rozklejenie się po filmie. Wpadła w panikę, chciała odwzajemnić ten gest, ale czuła, że traci panowanie nad sobą. Nie chciała mu się wydać łatwa, obchodziło ją, co sobie pomyśli.

Przestała się go obawiać od tamtego wieczoru, kiedy jeszcze osłabiony gorączką usiłował ją pocałować. Przytrzymał jej dłoń i położył na swojej twarzy. Nie oderwałaby jej sama, ale wyczuł jej wahanie, gdy chciał przyciągnąć ją do siebie. Była mu nieskończenie wdzięczna za to, że pozwolił jej wtedy odejść. Przez tydzień jej myśli dogoniły ciało.

Przy następnym spotkaniu nie odwróciła już wzroku. Zdobył ją tym, jak się z nią kochał. Instynktownie czuła, że potrafi być gwałtowny, pasował jej do wizerunku mężczyzny lubiącego ostry i szybki seks. Czuła w nim wrzenie, które w każdej chwili mogło przerodzić się w coś dużo mocniejszego i które kontrolował. Z fascynacją przyglądał się jej oczom.

– Quecksilber – powiedział, przesuwając palcem z jej powiek, przez usta, z powrotem do skroni. – Będę cię tak nazywał, masz oczy jak rtęć.

– Zawsze myślałam, że to szary.

– O nie, przy pomocy rtęci szukano złota, zresztą pewnie wiesz.

Roześmiała się, ale patrzył poważnie.

– Nie masz pojęcia, jak przed chwilą wyglądały, gdy byłem w tobie.

Onieśmiał ją mówieniem wprost, nazywaniem rzeczy po imieniu. Tych pięknych, złych albo wstydliwych. Rzecz jasna – tylko dla niej. Max nie znał tego pojęcia.

Był zupełnie pozbawiony wstydu ciała. Równie swobodnie poruszał się w garniturze, jak i nago. Bez problemu uwierzyłaby, że wyszedł po gazetę bez ubrania, Maxa byłoby na to stać. I jeszcze coś, czego nie doświadczyła nigdy

wcześniej: zachłanność bliskości, fizycznego kontaktu. Był jej wiecznie głodny, jego ręce zawsze szukały jej ciała, gdy stawała przy nim, przechodziła, siadała obok niego. Wykorzystywał każdą okazję, by ją objąć, przytulić, pocałować w szyję. Bywał też zaborczy i zazdrosny. Była zaskoczona swoimi reakcjami. To, co z nią robił, nie budziło w niej poczucia zażenowania czy nieprzyzwoitości. Może dlatego, że sam nie myślał w ten sposób. Raz związał ją, pytając wcześniej, czy może. Chyba wyglądała na wystraszoną, bo szybko pogłaskał ją po twarzy i powiedział, że nie ma sprawy, nie muszą. Skoczyła na głęboką wodę.

– Dobrze, jeśli chcesz.

Kochał ją mocno, na granicy bólu, ale nie przekraczając jej. Potem zaniósł do łazienki i napuścił wody do wanny. Zanurzył się i wyciągnął rękę, gestem zapraszając pod spiętrzoną kołdrę piany. Położył ją na sobie i trzymał w objęciach, nie dotykając w niej nagiej kobiety. Zasnęli spleceni razem. Ona skulona pośrodku wielkiego łóżka, on jak wielka muszla wokół. Niechętnie puścił ją z objęć, gdy w środku nocy poszła się napić.

Nigdy więcej tego nie powtórzył. Później przyszło jej do głowy, że na swój skrajny sposób sprawdzał, na ile mu ufa.

Kilka tygodni po tym, jak po raz pierwszy została u niego na noc, zapadając w sen usłyszała przy swojej skroni:

– Nie zasypiaj, proszę.

– Dlaczego?

– Będę tęsknił. Tyle godzin do rana...

Odwróciła się rozbawiona, ale twarz miał poważną.

Wróciła do pustego, prawie hotelowego pokoju. Usnęła płacząc.

Następnego dnia znalazła się na wystawie najstarszych woluminów Zielonej Wyspy. Książki były jej miłością i nie wyobrażała sobie przegapienia takiej okazji. Zaznaczyła sobie to wydarzenie miesiąc temu, jeszcze pamiętała

obwiedzione podwójną linią ogłoszenie w popularnym wśród „ludzi książek” czasopiśmie zawodowym. Oczywiście gdzieś je zostawiła, ale datę zapamiętała. Pomyślała, że musi zacząć uważać. To była tylko gazeta, ale nieustannie coś gubiła. Zostawiała w sklepach karty kredytowe, książki na stolikach kawiarni, parasolki, rękawiczki w kinie, autobusach, metrze. Przypomniała sobie o rachunku z apteki. Brak wyobraźni i skupienia. Jeszcze jedna rzecz odróżniająca ją od Maxa.

Wróciła do rzeczywistości. Ponownie zobaczyła w myślach obraz ogłoszenia, do którego przypadek dorzucił krótki terminowo, ale dobrze płatny kontrakt. A jednak małe cuda zdarzają się – pomyślała z wdzięcznością. Wzięła głęboki wdech i weszła do uniwersyteckiej biblioteki. Jeszcze była pusta, pozostało około godziny do oficjalnego otwarcia wystawy.

Długi korytarz zastawiony był szklanymi gablotami pełnymi manuskryptów i starodruków. Tych najwartościowszych, najstarszych. Ze zdziwieniem dostrzegła zastygłą postać mężczyzny. Niezbyt wysoki i smukły, jak z obrazów Modiglianiego. Przez niewiarygodnie długą chwilę stał bez ruchu, nie patrząc w jej kierunku, zniecierpliwiona wróciła do gablot. Przez jakiś czas okrążali we dwoje poszczególne wyspy z eksponatami. Mimowolnie rejestrowała skrzypienie podłogi, ledwo słyszalny szelest płaszcza. Po kwadransie zapomniała o jego obecności, odpłynęła w świat reliktyw przeszłości, tracąc poczucie czasu. Manuskrypty zawsze przypominały jej zatopione w bursztynie owady. Albo skamieliny nieistniejących słów i znaczeń, oglądane przez współczesnych ludzi w muzeach.

– Niewiarygodne, prawda? – miękki, irlandzki angielski.

Drgnęła zaskoczona i odwróciła się. Stał obok na wyciągnięcie ręki. Biała koszula, grafitowy płaszcz, emanujący elegancją i jakością. Patrzył gdzieś poza nią, na jeden ze starodruków, który zasłaniała ramieniem. Nie był piękny czy porażająco przystojny, ale miał w sobie inność, kontrast. Opadające do ramion

lśniące włosy przypominały mokre ziarna kawy. Oczywiście... Nie mogła określić, jakiego były koloru. W jej ojczyźnie nazwano by je chyba leszczynowymi.

– Tak. – Zbierała szybko myśli. – Mam pracować nad podobnym. Trochę się boję – przyznała nieoczekiwanie dla samej siebie.

– Dlaczego?

– Rękopis prawie tak stary jak *Księga z Kells*. Nie tak piękny i nie tak znany, rzecz jasna. *Księgę* obejrzelśmy na specjalnej prywatnej audiencji. No, można to tak określić.

– „My” – czyli?

– Ludzie ksiązek, głównie konserwatorzy papieru.

Wciągnął powietrze i spojrzał na nią tak, jakby ją rozpoznał po latach. Albo nagle dostrzegł coś, czego wcześniej nie widział. Miała wrażenie, że wyjmuje ją z czasu i miejsca, w którym stali.

– Zazdroścę.

– Dziękuję, zazdrościć można tym, którzy pracują nad *Księgą*, ale zastrzeżona jest dla najlepszych specjalistów.

– Mówiłaś, że twoja jest prawie tak samo stara.

– Tak, ale już nie tak cenna. Mniej iluminacji. Łatwiej.

– Czy mogę prosić o wytłumaczenie wagi iluminacji? – Prawie parsknęła śmiechem, słysząc tak wypowiedzianą prośbę.

– W mojej jest więcej tekstu, a mniej – nazwijmy to – ilustracji. Poza tym, niby spora powierzchnia, ale nieduże ubytki pigmentu.

Zawahał się przez chwilę, jakby zastanawiając się, czy zaryzykować.

– O jaki kolor chodzi?

– Złoto.

– Ach tak – powiedział powoli. – Ale które? Są przecież cztery rodzaje.

Sformułowanie pytania zabrało chwilę.

– Cztery? Mianowicie jakie?

W jego oczach igrało rozbawienie, ale też coś przeciwnego. Przebiegło jej przez myśl, że ma ten sam wzrok co jej babcia wspominająca młodość, która zbiegła się z wojną. Powoli przeniósł wzrok za okno.

– Złoto z krainy Hawilat, czyli ogrodu rajskiego. Potem antyczne złoto arabskie o czerwonym odcieniu. Trzecie to złoto hiszpańskie, które niewierni wytwarzali ze spalonych szczątków bazyliuszka, wymieszanych z krwią czerwono włosów młodzińca. Wreszcie czwarte, podobno wypłukiwane z Renu.

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że czytał tekst zawieszony w przestrzeni.

– Legenda?

– Najprawdziwszy opis dawnych mistrzów sztuki – skłonił się lekko i zamilkł, wyraźnie czekając na jej reakcję. Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, nie w tym języku, mowie starych legend czy ksiąg.

– Starczy najwyższej próby złoto w płatkach lub proszku. W razie potrzeby z domieszką miedzi. Dobrze przyklejone farbą, bo rozmaże się w trakcie polerowania.

Miała wrażenie, że próbuje sprowadzić na ziemię samą siebie. Poczula się nieswojo, nie wyglądał i nie brzmiał jak turysta.

– Też w tym fachu?

Potrząsnął przecząco głową, a widząc jej badawczy wzrok, wyjaśnił wymijająco:

– Nieszkodliwa pasja. Chętnie zobaczę obiekt leczniczych zabiegów, jeśli to możliwe.

– Do laboratorium rzecz jasna nie wpuszczają. Zapraszam po zakończeniu renowacji w Trinity. Z profesjonalnym oświetleniem i opisem.

Przerwał jej delikatnie:

– Kiedy?

– Nie jestem pewna, za jakieś dwa, trzy miesiące. To i tak szybko – dodała, widząc rozczarowanie na jego twarzy. – Większość prac przygotowawczych wykonano już za mnie. Na pewno będzie jakaś zapowiedź.

Zamilkł na dłuższą chwilę, zauważyła niespieszne spojrzenie na drzwi, a potem cień zniecierpliwienia na widok pierwszych wchodzących na wystawę ludzi. Czowała, że zbiera się do wyjścia, a zdała sobie sprawę, że chce jeszcze słuchać tego głosu. Miał uwodząco niedzisiejszy sposób wyrażania się, trochę staroświecki, trochę tchnący czymś, co określiłaby jako elegancję. Być może była to elegancja starej arystokracji tego kraju, ale tego nie mogła ocenić ani ze swoim angielskim, ani ze swoim doświadczeniem.

Zaproponowała obejrzenie samej *Księgi*, dodając, że może pomóc przy obejściu zwyczajowej kolejki, ale natychmiast i jakby wystraszony odmówił.

– To byłoby bardzo nieetyczne już od pierwszego spotkania wykorzystywać twoje znajomości i czas. Poza tym, byłem tu wielokrotnie, znam każdą stronę prawie na pamięć.

Zanim zdążyła zadać następne pytanie, ktoś potrącił go i przeprosił w staroirlandzkim. Ku jej kolejnemu zaskoczeniu, momentalnie odpowiedział w tym samym języku. To był czysty odruch. Szybko powrócił do niej i wyciągnął dłoń.

– Stawię się na pewno. Powodzenia. – Sucha ciepła skóra, mocny, ale serdeczny uścisk. W ostatnim momencie przypomniał sobie: – Przepraszam, David Asher.

– Selina Hanaj.

– Do zobaczenia – lekki ukłon i już go nie było.

Teraz wokół niej aż huczała cisza, poczuła, jakby ktoś gwałtownie wyrzucił ją z innej czasoprzestrzeni. Po Davidzie pozostała niemal namacalna wyrwa w powietrzu, przesuwająca się wraz z nią po muzeum. I jeszcze mały ślad w jej pamięci, który w ciągu następnych tygodni rozrósł się i rozpoczął własne życie.

Nie mogła pozbyć się wrażenia zaplanowania, nieprzypadkowości tego spotkania, ani też powracających sekundowych obrazów tamtego mężczyzny. Przyszpilić w jednym miejscu rozmywające się wspomnienie jego twarzy, zdążyć nazwać to, co ją w nim intrygowało. Niezwykły spokój bywalca... Nie, to pospolite określenie. Bywalec kojarzył jej się z lokalami gastronomicznymi, ewentualnie targami staroci. Odpędziła je w myślach, szukając lepszego. Może konesera, erudyty? W każdym razie kogoś, kto dużo widział. I jeszcze ta nieuchwytna emanacja smutku i wyczerpania.

Miała potrzebę całkowitego poświęcenia się zadrukowanym stronom i na szczęście w tym przypadku było to łatwe. Lubiła myśleć, że zatracanie się w pracy zawdzięcza praktycznie stałemu dostępowi do *Księgi*. Im, konserwatorom, wolno było wchodzić po godzinach otwarcia wystawy, w zasadzie, kiedy tylko chcieli. Im częściej pochylała się nad foliałami *Księgi*, tym bardziej prześladowało ją jedno pytanie. Nie mogła zrozumieć powodu, dla którego ponad tysiąc lat temu napisano ją z takim przepychem. Przyjmując, że siłą rzeczy był to powolny, czasochłonny proces, dokonywany wyłącznie przy dobrym świetle dziennym, po co umieszczono w niej aż tyle? Bizancjum, chrześcijaństwo koptyjskie, celtycka ornamentyka i symbolika o pogańskim rodowodzie. To oficjalne opisy z katalogów i monografii. Za tym wszystkim Selina widziała coś, czego zwiedzający nie potrafili zauważyć. Rysunki rozpoznawalne tylko wtedy, gdy odwracało się *Księgę* do góry nogami. Galerię fantastycznych postaci: pawie, smoki i węże. Ale też muchy, ćmy, pantery, łososie, zające, kozy i wilki. Ludzie złączeni ze sobą i ze zwierzętami. Czerwonowłosy chłopiec ze skrzydłami. Niebieskie foki, kolorowe ryby i węgorze. Przedziwne pary złączonych ze sobą brodatych mężczyzn, święci pod postacią zwierząt i zwierzęta dotąd pomijane przez święte księgi, jak wydry, ćmy czy jaszczurki. Wszechobecne koty! Zielone, fioletowe i czerwone. Leżące na literach, przeskakujące między wierszami. Kocięta nadgryzające Eucharystię,

naszpicowane w pozach i z dawką humoru rodem z kreskówki Disneya. Koty kopulujące. Litery przybierające zmysłowe, seksualne kształty, nawiązania do jin i jang, ornamenty złożone ze stu pięćdziesięciu ośmiu splotów na powierzchni dwóch i pół centymetra kwadratowego! Jak dokonano tak skomplikowanych rysunków bez szła powiększającego, które wówczas nie było ponoć w użyciu?

I coś z jej działki. Porażający bogactwem wachlarz pigmentów. Trzy kolory atramentu: czarny, czerwony i żółty. Najpiękniejsze ilustracje malowane pędzlem z futerka kuny. Niesamowity luksus, jakim było użycie niebieskiego barwnika, zdobywanego z jedyne go wówczas źródła, czyli w górach północno-wschodniego Afganistanu, co okazało się wprawdzie legendą, ale przez długi czas rozpałało wyobraźnię wszystkich historyków sztuki. Lapis lazuli – minerał drogi wówczas jak złoto, przywożony długą i niepewną drogą ze świata islamu na małą wyspę. Odcienie niebieskiego osiągnano również taniej, jak w przypadku *Księgi*, z ekstraktu egzotycznego indygo lub północnoeuropejskiego urzetu barwierskiego. Te ostatnie ustalenia były wynikiem najnowszych badań przy użyciu różnych długości fal laserowych, spektrometrii kolorystycznej. Brzmiało naukowo, ale dla niej było bardziej fascynujące niż najlepszy kryminał. Biały pochodził z toksycznego hydroksowęglanu ołowiu albo mieszanki kredy. Żółty, tańszy niż złoto, a nieróżniący się od niego, przynajmniej połyskiem, uzyskiwano z siarczku arsenu. Cena z pewnością była korzystna, ale drugą stroną medalu była jego ogromna toksyczność. Podobnie jak każdego pigmentu, do którego produkcji używano ołowiu lub rtęci. Układanie pędzelka w szpic za pomocą języka było ryzykiem wliczonym w zawód. Czerwień otrzymywano częściowo z minii, a więc znów z trującego siarczku rtęci, ale także z ciał ciężarnych śródziemnomorskich mszyc spokrewnionych z czerwcami. Tymi samymi, które dały nazwę miesiącowi w jej ojczyźnie. Źródłem zieleni była warstwa oksydowanej miedzi, otrzymana w trakcie dziś trudnego do wyobrażenia procesu, wykorzystującego urynę ludzką lub zwierzęcą.

Zachwycało ją, że niektóre rysunki i litery miały niemal trójwymiarową głębię, a wrażenie reliefu pogłębiała przezroczysta błonka ostatniej warstwy. Trochę jak niezwykle misterna wersja popularnych dziś wypukłych naklejek uwielbianych przez dzieci. Na pergamin życie straciło według ostrożnych obliczeń sto osiemdziesiąt pięć cieląt! Niektórzy badacze *Księgi* podawali nawet tysiąc dwieście istnień w samym opactwie na wyspie Iona, gdzie prawdopodobnie powstała *Księga*, oraz w opactwach sąsiadujących z klasztorem. Zabijanych w wieku miesiąca, najwyżej dwóch. Selina czytała o takich, którzy sugerowali użycie krowich płodów. Tę ostatnią informację starała się szybko wymazać z pamięci, wykasować obraz odcisku kręgosłupa zwierzęcia widoczny do dzisiaj na stronie folio numer dwadzieścia osiem. Pocieszała się, że wszystkie te nieszczęsne stworzenia zyskały nieśmiertelność, oglądane ponad tysiąc lat później w zmienionej postaci.

Przez kolejne tygodnie praca ją ratowała. Tylko raz wróciło do niej wspomnienie tamtego wyjazdu do Stanów, wywołane widokiem szklanej buteleczki z – o ironio – barwnikiem spożywczym, który jakaś pracownica muzeum kupiła z myślą o torcie urodzinowym dla dziecka. Zobaczyła samą siebie stojącą przed nowo otwartym Muzeum Sztuki Uniwersytetu Harvarda. Wielka, szklana nadbudowa tworząca wyższe kondygnacje, otwierała się przed jej oczami jak świetliste bramy raju. Bo czyż nie był to raj? Czwarte piętro budynku poświęcone wyłącznie pigmentom: szklane fiołki ustawione kolorystycznie na niezliczonej ilości półek. Ponad dwa tysiące pięćset eksponatów przywiezionych z całego świata w to jedno miejsce. Słoiczki, fiołki, osobliwe szklane zbiorniczki, wyglądające niczym grzyby na krótkich nóżkach. *Yellow ochre, ultramarine, malachit emerald, kermes crimson...* Same etykiety echem czytanych półgłosem nazw wywoływały przyjemny dreszcz w jej ciele. Wiele buteleczek było zaopatrzonych w dodatkową karteczkę z napisem: „Trucizna”. Dlaczego jej mózg wyciągnął znów obraz tej jednej z napisem:

„White lead” (biały ołów), zebrany w Niemczech i Austrii. Nie, nie myśleć. Ani o Niemczech, ani o bieli. Wtedy też drgnęła, szybko przesunęła decyzję na później, zajmując uwagę indyjską żółcią, otrzymywaną kiedyś z moczu krów karmionych wyłącznie liśćmi mangowca. Teraz też nie chciała myśleć, nie chciała poddać się wyzwalczom wspomnień, natrętnym powiązaniom przypadkowych słów, kształtów czy kolorów z przeszłością. Tamte szkolenia na Uniwersytecie Harvarda i w Bibliotece Kongresu, wreszcie hotel w Nowym Jorku, do którego nawet nie dotarła...

Tak, praca była wyzwoleniem. Skupienie nad mikroskopijnymi detalami, odpowiedzialność za substancje chemiczne trzymały niechciane myśli z dala od jej głowy. Im dłużej siedziała w pracowni, tym lekarstwo działało skuteczniej. Coraz częściej odpływała od rzeczywistości, budząc się nagle na przejściu dla pieszych i nie wiedząc, co zrobić na zielonym świetle, innym razem stojąc przy kasie i dłużej, niż powinna, przypominając sobie PIN. Tego dnia, ciągle jeszcze wirując myślami w chmurze kolorów, wyszła z pracowni i nagrodziła sama siebie seansem w kinie. Ze wzruszeniem obejrzała *Sekret Księgi z Kells*, pełnometrażowy film dla dzieci. Siedem nagród na najważniejszych festiwalach filmów animowanych, masa nominacji. Gdyby miała dzieci... Poczula znajome ukłucie, zawsze tak samo ostre, kończące się tępym bólem w brzuchu. Tak, gdyby miała dzieci, pozwalałaby im oglądać filmy tylko takie jak ten, zamiast tandetnych nowych produkcji disneyowskich czy japońskiej anime. Kupiła go dla siebie, na przyszłość. Bardzo starała się odepchnąć obraz, który napłynął pod powieki, gdy stała przy kasie i wyciągała kartę kredytową.

– Wszystko w porządku? – Kasjerka, młoda dziewczyna, wyraźnie zaniepokoiła się.

– Tak, tak, dziękuję, to tylko alergia.

Nazajutrz rękopis, nad którym pracowała, miał wrócić na swoje miejsce w bibliotece uniwersyteckiej, dołączając do potężnego zbioru mieszkających tam

starodruków. Selina nie mogła zasnąć, jej pobyt w Dublinie kończył się za dwa dni.

Poranek zaskoczył ją tłumem szturmującym otwartą wystawę. Słowa dziekana Trinity College sprawiły, że zapomniała większości tego, co sama miała powiedzieć. Oklaski, gratulacje, szampan, masa nowo poznanych osób. Wizytówki wyczerpały jej się po godzinie, podobnie jak początkowo radosny nastrój. Zmęczenie i rozczarowanie opadły ją wraz ze złością na samą siebie. Za to, że wbrew logice czeka.

– Czy wiesz, że uprawiając ten zawód raczej umarłabyś młodo?

Omali nie wylała kolejnego kieliszka wina, szampana nie tolerowała.

– Jesteś... – zaczęła, krztusząc się mieszanką zaskoczenia i alkoholu.

– Przecież obiecałem.

– Dlaczego chciałbyś mi skrócić życie?

– To przez czerwień, sama wiesz lepiej, rtęć.

Skupiła się na utrzymaniu zawartości kieliszka tak, żeby nie przypominał gwałtownie ustawianej poziomicy. *Quicksilver*, prawie jak w niemieckim.

Rozejrzał się wokół i spróbował ponownie:

– Olbrzymia satysfakcja, prawda? Mnóstwo ludzi!

– Nie przychodzą dla mnie. Czasem zastanawiam się dlaczego, w sumie to tylko bardzo stare księgi.

– Piękno przyciąga. Dzisiejsze książki są jak wszystko inne: masowe, tanie i jednakowe. I coraz więcej tych nowych, wirtualnych.

– Boisz się, że wkrótce będą tylko cyfrowe, a to – zatoczyła dłonią koło – stanie się książkowym parkiem dinozaurów?

Nie odpowiedział od razu, przyglądając się zawartości gablot. Coś przemknęło w jego spojrzeniu i ze zdziwieniem stwierdziła, że to smutek.

– Mam nadzieję, że nie. Kiedy słowo stanie się całkowicie cyfrowe, skończy

się historia, jaką znam. Jaką wszyscy znamy – poprawił się szybko. – Widzisz, kod zerojedynkowy nie istnieje w czasie ludzkim. Tekst stanie się jednym wielkim labiryntem, bez początku i końca, bez stałych punktów odniesienia. Zawsze zmienialny. Wyobraź sobie, komuś nie będzie podobało się zakończenie, dajmy na to, *Anny Kareniny*. Nic prostszego niż mała zmiana wprowadzona we wszystkich egzemplarzach książki na świecie. Odgórnie, przez serwer wydawnictwa, które wyliczy sobie, że lepsze zakończenie oznacza wyższy zysk. Nie wspomnę o innych powodach. Cenzura, polityka...

Zatrzymał się, widząc jej osłupienie.

– Chcesz powiedzieć, że oni – zatoczyła ręką koło, obejmując tłum ludzi wokół nich – przychodzą nie tylko dla tego, co znikło z książek: złota, misternych dekoracji i kolorów? Że po prostu chcą czegoś, co przetrwało i się nie zmienia?

Znów delikatne przytaknięcie, jakby pochwalił, że w końcu się domyśliła. Zgoda bez słów, elegancka i oszczędna.

– Są ludzie, którzy nie chcą czytać z ekranu.

– Uważasz, że jestem fetyszystą pulpy drzewnej? – nieznacznie uśmiechnął się, widząc jej rozbawienie. – To nie tak. Rozumiem, że chodzi o ilość, szybkość i aktualność informacji, ale boję się. Obserwuję, jak ludzie szatkują książki, żonglując ich fragmentami, dodają linki. Wiem, wiem, to głównie encyklopedie, ale i tak się boję.

– Ale tamte, niezmiennalne – mówiąc to, zakresliła palcami w powietrzu cudzysłów – docierały do tak małej liczby ludzi, kiedyś...

– To prawda – skinął z powagą głową.

– Widzę, że nie lubisz elektronicznych książek, zgadłam?

Nie odpowiedział od razu i zanim to zrobił, pociągnęła dalej.

– Mimo wszystko, zobacz, ile osób może teraz czytać...

Przyglądał jej się ze spokojem, ale też rozczarowaniem.

– Co oznacza dla ciebie czytanie? Powieści, prawda? Pamiętaj, że to ostatnie... może dwieście lat. Wcześniej twoja święta czynność była określana jako psująca duszę, niemoralna. Kto kiedyś czytał? Ci, co mieli wystarczająco pieniędzy na wolny czas, książki oraz światło. O kobietach nie wspomnę. Większość książek jest i tak zbędna, przerośnięte ego autorów, przekonanie, że muszą pozostawić coś po sobie. Teraz to naprawdę łatwe, wystarczy laptop i...

– No dobrze, ale trochę drzew oszczędzimy, przyznaj.

– To prawda, przepraszam, zapędziłem się. – Po raz pierwszy uśmiechnął się naprawdę szczerze, ale jego oczy miały nadal ten sam wyraz, gdy mówił o ego piszących. – Czy wiesz, że nie tak dawno temu, około roku tysięcznego Abdul Kassem Ismael, wielki wezyr Persji i namiętny czytelnik, zwykł zabierać w podróż swoją kolekcję złożoną ze stu siedemnastu tysięcy książek? Cały zbiór wędrował karawaną złożoną z czterystu wielbłądów, nauczonych maszerowania w porządku alfabetycznym.

– Niesamowite! Musiał kochać swoją przenośną bibliotekę.

– Wręcz nie potrafił się z nią rozstawać.

– Biedne zwierzęta, dziś zmieściłby wszystko w jednym Kindle’u.

– A bateria, burze piaskowe? – rzucił szybko.

– No właśnie, a gdyby wielbłąd nadepnął na ekran? – podchwyciła.

Przez chwilę obydwójce śmiali się zjednoczeni wizją popękanego czytnika pod kopytem dromadera.

Skinął głową w zadumie, ale zaraz potem przeniósł wzrok na biblioteczne regały. Dużo ponad poziom rozłożonych manuskryptów. Milczała, usiłując wyłapać myśli tonące w innej cenionej przez ludzi substancji.

– Powinno się spisać te słowa i wyłożyć w gablocie, obok *Księgi*. Coś w stylu „nasi zwiedzający komentują”. W złotych ramkach oczywiście.

Wzruszył ramionami, wydawało jej się, że dostrzegła rozczarowanie lub irytację. Chciała jakoś zatrzeć to wrażenie, przeprosić, zamiast tego zapytała

Davidę, czy zna losy *Księgi*.

– To prawdziwy cud, że ją znaleziono po najazdach Wikingów. Zakopana w ziemi, wprawdzie bez okładki, ale w zasadzie nienaruszona. Na szczęście dla nas ludzie wolą szlachetne kamienie... – nie zdążyła dokończyć.

– Jak zawsze – teraz usłyszała wyraźną pogardę. – Poza tym to nie był cud.

– Wiesz więcej ode mnie.

– Tego nie powiedziałem, po prostu cudów nie ma. Historia z pewnością nie zanotowała jakiegoś zdarzenia. Może *Księgę* uratował prosty chłop albo... kobieta. Takie rzeczy nie trafiały do kronik – nie patrzył na nią. Coś ciemnego rosło w jego oczach. Wystraszyła się, nie rozumiejąc, na co, na litość boską, może być taki zły.

– Wiesz, to byłaby rewelacja na miarę „cudu” – szybko postawiła w powietrzu cudzysłów – przetrwania *Księgi*.

– Książki – westchnął. – Kamienie szlachetne, barwniki, złoto. I ta wieczna nadzieja, złuda, że książkami coś się ocala. Przekazuje dalej. Że księgi są święte. Wiesz, jak skończył Connachtach²⁶. Żadne piękno *Księgi* nie pomogło. Zamęczono go, wykastrowano, a potem...

– Wiem, nie mów dalej, proszę.

– Tak jest od zawsze. Ludzie zdepczą wszystko.

Miała wrażenie, że zmęczenie na jego twarzy pogłębia się, nabiera cieni, wyostrza rysy, podkreśla fioletowe smugi pod oczami. Patrzył na gąbłoty z jakimś dawnym, zapiekłym rozczarowaniem.

– Czy mogłabym cię prosić o napisanie mi tego, co powiedziałaś wcześniej? To o kodzie zero-jedynkowym i niezmienności. Może porozmawiałabym z szefem wystawy, serio – dodała, widząc jego zaskoczony minę.

– Nie mam złudzeń, nikt by tego nie czytał – wzruszył ramionami. – Nie przeceniaj książek. W naszych czasach to tylko jeden z kanałów informacji. A raczej jej nadmiar. Szybko zapominanej i niepotrzebnej. Myślę, że gdyby

Księga powstała dziś, leżałaby piękna i niechciana w oknie jakiegoś szacownego antykwariatu lub sklepu z unikatowymi egzemplarzami. Czytana przez odmieńców i niegroźnych pasjonatów.

Zapadła niezręczna cisza, teraz to ona nie wiedziała, jak ją przerwać. Rzucił jej koło ratunkowe, zmieniając temat:

– Co będzie obiektem kolejnej konserwacji?

– Po prostu ja, po kilku miesiącach pracy bez przerwy mam w końcu tygodniowe wakacje. Prawie przestałam dostrzegać, że już czerwiec. – Zamilkła, przypominając sobie inne lato. Szybko dokończyła: – Potem kolejne zlecenie.

– Zazdroszczę, ja pojutrze wybieram się do Rzymu, ale tylko służbowo. Coś nie tak? – zapytał zaniepokojony wyrazem jej twarzy.

Milcząco pokręciła głową. Za pięć dni leciała do Wiecznego Miasta.

21 Matenadaran (orm. Մատենադարան) – repozytorium dawnych rękopisów ormiańskich z siedzibą w Erywaniu. Magazyny książek zostały wykute w skale – na wypadek wojny jądrowej. Księgozbiór liczył w 1892 r. 3158 manuskryptów, w 1913 r. już 4060 i rośnie, m.in. dzięki darom diaspory ormiańskiej. Oprócz 13 tysięcy rękopisów w języku ormiańskim Matenadaran posiada rękopisy łacińskie, arabskie, hebrajskie, greckie, perskie i in. Najstarsze rękopisy pochodzą z V w.

22 *Close enough* (ang.) – wystarczająco blisko, podobnie.

23 *Halt* (niem.) – stać.

24 *Maßeinheiten* (niem.) – jednostki miary.

25 *Streicheln* (niem.) – głaskać.

26 Opat zespołu klasztorowego Iona. Głowa opactwa, przywódca monastycznej wspólnoty, nadzorujący szereg monasterów w Szkocji oraz Irlandii, w tym słynnych klasztorów w Durrow, Kells i czasowo w Lindisfarne. Była to jedna z najważniejszych osób duchownych w tzw. ciemnych czasach średniowiecza, odwiedzana przez królów i biskupów angielskich oraz frankijskich, a także przez Piktów.

Brama

Rzym go uspokajał. Starał się tu znaleźć choć na chwilę, gdy czuł, że jest na krawędzi depresji. Kiedy potrzebował stałości i znajomych zaułków. Teraz doszła do tego ona. Ktokolwiek ofiarował jej kontrakt na renowację starych rzymskich zbiorów, był mu wdzięczny. Nie dość, że trafiła do jedynego miasta, do którego nieustannie powracał, to jeszcze miejsce, w którym miała pracować, znajdowało się w połowie drogi między stacją Termini a jego azylem w centrum miasta. Termini znał tak samo dobrze jak lotnisko, nieustannie wsiadał tu lub wysiadał, po obu mógł się poruszać z zamkniętymi oczami. Rzym był stałym punktem, opoką i wytchnieniem. Pozwolono mu na jedno, a on zdecydował, że Wieczne Miasto będzie pasować do wiecznych podróży. Pomyślał z nagłym bólem zazdrości, że mając jej zawód, z pewnością jeździłby tylko w takie miejsca. Stare jak księgi, których rany trzeba opatrzyć. W przeciwieństwie do niego obracała się w świecie rzeczy, które ocalały z przeszłości i których rozpad został miłosiernie odłożony w czasie.

Rzeczy... Po raz kolejny żałował, że z tą samą pasją i podobnym nakładem środków ludzie nie ratują tego, co dostali w prezencie. No tak, darowanych rzeczy się nie szanuje. Nie mówiąc o tym, że żywe istoty kiepsko się sprzedają i nie nabierają wartości rynkowej. Na swoje nieszczęście taki nosorożec, wieloryb czy cedr są wolne od żądzdy odwetu, a przede wszystkim – pozbawione głosu i adwokata.

Wrócił myślami do dziewczyny. Już w Dublinie sprzedał jej historię o tym, że zbiera stare woluminy, jest bibliofilem, ba, bibliopatą, że chętnie zasięgnąłby przy okazji fachowej porady co do swoich „białych kruków”. Zaciekawiała się, a co najważniejsze – dała wizytówkę. Miesiąc po ostatnim spotkaniu w stolicy

Irlandii zadzwonił do niej i zaprosił na kawę. Nagły impuls kazał mu zaproponować miejsce z przeszłości, ale bez tłumów. Zawsze go tam ciągnęło.

– Byłaś kiedyś pod Bramą Alchemiczną?

Potrząsnęła przecząco głową, nawet nie słyszała o niej.

– Nie, nigdy.

– Spodoba ci się. Poza tym jest blisko Termini.

– Gdzie jesteś? – zapytała zdezorientowana.

– Zaraz wsiadam do samolotu. Ląduję w Rzymie za jakieś cztery godziny i już teraz wiem, że będę marzył o spacerze. To niedaleko od stacji. Będę szczęśliwy, jeśli poświęcisz mi trochę czasu.

– Oczywiście.

– Wspaniale, spotkajmy się przy wyjściu.

Czekała na niego w umówionym miejscu. Płynął przez tłum ludzi, niemal nie zauważając ich, nie dotykając, w jakiś niesamowity sposób z jednostajną prędkością, omijając spieszące się ciała, tarasujące drogę walizki, ludzki pośpiech i nerwowość. Obok i poza nimi. Za nim bezgłośnie sunęła srebrna walizka Samsonite, zaklejona doszczętnie nalepkami z różnych lotnisk, niczym wielokolorowy patchwork.

– Dziękuję, że znalazłaś chwilę. W sumie zadzwoniłem dość późno. Widzisz, nie zawsze wiem, kiedy i gdzie będę.

Tu prawie nie rzucał się w oczy. Ciemne włosy, opalona cera, biała koszula i ciemnoszary garnitur. Wtapiał się w obowiązujący na zewnątrz wzorzec rzymianina. Prawie bez zarzutu, nie licząc języka i mocno sfatygowanej walizki. Ruszyli w stronę mniej turystycznej części miasta, zauważyła nagle obecne na ulicy śmieci i w miarę pokonywania drogi – coraz więcej przybyszy z Afryki. Doszli do małego parku. Selina spostrzegła sporo kobiet rozmawiających bardzo cicho i grupkami jedzących odwijane z papieru kanapki. Wyłowiła słowiańskie słowa i zapamiętane z domu ostrożne taksowanie wzrokiem. Spojrzała krótko na

Davidą, ale nie skomentował obecności jej rodaczek.

– To jeszcze tylko kilka kroków. O, proszę, jest.

Nie dostrzegłaby jej sama – dziwna konstrukcja ogrodzona metalowym płotem. Stała ukosem. Dziwnie kanciasta i niepasująca do otoczenia. Gdyby nie dwie zdeformowane postacie egipskich bóstw Bes, wyglądałaby jak bunkier. Szczyt zwieńczony był gwiazdą Dawida, na którą nakładał się okrąg oraz krzyż. Wszystkie te znaki zawierały się w kolejnym kole, na którego obwodzie dostrzegła napisy po łacinie. Pod nimi znajdowały się inskrypcje hebrajskie, wektory zakończone strzałkami i półksiężycy. Jej uwagę zwróciły symbole planet i metali, w tym ołowiu, cyny oraz rtęci. Wieloznaczny język alchemii.

Mówił powoli, cicho. Musiała stanąć bliżej, niemal patrzeć na jego usta, by nie stracić wątku. Zapatrzony w budowlę opowiadał, trochę jak wtedy w Dublinie. Miała wrażenie, że czyta z wiszącego za jej plecami, niewidocznego telebimu.

– Brama jest częścią nieistniejącej już willi markiza di Palombara na Eskwilinie. Ugościł uciekającego przed papieską żandarmerią byłego mnicha Francesco Borriego. Dał mu swoje laboratorium w nadziei na wieczne życie i złoto. Francesco okradł go z pieniędzy i marzenia, uciekł, ale pozostawił tajemnicze notatki, które zrozpaczony markiz kazał wyryć na swojej bramie. W nadziei, że może kiedyś odczyta je jakiś przechodzień. W tym czasie, zwabione legendą kobiety padały w tym miejscu ofiarami dość okrutnych żartów. Już sam Francesco, w czasie gdy był w łasce Palombara, udawał niekiedy, że zdołał wyprodukować eliksir. Oferował go kobietom gotowym wtedy, podobnie jak dzisiaj, zapłacić każdą cenę za młodość. Bywało, że zamiast pieniędzy żądał zapomnienia o rodzinie, matce, mężu, dzieciach. Bawił się ich przerażeniem, testował granice poświęcenia za obietnicę wiecznej młodości lub nieśmiertelności. Na koniec dorzucał w pakiecie siebie samego, jako rekompensatę za wysoką cenę. Jak miał dobry humor.

– Skąd wiesz o tym humorze – przerwała mu w pół zdania.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– To taki zabieg narracyjny, domyślam się, że musiał mieć poczucie humoru, dokładając siebie jako bonus. Nie był zbytnio urodziwy.

– Skąd...?

– Jego portret wisi w British Museum – uprzedził ją.

Przyglądał się jej chwilę w milczeniu, jakby coś rozważając.

– Dowiem się, co było dalej? – ponagliła go.

– Ach tak, wracając do Francesco, większość kobiet najpóźniej w tym momencie orientowała się, że czarujący sprzedawca jest oszustem. Kilka razy oberwał, były jednak takie, które brnęły do końca. Zdesperowane kupowały eliksir, a nawet dawały się zaprosić przez Borriego do jego willi. A to wszystko, oprócz właściwych zarzutów, znalazło się w akcie oskarżenia. Zmarł na powikłania gorączkowe po kilku latach więzienia w Castel San Angel.

– Żadnego cudu? Nie potrafił się uratować?

– Był niezłym medykiem, sam przepisał sobie chininę, ale dotarła za późno. Stawiałbym na to, że ktoś rozmyślnie wstrzymał przesyłkę...

– Krótko mówiąc: prekursor dzisiejszych koncernów kosmetycznych, co? Nic się nie zmieniło: sprzedawcy marzeń i kobiety.

David zastanawiał się, za spełnienie jakich marzeń i jak daleko posunęłyby się Selina. Zaczynał ją lubić, a z drugiej strony mógł tę wiedzę wykorzystać.

– Wiesz, można się śmiać, ale sama nie wiem, co bym zrobiła. W sumie to mój największy koszmar, paraliżuje mnie, czasem przeszkadza żyć.

– Co takiego? – Zaskoczyła go poważnym nagle tonem.

– Nawet nie starzenie się, ale śmierć oczywiście.

– Dlaczego? Jest potrzebna, wiesz co by było, gdyby...

Machnęła ze zniecierpliwieniem ręką.

– Jasne, ziemia runęłaby w przepaść pod ciężarem ludzi. Zjedlibyśmy wszystko...

– Przede wszystkim nic nie miałyby sensu. Tylko śmierć nadaje kształt życiu. Inaczej bylibyśmy... jak woda bez naczynia. Bez powodu, by zamknąć dany nam czas w najpiękniejszym kształcie.

– Brzmi jak wiersz, ale... wierzysz w to? Zgadzasz się na śmierć? Przestać widzieć to wszystko – bezradnie powiodła ręką wokół.

Patrzył bez słowa, ze znużeniem. Prowadził tę rozmowę przez całe życie.

– Jest tyle do zobaczenia, zrobienia, nauczenia się. Tylu fascynujących ludzi, tyle miłości do przeżycia – nieporadnie składała zdanie najwyraźniej już w tej chwili ogarnięta strachem. „Rozszerzone przerażeniem oczy, jak u dziecka” – pomyślał.

– Mogłabym zbierać cały ten cud istnienia bez końca – dokończyła z goryczą.

– Pamiętaj, że zbierałabyś też zło, ciemność, śmierć swoich bliskich, dzieci. Nigdy nie wiadomo, co wybierze pamięć. A gdybyś pamiętała tylko koszmary?

– Niemożliwe. Staralabym się patrzeć tylko na piękne rzeczy, jak... kobieta w ciąży – przerwała nagle. Zapatrzyła się poza plac, po chwili milczenia pociągnęła wątek: – Zawsze miałabym drugą szansę.

– Życie straciłoby smak, wierz mi.

– Mówisz, jakbyś wiedział.

– Bo wiem.

– Nie wierzę, to musi być cudowne. Zaczynać od nowa...

– A co teraz robisz ze swoim życiem? Wiedząc, że masz tak mało czasu.

Zamilkli, ona porażona jego pytaniem, David zmęczony jałowością dyskusji. Niewielu ludzi go rozumiało, tak niewielu, że tych pamiętał.

Tomaso zrozumiałby. Rozumiał, odszedł pogodzony, bez skargi. Bez

pretensji do życia czy siebie. Nie żałował swych wyborów, nie domagał się więcej czasu. Ale on żył całym sobą, robił to, co kochał, ożenił się z Katriną, jedyną kobietą, z którą chciał być. Wykorzystał daną mu szansę, może nieświadomie, może był mądrzejszy, niż David go pamiętał. A może tak wypadło. Niektórzy ludzie dostają od losu wszystko. Jak wydaje się innym, niezasłużenie. Widać to po sposobie, w jaki odchodzą.

Rozglądał się zamyślony, obracając w palcach kolejną filiżankę coretto. Plac zmienił się, a on przegapił ten moment. Nagle znalazł się na granicy dwóch światów. Na ulicy, pod gołym niebem, na ziemi dokumentnie pokrytej matami brzmiały nagłośnione wniebogłosy modlitwy islamu. Jednocześnie z narożnego kościoła Świętego Euzebiusza popłynęła do niego równie żarliwie śpiewana modlitwa rzymskich katolików. Ach tak, była niedziela rano, przedostatni dzień ramadanu.

Poczuł rozdzielenie placu przebiegające przez niego samego. I pomyśleć, że to dzieje się w Wiecznym Mieście. Kiedyś te światy stykały się w zupełnie innych miejscach.

Modlitwy skończyły się, śpiewy ucichły. Na placu królowały teraz przeważnie arabskie dzieci grające z piłką. Wypełniały to miejsce energią i śmiechem.

Dzieci... Zacierały wszelkie różnice między dorosłymi i przejawiały tę cudowną zdolność odnajdywania radości, niezależnie od sytuacji i stanu posiadania. Nie bacząc na doznane krzywdy, wizję przyszłości. Po prostu żyły chwilą. Czyż nie o tym myśleli siedzący wokół na ławkach dorośli, obserwując je z mieszkanką zazdrości, rozrzewnienia i melancholii?

Bo później traci się ten dar nieodwołalnie.

Pomiędzy

Widywali się co jakiś czas między jego rozlicznymi podróżami. Przyzwyczała się do tego, że właśnie leciał lub właśnie skądś wracał. Niechętnie tłumaczył to pracą dla jakiejś ważnej instytucji, nie wypytywała go, czując niechęć do tematu. Wydawało jej się, że to coś na kształt UNESCO skrzyżowanego z Greenpeace. Między wierszami wyłapywała pojedyncze zdania o dokumentowaniu znikającej różnorodności świata.

Zadania, które otrzymywał, kwitował na ogół stwierdzeniem „mój kolejny projekt”, a kierunki lotów obejmowały praktycznie cały świat: Pekin, Kapsztad, Moskwę, Mexico City, San Paulo, Berlin, Helsinki, Alaskę...

Czasem starała się go wybadać, nie tyle z ciekawości, co powodowana chęcią odpoczynku na chwilę od szeleszczących stron, odczynników i pigmentów. Martwego świata bibliotek i muzeów.

Tego akurat dnia spotkali się w małej, nieznannej turystom ani jej restauracji. Zjedli bez pośpiechu kolację, a Selina sama wypła prawie pół butelki wina. Miała mocną głowę, a dzisiejszego wieczoru dodatkowo świetny humor i ochotę na alkohol. Chciała się cieszyć, chciała być adorowana. Jednak radosny nastrój trochę przygasł, gdy znowu spojrzała na Davida.

– Davidzie, czy oni tam, w twojej centrali, nie mają litości? Nawet stewardesy latają mniej!

Patrzył na nią z rozbawieniem i zdziwieniem.

– Centrala... – Prawie się uśmiechnął.

Uwielbiała, gdy to robił, był w takich momentach bardziej obecny i bardziej ludzki.

– Są gorsze prace – odpowiedział z przekonaniem.

– Ale to niebezpieczne dla zdrowia, wiesz, jakie dawki promieniowania łapiesz? To tak jakbyś ciągle robił sobie rentgen. Nie boisz się o zdrowie?

– Chyba jestem odporny. Nawet na pewno, inaczej dawno już bym nie żył.

Miała wrażenie, że akurat ten rodzaj pytań bawił go najbardziej.

– Musisz mieć dobre ubezpieczenie – zakończyła inwigilację.

– Najlepsze pod słońcem. – W jego oczach dalej tańczyło rozbawienie, ale ton głosu był poważny. – Nie martw się, nic mi nie będzie. Za to mam dla ciebie pacjenta, któremu naprawdę potrzebna jest szybka reanimacja.

Machinalnie spojrzała na leżącą przy nim grafitową torbę, którą początkowo wzięła za komputerowy neseser. Zauważył i sięgnął po nią.

– Wyjdźmy na zewnątrz, dobrze?

Na ulicy wpadli prosto pod rozpoczynający się deszcz. Pierwsze nieśmiałe krople spadły na jej rozgrzaną winem twarz. Jeszcze ciągle było jej ciepło i radośnie, ale widziała, że musi to znów w sobie zgasić. Powrót do meritum, czyli interesów.

– Stańmy na chwilę pod markizą. – Pociągnął ją za łokieć w kierunku oświetlonej wystawy cukierni. Na szczęście zamkniętej o tej porze, co – jak się domyśliła – było dodatkowym atutem. Brak przypadkowych spojrzeń.

Zaciekawiona pochyliła się nad książką, którą wyciągnął z bocznej kieszeni torby.

– *El Manuscripto de Astorga*, data wydania: 1624 – czytała coraz ciszej. – Nie wierzę! Skąd to masz?

Milczał, wpatrując się w trzymaną przez nią książkę i starannie unikając jej spojrzenia.

– Pamiętam to jeszcze ze studiów, mieliśmy dział o zaginionych książkach. Olbrzymi dział...

– Ta książka – przerwał jej cicho, ale stanowczo – ta książka jest podobno

lepsza od klasycznej i znanej na świecie brytyjskiej rozprawki sir Izaaka Waltona, guru wędkowania na przynętę. Fascynujący temat, prawda? – Był rozbawiony i jednocześnie spięty. Wiedziała, że czeka na jej reakcję.

– Idiotyczna treść, ale książka jest wiekowa, poza tym ma ciekawą historię. Pamiętasz zapewne, gdzie zniknęła?

– Tak, dostał ją od władz miasta Astorga sam Franco. Oficjalnie przepadła w jego zbiorach.

– Rodzina nigdy nie zdradziła, co się stało z tym i wieloma innymi dziełami, które trafiły w ręce dyktatora. Nawet po powrocie demokracji w kraju – dokończył za nią.

– A więc...

Podniósł w końcu oczy. Nieskończenie dalekie, spokojne i zamknięte na jej pytające spojrzenie.

– Na razie jeszcze nie wiem, czy mogę ci zaufać, Selino. Masz prosty wybór, możesz odmówić albo wziąć to zlecenie. Zapewniam cię, nie ukradłem niczego. Możesz mi uwierzyć lub nie. To nie jest żaden rarytas, treść książki i tak jest dostępna. Dziś nawet w sieci, jedynie oryginał zniknął – dorzucił jeszcze, jakby chcąc ją uspokoić, a po chwili dodał: – Nie ogłaszam się z tym. Nie chcę trafić pod ostrzał antykwariuszy z całego świata, muzeów, domów aukcyjnych *et cetera*. Nie chciałem z tym iść oficjalną drogą. To moja prywatna pamiątka i chcę, żeby tak zostało. Nie mam niczego poza kilkoma... rzeczami.

Nie spuścił wzroku nawet na milimetr, mówił tak, jakby podawał datę urodzin lub numer paszportu. Po prostu i bez chwili zastanowienia w głosie. Jednego nie rozumiała.

– Wiesz, ile to jest warte?

– Mniej więcej, nieważne.

– Ale pomyśl – gorączkowała się – nie musiałbyś latać i...

Ciepłe, suche dotknięcie jego dłoni, po raz pierwszy jej dotknął.

– Selino, będę latać, pieniądze nie grają roli. Żadnej. Ufam, że zachowasz tę informację dla siebie. Jeśli wypłynie w świat, wycofam się ze zlecenia i wszystkiemu zaprzeczę. No i będzie mi bardzo przykro, ale zmusisz mnie do szukania kogoś innego. A tego bym nie chciał.

Patrzył teraz intensywnie, jak wtedy, w irlandzkiej bibliotece. Jakby wyjął jej osobę ze zwyczajowego kontekstu, w którym traktował ją z uprzejmą obojętnością. W oszołomieniu obracała trzymany w dłoniach starodruk.

– Oczywiście. Ty decydujesz.

Pomyślała, że musi zacząć się przyzwyczajać do prywatnych zleceń dziwacznych, ogarniętych pasją zbieracką właścicieli książek, bibliofilów i bibliomaniaków. Od zawsze wiedziała, że tacy istnieją. Wreszcie zaczęła ich spotykać. Teraz on nie spuszczał wzroku, niewątpliwie wyczytując z jej twarzy wszystkie myśli i rozterki.

– Umowa stoi?

Drgnęła poruszona dalekim echem podobnego pytania. Kiedyś, gdy stała na wprost innego mężczyzny. To przyspieszyło jej odpowiedź.

– Tak.

– Proszę cię tylko o uczciwą cenę. Taką, jaką byś podała obcemu – dodał, widząc jej zaskoczony wzrok. – Nie chcę specjalnych względów.

– Jasne – odgarnęła za ucho włosy i przygryzła wargę.

W mokrym świetle zmierzchu dostrzegła, że coś się zmieniło w jego spojrzeniu, przesunęło z dotychczasowej neutralnej kurtuazji, z jaką niezmiennie ją traktował. Selina po raz pierwszy od wielu miesięcy zapomniała o tęsknocie za błękitem.

Nazajutrz znów go nie było. Tym razem miał pojawić się dopiero za trzy tygodnie. W czasie nieobecności nigdy nie usiłował skontaktować się z nią. Tak jakby przestawała istnieć. Znikał w świecie, do którego nie miała dostępu, do którego nigdy jej nie zaprosił. Zaczynała się bać, że kiedyś nie wróci. Nie

zobaczy znajomej, szczupłej postaci z utkwionym w przestrzeni spojrzeniem, z wysłużoną podręczną walizką i kolejnym biletem lotniczym. Nawet nie wiedziała, gdzie go szukać, nie miała punktów zaczepienia. Fakt, nie drażyła, nie prosiła o adres, telefon. Gładko przełknęła jego: „to ja skontaktuję się z tobą”, „książki przechowuję w bezpiecznym miejscu”, „mieszkam głównie w hotelach”.

Imponowało jej i wciągało uczestniczenie w tajemnicy, w czymś wyjątkowym. Zaskoczenie i niewiadome. Ciągłe otwierające się pudełeczka nowych informacji. Czasem drobnych, nieważnych, jak reakcja na jej wczorajszą uwagę. Powiedziała mu, że w jej kraju dostałby przydomek Żyd Wieczny Tułacz. Zastygł z widelcem podniesionym do ust, jakby nagle czymś urażony i rozbawiony jednocześnie.

– Nie wierz do końca legendom. Wielu twierdzi, że nawet nie był Żydem tylko Rzymianinem.

Chleb i wino

Znów tu była. Specjalnie dla niego, niejako w drodze z lotniska, wystarczająco blisko stacji Termini, z której wysiadali wszyscy ci, którzy nie brali z portu lotniczego taksówek, za to docierali do miasta bez względu na korki. Czekala przy stoliku niewielkiej restauracji, ukrytej w małej uliczce w pobliżu jego ulubionego kościoła – Świętej Praksedy na Eskwilinie. Oboje lubili takie miejsca, mniej turystyczne, niekojarzone z filmowym obliczem miasta. Nic nie było tu wypolerowane, podrasowane do oczekiwań milionów zwiedzających. Restauracja z subtelnym nalotem patyny czasu, ale też i kurzu. Kelner ze znużeniem zanotował jej przybycie, ale miała wrażenie, że był poirytowany. Pewnie przyszłam za wcześnie – oceniła, rozglądając się po pustym lokalu.

Siadła nad menu i rozważała wzięcie specjału rzymskiego, czyli wołowego ogona w pomidorach. Słyszała, że jest pyszny, poza tym w ojczyźnie przyzwyczała się do dużo „drastyczniejszych” potraw. Na chwilę przypomniała sobie reakcję Maxa na flaki, a także nieco zapomniane w jej pokoleniu cynaderki przygotowane przez babcię Irenę.

„Przyjdź wreszcie” – pomyślała – „bo zaraz zacznę rozmawiać sama ze sobą.”

David nietypowo dla siebie spóźnił się. Zamówiła odkryty właśnie we Włoszech Punt e Mes²⁷, aperitif z karczochów. Uwielbiała wytrawne, gorzkawe alkohole, trawiasto smakujące herbaty czy zioła. Uderzył jej do głowy, zapomniała, że ma pusty żołądek i postanowiła zaczekać z kolejną szklanką. Wreszcie kątem oka wyłowiła znajomą smukłą postać.

Przywitał ja pocałunkiem w policzek. Nie zdziwiła się, nie we Włoszech. Prawie zaliczała go już do Włochów, mówił z nienagannym rzymskim akcentem, był tu jednym z nich. Chociaż nigdy nie rozmawiali o pochodzeniu, nie przyszło

jej do głowy, by zapytać. Wyobrażała sobie, że to bardzo nietypowe i szlachetne z jej strony. Tak naprawdę, najbardziej zależało jej na utrzymaniu pełnego niedomówień napięcia między nimi. Nie ciążyła im przeszłość, dane osobowe i wspomnienia z dzieciństwa, nieopatrznie opowiedziane w chwili zauroczenia, euforii krótkotrwałego porozumienia dusz. Co powiedziałyby jej matka, słysząc, że spotyka się z mężczyzną, o którym nie wie niczego? Nawet tego, czy jego imię i nazwisko są prawdziwe. A przede wszystkim zdając sobie sprawę, że jej córce zupełnie to nie przeszkadza. Pakt o nieagresji, jak nazywała to w myślach, pozwalał na oderwanie się od faktów w życiu, na które nie miała wpływu, a które ją szufladkowały. Nigdy nie było między nimi typowej rozmowy przyszłych kochanków. Ulubiony film, książka, muzyka. Żadne: „Naprawdę? Ja też!”. Żadne: „Och, to mamy tak samo”. Ani: „Niesamowite, nie myślałam, że jeszcze ktoś czytał tę powieść”. Permanentna terażniejszość, mogła być tylko taka, jaką chciała dla niego być, jaką chciała mu się pokazać. Przez pryzmat swego hobby i zawodu, w świetle czegoś, w czym była dobra. Smakowała brak wymagań, przyzwolenie na dryfowanie w bańce niezależności. Nigdy nie myślała, że lekkość, brak zobowiązań i niepewność mogą być tak ekscytujące.

Rozmawiał z nią zawsze po angielsku, na zewnątrz płynnie posługiwał się dialektem rzymskim. Wiedziała, że zna również niemiecki, ale akurat ten język wolałaby na razie zapomnieć. W Dublinie słyszała na wystawie, jak rozmawiał po irlandzku. Wtedy pomyślała, że to niesamowite i urocze, ostatecznie staroirlandzki dopiero odradzał się po długiej dominacji angielskiego.

Zauważyła cienie pod oczami, zmętniałą zieleń jego oczu, którą w przypadku każdej innej osoby określiłaby jako zgniłą. Zarejestrowała zwolnione ruchy i niższy niż zazwyczaj głos. Mówił wolno, z namysłem, a może z wysiłkiem.

– Praca?

Spojrzał, nie rozumiejąc.

– Czy praca tak ci dała w kość?

Uśmiechnął się nieznacznie, jakby przypominając sobie, jak się to robi. Przymknął na chwilę oczy, a potem nieoczekiwanie położył głowę na jej ramieniu.

– Jestem wykończony. Jak rzadko kiedy.

Wyprostował się z wysiłkiem i potarł skronie.

– Przepraszam, zapomniałem się.

Spojrzał, żeby sprawdzić, czy się gniewa. Selina miała na końcu języka, jakby czekające na tę okazję:

„Nie ma sprawy, możesz się opierać o mnie, kiedy chcesz.”

W ostatniej chwili zatrzymała jednak słowa, nie wiedząc, jak by je odebrał. Jako zaproszenie?

– Gdzie cię tak wymaglowali?

– Brazylia.

Jak zwykle – żadnych szczegółów, żadnego rozwijania scenerii przed jej oczami. Nie próbowała drażnić. Na przykładzie własnej rodziny Selina gorliwie przyswoiła lekcję, do jakich nieszczęść potrafi prowadzić kobieca ciekawość. I nadmierna kontrola mężczyzny, który pod jej wpływem zamienił się we własny cień. Od tej pory trzymała się z dala od wścibskich pytań, śledzenia, ustalania wbrew woli indagowanych. Jej dyskrecja i rezerwa były czasem odbierane jako obojętność czy wręcz wywyższanie się, co nieustannie zdumiewało ją i sprawiało przykrość. We własnych oczach Selina wzbijała się ponad przyziemne masy kobiet, które od pokoleń idiotycznie usiłowały założyć mężczyznom obroże z krótką smyczą. Zaryzykowała tylko trochę:

– Nie chcę ci dawać dobrych rad, ale chyba powinieneś odpocząć. Wiesz, moja matka nie uznaje nic nierobienia, zawsze powtarza, że odpocznie po śmierci, ale to chyba dość odległa perspektywa.

– Dosyć. – Uśmiechnął się ponownie, tym razem jakby szczerzej. – Przepraszam, naprawdę. Jak moja książka?

– Proszę, już po rekonwalescencji. – Położyła przed nim wybrzuszoną kopertę i zastygła w oczekiwaniu na jego reakcję. – Gdyby pacjent miał jakąś rodzinę potrzebującą podobnej kuracji, proszę polecić moje usługi – dorzuciła, obserwując, jak otwiera pakunek, a potem powoli i delikatnie wyjmując zawartość. Pieszczotliwie przejechał palcami po okładce, delikatnie i bezszelestnie przewrócił kilka pierwszych stron. Jakby bał się obudzić śpiące dziecko. Podniósł wzrok i wreszcie dostrzegła niewidziane dziś w jego spojrzeniu światło.

– Pięknie to zrobiłaś. Wygląda jak kiedyś. To znaczy, jak musiała wyglądać na początku. Niesamowite, naprawdę... – zawahał się, ale w końcu zadał pytanie: – Nie pokazywałaś jej nikomu?

Selina podniosła rękę w uroczystej przysiędze.

– Słowo honoru, zresztą sam się przekonasz, nie będzie telefonów, ofert kupna ani prób włamania – puściła perskie oko, widząc jego przerażenie. – Spokojnie, żartowałam. Przecież nie wiem nawet, gdzie mieszkasz.

Podszedł do nich nadal zde gustowany czymś kelner i przyjął zamówienie. David, nietypowo, zaczął od podwójnego espresso, zamówił też sałatkę i czarne risotto.

– Wydaje mi się, że wspominałem ci kiedyś. Nie mam stałego adresu, zbyt dużo czasu spędzam w podróży. Książka, ta i inne, mieszka w metalowej szufladzie sejfu. Jak się domyślasz, nie wożę ich ze sobą. Czasem wpadam, by z nimi pobyc.

Skinęła głową.

– Całkiem rozsądnie. Przynajmniej są bezpieczne. Z drugiej strony szkoda, że dziś nie można takich rzeczy trzymać w domu, pokazać znajomym, rodzinie. Trudno się cieszyć, tak mi się wydaje. Zresztą nie wiem, nie mam niczego takiego...

– Masz wiedzę o nich. To dużo. Wcześniej czy później wpadnie ci coś w ręce, jakiś wdzięczny klient podaruje coś niezwykłego. Sama wiesz, ludzie

książek to romantycy. Poza tym jesteś piękną kobietą – ostatnie zdanie powiedział zwyczajnym tonem, jakby wygłaszał oczywistą dla wszystkich prawdę.

– Dziękuję, nie wiem, co powiedzieć.

– Nie musisz, za piękno nie trzeba dziękować. – *Scuzi* – podniósł rękę i zamówił butelkę czerwonego wina. – Napijesz się?

– Chętnie.

Kelner nad wyraz szybko przyniósł kieliszki, na stole znalazła się butelka Garofoli Agotano. Zastanowiło ją, czy to przypadek, czy wiedział, że właśnie takie lubi. Zapadła kłopotliwa cisza, w której wyraźnie czuła jego nieobecność. Szóstym zmysłem odbierała wysiłek, z jakim usiłował zaistnieć obok niej przy stoliku. Zobaczyła przed sobą irracjonalny obraz jego jaźni powoli spływającej z góry, milimetr po milimetrze osadzającej się w jego ciele. Jakby w innym wymiarze zestrajał się powoli z obecną chwilą. Nie wytrzymała i pierwsza sięgnęła po kieliszek.

– Wiesz, wino smakuje tu inaczej niż w moim kraju. Nawet jeśli otworzysz tę samą butelkę. Ciekawe, na czym to polega. Jakaś magia, alchemia powiązań między światłem, powietrzem, jedzeniem i... nie wiem jeszcze.

– Umiejętnością delektowania się życiem – odpowiedział uprzejmie. – No wiesz, *la dolce vita*.

Parsknęli śmiechem oboje, w tym samym momencie.

Do wina dołączył dzbanuszek oliwy i kilka kromek. David nagle uaktywnił się i ze znanstwem opowiadał o rodzimych szczepach winorośli. Zasluchana podniosła do ust nasączony złocistozielonym płynem chleb i poczuła silny zapach rozgrzanych słońcem pól, srebrzystozielone migotanie liści oliwnych, gorzki zapach traw rosnących wzdłuż wiejskiej drogi. Potem na języku pojawił się smak chleba, jakiego nie jadła nigdy wcześniej. Lekko kwaśnawy, o intensywnym aromacie pszenicy, ziół i dymu. Tak kiedyś musiał smakować

chleb, stulecia temu.

– ...czy wiesz, że...

Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Obrazy, smak, kolory i zapach były w tej krótkiej wizji mocniejsze niż rzeczywistość. I prawdziwe, wiedziała to bez sprawdzania. Taki fotoplastikon dla zmysłów, nagłe zerknięcie przez okular prosto w przesuwające się pod nim zdjęcie. Tylko że nie ona je wybrała. To trwało sekundę, Selina próbowała strząsnąć z siebie niedawną wizję i skupić się na wywodzie Davida.

– ...kiedyś, nie pamiętam dokładnie kiedy, ale do świeżo wytłoczonego soku dodawano całkiem nieprawdopodobne rzeczy: olej cedrowy, gałązki jałowca, liście bluszczu, cyprysów, igły sosnowe. Oczywiście zioła: tymianek, rozmaryn, piołun, hyzop. Owoce lub korzenie mandragory, tojad, a nawet opium i haszysz. Na tle tego opis na tej etykiecie – David nachylił się lekko w stronę butelki – brzmi raczej nudnawo: „Wśród dojrzałej, słodkiej gamy owoców przodują wiśnie w eskorcie aromatów korzennych i waniliowych. A to wszystko dobrze łączy się w harmonijną całość z miękkimi taninami”.

Siedziała zupełnie ogłuszona. Najpierw zapachem i smakiem, który pojawił się niczym sen na jawie, a teraz słowami Davida. To był piękny i fachowy wykład, rzadko opowiadał jej aż tyle, powinna go była wysłuchać z zaciekawieniem i docenić. Ale nie mogła. Wino, taniny, bukiety, wszystkie te wysublimowane słowa zębami dźwięków szarpały jej pamięć. Echo wygłaszanych przez Jensa opowieści o jego najukochańszych szczepach, rocznikach, butelkach. Ciepło ramienia Maxa obejmującego jej ramię, delikatny szum w głowie przy kolejnych degustacjach. Ból...

Przerwał zaniepokojony jej milczeniem.

– Wszystko w porządku? Wyglądasz na trochę nieobecna.

– Nie wiem, zobaczyłam chyba coś z przeszłości... – umilkła i potrząsnęła z zakłopotaniem głową. – To musi być ta wasza *dolce vita*. Miesza

niemiejscowym w głowach. Czytałam o fenomenie szoku kulturowego u ludzi z Północy odwiedzających kraje śródziemnomorskie.

Zagadać zmieszanie płytką elokwencją.

– Generalnie głupieją na jakiś czas od nadmiaru wrażeń, pewnie to coś podobnego. – Podniosła oczy, by uspokoić go uśmiechem, ale w jego oczach wciąż widziała niepokój.

– Nic mi nie jest, naprawdę. – Ze śmiechem trąciła jego ramię. – Głowa do góry, wyglądasz na zmartwionego, a zdaje się, że póki co, to ty potrzebujesz pomocy, a już na pewno snu.

David przyglądał się jej dalej, miała wrażenie, że coś analizuje.

– Masz rację, opowiem ci szybko o ewentualnym kolejnym pacjencie twoich papierowych czarów, a potem chyba dam za wygraną. Jeśli się nie obrazisz.

– Spokojnie, wiem jak to jest, przeżyłam sporo zarwanych nocy. Jedna nie jest problemem, ale gdy się ustawiają w ciągu... To jak, przedstawisz mi go albo ją?

– Przy sobie nie mam, ale mogę opowiedzieć. Chodź, przejdźmy się chwilę wzdłuż Tybru, mam już dosyć siedzenia.

Stanowczo odrzucił jej próby podzielenia rachunku i zostawiając spory napiwek dodał, że przecież w jej ojczyźnie kobiety nie płacą w kawiarniach czy restauracjach.

– Skąd wiesz?

– Pamiętam, byłem wiele lat temu. Kiedyś ci opowiem, a teraz, wracając do pacjentki...

Nie zdążył dokończyć. Selina zarejestrowała tylko upadające krzesło i chrzęst zwiru pod osuwającym się ciałem.

– Boże, Davidzie, co się dzieje?

Kelner w jednej chwili był przy nich, wspólnie odsunęli ciężki, ogrodowy

mebel.

– Co mu jest? Wezwać karetkę? – Tym razem kelner wykazał się szybkością i prawdziwie ludzkim zatroskaniem.

– Nie mam pojęcia, to chyba tylko zmęczenie.

Przyjrzał się jej podejrzliwie.

– Zmęczenie? – niedowierzenie i echo ironii.

– Dużo podróżuje i...

– Coś mu wypadło, proszę, niech pani weźmie. – Wcisnął jej w dłoń piękną, niestandardową komórkę. W tej chwili uświadomiła sobie, że nigdy nie widziała, by przez nią rozmawiał, brała to za objaw kurtuazji, a nawet zainteresowania nią. Na ekranie dostrzegła migający komunikat: *No doctors. Leave me.*²⁸

Selina wpatrywała się w migoczące litery, nie potrafiąc zdecydować, co powinna zrobić. Pierwszy odruch kazał jej wezwać ambulans, ale nie miała wątpliwości, że słowa pojawiające się na ekranie dotyczyły właśnie tej sytuacji. Mechanicznie wcisnęła ikonę menu, bezwiednie szukając dalszych wskazówek, ale to jedynie sprawiło, że ekran natychmiast zgasł.

– Poczekajmy chwilę, może zaraz mu przejdzie. Dziękuję za pomoc.

Zwalisty kelner bez przekonania kiwnął głową i niechętnie oddalił się w kierunku kuchni.

Teraz była wdzięczna losowi i sobie, że spotkali się tak wcześnie, restauracja nadal była pusta, podobnie jak ogródek przed nią. Nieliczni przechodnie z oddalenia nie widzieli nieruchomej sylwetki leżącego mężczyzny, zasłoniętej niskim, ale gęstym szpalerem karłowatych cyprysów.

Jeszcze raz odtworzyła całą scenę. David upadł dziwnie, jakby ktoś najpierw podciął go w kolanach, potem jego ciało osunęło się miękko i bezwładnie, niczym szmacianka pozbawiona kości. Chryste, co to może być? Przypomniała sobie jego bladość, podkrążone oczy, spowolnioną mowę. Leżał nieruchomo kilka minut, coraz bardziej zaniepokojony kelner spoglądał wymownie w ich

kierunku. Wreszcie!

Drgnął, najpierw powieki, potem dłonie. Otworzył oczy i zaraz zamknął je, jakby pod wpływem bólu.

– Davidzie, słyszysz mnie? Jak się czujesz?

Usiadł natychmiast. Z zakłopotaniem, ale też z dobrze maskowaną irytacją otrzepał się, całkiem przytomnie komentując szkodliwość żwirowych ścieżek dla wdychanego powietrza i stanu odzieży oraz obuwia.

– Co się stało? – nie dała się zwieść specjalnie dla niej wygłoszonemu monologowi.

Teraz sprawdzał kieszenie, nie odpowiadając na jej pytanie i pozornie nie zauważając paniki w jej głosie.

– Rany boskie, za co to wszystko! – to zdanie wygłosił sam do siebie.

– Nie rozumiem. Davidzie, jak się czujesz?

– Wystraszyłem cię, co? Chciałem cię uprzedzić o mojej przypadłości.

– Przypadłości?

Rozejrzał się, odpowiadając uspokajającym gestem na spojrzenie kelnera.

– Mam dość nietypową narkolepsję.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś, to poważna rzecz...

– Selino, spokojnie. Panuję nad nią, biorę leki, ale czasem sytuacja wymyka się spod kontroli.

– Chyba żartujesz, to nazywasz wymknięciem spod kontroli? Często ci się to zdarza?

– Nie, naprawdę nie. To nie jest powód do strachu – dodał, widząc wyraz jej twarzy – od tego się nie umiera. Jest tylko trochę niewygodne.

– Nie wierzyła mu ani za grosz.

– Utrudnia życie, ale też jest szalenie ekscytujące. Nigdy nie wiesz, co zastaniesz po przebudzeniu. Nie masz pojęcia, w jakich sytuacjach i z kim

zdarzało mi się odzyskiwać przytomność.

– I ty z czymś takim latasz, jeździsz po świecie? Czy tam, w twojej pracy, wiedzą?

David westchnął zrezygnowany. Nie miał ochoty przechodzić tego po raz kolejny. Nie z nią.

– Wiedzą. W zasadzie obie rzeczy związane są ze sobą. Nerozłącznie.

– Ale co, jeśli zdarza ci się atak w obcym kraju, z dala od...

– Przepraszam, ale nie chcę o tym mówić. Ten nie jest pierwszy ani ostatni. Żyję z tym, daję radę i tak zostanie.

Wyciągnął z kieszeni jakąś pastylkę i wrzucił na język.

– Widzisz? Po prostu zapomniałem. Już dobrze.

– Gdybym mogła, siłą zaciągnęłabym cię do lekarza.

– Nie chodzę do lekarzy. Pamiętaj... Nie wzywaj nigdy żadnego medyka, proszę.

Zaskoczyło ją to staromodne określenie lekarza, zaraz potem zmiana wyrazu jego twarzy. Patrzył na nią intensywnie, spokojnie i niemal zimno. Wyraz twarzy, ton głosu, było w tym zdecydowanie, prawie bezwzględność...

– A teraz kończymy temat.

Odwróciła się na chwilę, szukając czegoś w torebce, w głowie dźwięczało echo zdania, które padło dawno temu i w innym języku. Zaboląło ją coś w środku. Zepchnięta na obrzeża świadomości tęsknota wróciła z całym impetem.

Stali z Maxem na przystanku, czekając na nocny autobus. Wyszli z imprezy u jego znajomych, a ona opowiadała mu coś nakręcona taneczną atmosferą i wypitym winem. Też czerwonym, jak teraz. Patrzył na nią spod przymrużonych powiek, lekko ironicznie, ale z tkliwością. Potem przyciągnął jedną ręką do siebie, drugą jednocześnie rozpinając jej płaszcz.

– Kończymy temat, chodź do mnie.

Aż do krzyża przeszył ją ból tęsknoty. Za jego ciepłem, rękoma, za tym, co brzmiało w jego głosie. Za tym, że w jego rozszerzonych nocą źrenicach widziała tylko swoje odbicie. Teraz pożegnali się z Davidem niezręcznie i z pośpiechem. On jak najszybciej chciał uciec od wiszących w powietrzu pytań, ona od gorzkiego smaku rozczarowania. Tak obiecująco zapowiadający się dzień zakończył się małą katastrofą. Już miała pewność odbicia się od nieznośnie ciągnącego się za nią cienia, zaczęła smakować podziw w oczach Davida i zapowiedź nowej przygody – i w jednej sekundzie oboje spadli na ziemię. On także dosłownie, a w przenośni – w swoje przemilczenia, ona niczym próbujący odlecieć ptak znów nie dała rady szarpnięta liną pamięci. Ciągle mocno trzymała.

27 Włoski wermut o ciemnobrązowej barwie i gorzkim smaku. Według niektórych nazwa pochodzi od określenia „punkt i połowa” w piemonckim: jeden punkt słodkiego i pół gorzkiego smaku.

28 Żadnych lekarzy. Proszę mnie zostawić w spokoju (ang.)

Arena / Koloseum

Wracił do swojego azylu wyczerpany. Do zmęczenia doszło poirytowanie i strach. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie popełnił błąd z dawkowaniem leku. Od wielu miesięcy egzystował bez żadnej wpadki, spał wielogodzinnym snem głównie w samolotach, potrzebną w pracy przytomność osiągał dzięki regularnie połykanym Modafinilem. Do tej pory wszystko grało, żadnych wyłączeń świadomości, rozbitych głów, straconych portfeli.

Nie mógł jej wystraszyć, nie chciał litości, ale przede wszystkim nadmiernego zainteresowania. Bo w czasie ataku był bezbronny.

Musi to przemyśleć, lepiej zorganizować, zaszyć się na chwilę i wyregulować dawkowanie. Kontrola, potrzebna mu pełna kontrola. Pomyślał, że zdenerwowanie wyrzuci z siebie, idąc do domu pieszo. Wypaceruje strach, uspokoi myśli. Sięgnął po komórkę, by sprawdzić, czy jest ustawiona. Całe szczęście! Pewnie dotykała jej ona lub kelner, co wywołało automatyczne pojawienie się wiadomości, a potem samoistne wyłączenie. W myślach podziękował temu, który stworzył ją tak, by rozpoznawała linie papilarne, twarz i źrenice Davida. Już niejedną raz uratowało go biometryczne zabezpieczenie telefonu. W kieszeni marynarki spokojnie tkwiło laminowane zaświadczenie lekarskie. W zasadzie instrukcja postępowania dla przypadkowego znalazcy Davida w stanie śpiączki. Przydała się kilkakrotnie.

Szedł na skróty, przemierzając miasto na pamięć, jak lotnisko w Monachium, jak wiele innych portów lotniczych i metropolii. Postanowił przeciąć park Trajana, unikając przy okazji ruchliwej via Cavour czy monumentalnej nie tylko z nazwy via dei Fori Imperiali. Dochodząc do bramy parku, dostrzegł pocztówkową sylwetkę Koloseum i wtedy nastąpił kolejny atak.

Ze zdziwieniem osunął się na ścieżkę, a jego mózg posłusznie wrócił do ostatniego obrazu, jaki zarejestrowały oczy, i odegrał własne *show*.

Kaskada obrazów spadła na bezbronnego Davida. Drewniana podłoga amfiteatru była gęsto pokryta przerażonymi zwierzętami. Wygłodzone, trzymane w ciemności i tylko o wodzie lwy, tygrysy i niedźwiedzie w obłądnie głodu i strachu rzucały się sobie do gardeł. Trójkątnie zakończonymi grotami strzał trafiano w chybotające się od paniki długie szyje strusi, które bezładnie i nadal całą grupą próbowały ucieczki z zamkniętej przestrzeni. Z podobnym upodobaniem trafiano w proszące się wręcz o ścięcie żyrafy, których głowy spadały na deski Koloseum z zamrożonymi grozą oczami, w ostatniej chwili zamykanymi miłościwie długimi, zalotnymi rzęsami. Nikt ich nie dostrzegał pod hektolitrami krwi i kolejnymi warstwami martwych ciał. Jeden dzień rozrywki najwyższego gatunku tylko w tym jednym amfiteatrze pochłonął istnienie pięciuset lwów, czterystu lampartów i stu niedźwiedzi. David znał te liczby na pamięć, płynęły wraz ze zwierzęcą krwią prosto w jego kierunku. Otwarcie Koloseum – pięć tysięcy zwierząt, kolejne dwa dni przyniosły śmierć jeszcze trzem tysiącom. Wydanym na pastwę nienasyconych ludzi.

David zdążył jeszcze zobaczyć jedyną scenę uniesienia kciuków w górę, jedyny moment miłosierdzia i łaski. Kiedy na scenę wypuszczono stado około dwudziestu słońi wraz z dwoma młodymi cielętami, ryczącymi żałośnie samicami i ich dziećmi. Poranione, oszalałe z przerażenia i gniewu jednocześnie, oszczędzono. Tę jedną grupę los ich pobratymców spotkał wkrótce, mimo gestu ocalenia. Północnoafrykański słoń znikł z powierzchni ziemi.

Nagły przebłysk błękitu uświadomił mu, że już po wszystkim. Ile razy już widział niebo z pozycji leżącej? Nie chciał wiedzieć. Po raz drugi tego dnia usiadł na ziemi, usilnie starając się wrócić do rzeczywistości. Szybko rozejrzał się wokół siebie. To już zakrawało na cud, żadnych ludzi, żadnych świadków, żadnych kłopotów. Wrócił świadomością do parku Trajana.

– *Damn it*²⁹ – powiedział na głos uspokojony tym, że nikt nie usłyszy. To niebezpiecznie dużo, dwa ataki w jeden dzień. Jeszcze jedna dawka Modafinilu wylądowała w jego ciele. Otrzepta ubranie, stwierdzając przy okazji, że portfel i komórka są na miejscu.

– *Gott sei dank*³⁰ – mruknął do siebie, tym razem nie było w jego głosie wdzięczności, raczej sarkazm. – Zachciało mi się spacerów. – Dziś sporo rozmawiał ze sobą.

Po wyjściu na ulicę złapał szybko taksówkę i już bez przeszkód dojechał do najstarszej części miasta. Wszedł do wynajmowanego na stałe mieszkania na Teatro della Pace. Zamknął za sobą wielkie, drewniane drzwi i z ulgą padł na wysokie antyczne łoże.

Pomyślał o Selinie. Miła dziewczyna, miała w sobie świeżość i naiwność. Rzadka rzecz u kobiet w dzisiejszych czasach. Nie potrafił jej połączyć z zaludniającym chodniki miast tłumem coraz bardziej upodabniających się do siebie kobiet. Filmowo sztucznych, ociekających seksem zamiast seksapilem, natrętą i przerysowaną kobiecością zamiast tajemnicy i delikatności. Przypominała mu od zawsze rzadki gatunek prawdziwych kobiet, niepotrzebujących podrasowania, błyszczącego opakowania i wszystkich światła zwróconych na siebie. Ciągnęła za sobą dyskretny cień smutku. Coś, co pojawiała się nagle jak jego narkolepsja. Z tym, że ona była w stanie zepchnąć to szybko i głęboko. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Miła dziewczyna – zdążył jeszcze podsumować, zanim zobaczył komunikat na laptopie. Wysyłany przez specjalną aplikację, monitorującą cały glob.

Kierunek: RPA – Góra Stołowa.

No pięknie, dalej się nie dało? Ta podróż może mu zająć trochę czasu, a ona nie będzie w Rzymie w nieskończoność. Musi do niej zadzwonić w sprawie kolejnej książki. Uśmiechnął się do okrągłego lustra w maleńkiej łazience. Trzy zadania, jak w bajce. Może dla niej – pomyślał, gasząc uśmiech – bo dla ciebie

nie ma już żadnych baśni.

– Może test numer dwa? – Zdegustowany własnym słownictwem szybko przemianował test na zadanie.

Ten starodruk nigdy nie był dla niego szczególnie ważny. Piętnasty egzemplarz *Boskiej komedii* Dantego, oficjalnie zachowało się tylko czternaście z wyjściowych trzystu. Słynna drukarnia Johanna Neumaistera i Evangelisty Angelini da Trevi, 1472. Zamknął oczy, usiłując przypomnieć sobie wygląd stron. Nieodmiennie w tym miejscu uśmiechnął się ironicznie na wspomnienie opisów Czyśćca, Piekła i Raju.

Idiotyczne legendy, znał ich zbyt wiele. Niesamowite, co ludzie, a szczególnie hierarchowie Kościoła, potrafią zrobić z prawdą i niewygodnymi faktami.

Starodruk nie był szczególnie zniszczony, ale nawet tak dobry papier, na którym wówczas pisano, i tak trwałe pigmenty, jakich używano kiedyś, w końcu dają za wygraną. Nic nie jest wieczne, chyba poza podróżami – pomyślał, czując zalegające w ciele zmęczenie.

Tak, to będzie niezła próba, biorąc pod uwagę fakt, że tu, w ojczyźnie pisarza, Towarzystwo Dantego zapłaciłoby każde pieniądze za jeszcze jeden, praktycznie nienaruszony egzemplarz.

Na razie zdała pierwszy test na lojalność. Pojawiał się nowy, a w zasadzie stary problem: David zdawał sobie sprawę, że nie jest jej obojętny. Do tego też zdążył się już przyzwyczać. Jaka kobieta nie lubi tajemnic? Uwielbiają rozkładać mężczyzn na czynniki pierwsze, szczególnie wtedy, gdy jest to trudne. Przyciąga ich to, czego nie można mieć.

Do kroćset! Pomyślał, że niepotrzebnie brał Modafinil, skoro czeka go tak długi lot i tak trudna podróż. Trzeba było zachować siły na później. Jedna dawka to spokojnie piętnaście godzin przytomności, a łyknął dwie. Ta pierwsza nie zadziałała na czas, bo wziął ją za późno. Teraz jednak miał co najmniej dobrą

zupełnej jasności umysłu, podwójna porcja leku już krążyła w jego krwiobiegu. Ok, odeśpi kiedyś, jak nie w tym, to w innym samolocie, a teraz... Tak, teraz zadzwoni do Seliny. Piątkowy wieczór to dopiero początek życia w tym mieście. Wytłumaczy jej, że nagle musi wyjechać, a jest tak zachwycony jej pracą nad hiszpańskimi metodami łowienia ryb na przynętę, że pod wpływem impulsu i perspektywy dłuższej nieobecności chce jej zlecić renowację kolejnego starodruku. Nie odmówi, gdy dowie się, o jaką książkę chodzi. Pieniądzy, jakie jest w stanie zaoferować David, też nie będzie potrafiła odrzucić.

Przebrał się w jedwabną, bladozieloną koszulę i dobry, niemal czarny garnitur. Niemal stanowiło tu zasadniczą jakościową różnicę. Sprawdził godzinę i wykonał szybki telefon do banku. Może nie najlepszego, ale na pewno najstarszego, nie tylko tu, we Włoszech, ale na świecie. Działającego nieprzerwanie od czasu swego założenia w 1472 w Sienie. Nie mógł odwiedzić szpitala, w którym się urodził, szkoły, w której stawiał pierwsze litery, ani... Ech, przynajmniej nazwa banku była od stuleci ta sama. Ciągłe jeszcze nie zmienił schronienia dla swojego jedyne go majątku, przeprowadzkę przeniósł na później. Kiedy będzie już po wszystkim.

Szybko znalazł się na via Gulia pod niedużym napisem: Banca Monte dei Paschi di Siena. Został wpuszczony po godzinach specjalnym wejściem do małego pomieszczenia, wewnętrznego sejfu dla szczególnych klientów. Sięgnął do wyższej niż poprzednio szuflady. Do niego należała cała pionowa kolumna metalowych kaset, ale tak naprawdę ważne były te trzy ostatnie.

Włożył poradnik wędkowania, starannie zamknął na klucz, jednocześnie przeklinając w duchu Franco i dziękując mu zarazem. Jego wędkarskie hobby i nieposkromiony apetyt na antyki oddały Davidowi nieocenioną przysługę. Przekierowały w jego ręce książkę, która stała się papierkiem lakmusowym lojalności i dyskrecji Seliny. Potem otworzył szufladę wyżej. Nad nią została już tylko jedna.

Kwadrans później wybrał jej numer i poczuł ciepło zadowolenia, gdy odebrała niemal od razu.

– Selino, przepraszam, że dzwonię o tej porze... – Słuchał przez chwilę jej radosnego głosu i szybkich wyjaśnień, że w zasadzie nic nie robi, czeka na telefon od matki, a poza tym ma leniwy weekend. Nic, żadnych terminów, planów.

– To dobrze. Okazało się, że muszę jutro wyjechać. Wiem, wiem... W każdym razie jestem pod wrażeniem tego, co zrobiłaś z... I mam dla ciebie kolejne zlecenie. Oczywiście w wolnej chwili, nie spieszy się. Ale skoro będę jakiś czas nieobecny, a ty mówiłaś, że zbierasz fundusze na nieobarczony kredytem własny ką, może jest to właściwy moment?

Milczała zaskoczona, ale nie dał jej pomyśleć.

– Słuchaj, wpadnę na krótko z książką, nie zajmę dużo czasu. W zasadzie muszę się pakować. Podasz mi adres?

Pół godziny później stanął w jej drzwiach z kwiatami oraz butelką drogiego wina w ramach przeprosin za nagłą wizytę. Trzymał kopertę, na którą Selina rzuciła zaintrygowane spojrzenia.

– Odkorkuję, niech złapie powietrza – powiedział. Postawił butelkę i nie pytając, sięgnął do szuflady, ale Selina nie wytrzymała.

– Najpierw to. – Delikatnie podniosła podbródek, wskazując jego dłonie.

David wyciągnął z szeleszczącej otuliny błękitnego papieru *Komedię*. Wstrzymała oddech, z niedowierzaniem patrząc na to, co trzyma. Podeszła bliżej, powoli, jakby bojąc się kogoś spłoszyć.

W końcu zebrała się na odwagę, wążąc każde słowo, zapytała ostrożnie:

– To też zbiory rodzinne? Dużo masz takich rzeczy?

Stał bardzo blisko niej. Czuł działanie leku, był absolutnie, krystalicznie przytomny. Kontury przedmiotów były podrasowane do poziomu rzeczy oglądanych przez trochę za mocne okulary. Wyraźnie czuł zapach jej perfum,

docenił użycie lokalnego wyciągu z irysa. Jak na powiększeniu widział pojedyncze lniane włosy opierające się końcami o jej ramiona, skórę ruszającą się nad uderzeniem pulsu, tuż nad obojczykiem. Zmysły Davida były tak wyostrzone, że niemal widział jej zdenerwowanie.

– Wiem, jak to może wyglądać. Mam dowód zakupu tej książki, jeśli chcesz, mogę...

Selina potrząsnęła głową, patrzyła na niego z niedowierzaniem, w końcu zaufanie przeważyło.

– Nie ma potrzeby, wierzę ci.

„Kolejny test, albo raczej zadanie, tym razem oczko wyżej” – pomyślał.

– Podobnie jak z *Wędkarstwem*, najważniejsza jest dla mnie anonimowość. Nie chcę być na żadnej liście, która natychmiast trafi do łowców białych kruków na całym świecie. To jest po prostu pamiątka – zawahał się. – Może kiedyś przekażę ją jakiemuś muzeum, kiedy będę na to gotowy...

Przyglądała mu się bez słowa. Czuł, że musi powiedzieć coś więcej, żeby ją przekonać.

– Może tak nie wygląda, ale ja naprawdę niewiele mam. W porównaniu z wieloma ludźmi, w zasadzie nic. Zgadza się, to co mam jest wyjątkowe, ale płacę ogromną cenę za to, by móc te pamiątki zatrzymać. Ryzykuję bardzo dużo, pokazując je tobie.

Uprzedził nieme pytanie w jej oczach.

– Już widzę te okładki najważniejszych gazet: „Bezcenny manuskrypt odnaleziony. Kluczową rolę odegrała młoda konserwator”...

– Przestań. – Selina zmarszczyła brwi, nie przyjęła tego jako żartu. – Jeśli milczenie ma być ceną za możliwość ratowania twoich zbiorów, będę milczeć aż po grób. Nie zrozum mnie źle, lubię mieć pieniądze, wystarczająco na swoje potrzeby. Ale naprawdę dużej sumy nie ogarnęłabym psychicznie.

– Na szczęście dla mnie. – David poczuł chęć przejechania dłonią po jej

włosach.

Przypomniały mu się kobiety z przeszłości. Czarne wieczory, przepastne noce, rozchylone usta i gorąca naga skóra. Zaraz jednak upomniał się w myślach, jest tu przecież zleceńodawcą, płaci, to byłoby nieetyczne.

Chociaż – przeszła go nagła myśl – może wcale nie byłoby źle mieć ją po swojej stronie, trochę bardziej niż teraz. Zawsze zmniejszałoby to ryzyko niedyskrecji z jej strony. Poza tym, podobała mu się, a on jej i chyba starała się kogoś zapomnieć. Mógł jej pomóc.

– Masz kieliszki? Wino czeka.

Zdekoncentrowana sama wzięła korkociąg i odebrała mu butelkę. Pozwolił. Patrzył teraz na nią, zapominając o tym, że ma przed sobą lekarza starodruków. Teraz była przede wszystkim kobietą. Jej skóra błyszczała, podobnie jak oczy i włosy, nagie ramiona na chwilę skrywały się pod ramiączkami sukienki, by ukazać się znów miękką linią schodzącą w dół, w kierunku piersi.

Selina z przerażeniem uzmysłowiła sobie, że od jakiegoś czasu myślała o tej chwili, ale teraz była na nią zupełnie nieprzygotowana. Stała na palcach, usiłując dosięgnąć kieliszków na najwyższej półce. Rozgrzana cisza osadzała się wokół nich, ciężka od niewypowiedzianych słów. Wszystkie ich wcześniejsze spotkania, spojrzenia i niedomówienia jak w soczewce skupiły się naraz w małej kuchni, zyskując momentalnie na gęstości i temperaturze. Nieruchoma obecność Davida za nią intensywniała. Selina nie mogła się odwrócić, przeciągała wycieranie kieliszka i najwolniej, jak się dało, wkręcała korkociąg. Słodko-gorzka fala uwodząco spłynęła krwistą smugą, wprawiając w wibracje inną czerwień, tę wypełniającą jej żyły.

Krew i wino wpadły w rezonans, niebaczne na dzielące je szkło kieliszka. Szepcząc do siebie i łącząc się w niepojęty sposób. Alkohol zmaćlił myśli Seliny, jeszcze zanim zdążyły dotknąć go jej usta. Boże, chyba jej się to wszystko wydaje. Spokojnie, skupić się, spowolnić oddech. To na nic, wszystko w niej

obracało się w jego kierunku. Bez udziału woli, a raczej wbrew niej. Z miejsca, w którym siedział, płynęła niewidoczna, ale realna energia. Mogła przysiąc, że czuła drobniutkie wyładowania wirujące wokół niej niczym świetliki. Albo bąbelki szampana, delikatnie i zmysłowo pękające na jej ciele.

Oczy Davida objęły nóżkę trzymanego przez nią kieliszka, potem jej dłoń. Przesunęły się po nadgarstku wzdłuż wewnętrznej strony przedramienia. Tam, gdzie skóra jest delikatniejsza, wrażliwa na każde muśnięcie. Jego wzrok wspiął się wyżej, na jej skronie, zatrzymał się na chwilę, a potem ześlizgnął na złoto-płowe kosmyki włosów. Delikatnie wszedł pod nie, zsunął się miękko po zagłębieniu szyi na obojczyk, mostek, a potem milimetr po milimetrze w dół. Bardzo powoli zakresił znak nieskończoności wokół jej piersi i na powrót wspiął się na twarz, by rozgościć się w kąciku jej ust.

Selina przygryzła dolną wargę. Nie widziała jego twarzy, ale czuła wędrówkę jego źrenic po swoim ciele. Jakby w odpowiedzi jej skóra zaczęła żyć własnym życiem, stężała w oczekiwaniu, aż bolało. Schmetterlinge im Bauch haben, jak mówią tam³¹...

– Spójrz na mnie.

Omam nie wylała zawartości kieliszka, słysząc polecenie. Nie dała rady. Oczy były zbyt ciężkie, by unieść je ponad kolistą krawędź kieliszka.

– Nie zrobię niczego bez twojego przyzwolenia.

Panika. Co teraz? Podała mu kieliszek, a on delikatnie, ale stanowczo przytrzymał jej palce. A może to ona nie mogła ich oderwać od jego dłoni.

– Nie wiem, czy chcę... – zaczęła wpatrzona w drgającą czerwień.

Wino znieruchomiało w kieliszku, pole magnetyczne straciło ładunek. Jakby niewidzialny dyrygent podniósł pałeczkę i zatrzymał muzykę. Cisza trwała tak długo, że Selina zaczęła się zastanawiać, czy on jeszcze tam stoi.

– Rozumiem, lepiej już pójdę – głos Davida zabrzmiał głucho, z oddali. – Zadzwoń po powrocie. Albo ty zadzwoń, jeśli zechcesz – dobiegło ją od drzwi.

Trzask zamka. Selina zrobiła krok naprzód, prawie wpadając w puste miejsce po Davidzie. A potem cisza przecięła jej oddech. Poczula, jak rozpada się na kawałki. Jak potrącona szklana figurka.

– Chryste, Max by nie wyszedł. – Zakryła usta dłonią, nie mogła uwierzyć w to, co właśnie powiedziała na głos.

[29](#) *Damnt it!* (ang.) – niech to szlag trafi!

[30](#) *Gott sei dank* (niem.) – dzięki Bogu.

[31](#) *Schmetterlinge im Bauch haben* (niem.) – motyle w żołądku; określenie stanu zakochania.

Zjawa

W porównaniu z Garmisch-Partenkirchen tu naprawdę było co robić. David czuł ogarniającą go desperację i zmęczenie. Masa pracy, dokumentowania, zdjęć, zatrzymywania obrazów w pamięci.

Od tygodnia metodycznie przemierzał teren na zupełnie poziomym szczycie Góry Stołowej, co jakiś czas patrząc w kierunku widocznego z niej Kapsztadu.

– Boże, tu trzeba się spieszyć. W zasadzie, gdzie nie trzeba?

Z zadumą przeczytał w broszurce wręczanej turystom, że na tym niedużym w gruncie rzeczy terenie występuje najwięcej zagrożonych gatunków. I mimo rabunkowej gospodarki leśnej, sprowadzania agresywnych, wypierających rodzime gatunki drzew, mimo wykradania rzadkich roślin, które miały być cudownym lekiem, ten skrawek łądu nadal był domem większej różnorodności roślinnego i zwierzęcego bogactwa niż całe Wyspy Brytyjskie. Miejsca, z którego między innymi przybyli ci, którzy większą jego część już obrócili w perzynę. Bogactwa, które według Davida powalało na kolana pięknem, niezwykłością rozmachu stworzenia. Wydawałoby się, że powinno zachwycać ludzi.

Powinno, w rzeczywistości ludzie mieli to gdzieś. Jak zawsze, jak każde bogactwo, służyło do wykorzystania, zawłaszczenia, zarobienia. Tylko jeszcze jedno drzewo, jeden kwiat, jedno zwierzę. Mała plantacja szybciej rosnących drzew. Nic się nie stało, świat nadal istniał, a wraz z nim to, co było wcześniej. Tylko trochę dalej przesunęliśmy granice, to wszystko. Zresztą nie widać żadnych gwałtownych zmian, prawda? Nikt się nie upomina, rośliny cicho rosną zapewne gdzie indziej, a zwierzęta przeprowadziły się troszkę bardziej w głąb lasu. Nikt nie chce być tym jednym frajerem stojącym z boku i wierzącym w jakieś tam ideały, podczas gdy inni właśnie mnożą zyski.

David przystanął nad jednym z dziesiątek małych strumieni przecinających płaskowyż góry. Powoli przysiadł i pozostał nieruchomo przez długie minuty, wpatrując się w małe ciało równie nieporuszenie wpatrujące się w niego złotomiedzianymi oczami. Zielonkawa, połyskująca w słońcu skóra, nakrapiana fioletowymi, przechodzącymi w czerwono-brunatne plamami, trzy śmiesznie zakończone palce przy każdej łapce i wrażenie nierealności.

– *Ghost frog* – cicho odezwał się David. Nie próbował dotknąć zjawy. Bo siedząca przed nim żaba była już właściwie duchem swego gatunku, dogorywała w strumieniach i kałużach tej jednej góry. Podobnie jak srebrne drzewo, nazywane przez nowych panów tej ziemi Kirstenbosch, czy mięciutki i wścibski góralek przylądkowy, którego łajno miało być cudownym lekiem na epilepsję.

Obraz lamparta z cypla zdążył zachować w pamięci w ostatniej chwili, w 1920. Od tej pory znajdowano ponoć jego ślady, ale nikt go tak naprawdę nie widział. Na zawsze zniknęły z okolic góry czarny słoń buszowy, czarny nosorożec, antylopy kudu, eland, górskie zebra i bontebok.

I co, życie jakoś toczyło się dalej. Z nimi czy bez nich, jak mawiają ludzie.

Postanowił przerwać te rozmyślania, starając się po raz kolejny przekonać samego siebie, że tylko głupiec traci nerwy na rzeczy, na które nie ma wpływu. Czekala go praca do wykonania i nadzieja, że jej rozmiar i zakres po prostu nie pozostawiają mu czasu na myślenie i czucie. Szczególnie to ostatnie, nikt nie lubi bólu, prawda? Nie w takich dawkach i nieprzerwanie.

Usiadł ostrożnie koło znieruchomiącej żaby i wciągnął głęboko w płuca zapach oceanu. Przez chwilę miał wrażenie, że czuje zapach innego urwiska, innej zatoki. Ciekawe, jak sobie radzi motyl – pomyślał. I czy te wszystkie drobne elementy układanki, niezliczone puzzle wielkiego kiedyś obrazu mają znaczenie. Czy brak ciebie – tu pochylił się konfidencjonalnie w stronę właścicielki złotych oczu – zniknięcie błękitnego kolegi z drugiej strony oceanu ma jakieś znaczenie? Może nieprzebrane bogactwo świata nie musi być stałe,

może jakoś to się kiedyś wyrówna, zagoi? David bał się myśleć o innej wersji. Że te znikające fragmenty powodują coraz wyraźniejsze rysy na większej całości, że pęka jakiś fundament albo przechyla gdzieś równowaga istnień. Nie mógł się pozbyć uczucia, że każdy motyl miał gdzieś swoją żabę, każde srebrne drzewo... Nie widział łączących je nici, ale wyczuwał ich istnienie.

Nie jego zmartwienie, on był tylko od zbierania, kolekcjonowania, zapamiętywania tego, co ginie. Taki wybrał sobie cel podróży. Dawno temu, kiedy jeszcze wydawało mu się to fascynującym, rozwijającym zajęciem. Jakąś linią orientacyjną pomagającą mu porządkować przeszłość. Niezbyt czasochłonnym hobby, przy którym miał czas na odpoczynek, zwiedzanie, kobiety...

Ostatnie stulecia przyniosły jednak tyle zmian, że obecny rozkład podróży Davida zaczynał przypominać wykres chorego, któremu błyskawicznie podnosi się gorączka. Najgorsze, że ta gorączka zaczęła obejmować cały glob. Nerwowo i coraz szybciej rejestrował znikające akty stworzenia, zastanawiając się, dokąd odchodzą, w co zostają przekształcone wielkie lasy i puszcze, ciała zwierząt, nurty rzek. Co dzieje się z przeoraną, zaduszoną betonem, zatrutą ściekami ziemią? Zmuszaną do przekraczających jej siły porodów, plonów zatrutych od samego początku chemią ludzkiej chciwości.

Małe, pozornie nic nieznaczące fragmenty zaczęły znikać wszędzie. Duże też, coraz szybciej. Ale przecież w przyrodzie nic nie ginie. Czyż nie tego uczą się w szkołach sprawcy tej gry? Choć kostki domina padają jedna po drugiej.

Oczywiście, nie wszyscy byli tak głupi czy źli, wielu widziało, w jakim kierunku zmierzają. Ale David wiedział, jak potężny jest nacisk teraźniejszości, chwili, w której żyli. Intensywność dnia dzisiejszego. Gdyby mógł coś odczuwać w takim stopniu jak ich ograniczone śmiercią istnienia, pewnie zachowywałyby się podobnie. Ale to minęło... Zawsze jest coś za coś.

Kiedyś, dawno temu, David rejestrował znikających ludzi. Masakry, rzezie,

epidemie, wojny. Umierające dzieci, zabijane całe wioski, miasta i narody. Potem stał się na to obojętny. Ile by tego nie było, ludzie plenili się dalej, z coraz większą gorliwością i prędkością, popełniając te same okrucieństwa i te same błędy. Coraz skuteczniejsi i coraz szybsi.

Zgorzknienie wzięło górę, ludzie stali się mu obcy i w zasadzie wrodzy. To przez nich jeździł, bo wbrew legendzie rozpowszechnionej przez tego mnicha³² ośmielił się wypowiedzieć przeciw polityce cierpliwości, miłości i wiecznie dawanej szansy. To przez nich nie spał i potrzebował leków. To przez nich w końcu żył ostatnio w poczuciu permanentnej apokalipsy. Zlekceważył zalecenia z góry, rejestrował wszystko poza nimi.

Był przekonany, że wtedy miał rację. Kara była niesprawiedliwa, oczywiście sprzedano ją światu zupełnie inaczej. Trudno. Prawda nigdy nie była lubiana przez tłumy.

³² Matthieu Paris (1200–1259) – mnich benedyktyński, angielski kronikarz, artysta iluminator i kartograf, osiadły w opactwie St. Albans Abbey w Hertfordshire. Autor pierwszej pisemnej wersji legendy o Wiecznym Wędrowcu.

ROZDZIAŁ III

Zatoka

Przez pierwsze tygodnie po przyjeździe Max dopasowywał siebie do tego miejsca jak ciasto do nowej formy. Przestrzeń uległa dekompresji, a odległości wystrzeliły. Odcyfrowywał nowy kod międzyludzkich znaków i gestów. Budował wewnętrzne mapy okolicy. Tu wjazd na autostradę, tam lokalny market, tu apteka ciągle jeszcze bawiąca go swą nazwą – *drugstore*. Ubezpieczenia, lekarze, winnice. Wielka, ekscytująca wycieczka. Zajął umysł poznawaniem i przyswajaniem innego kontynentu i kraju. Innej historii. Całym sobą przestawiał się na myślenie i wyrażanie siebie w innym języku.

Momenty przegrzania na łączach zdarzały mu się rzadko, ale jednak. Szedł wtedy pogadać z Martinem i Klaudią, jego niemiecką żoną. Okazji nie było wiele, byli naprawdę po amerykańsku *busy*³³. Winnica miała potencjał na rozkręcenie, ale wymagała mnóstwa pracy. Martin budował sklep z winem stylizowany na czasy Dzikiego Zachodu, specjalne pomieszczenie z małą salką, w której miały się odbywać prezentacje, projekcje filmów oraz warsztaty z enologii.

Także same piwnice, w których długimi rzędami leżały butelki o wysmukłych szyjkach, przypominające Maxowi *Liebfraumilch*³⁴, wymagały kilku prac wykończeniowych – prostych mebli i półek – ale miał zajęcie. Co innego sklep, tu mógł popisać się stworzeniem regałów wyglądających na stare, małego kantorka, ozdobnych stojaków i ręcznie robionych drewnianych tabliczek z nazwami szczepów winorośli.

Praca dawała mu radość i wytchnienie. Kochał drewno, jego realność,

zapach. Dla Maxa drewno zawsze żyło, nawet stulecia po ścięciu drzewa. Czuł jego oddech, zadowolenie, gdy było dobrze zakonserwowane i traktowane z czułością. Ból, gdy zostawiano je samemu sobie, pozwalając niszczyć, wysychać albo – co najgorsze – gnić.

Nie pojmował, jak można poświęcić życie na rzeczy wirtualne: rzędy cyfr, marketing czy nieuchwytny gry giełdowe. Nie potrafił tego zrozumieć, uchwycić stojących za tym ludzi. Potrzebował rzeczy namacalnych, żywych. Najchętniej zrobionych przez siebie. Od nowa, tu i teraz. Fascynowała go praca w nowym drewnie, jakiego z oczywistych względów nie używał w Europie – choina kanadyjska, amerykańska sosna, północnoamerykański orzech... Drewno inne od tego, które znały jego palce.

W pierwszym miesiącach po przyjeździe objechał chyba połowę z ponad czterystu znajdujących się tu winnic. Dał się także zaciągnąć do muzeum Snoopy'ego³⁵ i jego twórcy, Charlesa Schulza. Kiedyś z upodobaniem czytał *Fistaszki*³⁶, nawet gdy był już dorosły. Ze wzruszeniem przeczytał biografię rysownika o mieszanym, niemiecko-norweskim pochodzeniu, który od dziecka chciał być twórcą komiksów. Ciekawe, co w tamtych czasach myśleli o tym jego starzy.

Kupił kilka książek dla córki Martina. Miała dopiero pięć lat, ale pomyślał, że posłużą jej długo.

Kilka razy poczuł ukłucie tęsknoty za Europą. Doliny Napy i Sonomy do złudzenia przypominały krajobrazy Toskanii czy Umbrii. Tak bardzo, że momentami dopiero angielskie napisy na drogowskazach czy tabliczki z nazwami winnic uświadamiały mu, że znalazł się o tysiące kilometrów od Italii. Przejechał się do kilku z nich, przedłużając na chwilę wiszącą w powietrzu fatamorganę Starego Kontynentu.

W tym pierwszym miesiącu dawał z siebie wszystko, a nawet więcej, niż mógł. Wdzięczny Martinowi za bezwarunkową pomoc i przyjęcie go praktycznie

bez jednego pytania. Pracą rozbrajał głęboko ukryte ładunki gniewu, frustracji i – czego sam nie chciał przyznać przed sobą – sporych obaw. Zaczynał od zera i momentami bał się, że długo pozostanie na tym poziomie.

Na szczęście praca w winnicy zetknęła go z właścicielami sąsiednich plantacji, klientami, turystami przejeżdżającymi przez teren będący jedną z największych atrakcji Kalifornii. Dało mu to najważniejszą rzecz: kontakty oraz przyszłych klientów.

Specjalista od stron internetowych tworzący wirtualny sklep i informację o winnicy Martina, w pakiecie dołączył mniejszą, ale świetnie zaprojektowaną internetową wizytówkę dla Maxa. Pozostawało tylko wpisać adres. Prywatny i warsztatu. Max, w przeciwieństwie do wielu kolegów po fachu, nie łączył tych rzeczy. Wiedział, że chce mieszkać w mieście. Wydawało mu się niemożliwością nie skorzystać z takiej szansy jak bliskość San Francisco. Najmniejsza klitka, ale tylko tam. Warsztat mógł mieć gdziekolwiek.

Zadzwoił do kilku poleconych mu agencji. Wiedział dokładnie, czego szuka, i dość szybko zostało mu zaledwie kilka miejsc do obejrzenia.

[33](#) *Busy* (ang.) – zajęty.

[34](#) *Liebfraumilch* (niem.) – półsłodkie, białe wino z Niemiec. Nazwa oznacza dosłownie „mleko ukochanej Pani [Maryi]”, oryginalnie produkowane w winnicach kościoła Mariackiego w Wormacji.

[35](#) *Snoopy* – fikcyjna postać ze słynnego komiksu *Peanuts* (*Fistaszki*).

[36](#) *Fistaszki* (ang. *Peanuts*) – czterokadrowy komiks, dla którego scenariusz i ilustracje stworzył Charles Schulz. Ukazywał się od 2 października 1950 do 13 lutego 2000 r. (dzień po śmierci Schulza). *Fistaszki* opublikowano w wydaniach ponad 2600 gazet, miały 355 mln czytelników w 75 krajach. Przetłumaczono je na 21 języków. Komiks jest opisywany jako „najlepszy przykład amerykańskiej historii sukcesu w branży komiksowej”, co w ironiczny sposób koresponduje z motywem „wielkiej amerykańskiej historii braku sukcesu”. Jego reprezentantem jest główny bohater Charlie Brown, który jest potulny, nerwowy, brak mu pewności siebie, nie potrafi puszcząć latawców, przegrywa w baseball i ma problemy z kopnięciem piłki do futbolu amerykańskiego.

Przynęta

Zaintrygował ją w chwili, gdy z papierami w ręku wkroczył do agencji. Drzwi otworzył z impetem, mocno uściskał jej dłoń. Inny niż tutejsi faceci. Patrzył prosto w oczy i jawnie ocenił wzrokiem całą jej sylwetkę. Jessie przedstawiła mu trzy oferty wybrane według jego kryteriów. Decyzja zajęła mu niecałe dwie minuty.

– Nob Hill³⁷.

Powiedział, że pozostałe go nie interesują. Tak po prostu! Żadnego „doceniam twoją pracę, zaangażowanie i godziny spędzone na porównywaniu”.

Pojechali natychmiast. Apartament był niezamieszkały. Max od razu wyczuł, że to okazja, ślepy traf. Zaczął szukać akurat w momencie, gdy mieszkanie pojawiło się na rynku. Na pytanie, dlaczego apartament w takim miejscu ma być wynajęty za tak niewygórowaną cenę, Jessie oględnie wyjaśniła okoliczności. Właściciel od tygodnia siedział na Florydzie załamany po śmierci wieloletniego partnera. Stara się zapomnieć o wszystkim.

– Zmiana otoczenia?

Przez krótką chwilę dostrzegła przygnębienie w jego wodnistych oczach. Oparł się o futrynę, jakby coś rozważając.

– To AIDS?

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała zaskoczona jego bezpośredniością.

Skomentował krótko:

– W każdym razie *welcome to San Francisco*.

Zachęcona bezpośrednim zachowaniem zaryzykowała:

– Masz coś przeciw, no... Przeciw jednej trzeciej męskiej populacji miasta?

– Gejom? Nigdy w życiu, w zasadzie jestem im wdzięczny. Mniejsza konkurencja, prawda? – powiedział to mocnym, wręcz agresywnym tonem. Patrzył jej przy tym prosto w oczy, jakby sprawdzając reakcję.

Mniejsza konkurencja! Udała, że nie rozumie. Pomyślała wtedy, że jednak Europejczycy są inni. Delikatnie powiedziawszy: *rude*³⁸.

Mieszkanie było nieduże: dwa gustownie wykończone pokoje, kuchnia, łazienka. Zlekceważył wszystko, co latami nagromadził w nim właściciel. Jego wzrok padł na długi stół z krzesłami, witrynę, framugi drzwi i piękne drewniane okiennice wewnętrzne. Widziała, jak zaskakująco delikatnie przejechał dłonią po drewnianych meblach.

– To wszystko zrobili Amisze³⁹.

Pokiwał ze zrozumieniem głową, jeszcze raz na do widzenia przesunął delikatnie dłonią po cieplej od słońca powierzchni orzechowego stołu.

Apartament był do wzięcia ze wszystkim. Zaraz i po bardzo rozsądnej cenie – kolejna rzadkość. Max był przyzwyczajony do zupełnie pustych mieszkań na wynajem w jego ojczyźnie, czasem pozbawionych nawet żarówek. Teraz nie mógł ochłonąć z szoku. Dan Terpstra zabrał tylko to, co niezbędne: dokumenty oraz sporo wspomnień w postaci walizki pełnej zdjęć i listów.

W oknach wisiały ciężkie jedwabne kotary, w łazience stały rzędy buteleczek i pudełek, kosmetyki, leki, nawet nieotwarte nici dentystyczne. W salonie i sypialni intrygowały piękne chińskie lampy, na ścianie, na wprost wielkiego tarasowego okna wisiała gigantyczna i – o dziwo – niekiczowata fototapeta z obrazem mostu. Kompletnie urządzona kuchnia, oprócz porcelanowej zastawy prosto z Japonii, z praktycznie poukrywanymi schowkami z niezbędnymi sprzętami. Wyciskarka do soku, otwieracze do chyba wszystkiego, parowar, a nawet zestaw końcówek do robienia najbardziej fantazyjnych wzorów ze śmietany i lukru.

– To naprawdę się tu zdarza?

– Tak, w ubiegłym miesiącu sprzedawaliśmy dom na północ od miasta. Właściciel nagle zapragnął wszystko urządzić zupełnie inaczej. Nie chciał się sugerować zabieranymi meblami i wyposażeniem. Dom kupiła rodzina, wszystko – podkreśliła z naciskiem – wszystko poszło na aukcji na cele charytatywne.

Pokiwał głową z uznaniem, rozejrzał się jeszcze raz, a potem rzucił krótkie:

– Biorę.

Jessie odetchnęła, chciała jak najszybciej wrócić do biura. Czuła się nieswojo, nie bardzo wiedziała, co i jak mówić przy tym dziwnym, obcesowym i na pewno trochę nieobecnych myślami kliencie. Po raz pierwszy zawiodły ją elokwencja i doświadczenie w tym biznesie. Intrygował ją, ale jednocześnie czuła się przy nim zagubiona niczym praktykantka, która dopiero uczy się reguł rządzących światem nieruchomości. A tego nie lubiła.

Podpisali umowę, szybko ustalając datę przekazania kluczy na weekend. Był wtorek, to też zapamiętała. Może dlatego, że już w piątek zadzwonił z kolejnym zleceniem. Szukał miejsca na pracownię, najchętniej w pobliżu wody. Niekoniecznie na terenie miasta.

Najważniejsze były dla niego rozmiar i względnie duża odległość od innych domów. Wytłumaczył jej to specyfiką swojej pracy oraz hałasem towarzyszącym obróbce drewna.

Od rozpoczęcia poszukiwań do podpisania końcowej umowy upłynął prawie miesiąc. W tym czasie zdążyła mu pokazać kilkanaście potencjalnie interesujących miejsc, ale dopiero położony w Sausalito⁴⁰ zielonkawy hangar, należący niegdyś do miłośnika szybowców, rozpałił jego nieobecne spojrzenie. Niemal identycznie jak wtedy na Nob Hill, rozejrzał się, rzucił okiem na opis i cenę, a potem zakomunikował jej:

– Biorę.

W czasie tego miesiąca jej nastawienie wobec intrygującego klienta zmieniło się diametralnie. Jak odchylona igła kompasu w pobliżu źródła silnego

przyciągania. Nie mogła się doczekać kolejnych wizji lokalnych. Z jednej strony stawała na rzesach, by wyszukać dla niego najlepsze, najbardziej oryginalne oferty, z drugiej łapał ją strach. Jeśli znajdzie tę właściwą, to straci pretekst do zobaczenia się z nim.

W hangarze wpadła w prawdziwą panikę. Podpisując umowę, zastanawiała się nad punktem zaczepienia, pretekstem, aby do niego zadzwonić. Max stał się jej wyzwaniem.

„Meble!” – pomyślała w natchnieniu. To jest to, neutralny i czasochłonny powód. Bez drgnienia powieki zaakceptowała cenę, którą podał. Skłamała, że potrzebuje wyjątkowego okrągłego, najchętniej intarsjowanego stołu dla rodziców. Prezentu na okrągłą rocznicę ich ślubu.

– Którą? – zapytał, nie patrząc na nią.

– Czterdziestą – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Niesamowite, prawda? Ciągle razem, zresztą od dziecka tak ich pamiętam. Prawie się nie rozstają...

– Przedwojenne pokolenie, teraz to już rzadkość – powiedział obojętnym tonem, tak jakby komentował nieuchronność zmian klimatu czy mniejszą dzietność w rodzinach.

– Właśnie, czy to nie smutne? – Jessie co jakiś czas sondowała, co myśli na tematy inne niż drewno.

– Nie wiem, może tak musi być. – Spojrzał nieuważnie. – Przepraszam, jestem umówiony i muszę dojechać na drugą stronę zatoki⁴¹. Zadzwonię w sprawie kluczy. Rozumiem, że wszystko to – wskazał ruchem głowy puszki po farbie, smarach i olejach lotniczych – zniknie do tego czasu?

– Oczywiście, to było zbędne pytanie – zaryzykowała mało profesjonalną odpowiedź.

– Super, dziękuję bardzo. – Wyciągnął rękę na pożegnanie i po raz pierwszy naprawdę uśmiechnął się. Przytrzymał jej dłoń i jakby przypominając sobie o czymś, dodał: – Musimy to opić, dwie tak udane transakcje! Miałybyś czas

w weekend, po przekazaniu kluczy?

Zanim się zastanowiła, powiedziała „tak”.

37 Nob Hill – położona na jednym z siedmiu oryginalnych (w sumie jest ich czterdzieści cztery) wzgórz dzielnica San Francisco. Znana z wiktoriańskich domów, pięknych widoków, świetnych barów i restauracji.

38 *Rude* (ang.) – niegrzeczny, nieprzyjemny.

39 Amisze – chrześcijańska wspólnota protestancka wywodząca się ze Szwajcarii, konserwatywny odłam anabaptystów. Znani głównie z odizolowania od cywilizacji, religijności oraz świetnych rzemieślników, szczególnie stolarzy.

40 Sausalito – miasto położone na północ od San Francisco, po drugiej stronie mostu Golden Gate.

41 San Francisco Bay.

Greens

Opijanie zmieniło się w całkiem elegancką kolację w jednej z najlepszych restauracji wegetariańskich w mieście. Przynajmniej, jeśli chodzi o widok. Jessie nie jadła mięsa i Max postanowił wyszukać coś specjalnego. Takie mieszkanie, jakie udało mu się wynająć na Nob Hill, pojawiało się na rynku rzadko, czasem znikало, zanim ktokolwiek dowiedział się o nim. Wiedział, że zawdzięcza to przede wszystkim nieskalanej uczciwości agentki. Swój nowy warsztat lubił chyba jeszcze bardziej. Dwa świetne miejsca to dużo jak na start w nowym kraju.

Podobała mu się. *Strawberry⁴² blond* – lubił to określenie rudawych blondynek. Typ dobrej kumpeli, takiej do wspólnego wypadu na mecz i piwo, do wysłania po coś na kaca. Do wygadania się pewnie też.

– Zdrowa, amerykańska dziewczyna – powiedział do siebie na głos i szybko zaczął się rozglądać za swoją ulubioną marynarką. Głównie po to, by nie zauważyć cienia sarkazmu we własnym głosie.

W Greens⁴³ zjawił się dziesięć minut przed nią. Nie znał tego miejsca i chciał się upewnić, że dostał stolik z obiecany nieograniczonym widokiem na zatokę.

– Fantastycznie. – Z wdzięcznością spojrzął na kelnera, który wskazał mu miejsce.

Sto osiemdziesiąt stopni – w takim zakresie mógł obejmować wzrokiem kołyszące się na przystani łodzie i zamglony kontur mostu.

– Patrzysz na naszą słynną klimatyzację matki natury. – Jessie miała lekko zaróżowioną skórę na dekolcie i usiłowała nie dać po sobie poznać, jak bardzo się denerwuje.

Max podniósł się i przez chwilę miał ochotę po prostu pocałować ją w oba policzki, po europejsku, ale zrezygnował. Za wcześnie, nie był pewien, jak

zareaguje.

– Dzięki za wybór miejsca, to świetna restauracja... Nie będziesz cierpiał?

– Cierpiał?

– Bez soczystego steku lub czegoś podobnego.

– Spokojnie, nie jestem aż tak krwiożerczy. Umieram z ciekawości, jak można wyczarować tyle różnych dań z roślin. – Wskazał na leżącą przed nią kartę.

Uśmiechnęła się z rozbawieniem i – jak mu się wydawało – lekko wyrozumiale.

– Wiesz, z praktyką przychodzi mistrzostwo, jak we wszystkim. – Zamilkła, jakby nagle czymś speszona. Zdziwił się, ale po kilkusekundowym poślizgu dotarła do niego dwuznaczność wygłoszonego zdania. Przypomniał sobie własnego ojca: nie lubił pomyłek, uwielbiał robić wrażenie na ludziach. Takie, jak sobie wyobrażał. Był ciekawy, jak długo poczeka z podniesieniem wzroku, udając, że pilnie studiuje menu. Postanowił jej pomóc.

– Zaczniemy od prostszych spraw. Powiedz, czego się napijesz, potem wytłumaczysz mi, co oznaczają te dziwne nazwy farm na liście... – Max przerwał na chwilę ze wzrokiem utkwionym w karcie.

– No więc ta pierwsza...

– Przepraszam – krótko musnął jej dłoń swoją – czy mogę coś zaproponować? Zobaczyłem coś z moich okolic i sama rozumiesz... Palcem wskazał długą nazwę, której Jessie nawet w wyobraźni nie dała rady poskładać w wymawialną całość.

– Von Othegraven‘ Altenberg‘ Riesling Kabinett 2007, Kanzem an der Saar, Mosel, Germany. Przepraszam, jedyne, co dam radę przeczytać, to trzy ostatnie słowa, chyba najpierw ty tłumaczysz.

Pokiwał głową.

– Jasne. Von Othegraven to winnica, marka jak nie przymierzając wasz

Francis Ford Coppola w dolinie Napy.

– Sonomy⁴⁴ – poprawiła go machinalnie.

– Ok. Niech będzie. Winorośl rosła w tym regionie już w czwartym wieku, naprawdę – uśmiechnął się, widząc jej niedowierzające spojrzenie. – Dobra, udokumentowana uprawa to jakieś sześćset lat. Riesling to...

– To wiem, mimo że jestem Amerykanką.

– Mam nadzieję, że cię nie uraziłem. Po prostu przeczytałem kolejne słowo, poza tym pochodzenia się nie wybiera. Wiem o tym dość dobrze.

Zamilkł na chwilę, jakby zastanawiając się nad tym, co właśnie powiedział.

– To naprawdę niesamowite, przypadkowo znam to miejsce. Mój najlepszy kumpel ma tam winnicę. Jeździłem w te okolice nie wiem ile razy. Dużo.

– Opowiesz?

– Najpierw toast za najwspanialszą agentkę nieruchomości w mieście!

– Za nowy start w tych nieruchomościach – odwzajemniła uśmiech i uniosła kieliszek. Delikatne stuknięcie szkła, potem pierwszy łyk.

– I jak?

– Świetne, po prostu świetne... – próbowała ubrać swój zachwyt w bardziej wyszukane określenia rysując dłonią faliste wzory. Potrząsnęła głową z rezygnacją. – Nie potrafię lepiej opisać smaku. Czy w ogóle trzeba? Może wystarczy po prostu czuć, smak wymyka się opisom.

Max przymknął oczy, wyraźnie delektując się tym, co właśnie przeżywał.

– Dymny, ciężki aromat, brzoskwinia, wanilia. Jędrny i pikantny smak na podniebieniu przekazany jest z precyzją i intensywnością.

Otworzył oczy i wybuchnął śmiechem na widok jej miny.

– Też jesteś winiarzem?

– Daj spokój, naśladowuję Jensa, on mnie tego wszystkiego nauczył.

– To ten kolega?

Skinął głową i chciał pociągnąć temat, ale podszedł kelner i natychmiast zapomniał o mozolnie przekładanym w myślach zdaniu. Czuł się trochę nieswojo wśród wyszukanych dań, ich nazw i delikatnej presji na przynależność do wegetariańskiego świata, z którym do tej pory nie miał wiele wspólnego. Zamówił sałatę ze szpinaku z kozim serem, oliwkami, czerwoną cebulą i winegretem z sherry. Zafascynowany opisem, w którym wyczytał o dodatku czerwonej odmiany dmuchawca. Na drugie danie wybrał risotto z dzikimi grzybami, usiłując nie pamiętać, że miłością do tych ostatnich zaraziła go Selina. Jessie, jakby chcąc dodać mu otuchy, wzięła sałatę z wielu rodzajów zielonych liści, ale dla odmiany okraszoną czereśniami, prażonymi migdałami, czereśniowym winegretem i serem pecorino. Danie główne odbiegło od tego wybranego przez Maxa linguini z brokułami, pomidorami, sosem cytrynowo-czosnkowym i parmezanem.

– W każdym razie to ciekawa winnica, ma jeden z najdłuższych na świecie stoków, produkuje tylko Riesling – Max wrócił do przerwanej zamawianiem wątku. – Od siedmiu pokoleń w tej samej rodzinie...

Potem zaryzykował:

– Mocno od was oberwała w czasie wojny – usłyszała.
– Naprawdę? Nie wiedziałam, że walczyliśmy z winoroślą.
– Z winoroślą może nie, ale z właścicielami tak. Poza tym – wzruszył ramionami – wiesz, jak to jest na wojnie, zawsze jest dużo rykoszetów, przypadkowych nalotów.

Jessie niezręcznie podjęła temat:

– Przepraszam, wiesz, wojna zawsze była dla mnie niemal tak nierealna i odległa jak dinozaury. Działa się gdzie indziej, kiedyś i trochę nie naprawdę.
– To dobrze, szczęście czuć w ten sposób.

„Chyba trzeba zazdrościć takiego stanu świadomości” – pomyślał jeszcze, ale przyszło mu do głowy, że musi pogodzić się z innym pojmowaniem czasu

i historii. Coś go podkusiło do ostatniej próby:

– Ach, jeszcze jedno, w dziewiętnastym wieku ówczesny właściciel, jako przedstawiciel starszyny miasta, wydał akt urodzenia Karola Marksa.

– To ten od komunizmu?

Max zamilkł na chwilę, zapatrzył się w olbrzymią tafelę szkła przed ich stolikiem.

– Można tak powiedzieć. – Bawił się przez chwilę kieliszkiem, potem potrząsnął w zamyśleniu głową. – Ten od komunizmu... Opowiedz mi o tych farmach z menu.

Resztę trzydaniowej kolacji spędził na słuchaniu opisów Jessie. Z pasją opowiadała o organicznych gospodarstwach Kalifornii, niestosujących sztucznych nawozów i środków ochrony roślin.

Po kolacji wyszli przed budynek, nie dawało się po prostu wsiąść w samochód i odjechać, nie spojrzawszy na wodę. Mgła połknęła w zasadzie cały most, spływała ciężkimi przypominającymi kłębki bawełny chmurami z leżących na północ od miasta wzgórz hrabstwa Marin. Zamazywała granicę między wodą a niebem. Maxa ogarnęło dziwne uczucie. Miał wrażenie, że puchowa lawina szemrze, syczy na granicy słyszalności, jak mydlana piana spływająca po gitarowych strunach w teledysku ZZ Top do *Rough boy*.

– To mgła adwekcyjna, zawsze przychodzi w lecie, z północy – usłyszał głos Jessie.

– A jest jakaś inna?

– Konwekcyjna, rzecz jasna – wyjaśniała, udając ton eksperta. – Zjawia się w zimie i leży nisko przy ziemi. Wtedy człowiek marznie.

Max odwrócił się od niej przeszyty nagłą myślą. Przypomniał sobie, jak Selina cytowała mu jednego ze swoich poetów: „Mgła to woda w natchnieniu”⁴⁵. Czy jakoś podobnie. Zapamiętał to na zawsze. Teraz złapał się na myśli, że na pewno nie mówiłaby o konwekcji, może o mlecznej zasłonie

przechodzącej przez sito przeseł mostu. Nawet nie był w stanie wyobrazić sobie tego. Bo Selina potrafiła uskrzydlić wszystko: herbatę w wyszczerbionym kubku, pojedynczy promień światła wchodzący do pokoju przez szczelinę pod drzwiami, załamanie na jego koszuli. Wszystko zwyczajne zamieniała w coś, co odkrywał na nowo ze zdumieniem i najczęściej niedowierzaniem, jak inaczej mogą wyglądać rzeczy. Zabrakło mu nieprzewidywalności.

– Max, jesteś tam czy riesling porwał cię z powrotem do domu?

Dom... Czasem chciał wiedzieć, gdzie on jest. Przeprosił Jessie cieplej, niż miał zamiar, podziękował za wieczór i pożegnał się obiecując, że zadzwoni.

Jess wracała wolniej niż zwykle. Myślała o kolacji i o tym, że śmiech Maxa jest dokładnie taki jak opis wina w jego wykonaniu. We wszystkim, co robił, była intensywność, precyzja i siła. Mogła ją nazwać pikantnością.

[42](#) *Strawberry* (ang.) – truskawka.

[43](#) Greens – znana restauracja wegetariańska w SF, założona przez Centrum Zen i używająca produktów hodowanych na należącej do niego farmie. Znajduje się w Fort Mason nad samą zatoką, z widokiem na most.

[44](#) Napa i Sonoma – doliny na północny wschód od San Francisco, najsłynniejszy teren uprawy winorośli w Kalifornii.

[45](#) J. Tuwim. Właściwy cytat: „Para – woda w natchnieniu”. Z tomiku *Jarmark rymów*, 1936.

Wanilia

Dobrze znała ten zapach. Wszystkim innym ludziom kojarzący się z domową szarlotką, ciasteczkami, odświeżaczami powietrza... W każdym razie czymś znajomym, ciepłym, rozgrzewającym zmysły.

Dla niej jednak etylowanilina, pachnąca identycznie a jednocześnie mocniej niż wanilia, była sygnałem alarmowym. Produkt rozkładu ligniny, czyli głównego składnika drewna. Czowała ją wyraźnie, zbliżając twarz do starodruku zostawionego jej przez Davida.

Dwa tygodnie zajęły jej same kąpiele papieru, zdejmowanie zanieczyszczeń i odgrzybianie. I tak miała szczęście. W zasadzie nie ona, a leżąca przed nią *Komedia*. Porządny, mało kwasowy papier nieźle opierał się czasowi. Dotknęła delikatnie okładki i znów poczuła na sobie przesuwające się spojrzenie.

Pozamykała buteleczki z odczynnikami, uprzątnęła ogromny stół i postanowiła skończyć na dziś z ratowaniem szeleszczących stron. Była poirytowana i jednocześnie przybita.

Podświadomie szukała błędu, momentu, w którym źle skręcała, wymówiła niewłaściwe słowo, robiła nie ten gest. Z masochistycznym okrucieństwem przewijała klatkę po klatce. Ostatniej jazdy samochodem z Maxem, spotkania sprzed kilku dni z Davidem.

Już była w drodze do drzwi, ale zatrzymało ją wspomnienie dwóch krótkich chwil uparcie wyskakujących z jej pamięci.

– Odpowiedz: tak czy nie? – Tamto spojrzenie, lodowaty błękit.

Dlaczego nie mogła po prostu powiedzieć, że tak, że była w ciąży? Że zorientowała się dopiero przed samym wyjazdem do Nowego Jorku. Drugi test wzięła ze sobą, za bardzo bała się zrobić go na miejscu, przy nim. Dlaczego nie

wyjaśniła mu, że czasem ciąża nie daje wyraźnych objawów, nawet miała coś na kształt okresu. Zlekceważyła senność i napięcie w piersiach, biorąc je za objawy zbliżającej się miesiączki.

Nie opowiedziała o długim jak miesiąc kilkudniowym pobycie w tamtejszym szpitalu. Wtedy, gdy nie odbierała telefonów, tłumacząc się dodatkowym, spontanicznie zorganizowanym warsztatem i różnicą w czasie.

Bo Max zapytałby natychmiast, dlaczego o niczym nie wiedział, dlaczego, prawie to usłyszała, do jasnej cholery nie powiedziała mu. A wtedy nie byłoby już ucieczki, stanęłaby przed ścianą. Musiałaby przyznać, że zapomniała wziąć pigułki. Już widziała wzrok Maxa z niedowierzaniem patrzącego na nią, pytanie w jego oczach: „Jak to zapomniałaś?”. I musiałaby przyznać, że nie wiedziała, co zrobić. Nie była gotowa do decyzji, która wymusza obecność dziecka, zrezygnować ze stanu zawieszenia, w którym wszystko jeszcze było możliwe, wszystkie drogi otwarte. Całe życie tak robiła, zawsze chciała zatrzymać wszystkie szanse. A potem wystraszyła się tego, że mu nie powiedziała, że nie potrafiła zaufać. To jedno idiotyczne kłamstwo, by ukryć własną słabość, nagle wybuchło kolejnymi, których nie wypowiedziała. Tak jakby zło tylko czekało na szczelinę, przez którą można się wśliznąć. Małe pęknięcie w ich dotychczas absolutnie szczerym związku natychmiast rozrosło się do rozmiaru przepaści.

A David?

Chwila zawahania. Nie wiem, nie wiem, czy chcę.

Na to pytanie też nie potrafiła odpowiedzieć. Tak naprawdę chciała nakręcić spiralę napięcia między nimi. Czy naprawdę zależało jej na nim, czy pragnęła tego mężczyzny? Tego nie była pewna. Za to z całą siłą pragnęła być dla niego ważna, czuć jego zainteresowanie sobą, pożądanie... Sprawić, by pragnął jej tak mocno, tak bardzo... Cholera, dobra, skoro już doszła dotąd, dojdzie do końca. Jak wtedy, jak Max.

Wróciła do niej scena z Berlina, o której od dawna nie myślała. Kolejna

wykasowana ze świadomości chwila, potwierdzająca jej ułomność. Berlin, w którym spędzili kilka wakacyjnych tygodni razem z Zoe i jej nowym chłopakiem. Na samym początku ich związku. Oni niejako w roli przyzwoitki, bo rodzice Zoe nie akceptowali nowego wybranka córki, zdyskwalifikowanego za tureckie pochodzenie. Ulegli wobec niezachwianego uporu Zoe, stawiając jeden warunek. Ktoś będzie pilnował, czy nie dzieje się jej krzywda. Max długo nie mógł uwierzyć w prawdziwość tej historii, ale wizja pobytu w mieście, w którym czuł się o niebo lepiej niż w Monachium, i możliwość skorzystania z przepastnego apartamentu na Kreuzbergu przekonały go natychmiast. Bessen, nowa miłość Zoe, miał rozległe kontakty i potrafił załatwić wszystko. Dla Zoe był w stanie znaleźć nocleg dla wszystkich rodzin razem wziętych.

Berlin... Nagle znalazła się w skórze Maxa. Wcieliła się w niego jak na obrotowej scenie teatralnej. Wreszcie zobaczyła siebie z zewnątrz, oczami kogoś, kto nie wie, co dzieje się w jej głowie.

Pojechała tam z Zoe i Bessenem wcześniej. Max dołączył dwa dni po nich, zatrzymany przez pracę. Mimo odległości i jej nieśmiałyh protestów dojechał na motorze. Harley Davidson Dyna Glide – jedyny luksus, na jaki sobie pozwolił, oprócz sprzętu grającego oczywiście. Od zawsze nie tolerował złego dźwięku czy nieustawionej akustyki, wszystko jedno, czy słuchał Vivaldiego czy Rammsteina. Był wprawdzie dostawczy Volkswagen ogórek, stary, niezawodny model, traktowany jako środek transportu i konieczność. Motor natomiast miał dla Maxa duszę i osobowość. Kiedy nie obsługiwał klientów, nie przewoził niczego, zawsze wybierał motocykl, musiał czuć pochłanianą przestrzeń, słyszeć rozdzierane prędkością powietrze, odbierać skórą światło i wiatr. Miał słabość do pomruku silnika, sylwetki maszyny, do całej otoczki narosłej wokół czarno-brązowo-białego znaczka. Nazywał go Shield, wyciął po prostu jedno słowo z logo motoru (Shield & bar). Twierdził, że doskonale pasowało do nazwiska. Shield & Shell. Selina wyraźnie widziała go w wyobraźni jako uwspółcześioną

wersję średniowiecznego rycerza na koniu, pędzącego z włócznią i tarczą przed sobą. Harley w roli tarczy, nowoczesna osłona, w jego przypadku nie przed wrogiem, a przed zwyczajnością. Symboliczny bunt przed przywiązaniem do miejsca i zależności. Max w krótkim czasie opanował budowę swego rumaka, znał położenie i znaczenie każdej, najmniejszej nawet części. Shield był zawsze sprawny, serwisowany i sprawdzony. I tylko tyle. Max nie polerował na wysoki połysk srebrzących się chromem części motocykla, nie zamawiał katalogów z markowymi dodatkami. Nigdy nie kupił oryginalnego stroju ani żadnego z tysięcy gadżetów, w które obrosła firma. Selina uwielbiała patrzeć na tych dwóch, zrosniętych razem w pędzie. Na Maxa podjeżdżającego pod jej dom. Gorzej z samą jazdą. Zawsze wydawało jej się, że to już ostatnia w jej życiu, że tym razem na pewno nie przeżyją. Zsiadała z miękkimi kolanami i ściśniętym żołądkiem, ale bez słowa. Max nie tolerował upominania, jak ma prowadzić. Wtedy przyjechał i po krótkim odpoczynku tajemniczo zapowiedział, że jedzie coś sprawdzić. Zauważyła, że zabrał ze sobą torbę, w jakiej przewozi się ubrania. Godzinę później zadzwonił, prosząc, by czekała na dole. Zamarła, widząc nadjeżdżającą sylwetkę, ale nie ze strachu przed mającą nastąpić jazdą, tylko ze zdziwienia. Zamiast skórzanej kurtki i dżinsów miał na sobie elegancki garnitur. Na odległość nie potrafiła określić koloru, dopiero gdy stanął w świetle nisko umieszczonych przy podjeździe reflektorów, mogła mu się przyjrzeć.

– Piękny odcień, z daleka wyglądał jak czarny – powiedziała, przesuwając dłonią po mankiecie ciemnogramatowego materiału.

– W życiu! Wyglądałbym jak pracownik zakładu pogrzebowego albo, co gorsza, jak prawnik – wzdrygnął się ze wstrętem. – To co, siadasz?

– Dokąd mnie porywasz?

– Elegancka rozrywka.

– Myślałam, że życie spędzasz w warsztacie.

Spojrzał z rozbawieniem.

– O nie, zresztą sama się przekonasz. Tylko... – zawahał się przez chwilę, krytycznie oglądając jej sylwetkę. – Musisz wrócić na górę i się przebrać. Sukienka, najlepiej przylegająca do ciała, wskazany dekolt i buty na obcasie. Nie szpilki, muszą być wygodne.

– Teraz mnie wystraszyłeś.

Przyciągnął ją do siebie, była pewna, że zmusi ją, by pochyliła się do niego, tak aby mógł sięgnąć jej ust. Kolejne zaskoczenie: wstał i ze staromodną elegancją pocałował jej dłoń.

– Pospiesz się. Bo zaczną bez nas.

Pognała z powrotem, zaskakując Zoe i Bessena, którzy zdążyli rozłożyć się z lodami przed telewizorem.

– Już wróciłaś?

– Mam się przebrać, nie wiem, o co chodzi – rzuciła, biegnąc do swojego pokoju.

– Hmm – Zoe stanęła w drzwiach i powoli oblizywała ciemną od czekoladowej zawartości łyżkę, przyglądając się zmianie wizerunku przyjaciółki.

– Musisz mi opowiedzieć jak wrócisz, dobrze się zapowiada.

Selina w pośpiechu włożyła czarną, koronkową sukienkę do kolan. Jeszcze po babci. Takiej jakości materiału i solidności szycia już się nie spotykało. Sukienka po minimalnym zwięźeniu idealnie pasowała do Seliny, mało tego, sprawiała wrażenie zarazem ubrania w stylu retro w duchu ultranowoczesnej sztuki. Takiej, która występuje w jednym egzemplarzu i kusi z witryny modnego butik, drażniąc brakiem metki z ceną. Z butami był problem. Nie miała wygodnych czarnych czółenek, więc z rezygnacją włożyła ciemnozielone sandały na średnio wysokim słupku. Proste, ale ozdobione czarnym, świecącym paskiem skóry biegnącym wzdłuż stopy, delikatnie nawiązując do sukienki. Wtarła za uszami po kropli ulubionych perfum Annika Goutala i szybko zbiegła na dół. Nawet pożegnalne „cześć” do Zoe padło już za drzwiami.

Sprawdzał coś w motorze, ale na jej widok wyprostował się natychmiast.

– Siadaj, zanim się rozmyślę.

– Słucham?

– Co do wyjścia, bo najchętniej zabrałbym cię teraz do siebie.

Sposób, w jaki to powiedział, trafił mocniej niż jakiegokolwiek komplementy. Objęła go mocno w pasie, oczekując znanego jej dobrze pędu, ale jak na Maxa pojechali nad wyraz spokojnie. W duchu była mu wdzięczna za oszczędzenie jej nieuchronnego „zwolnij, proszę”, wiedząc z góry, jak na to zareaguje. Maxa irytowały delikatne kobiety, bojące się prędkości, myszy czy burzy. Także bardziej abstrakcyjnych rzeczy, na przykład zmian. Pogardzał słodkimi panienkami czekającymi na silnego mężczyznę, by wyręczył je z odpowiedzialności za własne życie, wstydliwymi księżniczkami, które łaskawie pozwalały się zdobywać. Zanotowała kilkukrotnie podziw w jego oczach, gdy patrzył na swoje rodaczki jawnie prowokujące strojem i zachowaniem. Zazdrościła im wrażenia, które potrafiły wyrzeć na mężczyznach, najwyraźniej korzystały z wiedzy, której ona nigdy nie posiadała. Pewności siebie, która przebijała w głosie, spojrzeniu, a najbardziej w sposobie poruszania się.

– Przecież to komplement dla mężczyzny, gdy dostaje sygnał, że jest interesujący, chciany – jego głos brzmiał przyjemnością i przekonaniem, a w jej głowie przestawiały się dawno ustawione zwrotnice. Zapamiętane z dzieciństwa i młodości lekcje, przesączające się z rozmów na rodzinnych spotkaniach zdania, że to mężczyzna goni za kobietą. Zbyt łatwa zdobycz to porażka. Nigdy nie dawać do zrozumienia wprost. Co innego kokietować, prowokować. Ale tak po prostu wypalić: „Podobasz mi się” – nie do pomyślenia.

Zanim uspokoiła przeciwstawne bieguny myśli, zatrzymali się. Max zaparkował i na do widzenia delikatnie musnął kierownicę motoru, a potem zaprowadził ją pod rękę nad sam brzeg Szprewy. Stali dokładnie na wprost Bode Museum, w najbardziej chyba obleganym przez turystów miejscu. Przed nimi

rysowały się ciężkie prostokąty Museum Insel, do którego wiecznie ustawiały się kolejki, na ciemnoszarych ścianach wirowały delikatne kręgi światła wysyłanych poprzez kanał rzeczny przez stojące na brzegu reflektory.

„Nocny impresjonizm, prawie jak śniadanie na trawie, tylko inna pora dnia i w innej stolicy” – myślała w tamtej chwili. Chwilę później przed ich oczami bezszelestnie przepłynął wycieczkowy prom, zostawiając blade linie światła. Wokół gromadziły się przedziwne pary, schodzące na bulwar z wyżej położonego trawnika i kawiarnianego ogródka. Starszy pan z młodą dziewczyną, dwie kobiety, facet w dżinsach i powyciąganym T-shircie z brunetką w obcisłej satynowej sukience. Jedni nieśmiało, inni nieco sztywno, kilka osób ćwiczyło na drewnianym parkiecie skomplikowane układy taneczne.

– Podoba się? – Max patrzył w bok, czekając w napięciu.

Zanim odpowiedziała, popłynęła muzyka. Tango.

– Ale ja nie umiem tak naprawdę...

– Potrafisz. Zaczniemy powoli.

Była oszołomiona, eleganckie i sugestywne ruchy, argentyńskie milongi. Nie zauważyła, jak zaczęła za nim podążać. Szybko złapała rytm i kroki. Przyciągnął ją bliżej i jednocześnie przyspieszył, gdy zorientował się, że daje radę.

– Myślałam, że chodzisz na koncerty rockowe albo dyskoteki.

– Nienawidzę dyskotek. To zbiorowe ogłuszanie i bujanie się w tłumie.

Przyjrzała mu się ciągle jeszcze w szoku.

– Nigdy bym nie zgadła, ty i tango?

– Oprócz tanga jest jeszcze fokstrot.

– Żartujesz?

– Nie. Naprawdę to lubię. Ale byłoby ci mniej wygodnie.

Zanim pomyślała, wyrwało jej się:

– Czy w takich miejscach polujesz na kobiety? – już kończąc zdanie,

wiedziała, że robi błąd.

– Nie poluję na kobiety. Lepiej skup się na tańcu. – Był wyraźnie zły, a ona od razu spięła się w sobie, nie lubiła tego szybkiego przeskoku w jego głosie, z ciepłego, niskiego barytonu na metaliczny rozkaz.

– Robię coś nie tak?

– Wiem, że nie uczyłaś się, masz za to słuch i wyczucie rytmu. Ale tango to coś więcej. To ty decydujesz, jak jesteś prowadzona. Czy ulegle, czy współprowadzisz. Czy mnie uwodzisz, czy trzymasz na dystans. Rozumiesz?

Przygryzła nerwowo pasmo włosów.

– Spróbuję.

Usiłowała wprowadzić wszystkie jego uwagi naraz. I jak zawsze, gdy robiła coś pod presją, skończyło się katastrofą. Zrobiła dwa obroty w przeciwnym kierunku, niż zamierzał, raz potknęła się o jego stopę.

– Uważaj, tracisz koncentrację.

– Próbowałam tylko...

– Nie próbuj, bądź sobą. Pokaż to, co czujesz, zamiast się zastanawiać.

Dogonił ją na schodach.

– Tak, wiem. Jestem beznadziejna. Ciągłe się boję, jaką ocenę mi wystawisz, pewnie kiepską, co? Nie przerywaj mi... – Nie udało się, już miała łzy w oczach.

– Chodź, proszę.

– Nie chcę, nie umiem. Nie zależy mi. – Infantylna przekora w jej zachowaniu i głosie nakręcała determinację. Nie mogła się bardziej zbłaźnić.

– Nie wycofuj się. Chcę czuć, że mnie chcesz.

Jak zwykle – posłuchała. Znów stanęli objęci, czekając na muzykę. Reflektory z boku przez chwilę położyły światło na jego twarzy. Dostrzegła ledwo widzialne lśnienie zarostu i ten wzrok, który sprawiał, że znów była w stanie zrobić wszystko. Nawet zmienić się. Jego oczy miały teraz ten sam kolor

co rzeka, czarno-niebieska toń migocząca lampionami rozwieszonymi wzdłuż brzegu. Każdym ruchem ciała mówiła: „trzymaj mnie”. Odsunięcie na długość rąk – nawet jeśli odchodzę na chwilę, wrócę. Odwrócona od ciebie i tak widzę cię wszędzie. Przestała liczyć kroki, usiłując zamienić słowa w gest. Zdania, które brzmiały niczym komunikat płynący z wysoko zawieszonych w pustej hali głośników. Była przekonana, że musiał je słyszeć, w zasadzie chyba wszyscy je słyszeli.

Zorientowała się, że płyną wraz z muzyką i świetlistymi kręgami, tu, na wąskim pasku berlińskiego nadbrzeża. Kolejne melodie zaczynały się i kończyły, zlewając w całość z pachnącą wodą, dymem z papierosów i perfumami. Max nie powiedział ani słowa. Muzyka grała teraz ciszej, ludzie rozchodzili się powoli. Prowadzili się nawzajem, bezwiednie, intuicyjnie. Widziała radość w jego oczach. Kilka razy prześlizgnął się ustami po jej włosach, szyi, a ją przeszły myśl, że cieszy się jak dziecko, które wreszcie dostało upragniony prezent.

Ocknęła się, nadal stojąc przed drzwiami w Rzymie, teraz ogłuszona samodzielnie dokonaną psychoanalizą. Tamtą chwilę, która trwała parę godzin, obejrzała w kilkanaście sekund, obracając ją na wszystkie strony jak zimową scenkę w szklanej kuli.

Niepewna, co robić dalej, nacisnęła kławkę. Była zimna i twarda. Jak wszystko wokół.

Musi wyjść na słońce, rozgrzać się. Spojrzeć w słońce, kolory... Tylko co zrobić z tysiącami zakochanych twarzy? Par z całego świata, traktujących to miejsce jak lustro, w którym oglądały zwielokrotnione odbicie ich uczucia. Panoszących się ze swoją miłością we wszystkich możliwych miejscach. Oblegających Schody Hiszpańskie, fontanny, mosty na Tybrze... Zakochane spojrzenia i splecione ręce, błysnięcia aparatów komórkowych, tysiące uczuć przerabianych na elektroniczne świadectwo. Jakby można było miłość zakląć na taśmie, karcie pamięci, zakonserwować na wieczność w wirtualnej przestrzeni.

Szarpnęła drzwi, zdecydowanym ruchem nałożyła ciemne okulary i ruszyła w kierunku stacji metra. Nie rozglądając się dookoła, przejechała do Pyramid i wysiadła przy cmentarzu niekatolickim.

Uwielbiała to miejsce. Kiedyś myślała, że cmentarze wszędzie są takie same i nawet piramida Gajusza Cestiusza długo nie mogła skusić jej do przekroczeniu muru. Ten był niewielki, tonął w zieleni i – o dziwo – w radosnym spokoju. Może była to zasługa mnogości krzewów i kwiatów, może romantycznych rzeźb strzegących pamięci leżących pod nimi. Wrażenie sielskości potęgowały leniwie powyciągane w słońcu koty oraz nieliczni turyści zastygli na ławkach w zamyśleniu. Żadnych par, zresztą w takich miejscach ludzie na ogół nie obnosili się z uczuciami.

David opowiadał jej, że zanim powstało to miejsce, niekatolicy chowani byli za linią murów, pod wzgórzem Picio, razem z prostytutkami. Kiedyś, na początku, miejsce to nazywano cmentarzem Anglików. Mijała napisy na płytach nagrobnych. Obok Keatsa, Shelleya i ich rodaków – Niemcy, Rosjanie, Skandynawowie, Rumuni, Grecy, a nawet Polacy. W myślach pozdrowiła po polsku leżącą tu niańkę Iwaszkiewicza. Znalazła się w najstarszej części i zatrzymała przed grobem zwieńczonym piękną postacią anioła.

– *Liebe hört nie auf*⁴⁶ – przeczytała na głos. Czy to znaczy, że zawsze już tak zostanie? A może nawet martwa i skończona miłość istnieje gdzieś w środku? Napis na pomniku kojarzył jej się bardziej z groźnym *memento* niż z piękną strofą. Cokolwiek to było, chciała się uwolnić.

Anioł przyglądał jej się z cierpliwym smutkiem, lekko pochyłona kamienna głowa, trochę przekrzywiona w prawo, jakby nasłuchiwał albo chciał skinieniem potwierdzić wyryte pod nim słowa.

Selina odwróciła się plecami do pomnika. Zdecydowanie wołała dziś towarzystwo wielkiego, pręgowanego kocura, który właśnie otarł się o jej nogi.

– Ty też nie masz dokąd iść, futrzaku? – Podrapała go za uszami.

Siadł przed nią patrząc prosto w oczy, spokojnie, nieruchomo. Zielone tęczówki bez emocji zaglądały w jej duszę. Przypomniało jej się inne zielonkawe i nieodgadnione spojrzenie. Tak samo niezaangażowane. Oddałaby teraz wszystko, by ta nieokreśloność się skończyła, by mieć fundamentalną pewność, że żyje dla kogoś, a ktoś dla niej. Zanim zamieni się w popiół.

Drgnęła na dźwięk SMS-a.

Jak wino, dokończyłaś sama? Jeśli tak, mam nowe... D.

Wiadomość miała załącznik, zdjęcie butelki wina z rysunkiem żaby na etykiecie. „Leopard frog”. Kliknęła w odnośnik. „Żaba jest jednym z najważniejszych i najstarszych symboli mitologii Starego i Nowego Świata, obecnym w chińskim mistycyzmie, indyjskim buddyzmie, naukach egipskich sekt, wczesnym chrześcijaństwie, tradycjach celtyckich, szamanizmie, animizmie i wielu europejskich opowieściach. Najczęściej symbolizuje idealne połączenie ziemi i wody w naturze. Jest także zapowiedzią pomyślności”.

Oby. Na pewno wypiję.

Selina wracała, mając przed oczami zabawną etykietę wina produkowanego na drugim końcu świata. W metrze wyjęła komórkę z kieszeni torby.

„Chyba jest jeszcze trochę”. Zatrzymała się i szybko skasowała pierwszy wyraz, a potem dotknęła „wyślij”.

Żadnych „chyba”, „może”. Odetchnęła głęboko i z lekkim przerażeniem pomyślała, jak bardzo zmienił się wydźwięk zdania bez tego jednego słowa. I jak inaczej czuje się ona sama. Jakby przeszła na właściwą stronę ulicy.

Dotknęła jeszcze raz ekranu telefonu, zaświecił błękitną gotowością.

„Kiedy powrót?” Po namyśle skreśliła i wstukała nowe zdanie: „Książka prawie gotowa, za tydzień do odbioru”. Nawet nie przebiegła wzrokiem tego, co napisała. Wysłała. Dźwięk prawie natychmiastowej odpowiedzi wywołał mrowienie na jej skórze. Delikatne, ciepłe i rozchodzące się niczym kręgi wody nad wrzuconym kamieniem. Od opuszka palca wskazującego aż do trzewi.

„Przyszły piątek. Odbiorę Cię z pracowni. D.”

Ciągle czuła wibrowanie komórki, choć wiedziała na pewno, że ta funkcja jest wyłączona.

⁴⁶ *Liebe hört nie auf* (niem.) – Miłość nigdy nie ustaje. Hymn o miłości, fragment biblijnego *Listu do Koryntian* św. Pawła z Tarsu.

Lekkość

Stał oparty o murek okalający wejściowe schody. Wtopiony w krajobraz rosnących w głębi ogrodu cyprysów. Nieruchomych, smukłych, oczywistych. Nawet nie drgnął, gdy pojawiła się w drzwiach budynku, ciągle zapatrzonej gdzieś poza nią, poza miasto, poza siebie. Selina złapała się na uczuciu potwornej samotności. Brak reakcji na jej widok sprawił, że poczuła się bezbronna i naga psychicznie. Nie mogła ukryć zagubienia w typowych gestach przywitania. Szła ku niemu, nie czując żadnej nici porozumienia czy oczekiwania. Po prostu czekał, spokojnie, bez emocji, z delikatnym uśmiechem, który wcale nie musiał być przeznaczony dla niej.

Podeszła bliżej. Nie poruszył się, tylko zielonkawe nitki jego tęczywek zwięzały czarny punkt źrenicy wraz z malejącą odległością między nimi. W jednej krótkiej chwili zauważyła zmęczenie, ciemne kręgi pod oczami, lekką opaleniznę na nieco szczuplejszej niż zwykle twarzy.

– Masz leki? – przywitała go, z ulgą odwracając własną i – jak miała nadzieję – jego uwagę od własnego zdenerwowania.

– Tak źle wyglądam? – matowy, pozbawiony emocji głos.

– Dostyc – przyznała, przyglądając mu się z obawą. – Kiedy przyleciałeś?

– Kilka godzin temu. Nie bój się, wziąłem, co trzeba. Aha – opuścił głowę i przeszukał zawartość wewnętrznych kieszeni marynarki – na wszelki wypadek zawsze mam przy sobie kartkę dla lekarza i pieniądze. Środkowa przegródka w portfelu.

– Chyba nie myślisz, że...

– Nie, nie myślę, ale w razie gdybym nagle wyłączył się z dala od siedzib ludzkich, powrót może być kosztowny. Selino, na ogół nie trwa to długo

i największym problemem jest nadmiar zainteresowania, nie jego brak.

– Rozumiem. – Niepewnie przygryzła dolną wargę i odsunęła wypłowiały od słońca kosmyk włosów. – To co robimy? Mam książkę. – Poklepała zawartość wielkiej torby przewieszanej przez ramię.

– Umieram z głodu, dałabyś się zaprosić na coś solidnego?

– Jak solidnego? – usiłowała zażartować. – Ty oczywiście możesz jeść z twoją figurą długodystansowca...

Po raz pierwszy usłyszała jego śmiech, długi, serdeczny, nieoczekiwanie zaraźliwy.

– Długodystansowiec, podoba mi się, naprawdę. – Potrząsnął głową z rozbawieniem, jakby nigdy wcześniej na to nie wpadł.

Przez chwilę szli w milczeniu, bojąc się zerwać niewidzialną nić rozluźnienia i humoru.

– Mieliście kiedyś taki film *Samotność długodystansowca*...

– Mieliście?

Zwolnił, szedł zamyślony z rękami w kieszeniach, nie patrząc w jej stronę.

– Wy, Europejczycy.

Zamilkła z wrażenia, pierwsze uchylone drzwi. Pomyślała, że nie może ich otwierać na siłę ani dopuścić, by się zamknęły.

– My, Europejczycy. Ciekawe, nie zawsze się czułam, jakbym do tej Europy należała. Wiesz, pojawiał się sygnał, jakieś słowo, gest, że owszem, geograficznie, ale tak poza tym...

– Ech, granice, przynależności. Gdybyś urodziła się wcześniej, byłabyś poddaną Prus albo Rosji, a może nawet nałożnicą turecką. Z tego wszystkiego, jedynymi pewnikami byłyby twoje jasne włosy i kolor oczu. To wszystko, co przychodzi stamtąd – wskazał ruchem głowy w górę. – Może jeszcze język byś zachowała, jeśli ci pozwolono... Na długi dystans wszystkie te określenia

przestają mieć znaczenie.

– Jesteś... sam? – Poczwała się niezręcznie, nieoczekiwanie zaplątała się, nie bardzo wiedząc, czy chce użyć angielskiego określenia „sam”, czy raczej „samotny”.

– Każdy jest, w pewnym sensie.

Kolejny unik, postanowiła nie ciągnąć dalej. Przystanął i nieoczekiwanie dotknął jej dłoni. Krótko, bardziej muśnięcie niż dotknięcie.

– Ale odpowiadając na twoje pytanie: tak, na ogół.

Dziwna odpowiedź, która ją zaniepokoiła. Podobnie jak głos. Ten sam ton co wtedy, w bibliotece. Jakby wrogość i żal. Bała się pytać do kogo i o co.

– Jesteśmy na miejscu, idziemy coś zjeść, inaczej zaraz będziesz tu miała cień biegacza, długi i chudy.

Musiał być naprawdę głodny. Z kolejno pojawiających się talerzy w błyskawicznym tempie zniknęły grzanki, sałata i ogromna porcja wołowiny.

– Deser?

Oczy Davida błyszczały sennym zadowoleniem.

– Pewnie, najwyżej potem przebiegniemy się razem na bardzo długi dystans, żeby zgubić te tysiące kalorii.

Dłoń na kłamce, wystarczy tylko lekko pchnąć.

– Po deserze?

– O nie, na pewno nie po tym dzisiaj.

Rozczarowana sięgnęła do torby i wyjęła kopertę z książką.

– Ok. W takim razie proszę, po kuracji odmładzającej, liftingu i z delikatnym makijażem permanentnym. Nie było źle, świetny papier i chyba... niezłe powietrze w tym sejfie.

Wyjął *Komedię* i przekartkował ostrożnie.

– Pięknie, cofnęłaś dla niej czas.

– Chciałabym umieć robić coś takiego ze sobą.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Żartujesz chyba, nie sędzę, byś była kiedyś bardziej interesująca niż teraz.

Wcześniej byłaś tylko młodą dziewczyną, teraz kobietą. To dużo ciekawsze.

Położył smukłe palce na jej nadgarstku, jednocześnie obracając dłoń.

– Wiesz, masz skórę jak *vellum*⁴⁷ przed preparowaniem, przed zapisaniem...

Chciała cofnąć rękę, ale jej ciało sprzeciwiło się. Palec wskazujący Davida powoli przesuwiał się po wnętrzu odsłoniętego przedramienia, dotarł do zagłębienia w łokciu. Zahipnotyzowana patrzyła w jego źrenice, trzymając ją nieruchomo w miejscu jak sparaliżowaną ofiarę dzikiego kota. Widziała kiedyś taki film na Animal Planet. Absolutne skupienie, precyzja, nawet ona, siedząc przed telewizorem, nie mogła odwrócić wzroku. Powoli przesunął wzrok na jej usta, a potem znów nieruchomo wpatrzony w jej oczy nieznacznie poruszył głową w kierunku drzwi.

– Tak – Selina czuła uderzenie pulsu w skroniach.

Nie było nic więcej do powiedzenia.

Wracali powoli, nie dotykając się. Ona kurczowo zaciskała dłonie na pasku torebki, David trzymał swoje w kieszeniach. Idąc skrajem chodnika, patrzył przed siebie. Co jakiś czas zerkał na nią, jakby sprawdzał, czy nadal tam jest, czy nie zmieniła zdania. Mieszkanie było oddalone od restauracji mniej więcej o kwadrans spokojnego spaceru, ale w tym czasie przebyła daleką drogę. Od siebie kiedyś do tego wieczoru. Czas zwalniał. Czuła się, jakby szli w tunelu, w którym zmieniały się prawa fizyki. W zasadzie nie szli, a płynęli czarnymi ulicami Trastevere, prześwieconymi gdzieś żółtymi refleksami latarni. Miała irracjonalne wrażenie, że powietrze gęstnieje, przyciąganie ziemskie słabnie, a co chwilę przebłyskujące światło pada na kocie łby w zwolnionym tempie. Niemal widziała kreski, jak w komiksie. Zatrzymał się przed domem i pozwolił, by otworzyła drzwi. Wyczuwała jego obecność i ciepło tuż za sobą.

Przytłumione kliknięcie zamka uświadomiło jej nieuchronność wyboru. Otoczyła ich cisza, gęsta jak panujący w mieszkaniu mrok. Zatrzymał jej rękę wyciągniętą do włącznika światła.

– Nie trzeba.

Niespiesznie szedł do sypialni, ani razu nie trafiając na jeden z wielu mebli czy przedmiotów zasiedlających jej nieduży apartament. W niebieskawym świetle, sączącym się z ulicy przez rolety drzwi tarasowych, zobaczyła wyraźnie kontur jego postaci, twarz. Patrzył długo, jakby bez słowa chciał wymóc takie samo skupienie z jej strony. Ujął w rękę jej twarz jak coś kruchego, ostrożnie i delikatnie. Całował czoło, powieki, kości policzkowe, dotarł do ust. Poruszał się bezbłędnie, w idealnym tempie, miała przerażające wrażenie, że zna jej ciało lepiej niż ona sama. Max nazywał to osobistą linią napięcia i to była kolejna myśl, która na chwilę wytrąciła ją z równowagi. Potem jednak poczuła wypełniającą jej ciało lekkość, hel radosnego podekscytowania. Pociągał ją jego zapach, jakby rozgrzanego piasku plaży zmieszanego z czymś korzennym. Żałowała, że nie widzi dokładnie oczu, tych zielonych nitek mchu. Dotykał jej musnięciami, krótko i podniecająco. Położył palec u szczytu mostka i powoli opuszczał w dół. Prawie niezauważalnie, jakby niechcący dotknął jej piersi. Nie spuszczać wzroku, delikatnie rozpiął jej bluzkę i zsunął ramiączko, nieskończenie powoli okręzał palcami jej pierś. Lewą dłoń wsunął pod biało połyskujące włosy, musnął ustami kość żuchwy, policzek, niespiesznie całując pachnące irysem miejsce za uchem. Obrócił ją jak w tańcu, zamienili się miejscami. Stał teraz tyłem do łóżka, uśmiechając się jak ktoś, kto ma zamiar zrobić kawał. Nieoczekiwanie usiadł i pociągnął ją na siebie. Parsknęła śmiechem, ale zaraz spoważniała, czując, jak rozpina haftki stanika. Długimi ruchami gładził jej plecy, przyjemne smugi ciepła rozchodziły się w głąb ciała. Potem opuszki palców Davida odmierzyły zejście w dół po stopniach jej kręgow. Zatrzymał się na pasku spódnicy, równie niespiesznie rozpiął suwak i rozchylił materiał na boki.

Gładził jej biodra, ten ich fragment, którego mógł dosięgnąć bez rozebrania jej całkiem. Sięgnęła ręką, by mu pomóc, ale zatrzymał ją, jak wtedy ze światłem w korytarzu. Powoli, jakby bał się, że nagły ruch ją wystraszy, przeniósł ją z siebie, przykrył dłońmi jej piersi. Zmieniał tempo i siłę dotknięć, potem zaczął zsuwać się, schodząc pocałunkami w kierunku brzucha. W jej uszach narastał szum, była gdzieś w przesypującym się piasku klepsydry, zamieć otaczała ją i unosiła spiralnie w górę w podmuchu jakiegoś dawnego wiatru. Miała irracjonalne wrażenie cofania się w czasie, obecności czegoś zamierzchłego, a może niedzisiejszego. Podążała za rytmem narzucanym przez palce Davida, a on z łatwością poruszał jej zmysły niewidzialnymi nićmi, które przyczepiał w coraz to nowych punktach jej ciała. Cały czas skupiony na niej jak muzyk, któremu dano rzadki i wrażliwy instrument.

– Co lubisz?

Drgnęła, słysząc jego głos. Robił wszystko, co mu kazała, zachwycony jej natychmiastową reakcją. Jego ręce i usta z rozmysłem nakręcały sprężynę napięcia. David z przyjemnością dawał rozkosz. Selina pomyślała, że sprawianie jej podniecało go bardziej niż odczuwanie. Obrzeżami umysłu zauważyła, że jest skoncentrowany na niej, nawet na chwilę nie tracąc panowania nad sobą. Nie przeszkadzało jej to. Wtedy jeszcze nie.

– Chcesz jeszcze? – usłyszała, gdy delikatnie wodził ustami po szyi, schodząc w dół. Jego ciało było szczupłe, twarde. Wyczuła blizny. Kilka na plecach, jedna ukośnie biegnąca przez brzuch. Wodziła po nich dłońmi, nie pytając, całowała przeciętą kiedyś skórę na plecach.

Żadnych słów, milcząca umowa o dyskrecji i nienaruszaniu granic. Inny dotyk, nowa jakość. Kod odmienny od tego, który miała wypalony pod skórą. Lekkość nierysująca trzewi i serca. Jej świadomość oczyszczała się z pamięci, był tylko ten wieczór, tylko ona dzisiejsza. Unosiła się w rozkoszy, lekkiej i przyjemnej niczym smugi światła przenikające z ulicy przez deszczułki

okiennic. Znów delikatnie przesunął dłońmi pod jej włosami, po reliefach obojczyków. Wsunął rękę między jej uda, a widząc pytający wzrok, szepnął przy jej skroni:

– Wolę patrzeć na ciebie.

Czysta satysfakcja jak czysty tlen. Przyjemność, radość życia i kochania się. Po prostu.

Leżała wyczerpana, patrząc jak śpi, delikatnie głaszcząc jego ciemne włosy spływające na poduszkę. Myśli pojawiły się nieproszone. Z Maxem nic nie było lekko i po prostu. Z Maxem wszystko nasączone było pożądaniem, ciężkim i zniewalającym. Spalała się w jego bliskości, była od niego uzależniona. Był jak przeznaczenie albo jak wyrok losu. Z nim wszystko działo się poza jej wolą. Wystarczyło, że spojrzeli na siebie, że wolno przesunął po niej wzrokiem albo ona przygryzła wargę, patrząc w jego oczy odrobinę za długo. Max wyłapywał sygnały natychmiast i bezbłędnie. Zanim sformułowały się w myśli lub słowa. Jakby byli przesterowani na siebie. Pozwalała mu na dużo, jemu jednemu pozwoliła eksperymentować z podkreśnianiem rozkoszy. Czasem z dodatkiem bólu, ale dosypanego niczym sól. Odrobinę. Max sprawdzał w jej oczach, czy nie przekroczył cienkiej linii i ścisnęło ją w gardle wspomnienie tkliwości, która przebijała słony smak. Zawsze. Z nim przestawała być. Jedność tak idealna, że bolało, gdy rozpadali się znów na siebie. Z Davidem nie było jedności ani spadania, łóżko z nim oznaczało finezję i lekkość. Przyjemność dawania i przyjmowania. Głównie przyjmowania, nie chciał od niej zbyt wiele.

Zasnęła nad ranem, pod powiekami czując piasek. Odwykłe kości biodrowe przypomniały o swym istnieniu. Trochę bolało, skóra wyglądała jak po spotkaniu z pumeksem. Wokół ust, na piersiach i... tam też, leciutko, ale miło. Czy ból może być słodki? Niepokoiło ją tylko uczucie przyjemnej, ale jednak nieważkości, wszystko w niej było lekkie. Zmęczenie, zaspokojenie i ból.

Lekkie jak puch, prawie nierzeczywiste.

47 *Vellum* – welin (fr. *vélin*, łac. *vitellus* – cielątko). Bardzo cienki pergamin z cielęcej skóry wysokiego gatunku. W XIX w. tak nazywano drogi, bardzo miękki, gładki i cienki papier używany przede wszystkim do korespondencji i rysunków.

Czwarty lipca

Siedział w pracowni nad ostatnimi szlifami intarsjowanego sekretarzyka. Z lubością wdychał zapach drewna i wosków, przeciągając dłonią po zaokrąglonych rogach, lekko falistych nóżkach mebla. *Partner desk*, dwustronny sekretarzyk umożliwiający jednoczesną pracę z obu stron. W środku rzędy maleńkich półeczek, szufladek i przegródek. Zamówienie sióstr bliźniaczek dzielących jeden dom. Nigdy nie wyszły za mąż, nie miały dzieci, starość – podobnie jak dzieciństwo – postanowiły spędzić razem. Max pomyślał, że jest szczęściarzem. Wykonując to, co kochał, przy okazji poznawał niezwykle historie. Ze wzruszeniem myślał o siostrach Betty i Claire, zobaczył ich pomarszczone dłonie wsparte z obu stron na opuszczonych blatach. Jednocześnie pisane listy, a może wspomnienia. Pozwolił sobie na chwilę patosu. Może będą wspominać także i jego? Coś w stylu: „Pamiętasz? Tę intarsję zrobił nam Max”.

Dźwięk komórki przerwał projekcję dalszych marzeń.

Moi rodzice chcą cię poznać.

Max drgnął. Jasne, wcześniej czy później musiało do tego dojść. Zaraz nastąpi pytanie o jego rodzinę i tu zaczną się schody. Poznać można jego siostrę, dalszych krewnych. Ojca nie widział od szesnastu lat, nawet nie był pewien, czy jeszcze żyje. Matka...

Tamta wizyta, jeszcze przed zerwaniem z Seliną. Bo przed wyjazdem nie poszedł się pożegnać.

Przychodził coraz rzadziej, z coraz większymi oporami. Do schizofrenii dołączyła postępująca demencja i Max nigdy nie wiedział, w jakim nastroju ją zastanie i w jakim on sam opuści ośrodek. Chyba to wykańczało go najbardziej. Walczyłby o nią z całą siłą, ale wróg był niewidzialny, co wizyta inny. Zabierał

mu ją podstępnie, powoli, za każdym razem inaczej. Z biegiem czasu, do jej zagubienia w czasie i zdarzeniach doszły dni, kiedy go nie poznawała, wreszcie okazjonalne wybuchy agresji.

Zasychało mu w gardle, z nadzieją patrzył na trzymane w rękach białe pudełko Lokum⁴⁸, jej ulubionego smakołyku. Zameldował się w dyżurce, wypełnił dokumenty, a potem wraz z pielęgniarzem poszedł do jej pokoju. Jak każdy pacjent ośrodka, miała do dyspozycji mały pokój z łazienką, z tą różnicą, że w jej oknach nie było krat. Bardzo chciał, aby tak zostało, do końca.

Dał pielęgniarzowi znak, tak, da sobie radę.

Siedziała na brzegu łóżka jeszcze drobniejsza niż ostatnim razem, jakby odparowywała i zasuszała się powoli. Widywał ją coraz rzadziej, tym bardziej jaskrawy był kontrast między tym, co zastawał, a tym, co pamiętał. W dziecięcych wspomnieniach Maxa, Ilse była piękną wróżką o zielonych oczach, lekko falujących blond włosach. Wyciągał czasem zdjęcia, na których stali razem. Ona jedną ręką obejmująca jego ramiona, drugą trzymająca dłoń ojca. Subtelna, marzycielska twarz, śmiejące się oczy. Za nią Rheinhardt, jakby niepewny co robi na zdjęciu, ze spojrzeniem uciekającym w bok. A może to była jego, Maxa, interpretacja? Pamięć przefiltrowana przez doświadczenia późniejszych lat. Wchodząc do pokoju matki, z bolesnym skurczem uświadomił sobie, jak niewiele z dawnej Ilse siedziało teraz na wprost drzwi. Kiedy i jak zniknęła radość, wyblakła zieleń oczu, wykrzywiły się pamiętane rysy, subtelność przepoczwarzyła się w gniew? Kiedy zaczęła się choroba i dlaczego nie pamięta jej początków? Czy to był jeden dzień, czy miesiące, a może lata niewidzialnych dla niego pęknięć, które nagle przeszły w załamanie? Przed nim siedziała ściągnięta napięciem i złością ziemista maska. Wyprane z dawnego koloru oczy prześlizgiwały się po nim z niepokojem, jednocześnie patrząc w głąb. Prawie niedostrzegalnie poruszała nieuczesaną głową, wreszcie jej wzrok zatrzymał się na słodyczach.

– Proszę, to dla ciebie.

Otworzyła pudełko i od razu wzięła garść, biały cukrowy puder osypał się na wyschnięte ręce i kolana. Przymknęła z lubością oczy, zachłannie żując kleistą masę. Spojrzała na Maxa obojętnym wzrokiem i sięgnęła po następną porcję. Jego żołądek ścisnęła mieszanka żalu, odrazy i strachu. Niepewnie podszedł bliżej i pocałował ją w czubek głowy.

– Cześć mamó, jak się czujesz?

Nie odpowiedziała, mierząc go nieufnie wzrokiem.

– Nie cieszysz się? Przyniosłem to, co lubisz.

Odsunęła pudełko od niego, przekładając je na drugą stronę łóżka, potem odwróciła się demonstracyjnie do okna.

– Nie porozmawiasz ze mną?

– A kto ty jesteś?

A więc znowu. Postarał się, aby jego głos zabrzmiał ciepło, normalnie. Bez zniecierpliwienia.

– Twoim synem, pamiętasz? Max.

Popatrzyła z wyrzutem i gwałtownie rzuciła w jego kierunku:

– Mój Max jest inny.

Zatkało go, to było coś nowego. To był pierwszy zawód.

– Inny, czyli jaki?

– Mały. Taki – pokazała dłonią wysokość – mój chłopczyk. Przynosi mi bez z podwórka i tuli się w nocy. Widzisz? Mam dla niego cukierki. Lubi to samo co ja.

Max poczuł, że sztywnieje. Nie był nigdy typem aniołka, przynajmniej na tyle, na ile sięgała jego pamięć. Rodzina też wspominała jego liczne ekscesy, obejmujące pobicie kolegów, przepłynięcie nocą kanału melioracyjnego, wybijane piłką szyby, a nawet próbę ucieczki z domu. Autostopem.

Przyprowadził go kierowca ciężarówki, którą zatrzymał na pobliskiej drodze. Co do przytulania w nocy, nie było mowy. Ojciec niechętnie patrzył na takie rzeczy. Szczególnie gdy Max skończył cztery lata. Próby spania z matką kończyły się wyrzuceniem go z ich sypialni, a płacz i nieposłuszeństwo – karami. Jak każda zbyt bliska i zbyt długa obecność tylko z matką.

– To było kiedyś. Urosłem, nie pamiętasz? Ja jestem duży Max.

– Mój Max jest mały, inny niż ty. Dobry.

Nie wytrzymał.

– A ja pamiętam, jak zlałem Martina od sąsiadów, jak zbiłem okno w waszej sypialni.

– Nie, nie, nie – uporczywie kręciła głowę, siwe włosy rozsypały się po twarzy. Między ich zlepionymi kosmykami dostrzegł błyski gniewu.

Nie powinien był się sprzeciwiać, należało zaczekać. Może przyniesione delicje sprawiłyby jednak cud?

– On jest dobry, trochę nieśmiały, chodzimy szukać ślimaków. Jest słodki i delikatny. Rheinhardt wozi go po domu na barana, wiesz, ojcowie uwielbiają synów...

Max czuł gorącą falę w gardle.

– A przypadkiem nie bije go czasami? A ty? Nie wychodzisz wtedy z domu, udając, że nie widzisz?

Rzuciła się na niego z rozpostartymi rękami, niczym rozjuszony stary ptak. Cofnął się zaskoczony samym atakiem oraz kombinacją łez i wściekłości. Z łatwością zablokował jej ciosy i usadził z powrotem na łóżku. Czuł się winny używając siły, winny, że nie może jej współczuć. Że nie ma w nim miłosierdzia. Bo potrzebował matki mimo prawie czterdziestu lat. Mimo ponad metra dziewięćdziesięciu wzrostu. Poczul się zdradzony. Przeszła na stronę ojca, stworzyła sobie idealną rodzinę bez niego, a raczej z nim z czasów, gdy można było nim manipulować.

Przytrzymał jej kościste, wyschnięte ręce. Cała się trzęsła, nie wiedział – ze strachu czy z gniewu.

– Wynoś się, wynoś się natychmiast. Zaraz przyjdzie mój synek. Nie chcę, żeby cię zobaczył, ty... wielki, okropny... – nie znalazła innych słów – brutalu!

Prawie się roześmiał, słysząc obelgę.

– Może jednak nie tak zły jak twój Rheinhardt, co?

Potok wyzwisk ogłuszył go. Zanim ponownie ruszyła na niego z pazurami, zamknął za sobą drzwi. Poczekał chwilę, widząc nadchodzącego już pielęgniarza.

– Przykro mi. Jeśli zechce pan porozmawiać, doktor Kreile jest u siebie.

Max zaczerpnął powietrza.

– Jasne. Cokolwiek, byle ją uspokoić.

Wracając łudził się, że wszystko spłynie po nim zanim dojedzie do domu, tak jak zawsze. Ale tym razem nie zdołał wykasować jej nienawistnego spojrzenia. Pogodzić się z tym, jak zmieniła przeszłość. Kiedyś pomagała mu, potrafiła przygarnąć po ojcowskich razach. Wtedy, gdy jeszcze nie rozumiał, dlaczego nie broniła go, dlaczego jej nie było. Dotarło w jednej sekundzie, bez słów. Wielki rozlany siniak na jej ramieniu. Prawie czarny w środku, o fioletowo-sinych brzegach, zniknął chyba ze dwa tygodnie. Max nauczył się, jak smakuje bezradność i bezsilność. Zaczął marzyć o posiadaniu tajemnych mocy, o tym, że kiedyś jedną ręką zmiecie ojca z powierzchni ziemi. Zostanie niemiecką wersją Supermana lub Batmana.

Nienawidził wtedy alkoholu. Najpierw czuł jego zapach unoszący się za wchodzącym do domu ojcem, potem czuł skulenie matki i swoje. Gęstniejące od strachu oczekiwanie na atak. Wcześniej czy później, z powodem czy bez niego następował wybuch. Z biegiem lat odstęp między nimi malał, dawka alkoholu rosła, a matka stawała się coraz bardziej niewidoczna. Jakby usiłowała stopić się z tłem, zniknąć z nadzieją, że gdy stanie się przezroczysta, mąż ją przeoczy.

Zrezygnowany wspinał się po schodach, po raz kolejny dziękując babce za to,

że nie była sentymentalna. Nie łudziła się wizją syna w cudowny sposób zmieniającego się w lepszego człowieka. Nie uwierzyła jego zapewnieniom, że gdy będzie miał pieniądze, przestanie pić. Uratowała to mieszkanie, dając start w życie jemu, Maxowi. Nie zawiódł jej zaufania, zapamiętał jej nauki, że mężczyzna ma być silny.

Usiadł w kuchni, tępo patrząc przez okno. Był zmęczony i głodny, ale nie mógł wykrzesać w sobie za nic energii. Głęboko wierzył, że nie można gotować, mając złe myśli. Zamówił hinduskie jedzenie, zaraz potem zjawiała się Selina. Nie musiał niczego tłumaczyć, w większości spraw ich myśli spotykały się na tej samej częstotliwości.

- Co się stało?
- Byłem u matki.
- Bardzo źle?
- Nie pytaj.

Podeszła i przytuliła go mocno. Odwzajemnił krótko uścisk, potem jednak odsunął się delikatnie, ale stanowczo. Przeszedł do salonu, usiadł na kanapie, jednocześnie sięgając po pilota. Musiał ochłonać, przeczekać pulsujący w nim gniew i coś jeszcze, czego na razie nie potrafił nazwać. Podeszła niepewnie, stanęła tyłem do ekranu.

- Wyłącz, proszę.
- Dlaczego?
- Pamiętasz, sam uczyłeś mnie...

Westchnął z rezygnacją i nacisnął wyłącznik. Pilot poleciał w róg kanapy. Oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. Poczuł, jak siada mu na kolanach.

- Co się stało?
- Wyobraź sobie, że ona czeka na małego, słodkiego chłopca, który nie bije kolegów, przynosi kwiatki, tuli do snu i nazywa się Max.

– Co jeszcze?

– Tata Maxa wozi go na barana, w ogóle są szczęśliwą rodziną, idylla, tęcza i *Oda do radości* jako tło muzyczne.

– Ona jest chora, Max.

– Wiem, wiem. Lekarz mówił, że kobiety często tak mają. Nie mogą zmienić przeszłości, uciekają w nową wersję wydarzeń, dla nich wybawienie. Szkoda tylko, że wtedy nie miała dość wyobraźni, by przyprowadzić ze sobą policji, sąsiadów, kogokolwiek...

– Nienawidzisz jej?

– Nie wiem. Nie, chyba nie. Usiłuję nie mieć pretensji. – Wypuścił głośno powietrze z płuc, fala opadła. – Rodzice nam się jakoś nie udali, co?

– Nie mów tak. Gdyby nie ona, nie byłoby cię. Tutaj, dziś, ze mną.

– Chcesz przypomnieć, że mogła mnie wyskrobać?

– Przestań, proszę. – Nienawidziła, gdy używał takich słów. – Ale tak, masz rację, ostatecznie to decyzja kobiety. Jednak musiała cię chcieć. Musiała kochać.

Zamilkł porażony tym odkryciem, które choć tak oczywiste, nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy. Gładziła jego czoło i skronie. Poczul się nieswojo pod jej spojrzeniem.

– Czemu się tak przyglądasz?

– Chcę wytrzeć to coś z twoich oczu.

– Co takiego?

– Skończył mi się niemiecki. Coś, od czego boli mnie w środku.

– Czasem musi. Ale to nie twój ból, nie bierz go. – Złość odeszła, jak zawsze w jej obecności.

Ciepłe dłonie objęły jego szyję, na powiekach poczuł pocałunki.

– Musi cię kochać, wróciła w przeszłość i próbuje być lepszą matką.

Odsunął się na chwilę i patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

– Jeśli będę mieć kiedyś dziecko, nigdy go nie uderzę. Przysięgam.

Skinęła głową bez słowa na znak, że to oczywiste. Zawahała się przez chwilę.

– Max, jeśli trzeba dorzucić coś do opłaty za pobyt twojej matki, to wiesz, że zarabiam. Naprawdę nie potrzebuję tych pieniędzy...

Patrzył na nią kompletnie zaskoczony.

– No, nie tyle – tłumaczyła zmieszana, widząc jego minę.

– Nie trzeba, sprzedałem motor.

– Nie wierzę...

– Nie patrz tak, to tylko zabawka. Wiesz, dla dużych chłopców. Poza tym, to moja matka. I mój psi obowiązek.

W nocy, kiedy jeszcze nie spała, przyniósł do łóżka iPod. Położył się obok, jedną słuchawkę podając jej, drugą zatrzymał. Położyła głowę na jego ramieniu.

– Co to?

– To dla ciebie. Ktoś powiedział to lepiej, niż sam potrafię.

Przycisnął Play. Rozpoznała natychmiast, The Cure – *Love song*.

Whenever I'm alone with you	You make me	Kiedykolwiek jestem z tobą sam,	sprawiasz, że
feel like I am home	again		czuję się znów w domu.
Whenever I'm alone with you	You make me	Kiedykolwiek jestem z tobą sam,	sprawiasz, że
feel like I am whole	again		czuję się znowu zdrow.
Whenever I'm alone with you	You make me	Kiedykolwiek jestem z tobą sam,	sprawiasz, że
feel like I am young	again		znowu czuję się młody.
Whenever I'm alone with you	You make me	Kiedykolwiek jestem z tobą sam,	sprawiasz, że
feel like I am fun	again		znowu jestem zabawny. ⁴⁹

To był drugi raz, kiedy leżała obok niego, płacząc jasnymi z radości oczami.

Mocniejszym niż powinien, zamknięciem wieka sekretarzyka zakończył pracę i dalsze wspomnienia. Zadzwoił do sióstr. Przez telefon brzmiały identycznie, nigdy nie wiedział, z którą właśnie rozmawia. Zachwycona – jak się okazało

Betty – obiecała przyjazd po mebel wieczorem.

– Po siódmej może być?

– Mogę dowieźć, to naprawdę żaden problem.

Sprzeciwiła się mówiąc, że ruch dobrze jej zrobi, poza tym, będzie mogła rozejrzeć się po pracowni. „Dziarska staruszka” – pomyślał.

Chwilę później zjawiła się Jess, podekscytowana i radosna.

– To jak, gotowy na spotkanie?

– Spotkanie?

Coś przeoczył. Nawet nie wiedział, z jakiej kategorii było to, o czym zapomniał. Ponownie przeniósł wzrok na sekretarzyk, sprawdzając po raz ostatni, jak wygląda.

– Max, jesteś tam?

Wrócił myślami do tu i teraz. Rude włosy Jess pochylały się nad nim, polerował właśnie metalowe okucia w kształcie lwiej łapy, na których stały nóżki mebla.

– Pamiętasz? Rano pisałam, że moi rodzice chcieliby cię poznać – Jessie rzuciła to lekko, ale wyczuł uroczysty ton w jej głosie. Nie dziwił się, musieli być ciekawi, kto tak skutecznie zabiera czas ich córce.

– Jasne. Kiedy, gdzie?

– Najbliższa okazja, czwarty lipca, fajerwerki, grill i tak dalej. Będziemy świętować oderwanie się od Europy – Jessie zmrużyła złośliwie oczy.

– Anglia nigdy nie była tak do końca w Europie.

– Może dla ciebie, stąd wygląda to nieco inaczej – droczyła się z nim, przeciągając słowa.

– Nie udało ci się zdenerwować Europejczyka we mnie. Jeśli to zamierzałaś – powiedział, łapiąc ją od tyłu wpół i łaskocząc. Wyrывała się gwałtownie, krzycząc z całych sił, na szczęście w warsztacie nie groziło im zainteresowanie

sąsiadów. Kątem oka dostrzegł rozcięcie dekoltu, poczuł jędrność jej ciała. Z przyjemnością przeciągnął ręką po długim, szczupłym udzie i zanim zdążył pomyśleć, był gotowy.

– Ale już za sam zamiar zostaniesz ukarana – powiedział chrapliwie, trzymając jej obie dłonie w prawej ręce, lewą wsunął między zaciśnięte nogi w opiętych jeansach. Poczował jak zamarła, wstrzymała oddech, potem jej ciało rozluźniło się i zaraz ponownie spięło w oczekiwaniu. Oddychała teraz głębiej i szybciej. Kciukiem pocierał miejsce tuż nad swoją dłonią, jednocześnie całując szyję i kark. Poczował ciepło, jej biodra wchodziły w rezonans z jego kciukiem.

Całował jej skórę rozgrzaną niedawną walką, jednocześnie zastanawiając się nad miejscem w warsztacie. Nie miał niczego, co choć trochę przypominałoby łóżko!

– Max, wiesz, chciałam ci powiedzieć... – Odwróciła się i nieoczekiwanie spoważniała, biorąc jego twarz w dłonie, niemal matczyńny dotyk. Patrzyła mu teraz prosto w oczy z absolutnym, psim oddaniem. Wiedział, że chciała zobaczyć to samo. Odrzuciło go od tej miękkości i poddaństwa żądającego natychmiastowej wzajemności. Wrócił do jej skóry, zbyt gorliwie całował jej szyję, zbyt szybko zaczął rozpinąć spodnie. Zdezorientowana usiłowała nadążyć za nim, dotrzymać kroku, przejść z powrotem do jego tempa.

Dusił w sobie poczucie winy, chęć ukarania siebie samego zmieszaną z narastającą koniecznością rozładowania tego, co ogarniało jego lędźwie, wyrzucenia z siebie wszystkich sprzecznych uczuć wraz z mocnym... Na chwilę przeraził się, jak nazwał to we własnych myślach. Nieświadomie – rozgrzeszył się szybko.

Znów odwrócił ją plecami do siebie, szybkim ruchem zsunął spodnie po szczupłych biodrach aż do kostek, potem zmusił Jess do oparcia rąk o stojący przed nią stół. Zirykowało go jej ciche „poczekaj”, stopą rozepchnął jej nogi na tyle, na ile pozwalały krępujące je przy ziemi jeansy. Zignorował jej próbę

wyprostowania się i przyciskając jej kark do dołu, wszedł w nią z impetem. Krzyknęła, ale przestała protestować. Wzbierała w nim tłumiona złość i potrzeba bliskości, której pragnął, ale nie potrafił wziąć ani dać. Jakby w ostatniej chwili ręka trafiała na ścianę, jakby urywało się połączenie neuronalne w jego mózgu. Wchodził w nią długimi, szybkimi ruchami, które pozwalały mu skupić się na przyjemności, zagłuszyć tęsknotę. Wiedział, że pożądanie zwycięży, zaleje wszystkie inne uczucia. Przez sekundę poczuł ciepło tamtych rąk na swojej szyi, wtedy. Cholera! Przyspieszył, teraz obiema rękami mocno trzymał biodra Jess. Nie próbowała się już wyrwać ani wyprostować. Gwałtownie łąpała oddech i kurczowo trzymała się krawędzi mebla. Poczł rodzący się w gardle jęk, a potem uderzenie bólu i ulgi, kręgami rozchodzące się od końca kręgosłupa do mózgu.

Nareszcie.

Max opadł na mokre plecy Jess i drgnął kilkakrotnie z ręką na jej brzuchu.

– Przepraszam – powiedział bez intencji przeprosin – poniosło mnie trochę.

Stali tak, pólżąc na stole pokrytym papierami i mapami okolicy. Jessie dostrzegła ukośnie leżący plan Kalifornii, a obok samochodową mapę Niemiec. Widziała je pod takim kątem, że linie map przecinały się jak ich ciała na tym samym stole. Max wyszedł z niej z westchnieniem i zanim zareagowała, szybko wytarł ją leżącym na stosie papierowym ręcznikiem.

Wydawała mu się onieśmielona tym, co zrobił. Mimo prawie trzydziestu pięciu lat wyglądała w tej chwili jak nastolatka, jak za pierwszym razem. Irytowała go jej nieśmiałość w takich chwilach. Czuł się wtedy perwersyjny i brudny, a z pewnością nie doszli nawet do obrzeży takich doświadczeń.

– Tam jest łazienka, chyba lepiej, żebyś to zmyła z siebie.

Łazienka z miniaturowym prysznicem, wciśniętą w kąt umywalką i zielonkawym sedesem poraziła ją ostrym światłem halogenów zawieszonych rzędem nad zajmującym pół ściany lustrem. Zanim wróciło jej czucie, zobaczyła

w nim rozedrgane dłonie, którymi usiłowała wciągnąć spodnie i zasunąć suwak. Przypomniała sobie o plecach, piersiach i brzuchu ciągle lepiących się od potu. Po namyśle zdjęła całe ubranie i z ulgą weszła pod prysznic, skóra z wdzięcznością przyjęła chłodną wilgoć. Nie usłyszała otwierających się drzwi, twarz wystawiła właśnie na działanie strumieni kropeł płynących z wielkiego ceramicznego dysku, dającego złudzenie stania w deszczu.

Drgnęła zaskoczona, czując na sobie jego ręce. Uniósł ją i oparł o ścianę z zimnych kafelków. Instynktownie otoczyła go nogami, a on natychmiast wszedł w nią na lekko ugiętych nogach. Chwyciła rękami drążek prysznica przymocowany dokładnie nad jej głową. Uwolniony od konieczności trzymania całego jej ciężaru Max szybko podniósł jej kolana wyżej, niż sama była w stanie je utrzymać. Teraz niemal dotykała nimi ścian łazienki. Był szybszy niż za pierwszym razem. Jak na urywającej się taśmie filmowej widziała strużki wody spływającej po jego szyi, ramionach, kapiące na miarowo pracujące podbrzusze. Poruszał się w niej z mechaniczną zaciekłością, napięte przedramiona zamknęły ją w żelaznym uścisku. Uciekał od oczu, ust, spojrzenia, opierając głowę na jej obojczyku. Zarejestrowała wielokrotny spazm jego ciała, w którym nie uczestniczyła, zbyt zajęta obserwowaniem jego reakcji. Zwolniła uścisk i powoli ześliznęła się po jego ciele, chwiejnie stając na miękkich nogach. Podtrzymał ją jedną ręką, drugą opierając się o ścianę. Przez chwilę uspokajał oddech.

– Muszę ściągnąć tu jakieś łóżko albo chociaż materac, jeśli zamierzasz mnie częściej odwiedzać – oddychał ciężko, jednocześnie odklejał rude kosmyki z jej twarzy, gładził piersi i biodra. Sięgnął po butelkę z mydłem.

– No daj. – Mył ją wszędzie, kątem oka dostrzegając zaskoczenie i niepewność, jakby nie wiedziała, co robić, gdzie trzymać ręce, co zrobić z ciałem. – Chyba się nie wstydzisz? – Przełączył deszczownicę, zdjął z uchwytu zawieszoną obok tradycyjną słuchawkę o wąskim strumieniu, który skierował między jej uda. Wibrowanie wody zatrzymało jej oddech, starała się nie okazać,

jak bardzo jej się to podoba. Zauważył.

– *Nice?* Podnieś nogę.

– Przestań, już nie mam siły, wszystko mnie boli. – Chlapnęła mu wodą w twarz.

– Podnieś, zaraz zapomnisz o bólu.

Posłuchała, a on z wyczuciem sterował siłą wody. Jedną ręką trzymał jej udo, drugą zmieniał powoli ciśnienie, mocniej w prawo, słabiej w lewo. Obserwował jej twarz, dłoń zaciskającą się na jego ramieniu. Podkręcił tempo, coraz szybsze zmiany, wreszcie pozostawił jednolity strumień, którym zaczął zataczać minimalne kręgi. Orgazm prawie pozbawił ją równowagi.

– Hm, to ci się naprawdę podobało, bardziej niż tam, przy stole – wyszeptał przy jej uchu. Zlizywał z niego wodę, delikatnie przygryzał płatek małżowiny.

– To dlatego, że jesteśmy twarzą w twarz, lepiej mnie widzisz – usiłowała zażartować, ale zabrzmiało jak wyrzut.

– Chyba byłem za szybki. – Poglądził ją po ramieniu.

Uciekła spojrzeniem.

– Nie ma sprawy, ty zrobisz coś dla mnie, ja zrobię coś dla ciebie – puścił perskie oko, a potem podał jej ręcznik. – Ale to następnym razem, teraz musimy się pospieszyć. Za chwilę wpadnie tu starsza pani po odbiór zamówienia. Mamy piętnaście minut na zatarcie śladów.

– Co? Teraz mi to mówisz?

– Nie było okazji – żartobliwie pstryknął ją w nos, szybko wytarł ją i siebie, a potem wciągnął na wilgotne jeszcze ciało zostawione przed drzwiami łazienki ubranie.

Jessie opanowała impuls dotknięcia jego pleców, mokrych plam na T-shircie, które za chwilę znikną.

Zrobisz coś dla mnie, ja zrobię dla ciebie – brzmiało w jej głowie, gdy

wkładała klucz do stacyjki swojej czarnej hondy. Nie ma sprawy, ty zrobisz coś dla mnie, ja dla ciebie, zrobić...

Jej mózg nieustannie przewijał to zdanie, od początku, od nowa, nieprzerwanie. Nie chciała go analizować. Nie chciała myśleć, dlaczego nie chce. Tak samo wycięła unik jego oczu, gdy prawie powiedziała, że go kocha. Wykasowała z pamięci to, że nie szukał jej wzroku, nie odwzajemnił tego, co przekazała mu bez słów. Lata praktyki w przekuwaniu problemów i potknięć w „pożyteczne” lekcje, a nawet zwycięstwa. Znowu poczuła w sobie pchnięcia Maxa, na granicy bólu, pierwszy raz ktoś robił z nią coś, co do tej pory oglądała tylko na filmach z x-rating⁵⁰. Była przerażona, ale podniecenie przeważało, gdy przypomniła sobie to, co usłyszała za sobą wtedy, oparta o stół, i co podnieciło ją bardziej niż wdzierające się w jej ciało pożądanie. Ból i spełnienie w jednym. Nigdy dotąd nie słyszała ich razem w głosie mężczyzny. Nie tak złożonych. Mogła się zgodzić na wszystko tylko dla tego dźwięku.

Skierowała się na południe, do miasta, mając nadzieję na trochę ochłody po rozgrzanym latem hrabstwie Marin. Przejechała tunel i z ulgą zanotowała kłębiastą zasłonę mgły spowijającą most. Zawsze parę stopni mniej – pomyślała z rozbawieniem, przypominając sobie ciągłe dyskusje z Maxem na temat Celsjusza i Fahrenheita. Zupełnie ignorował amerykański system, w miarę potrzeby podpierając się takimi określeniami jak „więcej niż gorączka” na oznaczenie upału lub „mniej niż mglisty poranek w San Francisco” na określenie chłodu.

Irytowało ją i jednocześnie podziwiała jego nastawienie. Pozornie mały, nieważny szczegół, ale w jakiś sposób odzwierciedlał jego całego. Nie uczył się rzeczy, których nie chciał, nie próbował się przypodobać, być najlepszym, *do at it best*. Ona zawsze starała się dorosnąć do oczekiwań, zadań, zrobić najlepiej jak umiała. Najbardziej trywialne i czasem nieważne rzeczy. Od dziecka pracowicie spędzała dni, a ściśle wypełniony kalendarz był dowodem sukcesu. Powodem

do dumy i wypełniającego ją poczucia dobrze spełnionego obowiązku. Miała uczyć się, uprawiać sport, a nawet odpoczywać najlepiej jak się da. Produktywnie, w dobrze zaplanowany sposób. Zdawała sobie sprawę, że tak została wychowana, że ten model prawie bez wyjątków panował w całej rodzinie, był popierany w szkole i w sąsiedztwie. Z tym, że Jessie nigdy go nie kontestowała, wydawał jej się zdrowy, efektywny i naturalny. Dobrze wykorzystany czas i życie. Nigdy nie przyznałaby się do tego nawet przed sobą, czuła się lepsza od tych, którzy wiecznie szukali mistycznego sensu i celu swej egzystencji. Pogardzała depresjami, załamaniami nerwowymi, niezapisanymi terminarzami i brakiem celu w życiu.

Zaparkowała przed Trader Joe's i ruszyła na zakupy. Rodzice, przejęci wizją spotkania pierwszego od dawna poważnego chłopaka, stanęli na wysokości zadania, zdobywając wszystko, co możliwe, na wielkie przyjęcie zorganizowane pod pretekstem czwartego lipca. Kłam oficjalnej wersji zadawał brak dalszych sąsiadów na liście zaproszonych, zazwyczaj tłumnie pojawiających się w domu państwa Jordan. Max nie miał o tym pojęcia, ale Jessie zrozumiała intencje rodziców i nie czuła się z tym najlepiej. Tak naprawdę nie wiedziała, jak im go przedstawić. Mimo ponad roku, w czasie którego byli parą, nigdy nie zaproponował jej wspólnego mieszkania, praktycznie w odniesieniu do nich nie używał czasu przyszłego. Docinała mu czasem mówiąc, że stał się bardziej amerykański od niej, egzystuje tylko w teraźniejszości.

Zapamiętała ten jeden wieczór, kiedy wypili trochę za dużo, a on na pewno więcej od niej. Ze zniecierpliwieniem graniczącym ze złością rzucił wtedy:

- Wcześniej mówiłaś, że od przeszłości jest Europa. Czy nie tak o nas myślicie? Po prostu staram się dorosnąć do zmiany.
- A przyszłość? – skontrowała nad wyraz przytomnie.
- Jeszcze do niej nie doszedłem, nie jestem tak pilny w odrabianiu prac domowych.

Wiedziała, że w ostatniej chwili wycofał „jak ty”.

Nazajutrz prowadziła samochód z Maxem na siedzeniu pasażera. Odchylił fotel do połowy, spod zmrużonych powiek przyglądając się mijanej okolicy.

– Jak południowa Francja albo Włochy, tylko wszystko większe. Wiesz, co najbardziej tu lubię? To, że nie daliście się deweloperom, milionerom i kasie. Że nie ma prywatnych plaż, że nie wpuszczono tych drani z pieniędzmi do parków krajobrazowych. Jak na południu, w okolicach San Diego czy Los Angeles. Że jest miasto, a zaraz za jego granicami w powietrzu kołują jastrzębie, przy szosie widać jelenie, a płynąc po zatoce można się zderzyć z wielorybem. Ciągłe jeszcze widać, jak było tu przed nami...

– Zapisujesz się do Greenpeace?

– To była ironia? – spojrzał zdziwiony. – Nie byłeś w Europie, pojedź do Holandii. Jak wrócisz, zaczniesz całować każdy niezabudowany kawałek ziemi.

– Jeśli mnie zabierzesz ze sobą, choćby jutro.

– *Anytime*⁵¹ – powiedział, opierając dłoń na jej udzie. Zarejestrowała brak konkretnej odpowiedzi i – jak jej się zdawało – entuzjazmu w jego głosie. Ta jedna chwila zepsuła jej cały humor, przysły radosne bąbelki oczekiwania na przedstawienie Maxa rodzicom.

Skręciła w kierunku San Rafael, wjechali w okolicę jednakowo wyglądających, na ogół parterowych, ale rozległych domów, pokrytych drewnianym gontem i w większości zaopatrzonych w duże werandy. Wszystkie były w jednolitym stylu, z wycuciem wtopione w pagórkowaty teren. Żadnych przypadkowych, niepasujących konstrukcji. Jak zamieszkujący je ludzie, mniej więcej z jednego przedziału deklaracji podatkowych. Tego, który zaznaczał co najmniej pięciocyfrowe dochody roczne na rodzinę.

Dał się wziąć pod rękę i zaprowadzić do drewnianych schodów, u szczytu których stała para. On wysoki, świetnie zakonserwowany i do złudzenia

przypominający Gregory'ego Pecka po sześćdziesiątce, ona o głowę niższa, wysportowana, szczupła, z ciepłym uśmiechem.

– Eric. Nareszcie widzę kogoś, komu będę mógł spojrzeć prosto w oczy.

– Tata właśnie powiedział komplement na temat twojego wzrostu – wyjaśniła mu Jess.

– Caroline – matka przywitała go amerykańskim uściskiem. – Naprawdę się cieszę, Jessie tyle mówi o tobie.

Max spojrzał na nią z udawanym przerażeniem.

– Nie miałem pojęcia, sprawdzę potem, co to za historie – objął Jessie ramieniem i weszli do środka. Szybko ocenił, że dziewczyna była prawie dokładną, tyle że młodszą kopią matki. Ten sam odcień włosów, ta sama szczupłość ciała i twarzy. Przedstawiając go, patrzyła jednak głównie na ojca.

Początkowe napięcie rodziców zelzało szybko, tym bardziej że Max swobodnie dawał radę językowo. Weszli do wielkiego salonu prześwietlonego na wylot mlecznym światłem lata. Ściany ozdabiały olbrzymie talerze zadrukowane misternymi wzorami arabskiego pisma. Jedyne pozbawiony okien fragment domu w całości zawieszony był chińskimi parawanami. Wykonane z ciemnego palisandrowego drewna przedstawiały skomplikowane, wielopiętrowe sceny, wytłoczone w mosiądzu figurki ludzi, zarys drzew i krajobrazów. Całe wnętrze utrzymane było w ciemnobrązowych tonacjach teaku i palisandru, skontrastowanych ze starym złotem zasłon. Trzecią, daleką scenografią, najgłębszym tłem była zieleń, obecna w domu dzięki wielkim, sięgającym podłogi przeszkleniom. Spojrzenie Maxa przykuły fajki wodne, cedrowe skrzynie służące za stoły i strzelby z rękojeściami z kości słoniowej.

– Piękne. – Pogłodził drewno i misterne obramowanie parawanu, potem obejrzał strzelbę.

– Arabia Saudyjska – Eric stanął za Maxem. – Mój ojciec spędził tam ponad dwadzieścia lat, w zasadzie wychowywałem się tam.

– Jess coś wspominała – Max obrócił się. – Tęskni pan za miejscem dzieciństwa?

– A ty? – Eric przyjrzał mu się z uwagą.

– Jeszcze nie, ale to pewnie przede mną.

– Siadaj – Eric podsunął mu wielki, niski fotel. Zapadli się obaj, prawie do półleżącej pozycji.

– Skąd dokładnie pochodzisz w Niemczech?

– Nadrenia, blisko granicy holenderskiej. – Maxowi przemknęła przez głowę idiotyczna myśl, że trudno będzie wstać i uciec.

Eric pokiwał głową z namysłem, zapatrzył się w okno za plecami Maxa, jakby oglądał niewidzialną mapę.

– Nie byłem. Ale mój ojciec zginął w czterdziestym czwartym w okolicach Gey, czwarta dywizja pod dowództwem Collinsa. Tylko wtedy załatwiliście około sześciu tysięcy naszych chłopców. Pewnie nie słyszałeś...

– Słyszałem, zdziwiłby się pan, jak dużo wiem o tym, co mój kraj robił w czasie wojny. Tej i poprzedniej. Ale proszę mnie nie pytać, gdzie wtedy byli moi przodkowie, to trochę nie fair.

Eric wyglądał na zaskoczonego, przemyślał kolejne zdanie.

– Pewnie, nawet nie zamierzałem. Wiesz, ojca nie pamiętam dobrze, poszedł walczyć gdy miałem osiem lat. Nie wrócił. Wszystko wyczytałem potem z książek, teraz jest internet. Odnalazłem nawet w Earth View to miejsce, tamten las Hurtgen Forest⁵² – nieudolnie próbował oddać dźwięk umlautu.

Max przerwał mu i powoli, dobitnie wydźwięczała cała nazwa Hürtgen Wald. Dalej był Stolberg, Merode...

– Dokładnie tam zginął – Eric przerwał mu niecierpliwie. – Do diabła, stawialiście tam podobno niezły opór. To jedno przejście kosztowało nas trzydzieści trzy tysiące ludzi.

– I o całe pięć tysięcy mniej naszych. Faktycznie, byliśmy nieźli.

W Maxie gotowało się, chciał sięgać do danych o gigantycznej pomocy niemieckiej po stronie Północy w czasie wojny secesyjnej⁵³, ale po namyśle ominął ten temat. Cholera wie, po której stronie są sympatie ojca Jessie.

Eric popatrzył na siedzącego przed nim Maxa, jakby dopiero teraz zrozumiał, o czym rozmawiają.

– Ech, cieszymy się, że dożyliśmy innych czasów. To co – sięgnął po kolejną butelkę piwa – dziś świętujemy dużo wcześniejsze wydarzenia, zerwanie więzi z królową.

– Za niepodległość – stuknięcie szklanek odrobinę poluzowało napięte mięśnie Maxa.

Wyszli przed dom chwilę przed odpaleniem fajerwerków. Nigdzie nie widział Jess, za to przedstawiony został dalszej i bliższej rodzinie. Po jakimś czasie przestał zapamiętywać imiona i twarze.

Poczuł delikatny dotyk na plecach.

– Przepraszam, musiałam porozmawiać z mamą, wiesz, jak to jest...

Przytaknął, z namysłem obracając szklanką pełną specjalnie na jego cześć zdobytego niemieckiego piwa. Z przyjemnością pociągnął łyk Paulaner Hefeweizen, prosto z Whole Foods.

– Jak się bawisz?

– Super, zdążyłem się już wytłumaczyć z wojny i chyba dostałem rozgrzeszenie. – Złość wróciła nagle i zaskoczyła go.

– Boże, nie wierzę, ojciec naprawdę...?

– Naprawdę, nie przejmuj się, jestem przyzwyczajony – słowa wyslizgnęły się z niego, nie chciał tego powiedzieć, ale jednak pociągnął dalej: – Byłem kiedyś z... nieważne, mam doświadczenie w kajaniu się i posypywaniu głowy popiołem.

Coś zwróciło jej uwagę w jego głosie. Nie chciała zapytać wprost.

– Kazała ci się z tego tłumaczyć? – dobrze odegrała naiwność.

– Nie, ona nigdy. – Delikatne drgnięcie na tych trzech literach: ona. Patrzył przed siebie, nie widząc dogasających fajerwerków, spalonych słońcem wzgórz.
– Pojechałem z nią na cmentarze, wszędzie tam, gdzie były obozy.

Zamilkł wpatrzony w obrazy, do których nie miała dostępu, których nie mogła sobie nawet wyobrazić.

– I? – nie wytrzymała, przeczuwając, że pierwsze wrażenie potwierdzi się. Prawie miała pewność.

– Miałem *nervous breakdown. No details.*⁵⁴ Oni tam mnie pocieszali, co za ironia losu.

Oczy Maxa wróciły z dalekiej podróży w głąb siebie, skupiły się w końcu na przyjęciu i na niej samej.

– O czym rozmawiałyście z matką? – widząc jej wahanie, szybko dorzucił: – Jeśli to nie tajemnica rodzinna, rzecz jasna.

– O ojcu, chyba sobie z nim nie radzi.

Max nie zdążył pomyśleć, mimo ponad roku spędzonego w Stanach, zapomniał o poprawności i dystansie.

– Nie dziwię się – na chwilę zamilkł, ale widząc spojrzenie Jess, rzucił ze złością: – Nie sądzisz, że to jednak trochę mało kurtuazyjne powitanie: „załatwiliście naszych chłopców”? Do ciebie też tak mówi?

– Przestań, to nie ma z nami nic wspólnego. Ja nie mam problemu z historią.

– Ale czy do ciebie też tak mówi?

Jess powstrzymała łzy, za wszelką cenę nie chciała dać się ponieść emocjom.

– Jest wymagający, twardy w obejściu z ludźmi. Wiesz, klasyka, zawsze chciał syna.

– Jasne, musisz doskoczyć, udowodnić, że choć w spódnicy, to jednak

potrafisz.

– Nie chodzę w spódnicach.

– Właśnie dlatego?

– Przestań. Co cię napadło? Dałeś się mu podpuścić, to tylko stary człowiek. Powiem ci, na to jest jedna metoda: uśmiech na twarzy, zero reakcji. Jeszcze chwila i będzie po imprezie, po prostu wyjedziemy.

– A ja ci powiem, że na twoim miejscu poszedłbym do ojca i kazał przeprosić. Gdyby chodziło o ciebie, tak bym zrobił. I jeszcze jedno: nie będę się uśmiechał bez powodu ani milczał, bo tak wypada.

– Max, to mój ojciec, on się już nie zmieni, dla nikogo. Ani dla matki, ani dla mnie, a tym bardziej dla ciebie. Nie chcę, żebyśmy się kłócili.

– Ja też nie – Max zagryzł wargi. Potem pomyślał o swoim nieobecny ojcu i o matce zamkniętej daleko stąd w miejscu, w którym nie ma rodzin. *Shit*⁵⁵, będzie musiał jej kiedyś powiedzieć.

I wtedy napłynął dawno zapomniany obraz. Nie do wiary, rozmowa z potencjalnym teściem jako wyzwolacz wspomnień.

Stary portal, drewniane drzwi wejściowe i kamienne, wyslizgane stopami pokoleń mieszkańców schody. Ona prowadząca go za rękę, jak dziś Jessie. Drzwi otwiera im stara kobieta, jedna z tych, jakich pełno widział w jej ojczyźnie. Przygarbiona, poszarzała, o zrezygnowanym, trochę zalekzionym spojrzeniu. Przyjechali do niej prosto z Auschwitz. Stawał przed tamtymi drzwiami z kamieniem blokującym mu gardło, obręczą ściskającą mózg i płuca. Pełen obrazów stamtąd, klatka po klatce odtwarzający sceny z wyzwolenia obozu. Ta krótka chwila, gdy spojrzała na niego zadzierając głowę, usiłując odszukać jego uciekające spojrzenie.

– *Mein Gott, du siehst doch genau wie mein Gerd aus. Geauso wie er*⁵⁶.

Odwrócił się, by zobaczyć szeroko otwarte oczy Seliny stojącej w ciasnym korytarzu o krok za nim i zaskoczony jak on.

– Nigdy ci nie mówiłam Sabinko, co? Zabrali go, był komunistą.

Mgliste, zapłakane oczy, gdy szukała jego spojrzenia, jednocześnie łapiąc za rękaw płaszcza.

– Wracacie... stamtąd? – zapytała po polsku Seline. Przycisnęła jego rękę do piersi i patrząc mu w oczy, powiedziała, jakby chciała pocieszyć: – *Arme Junge, arme Junge, was haben sie uns getan*⁵⁷.

[48](#) Rachatłukum.

[49](#) The Cure „Lovesong” z albumu „Disintegration” z 1989 roku.

[50](#) Oznaczenie x zarezerwowane dla filmów nieodpowiednich dla dzieci, zawierających sceny przemocy lub seksu.

[51](#) *Anytime* (ang.) – kiedykolwiek.

[52](#) Bitwa o las Hürtgen – nazwa serii walk między oddziałami amerykańskimi i niemieckimi w czasie drugiej wojny światowej w okresie od 13 września 1944 r. do 10 lutego 1945 r., w lesie Hürtgen, w korytarzu o powierzchni ok. 130 km² na granicy niemiecko-belgijskiej. Była to najdłuższa bitwa armii amerykańskiej w jej historii. Poległo w niej ok 28 tys. żołnierzy niemieckich oraz około 33 tys. amerykańskich.

[53](#) W wojnie secesyjnej walczyło ponad 176 tys. żołnierzy urodzonych na terenach niemieckich.

[54](#) Załamanie nerwowe. Żadnych szczegółów (ang.)

[55](#) Cholera (ang.)

[56](#) *Mein Gott, du siehst doch genau wie mein Gerd aus. Geauso wie er* (niem.) – O mój Boże, wyglądasz zupełnie jak mój Gerd. Całkiem tak jak on.

[57](#) *Arme Junge, arme Junge, was haben sie uns getan* (niem.) – Biedny chłopiec, biedny chłopiec, co oni nam zrobili.

Osad

Jessie leżała w swoim dawnym pokoju. Ulegli namowom matki, żeby zostać na noc, pobyc z nią choć trochę dłużej. Rodzice zostawili wszystko prawie tak, jak było przed wyprowadzką córki. Zniknęły tylko niektóre pluszaki, ostatni plan lekcji i zajęć dodatkowych. Na górnej półce szafki lśniły pękate puchary z zawodów pływackich, pod nimi oprawione w przesłodzone ramki migawki z tamtych dni. Ona z koleżankami nad basenem, kolejne fotografie z tortami urodzinowymi i zdjęcie uchwyconej w ruchu roześmianej Jessie z ukochanym Sparkym.

Zawsze czuła się w tym pokoju bezpiecznie, wracała do miejsca z bajki. Należało do przeszłości, w której nic jej nie mogło zaskoczyć.

Dziś pokój irytował ją wszechobecnymi śladami dzieciństwa, wydał jej się infantylny, cukierkowy, a przede wszystkim banalny. Wyobrażała sobie, że większość dziecięcych pokoi w sąsiednich domach musiała wyglądać prawie identycznie.

Usiłowała zasnąć, ale wiedziała, że nie da rady. Wracał ten natarczywy dzwonek alarmowy. Coś, co na pewno zauważyła w głosie i spojrzeniu Maxa, co usiłowała przyszpilić na chwilę, aby lepiej przyjrzeć się, usłyszeć, upewnić.

Ona nigdy – to drgnięcie głosu na krótkim słowie „ona”. Powiedział, jakby jej bronił.

Miała wrażenie, że zsuwa się po szklanej ścianie, na której jest jakiś hak, jakiś punkt zaczepienia, którego nie potrafi dostrzec.

Ona nigdy, ona – Jessie zamarła. To jednosekundowe słowo zabrzmiało nagle echem czegoś, co słyszała wcześniej, rozmytym, rozcieńczonym pogłosem tej samej krótkiej zbitki bólu i morfiny, którą usłyszała, gdy się kochali. Leżała

porażona swym odkryciem, gdy usłyszała ostrożne pukanie do drzwi. Max wszedł, teatralnie skradając się na palcach, uniósł oczy do nieba i zamknął za sobą drzwi na klucz.

– Chryste, ale jesteście purytańscy. U nas nikt by nam nie dał osobnych pokoi. Czy twoi rodzice naprawdę nie zdają sobie sprawy z tego, co robisz po pracy? Gdyby mogli cię zobaczyć wtedy... przy stole, albo jeszcze lepiej pod prysznicem...

– Przestań, możemy zejść z moich rodziców? Nic ci się nie stanie, jak raz zaśniesz sam.

Gwizdnął cicho i udając, że zasłania się przed czymś, usiadł obok niej na brzegu łóżka.

– Jesteś zła? O co chodzi?

Usiadła prosto i przysunęła się do niego tak blisko, że czuła jego oddech. Ujęła jego twarz, zmuszając do patrzenia w swoje oczy.

– Opowiedz mi o niej.

Zaskoczony odsunął się od niej gwałtownie, zbyt szybko.

Zapadła długa cisza, w której Jessie słyszała, jak coś się zamyka, a może pęka.

– Przepraszam cię – głos Maxa był matowy. – Nie mogę.

Wstał i ruszył do drzwi. Przekręcając gałkę, spojrzął na nią z rezygnacją.

– Masz rację. Dobrze mi robi samotny sen.

Wytrzymała do momentu, gdy ucichły jego kroki w korytarzu, trzymała się aż do lekkiego trzasku zamykanych drzwi pokoju gościnnego, potem już nie powstrzymała płaczu. Nawet nie zapytał o kogo pyta, nie udawał niczego. Po prostu nie.

Wracał mostem na południe, do miasta. Rano udało mu się udobruchać Jess. Przeprosił, wytłumaczył, że nie chce wracać do przeszłości. Nie teraz, nie kiedy

jest z nią. Uczepiła się tej myśli, dostrzegła w tym coś szlachetnego. Czuł się podle, bo wiedział, że właśnie tak zareaguje. Włączył radio i poszukał stacji nadającej ambitniejszą muzykę. W końcu zobaczył na wyświetlaczu radia The Editors, zabrzmiało obiecująco. Rozluźnił się do momentu pojawienia się słów.

You don't know love like you used to,	Nie znasz miłości, którą kiedyś odczuwałeś.
You don't feel love like you did before.	Nie czujesz miłości tak jak przedtem.
The more you ran, love got further away.	Im dalej biegniesz, tym bardziej miłość się oddala.
One look and I saw inside	Jedno spojrzenie i zobaczyłem w głębi każdą z rzeczy, którą
Every little thing you'd die to hide,	tak bardzo chciałeś ukryć.
You are the truth, when you lied.	Jesteś prawdą, kiedy kłamiesz.
You don't know love like you used to,	Nie znasz miłości, którą kiedyś odczuwałeś.
You don't feel love like you did before.	Nie czujesz miłości jak kiedyś. ⁵⁸

W pierwszym odruchu chciał wyłączyć piosenkę, zmienić kanał, ale wyciągnięta ręka zawisła nad tablicą rozdzielczą. Przecież to zwykłe, mechaniczne i pewnie tysięczne odtworzenie jakiegoś tam utworu. Nastoletni zwyczaj nakręcania emocji przez muzykę, dopatrywania się w niej drugiego dna i prawie horoskopu dla siebie. Chrzanić to, wszystko można sobie wmówić. Grają to z rozdzielnika. Ani dla, ani przez niego. Dotrwał do końca.

Po powrocie szybko wybrał numer Jess. Nie odpowiadała. Zostawił wiadomość: „Chcę Cię jeszcze raz przeprosić. Kolacja? Dzisiaj? Oddzwonź.”

Oddzwoniła. Udało mu się przekonać ją, że przeszłość trzyma za zamkniętymi drzwiami. Że źle reaguje, gdy ktoś usiłuje go skontrolować, domaga się odpowiedzi.

Pomyślał, że jest dla niej niesprawiedliwy i że powinien to zmienić. Przekonać ją, że zależy mu, stara się. Przez następne tygodnie robił wszystko w tym kierunku, z tą myślą. Udało mu się nawet przekonać samego siebie.

[58](#) Editors – „You don’t Know Love” z albumu „In This Light and On This Evening” z 2009.

Zdjęcie

Irena wracała do domu niespiesznie. Z kruchym jak jej kości dziecięcym uśmiechem, który niepewnie trzymał się pomarszczonej twarzy. Denerwowała nim Marię, wiecznie pochmurną córkę i niektóre sąsiadki z kamienicy. Samotna, stara, a wiecznie zadowolona. Musi mieć jakiś powód – usiłowały dociec.

Maria wpadała czasem, burząc jej delikatne jak pajęcza sieć, tkane w zaciszu domowego spokoju szczęście. Budowane ukradkiem, samowystarczalnie, z niespiesznych i dobrych myśli. Maria była wiecznie naładowana irytacją i nieszczęściem. Napiętym oczekiwaniem na zrozumienie jej rozlicznych tragedii. I za każdym razem przeżywała rozczarowanie. Bo matka patrzyła na nią łagodnie zdziwionymi oczami i potrząsając głową, pytała, jak dzisiaj:

– Ale dlaczego źle, co się stało?

– Sabina w ogóle nie dzwoni, nie przyjeżdża. Jestem sama, sypie mi się zdrowie, to mało?

– Marysiu, ciebie nigdy nie było przy Sabince, nie pamiętasz już? Zawsze miałaś swoje ważne sprawy, pracę...

– To nieprawda, to znaczy prawda, ale wiesz, że musiałam. Stefan nie nadawał się do niczego, już nie pamiętasz, jak ciężko było w tamtych czasach. Gdyby nie ja...

– Mielibyście mniej, a i Stefan byłby spokojniejszy.

– Zawsze to samo. Mniej... Jakie mniej? To i tak było mało. A Stefana nie broń, mięczak bez charakteru i woli walki.

– To trzeba było sobie wybrać innego, a nie ciosać mu latami kołki na głowie, że jest inny, niż miał być. Tobie nikt nie dogodzi. Każdy nie taki, nawet ja.

– Bo nie mogę zrozumieć, jak może wam być tak wszystko jedno. Dla ciebie liczy się tylko święty spokój i wygoda tych sierściuchów. Chyba bardziej się nimi przejmujesz niż mną.

– Marysiu, jesteś od dawna dorosła. Teraz już nawet stara. A mną się nie przejmujesz? Moim wiekiem i zdrowiem? Nie dostrzegasz, że mnie może coś boleć? Też niby jestem sama. To znaczy ja nie czuję się sama, czasem przychodzisz ty, czasem Sabina. Na zewnątrz spotykam ludzi, w domu mam koty i dobre wspomnienia. Na co mam narzekać?

– Dobrze! Wiesz, jak to się nazywa? Wyparcie – Maria ze złością zrzuciła kolejnego burasa z krzesła. Postanowiła zmienić temat, znowu natrafiając na bierny opór matki w zrozumieniu jej nieszczęść. – Wiesz, Sabina chyba rzuciła tego chłopaka. Tego Niemca.

– Skąd wiesz? Nic mi nie mówiła – Irena zdawała się zatroskana jej słowami i raczej zasmucona.

Mały triumf, zazwyczaj dowiadywała się o wszystkim jako druga.

– Szkoda, fajny chłopak...

– Chłopak? Prawie czterdziestka na karku, a jeszcze samotny. Jakiś powód musiał być. Tyle razy mówiłam jej, że za dobra jest dla niego, że ją wykorzystuje, a czas ucieka...

– Czyli nie podobał ci się? – przerwała Irena.

– Hardy i bez szacunku dla rodziny. A poza tym może i on wyglądał dobrze, ale bez studiów, prosty stolarz...

– Artystyczny stolarz, z dobrym zawodem i talentem w rękach.

– A poza tym, czy bliżej nie ma porządnych mężczyzn? – Maria nie dawała za wygraną.

– Nie podobało ci się, że cudzoziemiec czy że Niemiec?

– No, kto jak kto, ale ty chyba nie masz dobrych skojarzeń.

Irena popatrzyła w zamyśleniu w okno.

– To najbardziej romantyczni ludzie, wiesz...

– Znowu to wyparcie. Coś ci się naprawdę z wiekiem pomieszało. No, jakoś z romantyzmem to oni mi się nie kojarzą. I chyba nikomu tutaj...

– Nic nie wiesz, oni jak są za czymś, to naprawdę. Niestety, w złej wierze też. Ale w miłości to tak, że ten twój Stefan...

– No sama widzisz! – Maria triumfalnie wycelowała palec w matkę. – Jednak miałam rację, no, zmarnował mi życie. Przynajmniej Sabinę z tego mam.

Irena westchnęła z rezygnacją. Maria nie usłyszała niczego. Jak zawsze. Z tego, co mówili inni, wyłapywała tylko potwierdzenie własnych sądów i myśli, czasem, jeśli się nie dało inaczej, punkt zaczepienia do frontalnego ataku. Bo oprócz bycia nieszczęśliwą to była druga jej specjalizacja: walka. Teraz, w podeszłym wieku, nieco złagodniała, odpuściła, ale kiedyś... Kiedyś Irena nie miała szans w bezpośrednim starciu z własną córką. Zaczęło się od edukacji. Maria postawiła na angielski, zapisując córkę na absurdalną ilość godzin konwersacji, które z czasem nawet zwiększyła, kiedy okazało się, że dziewczynka miała talent do języków. Maria chciała uczyć wnuczkę niemieckiego, ale wobec kategorycznej odmowy Marii robiła to niejako mimochodem, mówiąc do niej w domu niemal wyłącznie w języku Goethego. W tajemnicy trzymana była skomplikowana, prowadzona miesiącami partyzantka, jaką w przymierzu ze Stefanem wiedli w obronie Sabiny. Lata wcześniej Maria zaplanowała sobie, że jej jedyna córka będzie prawnikiem. W końcu ktoś w rodzinie z konkretnym zawodem, tożsamością i szacunkiem jej należnym. Obrona Sabiny objęła potajemne korepetycje, które pobierała wnuczka Ireny, aby dostać się na warszawską Akademię Sztuk Pięknych. Stołeczną, bo daleko od domu. Równie zakonspirowane były wszystkie konsultacje z profesorami, zakupy materiałów dla artystów. Farby, pędzle, ołówki i dziesiątki bloków rysunkowych leżały ukryte w nocnej szafce obok łóżka Ireny. Tylko tam Sabina mogła spokojnie

uczyć się i pracować. Maria została postawiona przed faktem dokonanym. Dla porządku Sabina zdała też na prawo, ale po otrzymaniu zawiadomienia z Akademii zebrała całą odwagę i cicho, ale nadspodziewanie stanowczo oznajmiła matce, że wybiera ratowanie zabytków. Specjalizacja – papier i skóra. Maria wpadła we wściekłość, potem w rozpacz. Dopiero, o dziwo, rozmowa z prawie nieznaną jej wykładowczynią zmieniła nieprzejednane nastawienie Marii.

– A co pani chce, to świetny zawód, szczególnie dla kobiety. Praca jest zawsze, i do tego wszędzie na świecie. Nie będzie skazana na ten kraj. Dałaby pani spokój, żeby każdy miał takie dziecko i takie problemy.

Stanowczy ton rozmówczyni oraz nagana, którą wychwyciła w jej głosie, uświadomiły Marii, że może nie oceniła sytuacji należycie. Dopuściła w końcu mały wyjątek w swoim żelaznym rozumowaniu. Tylko i wyłącznie dlatego, że podobną w wydzwisku przemowę usłyszała jeszcze kilkakrotnie.

– No, skoro obcy ludzie tak mówią, to coś musi w tym być – skonstatowała. Oczywiście tę samą informację usłyszaną wcześniej od rodziny i znajomych potraktowała jako spisek, ewentualnie złośliwość wobec niej. Ale obcy...

– Muszę już iść. Lekarze, lekarze...

Irena z ulgą zamknęła drzwi za swoją córką. Wolno wróciła do kuchni i siadła nad kolejną herbatą.

– Już dobrze – pogłaskała kota, nieśmiało ocierającego się o jej nogi.

Słońce za kuchennym oknem ozłociło siatkę zmarszczek na jej twarzy, świat ucichł i złagodniał. Irena dotknęła policzka, położyła rękę na sercu, a potem z westchnieniem wstała i poszła w kierunku sypialnianej szafy. Spod stosu przechowywanych tam papierów wyciągnęła metalowe pudełko. Wieczko było poobijane i luźne od częstego otwierania. Z roztargnieniem oglądała zdjęcia, opóźniając, na ile się dało, chwilę dotarcia do ostatniego. W końcu jej dłoń zatrzymała się na karbowanym brzegu, białej obwódce i plamach dwóch osób

widocznych na ciemnym tle sepii. Na fotografii widniała ściana drzew, na pierwszym planie mężczyzna i kobieta. Ona zapatrzona w niego, on całym ciałem zwrócony do niej. Jeszcze dziś płynęły od nich energia i uczucie. Oddech Ireny zatrzymał się na chwilę. Wytarła mokre miejsce w kącikach oczu, wyschniętą dłonią niezdarnie pogładziła większą plamę na zdjęciu.

– *Gut, dass es dich gab*⁵⁹ – powiedziała cicho.

Przycisnęła zdjęcie do piersi, potem powoli zatrzasnęła w blaszanym zbiorniku.

„Trochę jak trumna” – pomyślała ze smutkiem, zaraz potem pocieszyła się, że przecież dobrze. Dobrze, że ją ma. Przecież nie wie, gdzie jest prawdziwa mogiła, na pewno jakiś masowy grób. Odgoniła wizję, która czasem jeszcze pojawiała się przed jej oczami. Zawsze koło listopada: wymieszane kości, brak krzyża, brak tabliczki z nazwiskiem...

– Chodź, dostaniesz coś dobrego – podrapała kota za uchem. – My wiemy, że i tak jest tu – Irena przyłożyła dłoń do serca. – Co tam kości.

A potem zrobiło jej się strasznie żal Stefana, który przy każdej oficjalnej okazji, jak święta, urodziny, imieniny, dostawał naręczą chryzantem na grób i ani jednego dobrego słowa we wspomnieniach Marii.

„Musi być mu ciężko pod tymi kwiatami” – pomyślała jeszcze Irena, karmiąc kota świeżą rybą.

⁵⁹ *Gut dass es dich gab* (niem.) – Dobrze, że byłeś.

Sen

Rzym był jego oparciem, wytchnieniem i prywatnym lekiem na depresję, ale miał też swoją cenę. Jak wszystko. W Ameryce jego sny były spokojniejsze, wyzwolone z osadu przeszłości. Tutaj każdy ocalały kamień działał jak wyzwalacz. A było ich więcej niż gdziekolwiek indziej.

Stare budowle z jednej strony dawały mu poczucie ciągłości i bezpieczeństwa, z drugiej zakłócały percepcję czasu. Kiedyś, siedząc we wnętrzu Panteonu, tak mocno zapatrzył się w *okulus*, że zupełnie wyłączył się z otaczającej rzeczywistości. Potem dobre kilka minut przyglądał się nierozumiejącym wzrokiem dziwnie ubranym ludziom, obwieszonych tajemniczymi przedmiotami, które co chwilę przykładali do oczu. Stoicko znosił takie chwile, wiedział, że oszołomienie przejdzie, że zaraz przypomni sobie, dlaczego świat wygląda właśnie tak. Wszystko wpadnie na swoje miejsce, a czas ułoży się w logiczny, liniowy wykres, jak szkolne tabele na lekcjach historii. Niczym profesjonalnie wytrenowany komandos nauczył się kontrolować strach i tymczasowe zagubienie. Metodycznie wyciągał z pamięci odnośniki, obrazy, odpowiedzi. Zawsze w końcu trafiał na przegródkę z napisem „teraźniejszość”.

Tak, to nie było już problemem. Pojawił się nowy. Rzeczywistość będąca jedynym znanym kosmosem i oparciem dla mijających go ludzi, dla niego stawała się coraz bardziej przezroczysta. Pozbawiona oczywistości, nadwątlona latami patrzenia na rozpad i przemijanie. Wszędzie widział jego zalążki. Tam, gdzie inni widzieli solidny kamień, David dostrzegał podskórną, toczącą skałę erozję i jej wynik końcowy. Dotyczyło to budynków, ulic, pałaców i autostrad. Także zakochanych spojrzeń kochanków, pocałunków na ławce, miłości matek pochylających się nad dzieckiem, rozżarzonych patriotyczną gorączką spojrzeń

utkwionych w narodowych flagach, religijnej żarliwości pochylonych głów w świątyniach. Rozpad. Istnienie powołane do życia, by zniknąć.

W Rzymie częściej miewał koszmary. Jak ten, kiedy został u niej na noc.

Kolumna Fokasa, którą minęli, wracając do niej obok Forum Romanum, sprowadziła w jego sen inną. Tę, do której został kiedyś przywiązany, a potem wychłostany. Miał szczęście, bicz nie był wykonany z wołowej skóry ani zakończony metalowymi haczykami rozrywającymi ciało. Tak jak robiono to właśnie w Rzymie. Ale ślady na skórze zostały. Różnie tłumaczył ich istnienie: historiami o wojskowych ranach, romantycznymi bajkami o niezasłużonej karze w kraju, w którym jeszcze stosowano chłostę jako karę. Najtrudniej było z kobietami, nigdy nie powiedział prawdy. Która z nich przyjęłaby z wiarą i spokojem jego tłumaczenia? No, może Selina, nie pytała w ogóle. Ale to był z jej strony handel wymienny, ona też nie chciała pytań. Tamta chłosta nie była zadrą pamięci bólu, ten – jak każde fizyczne cierpienie – zapominał. Wszystkie kolumny świata powodowały w nim wewnętrzny przyptyw innego uczucia. Odstępy w czasie między jego falami były w Ameryce dłuższe, w Rzymie potrafiły skracać się do regularnych i częstych powtórzeń. Tak czy owak, fala wracała. Drewniany pręgierz i *Księga* odebrały mu miłość jego życia. Nie opowiadał o tym, brzmiało zbyt patetycznie, by ktokolwiek uwierzył, że mając tyle czasu, pamięta się jedną kobietę. Nie zapomniał też tamtego mężczyzny: wysokiej, masywnej postaci, białych włosów i zimnych wodnistych oczu. Jego absolutnego, zwierzęcego skupienia na jedynej kobiecie, jaką znaleźli w czasie najazdu. Jedynej i do tego pięknej.

Wszystko przed nim ginęło w siwobiałej zasłonie. Nie mógł się zorientować: mgły, pożaru czy obu naraz. W kłęby dymu wdarły się łuny ognia, pożoga ogarniała jego plecy, gardło i mózg. Nie mógł złapać oddechu, nie widział niczego przed sobą, nie mógł oddychać...

– Davidzie, wracaj, proszę...

Słowa z trudem przeciskały się przez biel, watę oddalenia, która zasłaniała mu uszy.

– Davidzie, obudź się, to sen, otwórz oczy. Davidzie...

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że mleczna biel wokół niego to nie dym pożaru, ale oślepiające światło poranka. Krzyki w jego głowie ucichły. Patrzyły na niego szare, zatroskane oczy.

Wyszeptał coś zaschniętym gardłem.

– Nie ten język – Selina potrząsnęła smutno głową – nic nie rozumiem.

Patrzył na nią skamieniały, powtarzał w myślach: „Nie ten język, nie ten język...”.

– Davidzie, to ja, Selina, jest kwiecień, Rzym, a ja ratuję twoje książki.

Ścisnęło go w gardle i przygarnął jej ciepłe ciało. Ciało kobiety.

Kobiety od zawsze ratowały. Dzieci, palone domy, kradzione książki i zagubionych mężczyzn. Zawsze chroniąc życie, jego odwieczny porządek i piękno odwiecznie niszczone przez nich, mężczyzn.

Całe szczęście, że Selina nie pyta.

Niežnośna lekkość

Spotykali się niemal codziennie. Sam sobie powtarzał, że lubi jej towarzystwo. Ciągłe jeszcze była jego przewodnikiem po okolicy, wiedziała o miejscach, do których sam by nie trafił. Kościół Świętego Johna Coltraine'a, były dom publiczny, w którym CIA testowała wpływ narkotyków na nieświadomych niczego klientach, tunele z okresu wojny secesyjnej w Presidio, blisko mostu, a także masę lokali w stylu cukierni sprzedającej torty dla dorosłych. Lubił jej prostolinijność. Nie było w niej uwodzenia, europejskiej skomplikowanej gry, niedopowiedzeń, budowania napięcia czy wystudiowanej kokieterii. Mówiła wprost, że ma ochotę, w tym była podobna do niego. Brak oporu i zawsze szeroko otwarte drzwi sprawiły, że początkowo stracił równowagę. Zapadł się w nią, w ciąg namiętnych spotkań, które nieodmiennie kończyły się w łóżku. Myślał, że to dobrze, trafiła mu się kobieta z podobnym charakterem. Z czasem coś zaczęło go irytować. Brakowało mu tajemnicy, delikatności i czegoś, co trudno było mu ubrać w słowa. Toni, która gasiłaby jego intensywność, gniew, który nosił w sobie. Jakiegoś przeciwnego elementu równoważącego wysokie obroty, na których funkcjonował i którymi się na dłuższy dystans męczył. Któregoś dnia zaproponowała mu Extasy.

– Miałem kilku kolegów regularnie jeżdżących do Holandii po różny towar. Dwóch nie żyje, trzeci jest wrakiem. Zaczynali właśnie od tego.

Kochali się mocniej niż na początku, ostrzej, zauważył, że to lubi, prowokowała go do mocnego seksu. Jakby nagle go odkryła i nadrabiała zaległości. Tym bardziej zaskoczyła go kiedyś, kiedy leżeli obok siebie wyczerpani łóżkowym maratonem.

– Wiesz, przeczytałam gdzieś, że jak jest prawdziwa miłość, pojawia się też

nieśmiałość. Czułość i delikatność.

Zdziwił się, przecież nieustannie dawała mu do zrozumienia, że lubi coś zupełnie przeciwnego. Poczuł się dotknięty wyrażaną nie wprost prośbą, zresztą nie miał ochoty na sugerowaną odpowiedź.

– To była książka z okresu romantyzmu?

– Nie, całkiem współczesna.

– A ja myślę, że takie uogólnienia nie mają sensu. Ludzie są różni. Podobnie jak relacje między nimi.

Zauważyła, że nie użył słowa „miłość”. Bała się zapytać, przesunęła włosami po klatce piersiowej Maxa, potem zeszła niżej. Nie mogła oprzeć się kolejnej próbie, chciała znów usłyszeć to, co zabrzmiało za nią wtedy przy stole. Czują, jak oddech Maxa przyspiesza a mięśnie tężeją, sekundę później zadźwięczała jego komórka. Miała nadzieję, że jej nie odbierze, zlekceważy, tak jak ona by zrobiła.

Odebrał. Szybko i bez westchnienia irytacji, usłyszała niemiecki i domyśliła się, że to Martin. Nie lubiła tych telefonów. Czowała się wykluczona i w jakiś sposób gorsza. Nigdy nie myślała o nauce języków, zresztą jakiego miałyby się uczyć? W Kalifornii chyba tylko hiszpańskiego lub chińskiego. Co by to nie było, odkąd zaczęła spotykać „jego” Europejczyków, czowała się odsłonięta przez angielski, którego oni wszyscy się uczyli i z którego w razie potrzeby wycofywali się w bezpieczne schronienie swoich języków. Tam, gdzie ona nie miała wstępu.

– Przepraszam, Jess, muszę jechać do winiarni, rozumiesz, jestem to winien Martinowi. Pamiętasz, jak bardzo pomógł mi na początku. Teraz moja kolej.

Najpierw chciała się obrazić, ale przyzwyczajenie wzięło górę.

– Trochę mi przykro, nastawiłam się na wspólny dzień.

– Wiem – przez chwilę wahał się, potem przytulił ją mocno. Pocałował w skroń, potem w usta, pogładził po opadających na plecy włosach.

– To już końcówka, jutro wielkie otwarcie sklepu, Martin potrzebuje mojej

pomocy.

– Czyli wrócisz dopiero jutro?

– Tak.

Lata treningu nie poszły na marne, zebrała się w sobie i wyczarowała dzielny uśmiech.

– Ok. Zadzwonisz?

– Tak.

Jeszcze jeden pocałunek, zmierzwił pieszczotliwie jej włosy, przerzucając je na jej twarz. Myślami był już gdzie indziej. Ubrali się pospiesznie, cały czas żartując i śmiejąc się. Razem zjechali do podziemnego garażu i niemal jednocześnie wsiedli do swoich samochodów.

Uśmiech zamarł na jej twarzy, gdy tylko zamknęła drzwi. Max ruszył na północ, w kierunku mostu, ona do siebie, na południe. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że ciągle się tak rozjeżdżają i że jest zmęczona.

W winnicy Martin wraz z Klaudią nerwowo ogarniał sytuację. Był przejęty oficjalnym otwarciem i Max wiedział, że zjadała go trema wobec sąsiadów oraz okolicznych winiarzy. W sumie ciągle jeszcze był tu nowy, z olbrzymim kredytem zaufania, który – jak wszyscy – otrzymał na starcie. Spłacał go z isticie niemiecką solidnością i poczuciem odpowiedzialności.

– Facebook czyni cuda – Martin niemal wykrzyczał do Maxa w przelocie między piwnicami a prowizorycznym biurem. Zaskoczony i lekko przerażony liczbą zapowiadających się na ten dzień wizytujących. Ponad tysiąc osób!

Max usunął się dyskretnie z pola rażenia co chwilę dzwoniącej komórki Martina, ostatniego wygładzania i nerwowych ustaleń. Sklep stał gotowy, sala kinowa również. Drewno, plusz i atmosfera westernu. Przeszedł szybko do gościnnego pokoju, w którym zostawił swoje rzeczy. Zupełnie nieoczekiwanie zaczął się odklejać od nerwowej atmosfery przygotowań, odpłynęło gdzieś

napięcie i oczekiwanie.

Przeciąg trzasnął drzwiami i zadziałał jak cyngiel. Max rozejrzył się dookoła, jakby nagle obudził się ze snu. Postukał w ścianę obok futryny, głuchy odgłos, jak pukanie w płytę paździerzową. Najmniejszy podskok na piętrze doskonale słysząc na dole, podobnie jak trzaśnięcie drzwiami. Wanna plastikowa, szyby pojedyncze i osadzone w plastikowych lub aluminiowych ramach. Część pokoi wyłożona wykładziną od ściany do ściany, a w podłodze wycięte prostokątne otwory, przez które w razie konieczności nawiewa ciepłe powietrze. Ogrzewanie szybkie, elektryczne i... mało efektywne, brak izolacji – Kalifornia. Dlaczego wszystko to zaczęło mu przeszkadzać?

Nagle zatęsknił za grubymi na metr murami z cegieł, kamienia i betonu. Pomyślał o kafelkach, porcelanie, drewnie. O miejscach, w których budynki mają schody i poręcze wyslizgane rękami całych pokoleń ludzi, którzy żyli tam przed nim. O portalach domów, które przetrwały wojny, pożary, powodzie i tysiące ludzkich istnień.

Zobaczył obraz miasteczek, w których wszystkie ulice zbiegają się w sercu rynku. Jak naczynia krwionośne wielkiego i starego zwierzęcia: pokręcone, ciasne i gęste. Ludzi spacerujących do piekarni, cukierni, rzeźnika, sąsiadki. Lawiną posypały się polaroidy wspomnień, miniaturowe sklepiki, kościółki, przydrożne kapliczki. Siedzenie na rynku na ławce, bez celu i poczucia upływu czasu. Ot tak, obserwując siebie i mijające obok życie.

Dlaczego właśnie teraz wróciło wspomnienie kocich łbów, podwórek studni, pomp z wodą, ratuszy, murów miejskich i zabytkowych latarni gazowych? Dlaczego?

Przecież miał szczęście, mieszkając w San Francisco. Wiedział, sprawdził już, że wystarczy przejechać wcale nie tak daleko, by rzeczywistość straciła chodniki, sklepy rozrosły się do rozmiaru zajezdni autobusowej, a ulice stały się siatką linii ułożonych pod kątem prostym i niezbiegających się w centrum. Gdzie nikt

nigdzie nie chodzi. Chyba że jest to bezdomny, poszukujący pracy Meksykanin albo... cudzoziemiec.

Bez ostrzeżenia wcześniejszą melancholią Max wpadł w czarną dziurę tęsknoty za Europą. Z nagłą złością pomyślał, że tutejsze domy przypominają mu miasteczka budowane specjalnie dla przemysłu filmowego: z przodu fasady, z tyłu podpierające bale drewna – nietrwałe, łatwe do rozmontowania i przeniesienia w inne miejsce. Niczym obozowiska pierwszych osadników.

– Kto by pomyślał, i to ty, Max – mruknął, przypominając sobie dawno zapomniany tytuł *Niežnośna lekkość bytu*.

Nagła potrzeba obciążenia, czegoś, co nada mu poczucie przynależności. Głód miejsca do zapuszczenia korzeni. Był jak hydroponiczna roślina rosnąca pod sztucznym, nieswoim słońcem, bez gruntu. Zateśknął za kamieniem, czasem zamkniętym w wiekowych murach, obecnością przeszłości i obietnicą, że coś pozostanie, gdy jego już nie będzie. Zateśknął za kimś, kto zrozumie to ssanie w żołądku, rozdwojenie. Dryfowanie przyprawiało go dziś o zawrót głowy.

Jens? Martin? Fatalny moment, Martin ma swój wielki dzień, Jens pewnie jeszcze śpi, tam jest środek nocy. Zresztą obaj na pewno nie są w nastroju...

Sam pamiętał dobrze, jak irytowały go zimowe depresje Greków w Niemczech. Usiłowali mu wytłumaczyć, że giną bez słońca, bez swoich imprez i tańca, bez nocnych rozmów przy ouzo. Niby ich rozumiał, ale przecież nie czuł tego co oni.

Na ekranie komórki pojawiło się połączenie od Jess, z rozmysłem wcisnął sygnał „zajęte”. Nie dzisiaj. Jess nie zrozumie, to znaczy zrozumie, ale tak jak on Greków. Byłby dla niej dziś niedobry, niecierpliwy, pewnie nawet obcesowy... Znał siebie, lepiej przeczekać. Jutro będzie ok. Rozgrzeszył się szybko w myślach i błyskawicznie zebrał swoje rzeczy. Wsiadł do pick-upa i rzucając Martinowi: „Wrócę na otwarcie”, pojechał na zachód. Trochę ponad pół godziny i znalazł się przy swoim prywatnym antydepresancie.

Kiedy po raz pierwszy przyjechał do Muir Woods⁶⁰, z niedowierzaniem patrzył na drzewa, przy których ludzie wyglądali jak Ewoki w *Gwiezdnym wojnach*. Cofnął się w czasie i wylądował na planie filmu *Jurassic Park*. Rośliny wystrzeliły do rozmiarów paproci z epoki karbonu, a on stał się małym i nieważnym stworzeniem, które nie tak dawno dołączyło do świata przyrody. Gdyby nie wszechobecni ludzie i ich samochody, złudzenie byłoby pełne.

Z ulgą zanurzył się w lesie. Sekwoje wyglądały jak gigantyczne, mocno zaparte w ziemi nogi i zupełnie lekcewały mrowiących się u ich stóp turystów. Ludzie, no tak, weekend.

Max przeszedł obok pnia drzewa powalonego przez pożar, z mapą czasu wyrysowaną na jego czerwonych słojach:

- 1110 – narodziny drzewa.
- 1206 – Dżyngis-chan dochodzi do władzy.
- 1295 – powrót Marco Polo z wyprawy do Azji.
- 1347 – dżuma w Europie.
- 1400 – budowa wielkiego muru w Chinach.
- 1455 – Gutenberg drukuje Biblię.
- 1492 – Kolumb dobija do brzegu Ameryki, ojczyzny drzewa.
- 1503 – pierwsze szkice do Mony Lizy.
- 1521 – śmierć Magellana podczas podróży dookoła ziemi...

I tak przez upadek Inków, rządy Elżbiety I w Anglii, założenie pierwszych kolonii europejskich w Ameryce, *Deklarację niepodległości*, rewolucję francuską, zagładę sekwoi w wyniku gorączki złota w Kalifornii w roku 1848, Darwina, wojnę secesyjną, tragiczne trzęsienie ziemi w 1906, obie wojny światowe, Hiroszimę, lądowanie na Księżycu, jedenasty września – aż do dziś.

Inny mamutowiec nadal stał niewzruszenie obok, obojętny na wszystkie te zdarzenia, tylko przez ludzi nazywane kamieniami milowymi postępu czy

wichrami historii.

Wokół Maksa przepływał tłum: turyści, cudzoziemcy, rodziny z dziećmi. Nawet malutkimi. Te ostatnie niemal traciły równowagę, zadzierając głowę i usiłując dostrzec czubek drzew. Jak mały, może sześciolatek chłopczyk zmierzający w stronę drzewa, pod którym siedział Max.

– Czy ono naprawdę żyje? – spytał ojca niedowierzającym tonem.

– Ależ oczywiście, jak inaczej mogłoby być zielone, spójrz w górę. – Tata jednocześnie usiłował podać wystającemu zza jego pleców niemowlakowi trzymaną w ręce butelkę z mlekiem. Dał za wygraną, zdecydował się zdjąć nosidełko i nakarmić malca.

Chłopiec nie zauważył, że ojciec przystanął. Zafascynowany dziarsko maszerował dalej. Przystanął i nie patrząc za siebie, zapytał:

– Tato, a czy możemy mieć takie drzewo w ogrodzie?

Odwrócił się zniecierpliwiony brakiem odpowiedzi i dopiero teraz zauważył Maxa.

– Tato został po drugiej stronie, a ty musiałbyś czekać tysiąc lat na takie drzewo.

– Szkoda, może tata coś poradzi? – Zasmucony malec zniknął za olbrzymim pniem.

Maxa opadło poczucie pustki, poczuł się jak wydrążony pień leżącej nieopodal sekwoi. Znów ssała go tęsknota w żołądku, mózgu, płucach. Cholera, wszędzie. Teraz już nie za Europą, chodnikami, grubymi murami starych miast. Tym razem kroił go całkiem ludzki żal za tym, że nie ma obok niego żadnej małej istoty, która trzymałaby go za kant spodni i patrząc w górę, pytała:

– Tato, dlaczego...?

Wyjechał z Muir Woods i skierował się do domu Jess. Ale nie poszedł do niej od razu. Zaparkował w bocznej uliczce bez parkometrów i ruszył w kierunku

irlandzkiego pubu.

Jess po raz kolejny przestawiała książki na półce, Max nie wracał, ale cały gniew o jego nieobecność zwróciła przeciw Martinowi. Już kiedy pojawił się po raz pierwszy, poczuła zazdrość. Okazało się, że z nim Max potrafi przegadać całą noc, klasycznie nad piwem i w kuchni. Ten Max, którego znała, nagle cofnął się w jakieś głębsze warstwy siebie samego, sprzed jej poznania. Jak pamiętane z lekcji geografii przekroje skał. Te głębokie, ze starszych epok, bez zawartości pierwiastka Jess. Uzmysłowała sobie, że ona też ma taką warstwę w sobie, że ta z promieniotwórczym wpływem Maxa (w myślach nazwała ją Ma+) jest cienka, ledwo widoczna w stosunku do jej całego życia. A czuła coś wręcz przeciwnego.

Max był tam, a raczej w czasie, w którym nie istniała dla niego. Doświadczyła tego kilkakrotnie, obserwując ich z Martinem. Wyglądali jak dwaj kumple, którzy właśnie wyszli z jednej klasy. Nie rozumiała niczego ze zdań latających między nimi z prędkością mocno odbitych piłek tenisowych. Odbitych na tyle dobrze, że nigdy nie zahaczyły o jej ciało stojące między nimi. Na początku starali się mówić przy niej po angielsku, potem na ogół Max dawał sygnał, że musi szybko, po swojemu, tylko na chwilę. Rozumiesz sama, takie stare sprawy między kumplami. Po pół godzinie przestawali uważać, przeskakując całkowicie na swój dialekt i zostawiając ją w studni własnych myśli.

Trochę jak ojciec koleżanki, który stosował strategię znikania z pola zasięgu matki, kiedy już nie mógł wytrzymać jej wiecznej krytyki i pretensji o to, że był, jaki był. Max nie uciekał, ale efekt był podobny. Nagle zostawała sama, jak teraz. Wrócił po dwóch dniach, około trzeciej nad ranem, chwiejny i szczęśliwy. Za plecami trzymał coś szeleszczącego.

– Dzień dobry, skarbie. – No tak, samo użycie tego typu przymiotników było jak wodomierz. A raczej alkomat.

– Co tam masz? – zapytała, usiłując nie parsknąć śmiechem, zła sama na siebie, że jej złość znów rozpuszcza się na sam jego widok.

– *Drachenfutter* – z całą powagą, w jaką udało mu się ubrać tężającą już w półśnie twarz, puścił do niej perskie oko. Jak w zwolnionym filmie.

– Słucham? Przejdź na angielski, proszę.

– Ty jesteś tym smokiem – cmoknął ją w policzek i padł.

Sprawdziła w sieci. *Drachenfutter* – prezent przynoszony żonie, dziewczynie jako przeprosiny. Aha, smoczyca przy wejściu do jaskini. Położyła się obok parującego alkoholem mężczyzny. Westchnął całym sobą, przygarnął ją i natychmiast zasnął.

– Nie trzeba było. Jak mogłabym być zła, że Martin, że sklep, że wszystko jest ważniejsze.

Ostatniego zdania Max już nie słyszał, wygłosiła je sama do siebie.

⁶⁰ Amerykański pomnik narodowy w stanie Kalifornia, ustanowiony decyzją prezydenta Theodore'a Roosevelta w 1908 r. Od tego czasu obszar znajdujący się pod ochroną kilkakrotnie powiększono i obecnie zajmuje on 2,24 km². Wśród licznych gatunków obejmuje on ochroną jedną z nielicznych ostoi sekwoi wiecznie zielonej.

Prezent

Sierpniowe dni oblepiały Maxa nienotowanymi upałami, które z trudem znosił w swoim warsztacie. Praktycznie nie rozstawał się z okularami przeciwsłonecznymi. Lancetowe promienie słońca same wyszukiwały najmniejszą lukę między jego twarzą a powierzchnią szkła. Miał irytujące wrażenie, że jego oczy są nagie i bezbronne. Atakowane przez szczeliny okiennic, przy okazji każdego wyjścia na zewnątrz. Nigdy by nie uwierzył, że kiedykolwiek zacznie tęsknić za szarym, szczelnie zasłoniętym chmurami niebem, za prawem do krótkiej depresji rozgrzanej pogodą. Zainwestował w klimatyzację, ale i tak oddychał z ulgą, gdy przejeżdżał przez most, wracając do spowitego mgłą miasta.

Jadąc, jak zwykle nastawił na głos radio. Nie usłyszał powiadomienia SMS.

*Honey, tomorrow is your big day*⁶¹.

Zirytowany wyłączył komórkę. *Honey* – nie cierpiał tego określenia i dźwięku tego słowa. Wielokrotnie dawał znać Jessie, że wolałby, żeby zwracała się do niego inaczej. Pamiętała tylko dopóty, dopóki byli w otoczeniu rodziny, jej przyjaciół, znajomych z pracy. Czuł się jak ustrzelone trofeum z karteczką „groźny niegdyś okaz, dziś sama słodycz”.

– *Honey* – ze złością parsknął sam do siebie zamknięty w kabinie samochodu. Na razie tyle tylko mógł zrobić. Nie miał ochoty na urodziny, cholera, czterdzieste? Nie był to problem z wiekiem, nie przejmował się kolejnymi cyframi pojawiającymi się na zaproszeniach, formularzach medycznych czy życzeniach, ale czuł, że to się może zmienić. Kiedyś.

Nawet nie był pewien, czy chce jutrzejszy dzień spędzić z Jess. Z jednej strony lubił jej nieskomplikowaną naturę, absolutną niezawodność,

prawdomówność i oddanie. Z drugiej czuł pogłębianie się mikroszczelin rozsadzających jego zaangażowanie. Podobała mu się fizycznie, to chyba trzymało go przy niej najmocniej. W jej oddaniu zaczął jednak dostrzegać niepokojący rys. Pierwszy raz zauważył to na pamiętnym przyjęciu z okazji czwartego lipca. Mimowolne sprawdzanie, jak jest oceniana przez ojca, jak postrzegają go jej znajomi. Potem doszły inne rzeczy. Listy spraw do załatwienia, które miała porozwieszane w domu, w samochodzie, wpisane w kalendarzu, w komórce. I jej obsesja do odhaczenia jak największej liczby z nich w jak najkrótszym czasie, niezdolność do odpuśczenia tych mało ważnych. Pojedyncze irytujące szczegóły zjechały mu się nagle w całość. Ciemną, rosnącą chmurę, w której wyczuwał zapowiedź deszczu. I ten jeden moment, który nie dawał mu spokoju. Odszedł kiedyś do niej niezauważony, gdy zaferowana rozmawiała przez telefon w tłumie ludzi czekających na wejście do znanej restauracji rybnej Pacifica. Przyjechał parę minut przed czasem, a ona, jak wywnioskował, opisywała go dawno niewidzianej przyjaciółce.

– Nazywa się Max, myślę, że to mój *perfect match*. Świetne geny, musisz go poznać, sama zobaczysz.

Odszedł niezauważony i wrócił po kilku minutach.

– Nie myślałeś nigdy o dzieciach? – zapytała kiedyś, uważnie badając jego twarz.

– Na pewno nie pozamażeńskich – wypalił bez namysłu, by zaraz potem poczuć się naprawdę podle. Wiedział, że odbierze to, jako zapowiedź czegoś, o czym w ogóle nie myślał.

Łapał się na tym, że o przyszłości mówi w liczbie pojedynczej. Sam jeździł do niezależnego, małego kina w Noe Valley, na północ od miasta. Puszczała tam ambitne, niekomercyjne filmy, w tym wiele produkcji europejskich, poza tym przypominało mu Lichtenspiele, to samo, które pokazał Selinie. Nie odczuwał potrzeby dzielenia się z nią swoimi uwagami na temat różnic między Ameryką

a Europą. Nie był pewien, czy zrozumiałaby. Nigdy nie zaproponował wspólnego wypadu na wieczorne śpiewanie szant na pokładzie starego żaglowca Balclutha, zacumowanego w Zatoce San Francisco. Chodził tam sam. Podobnie jak do nocnych klubów, w których, wbrew złożonym samemu sobie zapewnieniom, przyglądał się kobietom.

I gdzie w końcu nie poprzestał na oglądaniu. Za pierwszym razem dał się sprowokować łagodnej spolegliwości młodziutkiej Chinki, z którą zrobił to wszystko, czego nawet z Jess nie śmiał. Potem było jeszcze kilka razy. Mniej gwałtownych i coraz bardziej rozczarowujących. Nieprzynoszących spodziewanego spokoju.

Jej nagłe wizyty w warsztacie, choć nie zaskakiwała go często, ostatnio raczej drażniły, niż cieszyły. Starał się to ukryć przed sobą i przed nią. Najczęściej poprzez seks. Tak było mu najłatwiej rozładować niepokój rodzący się w takich momentach na krańcach świadomości. Przeczucie, że ciągle zacina się jeden mały trybik jego świetnie funkcjonującego życia. Bo przecież było im dobrze. Jess była drzwiami do świata, w którym wylądował, znała ludzi, miejsca, była wykształcona, inteligentna. Ale brakowało mu jakiegoś drobnego, malutkiego spoiwa. Pozornie tak małego, że praktycznie nic nieznaczącego w obliczu świetnie zgranych ponad dziewięćdziesięciu procent.

Zamarł na chwilę, zdając sobie sprawę, że określa związek z nią w procentach! Cholera, czy to źle? Pytanie, na które nie chciał szukać odpowiedzi.

Zamknął oczy wyczerpany nienazwanymi odczuciami dobijającymi się do świadomości, tłumioną energią, której nadprodukcja zaczynała mu ciążyć. Coś w nim nadal żyło i domagało się uwagi.

Podniósł wzrok w niebo i nagle spadło na niego objawienie. Brakowało mu wcześniejszego zachwytu i pewności odczuwanej mózgiem oraz ciałem. Takiej, którą czuje się aż do kości, jak niektórzy ludzie nadchodzący deszcz. A może to

kończy się w którymś momencie w życiu? Wyczerpuje, jak zapas komórek, jak czas? Znika z młodością i niedoświadczeniem? Może zdolność do zachwyty, wiara w magię przestają być produkowane przez organizm uczący się przez lata rozczarowań i błędów, że to nieprzydatna zdolność. Atawizm, z którym człowiek rodzi się jak z wieloma innymi. Słabość do słodkiego smaku gwarantująca ludziom pierwotnym, że to, co jedzą, nie jest trucizną. Albo mimowolne przyciąganie wzroku przez lśnienie, błysk, wszystko jedno czego – diamentów, jedwabiu, oczu, ust... Dawna, bardzo głęboko wdrukowana w ludzkim umyśle miłość do wody. Lśnienie na sawannie mogło być znakiem, że gdzieś niedaleko jest źródło życia. Wody było przynajmniej dla ludzi Zachodu pod dostatkiem, ale fascynacja pozostała, przenosząc się na zgoła odległe od pragnienia warstwy egzystencji. A może wcale nie tak odległe? Mimowolnie pomyślał o lśnieniu, migotaniu srebra...

Dosyć, to tylko obrazy, które zapadły w pamięć zbyt mocno. Jak atawizm. Zgubna miłość do słodczy lub blasku, teraz niepotrzebna i przynosząca tylko szkody.

Na czerwonym świetle wziął komórkę i szybko odpisał:

Gotowy na niespodziankę!

Nazajutrz czekał na wybrzeżu oznaczonym numerem trzydzieści dziewięć. Tak jak kazała. Był przyjemnie podekscytowany, z lekkim zaciekawieniem zastanawiał się, na co wpadła Jess. Pierwsze urodziny z nią... „Jeszcze nie wyblakłe latami powtórzeń” – pomyślał.

Zauważył parkującą hondę, wyskoczyła z niej energicznie w radosnym nastroju.

– Sto lat, Max! – pocałowała go i zanim zdążył odwzajemnić jej atak czułości, odskoczyła o krok i jak małe dziecko ucieszone własną niespodzianką dla dorosłych uroczyście oświadczyła: – A teraz sprawdzimy: sztormiak jest?

– Jasne – odpowiedział gorliwie, zarażony jej entuzjazmem.

- Czapka?
- Naturalnie.
- Pytanie za dziesięć punktów: nie masz choroby morskiej?
- Aha – Max zaczął się skradać do niej, ale uskokczyła ze śmiechem.
- Ok, to idziemy.

Na końcu mola czekała na nich przycumowana łódź, nieco inna od kołyszących się wokół jachtów. Szeroki spód katamarana i boczny napis zdradzający szczególne przeznaczenie i wykonanie w Auckland w Nowej Zelandii zaintrygowały go. Wyglądał na coś specjalnego.

Na pokładzie przywitał ich zwalisty gość o twarzy typowej dla ludzi morza: jasne, proste spojrzenie, skóra pokryta siatką zmarszczek, dzieło wiatru i słońca. Ted, kapitan statku. Zza niego wyłonił się młody, sympatyczny chłopak, Ron – przewodnik.

- Zapraszamy na pokład i... wszystkiego najlepszego!

Max bez słowa odwzajemnił mocne uściski obu mężczyzn. Odbili od portu San Francisco i skierowali się do Złotych Wrót. Max po raz nie wiadomo który z zachwytem wchłaniał widok rozpiętego na skałach mostu, tym razem widzianego od spodu. I jak za każdym razem, z tym samym podziwem oglądał obraz przyklejonego do zatoki miasta, całym sobą czując majestat otaczającej go natury i przestrzeni.

Przepełnęli pod pomarańczowo-czerwoną konstrukcją i skierowali się na pełny ocean. Objął Jess, przenosząc jej rozwiewane wiatrem włosy na lewą stronę. Silne podmuchy i zapewnienie kapitana, że potrwa to chwilę, skłoniły ich do przeniesienia się na osłonięte siedzisko.

- Dokąd mnie porywasz? – Póллеżeli na bocznej ławce.
- Farallon Islands⁶², widzisz ten kształt przed nami?
- Zawsze myślałem, że to tylko skały.

– Zgadza się, ale pełne ptaków i... Opowiadałeś kiedyś o wielorybach, zapamiętałam. Teraz właśnie migrują płetwal błękitny, kaszalot, wieloryb szary i inne.

– Nie miałem pojęcia... Dzięki, Jess, niesamowite, że zapamiętałaś taki szczegół.

Łódź zatrzymała się i pomocnik kapitana krótko poinformował ich o tym, że cały czas płyną za dwoma wielorybami, będą przystawać co jakiś czas, że mają szansę zobaczyć, jak zwierzęta się wynurzają. Krążyli ponad godzinę, słuchając pełnego detali i autentycznie zaangażowanego wykładu Rona. Max z zaskoczeniem dowiedział się, że wyspy są oficjalnie częścią hrabstwa i miasta San Francisco. Że ten niepozorny łańcuszek skał, które czasem przy dobrej widoczności można było dostrzec z miasta, jest domem największej ptasiej kolonii Stanów Zjednoczonych, nie licząc terenów Alaski oraz Hawajów.

Nachylił się do Jessie.

– Macie to pod samym nosem, zaraz pod miastem, niesamowite!

– Ty też możesz to mieć – odpowiedziała. Znów usłyszał podniosły ton, deklarację czegoś wykraczającego poza turystyczną wycieczkę. Nie zdążył odpowiedzieć, Ron podszedł do nich wyraźnie przejęty.

– Jest, stańcie na dziobie.

Wypłynął nagle, zupełnie jakby chciał pozować do zdjęcia roku dla „National Geographic”. Obojętny na widok łupinki unoszącej się na powierzchni jego królestwa. Max miał wrażenie, że wynurzył się delikatnie, ostrożnie, tak aby ich nie wystraszyć. Wzbierający szum wody, wielkie puff... i jego oddech. Zabrzmiało zwielokrotnionym ludzkim westchnieniem. Spojrzenie na znieruchomiałych ludzi stłoczonych na dziobie wycieczkowej motorówki, spokój, krótki namysł, coś jakby znudzone lub rozczarowane parsknięcie, wdech, na koniec przyjazne machnięcie ogonem i powolne zanurzenie, z powrotem w bezmiar słonego wszechświata.

Nie zdążyli nic powiedzieć, kiedy wypłynął kolejny, dużo mniejszy i zdecydowanie bardziej zaniepokojony widokiem łodzi.

Max mimo woli pomyślał o nim jak o niesfornym dzieciaku, chowającym się przed matką i mimo jej ostrzeżeń oglądającym ludzi. Samica natychmiast wypłynęła obok niego, wyraźnie niezadowolona wyrzuciła w powietrze strumień wody i zastygła.

Stali na łodzi zafascynowani widokiem olbrzymiego zwierzęcia. Max nie mógł się otrząsnąć z wrażenia spotkania z inną energią, światem, który istniał przed nim. Czymś prastarym, szlachetnym i bezbronnym wobec kipiącego nienasyceniem i ekspansją świata na wybrzeżu. Zrobiło mu się żal podniosłej ciszy, donośnego oddechu zwierzęcia. Przeszył go dreszcz na wspomnienie odgłosu, który usłyszał w czasie minipokazu pod pokładem. Dźwięku, którym nawołują się wieloryby. Poczł nieprzeparte pragnienie popłynięcia za samicą i jej dzieckiem, zapewnienia, że ludzie są po ich stronie.

– O czym myślisz? – Jessie mocno przywarła do jego ciała. Wiało coraz mocniej, całą twarz miała pokrytą drobinkami wody.

– O nich. – Max skinął w kierunku miejsca, w którym zanurzył się olbrzym. Delikatnie polizał jej wargę. – Dziś jesteś na słońcu

– Podobało ci się?

Potwierdził ruchem głowy.

– Wyjątkowy prezent, sam bym pewnie nie wpadł na to.

– Uśmiejesz się, większość mieszkańców miasta nigdy tu nie była, choć to tak bliskie i słynne miejsce. Wstyd się przyznać, ja też nie. Pomyślałam, że połączę przyjemne z pożytecznym.

– Dwa w jednym? – poczuł ogarniające go rozczarowanie.

– Właśnie, coś dla ciebie, coś dla mnie. Pamiętasz, sam mnie tego nauczyłeś.

– Bystra dziewczyna – postarał się, by zabrzmiało jak pochwała.

Spojrzał na folder reklamowy, który dostał od Teda. Ponad

piętnastometrowy ekologiczny katamaran, specjalna folia na całości kadłuba, umożliwiająca uzyskanie maksymalnej szybkości oraz pozwalająca na gładką jazdę. Tecknicraft, firma produkująca najprzyjaźniejsze środowisku łodzie przeznaczone do obserwowania podwodnego życia. Pływanie nimi wywoływało najniższy możliwy poziom hałasu pod wodą. Na dole strony znajdowała się masa danych technicznych. Niczego nie zapamiętał.

Po powrocie na ląd poszli we dwoje do włoskiej dzielnicy na urodzinową kolację zakończoną rewelacyjnym deserem: lodowym tortem zrobionym na zamówienie Jess. Z niemiecką flagą na szycie. Potem wylądowali w łóżku. Założyła na tę okazję specjalną bieliznę, raczej wyzywającą niż zmysłową. Nawet zapytała, czy Max ma jakieś życzenia, ale on skupił się na wzbudzeniu w sobie pożądania, które ulotniło się parę godzin wcześniej. Dwa w jednym.

Nazajutrz obudził się już po jej wyjściu. Miał jeden dzień wolny, trochę przypadkiem, po prostu skończył pracę, zanim otrzyma nową partię drewna. Bez pośpiechu odebrał mail informujący, o której nastąpi jutrzejsza dostawa. Wiadomość zawierała załącznik z pełną ofertą firmy i jego imię oraz nazwisko, wypisane czcionką stylizowaną na drewno: Maximilian Shell.

Natychmiast wrócił obraz. Jego trzydzieste ósme urodziny. Nieduża tabliczka owinięta złotym, ręcznie czerpanym papierem. Rozerwał niecierpliwie, oczekując książki. Zamiast niej w rękę trzymał biały prostokąt brzożowego drzewa, wypełniony pracowicie wklejonymi intarsjami. „Maximilian Shell” poskładane z cieniutkich, wielobarwnych pasków jesionowego drewna. O kilkumilimetrowej szerokości. Zupełnie odjęło mu mowę.

– Sama to zrobiłaś?

– No, nie jest to twój Giuseppe⁶³, ale próbowałam... – Śmiała się oczami, widząc jego minę. – Podoba ci się?

– Nie wiem, co powiedzieć. Ile nad tym siedziałaś?

– Dwa, trzy tygodnie... Nie pamiętam. W pracy, przy okazji, tu byś

zauważył. Mówisz, że mam jesionowe włosy, więc pomyślałam, że spodoba ci się. Jeszcze jest coś z tyłu, odwróć.

Na drugiej stronie były tylko dwa słowa: *Deine Selina*⁶⁴.

Słowa rozmazały się jak obraz oglądany przez szklanę z grubym dnem. Szybko przygarnął ją do siebie.

⁶¹ *Honey, tomorrow is your big day* (ang.) – kochanie, jutro twój wielki dzień.

⁶² Farallone Islands lub Farallones – niewielki skalisty archipelag położony na Pacyfiku niedaleko wybrzeża kalifornijskiego. Wyspy leżą w odległości 27 mil morskich (43 km) od mostu Golden Gate.

⁶³ Słynny XVIII-wieczny mistrz intarsji, Giuseppe Maggiolini, stosował nawet 86 rodzajów drewna.

⁶⁴ *Deine Selina* (niem.) – Twoja Selina.

Znów sama

Łóżko znów było za duże, podobnie miejsce przy stole. Kolejny dzień sama sobie parzyła kawę, teatralnie stawiając filiżankę przed ulubionym fotelem. Zdążyła się do tego przyzwyczaić, na ogół znikał jak duch. Na krótko materializował się w jej świecie, ale najbardziej kojarzył się z wyjazdami i powrotami. Czasem nie widziała go kilka dni, czasem tygodniami. Bez widoku na morze, za to w centrum starego miasta czuła się jak kochanka marynarza. Nie lubiła tych jego lotów, podróży i misji. Z większości przyjeżdżał poszarzały, przybity, czasem w depresji. Niejasno tłumaczył, że dokumentuje rzeczy ginące. Że ma wrażenie znikania wszystkiego poza ludźmi, ich miastami, uprawami i drogami. Że to go prześladowa, męczy we snach. Zapytała, dlaczego nie zmieni pracy. Spojrzenie, którym ją obrzucił, wystarczyło jej za odpowiedź.

– Nie myśl o tym, przeżyłem tyle, przeżyję więcej.

Kiedy był, zaczynała doceniać to, co jadła, co kwitło przed jej domem, nawet telefony od matki odbierała bez zwykłego zniecierpliwienia. Tęskniła za nim, mimo wszystko. Za jego dyskretną obecnością w jej życiu, tym, że zawsze miał coś ciekawego do opowiedzenia. Drobne detale, fascynujące historyjki, o których nie wspominały żadne przewodniki. Gdy zjawiał się, w jej mieszkaniu i w głowie nastawał spokój. Za wzruszające uznała jego namowy, by częściej dzwoniła do domu.

– Ona ma mało czasu – tłumaczył jej jak dziecku.

– Wcale nie jest taka stara i dobrze się trzyma – oponowała bez przekonania.

– Zanim się obejrzyysz, już jej nie będzie. Nie nadrobisz tego nigdy później.

– Przestań, kraczesz.

– Mylisz się, widziałem to tyle razy, te wasze złudzenie, że kiedyś...

– Wasze?

– Wasze, ludzi z rodzinami. A teraz lepiej zadzwoń.

Dzwoniła, za każdym razem zdziwiona, że jednak to nie bolało tak, jak sobie to wyobrażała. Matka reagowała z żywiołową radością, nawet zarzucała temat zdrowia i narzekania na politykę. Skarżyła się tylko na babcię, gasnącą ponoć w szybkim tempie.

– Sabinko, ona już nie chce żyć. Powiedziała, że wystarczy, że już czas na nią.

Uspokajała matkę, że tak musi być, że zadzwoni do babki, nawet przyjedzie niedługo, może dałaby radę je zaprosić.

Dziś postanowiła zadzwonić nieponaglana.

– Sabinko, jak się cieszę.

Słuchała bez przerywania, ale cisza w słuchawce była jakaś dziwna. Zorientowała się, że matka tylko czeka, by jej coś powiedzieć.

– Musisz przyjechać, z babcią już całkiem źle. Zaczęła wspominać jakiegoś Gerda. Boję się, że miesza jej się, wiesz... coś w głowie.

– Tak mam, postaram się.

Ostatnie słowa wypowiedziała mechanicznie, nieświadomie.

Gerd... Poczula zimno na plecach.

Kiedy to było? Już dwa lata temu. Z Maxem. Jego pierwszy raz w Polsce. Najpierw niefortunne spotkanie z matką, kiedy to grzecznie, ale stanowczo dał do zrozumienia, że nie będzie w nieskończoność siedział za stołem ani jeździł ustaloną przez rodzinę trasą turystyczną przez Kraków. Selinie zapowiedział za to, że obejrzy wszystko, co powinien. Zmusił ją niemal do objechania byłych obozów koncentracyjnych. Nieugiętym „jedziemy” złamał jej opór. Była w nich kilkakrotnie, za każdym razem zobligowana wizytami rodzinnymi i patriotycznym obowiązkiem. I każdy kolejny raz okazywał się gorszy. Tygodniami usiłowała wyrzucić spod powiek zapamiętane obrazy. Wypalić je do

białości albo przynajmniej na tyle, by straciły ostrość. Przed oczami przesuwały się zielone drogowaskazy i białe litery napisów: Bełzec, Zasław, Treblinka, wreszcie Oświęcim. W tym ostatnim wybrał oprowadzanie z przewodnikiem w swoim ojczystym języku, nie uciekając w angielski. Wyczuła, że coś w nim się dzieje, gdy zasiedli w małej salce projekcyjnej. Z napięciem patrzyła w jego profil, na którym migotały klatki starych kronik z tamtych lat. Potem filmu nakręconego przez aliantów wyzwalających Oświęcim. Ani razu nie odwrócił głowy w jej stronę, patrzył tak, jakby nie mógł oderwać wzroku od własnej rany. Z milczącą determinacją obejrzał wszystko: piece, komory gazowe, sterty włosów, zębów i skrzynie pełne dziecięcych bucików. Kiedy wyszli z terenu obozu, nadal milczał. Wzięła go pod rękę, ale nie odwzajemnił delikatnego uścisku. Załamał się z opóźnieniem, z przesunięciem czasowym, jakby pękał powoli, nie mogąc uwierzyć w ogrom odkrywanych potworności. Niósł w sobie to, co zobaczył, aż do centrum miasta. Potem na Kazimierz, w jakimś zapamiętaniu, pociągając ją ku wejściu na cmentarz przy Szerokiej. Była wyczerpana, niepewna tego, co ma robić i jak się czuć z nim obok siebie. Zostawił ją w tyle, samotnie pochłaniając kolejne napisy na macewach. Półgłosem czytał wypisane dialektem niemieckim wersy oskarżające hitlerowskie bestie. Wyliczające w jidysz pomordowane rodziny. Nagle dostrzegła, że klęczy przy jednej z nich i płacze. Była przerażona, pierwszy raz w ogóle widziała płacz mężczyzny. I pierwszy raz płacz Maxa. Gwałtowny, głośny szloch, pełen gniewu i niezgody. Bez tonów poddania się i bezradności. Siedziała obok niego na zamrzniętej, styczniowej ziemi i płakali razem. Gładziła płowe włosy i powtarzała jak mantrę, że go kocha. Nie potrafiła znaleźć innych słów.

Wyszli z cmentarza bez słowa. W milczeniu przemierzali nocne miasto, jedynie obłoki ich zamarzających oddechów odmierzały tempo wędrówki. Kuliła się z zimna, ale Max parł przed siebie bez wytchnienia, jakby chciał zamęczyć siebie. Albo zamrozić – przyszło jej na myśl. Przestał mówić po niemiecku

i przeszedł na angielski, mimo jej zapewnień, że nikomu nie sprawi to różnicy. Bała się odezwać, ale kiedy chłód zdał się kruszyć skórę na jej twarzy, nie wytrzymała. Wspomniała o danej babci obietnicy, że musi go przyprowadzić. Nie chciał iść, jakby się bał, że wszędzie czekają go duchy przeszłości, w szczególności pomiędzy starymi ludźmi. Byli blisko, musiała napić się czegoś ciepłego. Uspokoila go, że tylko na chwilę.

Wtedy po raz pierwszy usłyszała o Gerdzie.

– *Was haben sie uns getan*⁶⁵.

Zostali do późnej nocy, słuchając o miłości, którą przerwała wojna.

Po raz pierwszy Irena wyciągnęła zdjęcie, którego nigdy nikomu nie pokazała. Nawet jej nie przyznała się, że największą miłością jej życia był nieznanany nikomu Gerd, a nie jowialny Tadeusz, dziadek, który odszedł, zanim Selina go poznała.

Zdjęcie straciło sztywność, rozmiękczone dotykiem dłoni babci. Selina patrzyła na nie z zaskoczeniem, sądziła, że zna wszystkie fotografie z babcinych pudeł. Mężczyzna obok niej był bardzo wysoki, emanował siłą i zdecydowaniem widocznym nawet na starym zdjęciu, nawet po tylu latach. Było w nim coś bliźniaczo podobnego do Maxa. Nie rysy twarzy, nie uśmiech. Bardziej ta intensywność, skoncentrowane tu i teraz. Ona obok niego nierealnie młoda, zapatrzona i szczęśliwa. Widząca tylko jego.

Sygnal SMS przywrócił Selinie poczucie rzeczywistości.

Będę jutro, na jeden dzień.

Będzie. Szybko wsunęła szufladę wspomnień i z wyrzutem sumienia przekreśliła wirtualny klucz. Nie teraz, nie chciała wracać do tamtego bólu. Telefon odłożyła na później.

Jasne, wczesne popołudnie. Prześwietlone kwietniowym słońcem i jego obecnością. Nieliczne momenty, gdy zjawiał się w jej małym mieszkanku,

nabierały blasku święta, wyjątkowości, prawie uroczystego nastroju.

David stał przy kuchni, przyglądając się zawartości szafki z przyprawami. Palcami zaczesał do tyłu opadające na ramiona włosy, powiódł wzrokiem po pomieszczeniu, potem przeniósł go na Selineę.

– Zostańmy dziś w domu, ugotuję coś dobrego, chcesz?

– Nie wiedziałam, że gotujesz...

– Jasne, tak naprawdę umiem wszystko, co praktyczne.

– To znaczy?

– Polować, podkuć konia, podzelać buty, szyć, gotować, sporządzać podstawowe leki – w myślach dodał jeszcze: „sporządzać fałszywe dokumenty i trucizny”.

– Intrygujesz mnie, czy mogę cię o to wszystko kiedyś poprosić? Nie naraz oczywiście, po kolei, jak znajdziesz czas.

– Oczywiście – odpowiedział w zadumie. – Dobrze, moja piękna pani zajmie się teraz sobą, a ja zostaję popracować nad alchemią smaku.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością i wzruszeniem. Potem niepewnie ruszyła po książkę i zapadła się w swój ulubiony fotel. Słyszała, jak David stuka garnkami, wysuwa szuflady, przestawia słoiczki z przyprawami.

Pojawił się raz, pachnący jakimiś aromatami, i z tajemniczą miną pocałował ją w czoło.

– Czy moja pani jest głodna?

– Zapewne, ale wytrzymam jeszcze trochę, mój drogi. – Rozmowy między nimi nabierały czasem eleganckiej, kurtuazyjnej lekkości, która nie kryła w sobie głębszych uczuć ani treści. Jak wyszukane konwersacje wyżej urodzonych wieki temu. Albo starych małżeństw.

Zaprosił ją do stołu. Perfekcyjne nakrycie, odpowiednia kolejność sztuców, idealna odległość talerzy, kieliszków, szklanek. Środek stołu zajmowało

przywiezione z domu naczynie do zapiekania. Ceramiczne i ręcznie zdobione.

– Co tam masz? – zapytała, nie mogąc zgadnąć.

– *Aliater ius in mullos assos*, czyli ryba w sosie.

– Własny przepis?

– O nie, to z *Apicius' De Re Coquinaria*⁶⁶.

– I co jest w środku?

– Ruta, mięta, kolendra, fenkuł... Wszystko zielone. Poza tym, hm... pieprz, lubczyk, miód, bulion i trochę oliwy. No i ryba, barwena.

Rzeczywiście, potrafił gotować. W zasadzie wszystko co robił, wykonywał ze znanstwem, spokojem i mistrzostwem. Doskonały materiał na... Skarciła się szybko za skrajny konformizm. Gdyby tylko mniej jeździł.

Przez przymknięte okiennice ciągle jeszcze przesączało się światło zmierzchu. Zastanawiała się, co teraz zaproponuje. Czekala prawie trzy tygodnie, jeszcze zafascynowana jego tajemnicą, ale też coraz bardziej samotna. Coraz mocniej zdając sobie sprawę z faktu, że ich znajomość tkwi w miejscu. Nie prowadzi do niczego. Sprzątnął ze stołu, potem spojrzał w jej kierunku.

– Bardzo się pogniewasz, jeśli położę się na chwilę?

Znała to dobrze i przyjmowała ze spokojem. Pamiętała pierwszy atak na Trastevere, nie przyszłoby jej przez myśl zaprotestować.

– Mogę obok ciebie?

Wyciągnął rękę i razem weszli do sypialni. Ona z ręką na jego dłoni, on prowadzący ją poważnie i dostojnie. Wyobraziła sobie średniowieczne małżeństwo, złączone umową rodzinną, rozważne i obojętne wobec siebie. Położył się tak, jak stał, w ubraniu. Przywarła do jego ramienia, czując, że momentalnie odpływa. Nie po raz pierwszy obserwowała, jak zasypia, za każdym razem starając się zapanować nad niepokojem. Wytłumaczył jej kiedyś, że narkoleptycy natychmiast wpadają w fazę REM. A to znaczyło, że od razu po dotknięciu poduszki wchodzą w najgłębszą, najbardziej realistyczną fazę snu.

Widziała strach i cierpienie przesuujące się po jego twarzy, czasem mówił coś przez sen, w różnych językach. Rozpoznawała hebrajski, a także niemiecki, angielski, ale w archaicznej, niesłyszanej przez nią wcześniej wersji.

Budził się z tych snów zmieniony, nabierał obcości wraz z obcymi językami. Potrzebował chwili, by wrócić do rzeczywistości. Raz nie poznał jej. Sen, który osiadł na jego oczach, nie chciał odejść. David miał zmętniały wzrok, wyglądał jakby skurczył się w sobie.

– Davidzie, jesteś tam? Wszystko dobrze? – I nie wiedząc, dlaczego to robi, dodała: – Davidzie, to ja, Selina, jest kwiecień, Rzym, a ja ratuję twoje książki.

Oprzytomniał chwilę później. Dotknął jej twarzy, gdy opierał głowę na jej ramieniu, usłyszała westchnienie ulgi, ale też jakby rozczarowania. Nie wrócili nigdy do tematu, ale ona już zawsze używała tego sposobu, gdy nie mógł się wybudzić do końca. Nigdy nie zapytała go o przeszłość. O wspomnienia, dokąd jeździł na wakacje i czego się bał jako dziecko. Gdzie tak naprawdę jest jego dom, bo przecież musiał jakiś mieć. Każdy rodzi się z jakiejś matki i jakiegoś ojca. Każdy pamięta swój widok z okna, wesela i pogrzeby w rodzinie. Klótnie też. Pierwszy pocałunek i pierwsze rozczarowania.

Teraz lekkość zaczynała jej ciążyć. Brak stałych punktów z jego przeszłości, które mogłyby stać się jej oparciem dla zdań: „Pamiętasz, mówiłeś, że od dziecka nienawidzisz duszonego mięsa”, „Co u twojej matki, dalej ma problem z kolanem?” czy wreszcie: „Nigdy nie mówiłeś, że znasz aramejski”. Wykasowała to ostatnie zdanie, bo ono już padło. Przypadkiem zobaczyła, jak w księgarni przewraca strony jakiejś książki i czyta. Podeszła dyskretnie i przeczytała napis na okładce. Wymijająco odpowiedział, jak wtedy w dublińskiej bibliotece. „Stare czasy, nieszkodliwa pasja. Kiedyś lubiłem uczyć się nieprzydatnych rzeczy”.

Jeśli nigdy nie mówił o tym, co dla każdego człowieka najważniejsze, najintymniejsze, to... czy było to dla niego nieważne? Niebyłe? A jeśli tak, to jakie znaczenie mogła mieć ona, skoro nigdy nie mówił o tamtych.

Jeden jedyny raz odważyła się zapytać:

– Davidzie, czy kochałeś kiedyś kogoś?

Westchnął ciężko. Zupełnie jak matka, która po raz kolejny słyszy to samo pytanie od dziecka.

– Każdy kiedyś kochał.

Cisza osadzała się na ich ciałach, Selina słyszała ruchome piaski brzegów, na których się znaleźli. To jedno zdanie, które dźwięczało jeszcze w pokoju, mogło być mostem między nimi. Nie spróbował go przerzucić.

– Znałeś wiele kobiet?

– W sensie biblijnym? – Rozczulił ją tym określeniem, w jednej sekundzie rozbrajając ciężar pytania.

– Tak.

Selina przypomniała sobie zasłyszane w Niemczech przysłowie: „Brak odpowiedzi też jest odpowiedzią”. Znowu znalazła się w samochodzie jadącym z lotniska w Monachium.

Potem rozplakała się. Nad sobą, Davidem i nad słowem, które wtedy nie padło. Nad innym, które nie padło teraz.

Nie poruszył się, po prostu gładził jej włosy, potem objął jak dziecko, któremu trzeba w końcu powiedzieć, że w życiu nie jest jak w bajkach. Nie ma szczęśliwych zakończeń, nagrody za bycie po właściwej stronie. Jedyne, co można, to trzymać się w objęciach i być obok. Pozwalał jej się wypłakać i w końcu otworzyć się na prawdę, że niezmierny świat, w którym przebywa, jest dla niej zamknięty. Jej tam nie ma. Na chwilę opuszcza go, by z nią pobyc, położyć głowę na poduszce, gdy nadciągają koszmary, pomilczeć z nią i nie musieć niczego tłumaczyć. I że właśnie dlatego z nią jest. Na razie.

65 *Was haben sie uns getan* (niem.) – Co oni nam zrobili.

66 *O sztuce kulinarnej ksiąg dziesięć* (łac. *De re coquinaria libri decem*) – książka kucharska z przepisami kuchni starożytnego Rzymu. Jako autora podaje się Apicjusza, ale dzieło to jest kompilacją kilku źródeł dokonaną w IV – V w. n.e. Najstarsze zachowane manuskrypty *De re coquinaria* pochodzą z IX w.). Całość zawiera ok. 450 przepisów.

ROZDZIAŁ IV

Propozycja

Miesiąc później na ekranie komórki wyświetlił się kolejny SMS od niego:

Jutro. Mam coś dla ciebie. Myślę o twoich włosach, oczach i... D.

Tym razem nie jechał prosto z lotniska. Zaznaczył, że musi się odświeżyć, przebrać, a przede wszystkim przejść się do sejfów. I że będzie koło dziewiątej u niej. Bo nie może tego przynieść w żadne publiczne miejsce. Zaintrygował ją, na koniec poprosił, by wyłączyła komórkę.

Po dziewiątej usłyszała delikatne pukanie. Otworzyła drzwi i zastygła: był ubrany w elegancki grafitowo-szary garnitur, połyskujący mgiełką srebrnej nitki. Biała koszula, włosy lśniły bardziej niż zwykle. Oczy miał rozszerzone jak po atropinie, którą pamiętała z badań okulistycznych. Pachniał też inaczej, mocniej. Nie mogła określić składników, zapach skojarzył się jej z czymś zwierzęcym, z mchem, organicznością ziemi i jeszcze czymś, co ją pociągało.

– Dobry wieczór – odezwał się nienaganną polszczyzną.

Nie zdążyła skomplementować jego lingwistycznych zdolności, gdy pociągnął dalej w jej języku ojczystym:

– Pięknie wyglądasz, mam nadzieję, że to dla mnie.

Zaskoczył ją zupełnie, nie mogła znaleźć słów.

– Od kiedy znasz polski? Davidzie, ja się zaczynam ciebie bać – cofnęła się o krok.

– Mówiłem ci, że dawno temu byłem w twoim kraju. – Przyjrzał się jej uważnie i przeszedł na angielski. – Większość i tak zapomniałem.

Podszedł bliżej i pocałował ją w usta. Długo, jak nigdy wcześniej.

– Chodź – pociągnął ją w kierunku salonu i posadził obok siebie na kanapie.

Rozpiął marynarkę i zaczął bawić się jej włosami, delikatnie muskając kolczyk i skórę za uchem.

– Chciałbym ci zaproponować małą grę. – Roześmiał się, widząc jej minę. – Nie bój się, wyglądasz, jakbym chciał cię namówić do czegoś złego. A ja tylko pragnę, abyś zgadła, kto będzie twoim kolejnym i ostatnim pacjentem. Tamte dwie – machnął lekceważąco ręką – są nieważne.

– Intrygujesz mnie. Skąd ten czerwony dywan? Nie mógłbyś nas sobie po prostu przedstawić?

– Nie, to naprawdę specjalna rzecz. Coś wyjątkowego. – Podniósł się na chwilę i przyniósł małą butelkę. – Mam też wyjątkowe wino na dzisiejszą okazję, poczekaj, przyniosę kieliszki.

– Jak wyjątkowe? – z rozmysłem weszła w konwencję, przeciągając się po kociemu na sofie i podciągając nogi.

– Poczujesz już po pierwszym łyku – odkorkował butelkę wyglądającą na starą i nalał wina do szerokich kieliszków na wysokich nóżkach. – Za to, żebyś zgadła.

Stuknęła jego kieliszek swoim.

– A jeśli nie?

– Będziesz zgadywać do skutku. Aha, i coś specjalnego dla ciebie. – Wsunął jej w usta małą kulkę o słodkim smaku, która po rozgryzieniu nabrała gorzkawych, ziołowych tonów. Znów pocałunek, potem zmusił ją do wstania z kanapy i zakomenderował: – Kierunek sypialnia! Albo nie, zaczniemy tutaj – zdjął marynarkę i przejechał dłońmi po ciemnych włosach. Podszedł do niej, pomyślała, że chce ją objąć, ale poczuła, jak leniwie rozsuwa zamek z tyłu jej sukienki.

– Pierwsze pytanie: gdzie nigdy nie było węzy?

– Irlandia – wypaliła natychmiast.

– Za szybko. Musimy trochę zwolnić. – Wsunął ręce w otwarcie materiału, kładąc obie dłonie na jej plecach. Potem palcem wskazującym zjechał wzdłuż dzielącej je linii na sam dół.

– Komu tu idzie za szybko? – skomentowała sarkastycznie, usiłując złapać oddech. Czowała napięcie mięśni jego ciała.

– Odwróć się.

– Ani mi się śni.

– Proszę, chcę coś narysować.

Chichocząc, wykonała półobrót. Zsunął z niej sukienkę do połowy. Potem zaczął całować miejsce między łopatkami, ramiona, kark i szyję. Jego dłonie przesunęły się wzdłuż kręgosłupa, potem przeniosły na brzuch.

– Gdzie ten rysunek – przypomniała mu, usiłując zapanować nad drżeniem głosu.

– Ach tak, zapomniałem. – Smukłe palce pogładziły ponownie plecy, jakby rozprostowywały płótno pod obraz. Potem delikatnie zaczął dmuchać na jej skórę.

– Co robisz?

– Cicho, zmiatam kurz.

– Kurz? Poczekaj tylko...

Bawił ją i rozczulał.

– Już przestaję, skup się.

Usłyszała, jak bierze głęboki oddech, chwilę później poczuła jego palec rysujący duży prostokąt. Zamknął jego obwód, potem dorysował stopniowane trójkąty na rogach, wreszcie w środku koła, w dwóch rzędach po trzy w każdej linii. Na koniec dorysował centrycznie po jednym okręgu. Jeden na górze, drugi na dole. Zamarła, usiłując przypomnieć sobie, gdzie widziała ten wzór. Ten

charakterystyczny układ kół zamkniętych w prostokącie.

– Jakież problemy? Powtarzam pytanie – zmysłowo zamruczał koło jej ucha, potem powtórzył rysunek, tym razem językiem.

Czuła, że nie da rady stać do niego tyłem, że nie da rady w ogóle stać. Chciała się odwrócić, spojrzeć w zieloną płataninę jego tęczówek. Przytrzymał ją za ramiona.

– No jak? Osiem okręgów w prostokącie. Jest jeszcze mnóstwo mniejszych detali, ale nie mam narzędzi na tak precyzyjne wzory.

Podziałało jak cyngiel, nagle zobaczyła ją przed sobą.

– *Carpet page*⁶⁷, *Księga z Kells* – krzyknęła – ale...

Nie skończyła, zdecydowanie ściągnął z niej sukienkę, zdjął przez głowę koszulę i błyskawicznie pozbył się reszty ubrania. Po raz pierwszy zobaczyła go w pełnym świetle, stojącego na wprost niej. Jasnooliwkową skórę jak u Włochów, przecięty blizną brzuch, dostrzegła inne ślady, które wzięła za znamiona. Stała za nim, plecy przypominały te, które widywała na fotografiach czarnych niewolników amerykańskich. Stare blizny wyglądały jak cienkie powrozy rzucone bezładnie na jego ciało. Przytuliła się do nich, ale odkręcił się natychmiast i lekko dźwignąwszy ją z podłogi, zaniósł do sypialni. Nie podejrzewała go o tyle siły. Położył ją, zdążyła zarejestrować czarne źrenice prawie wypełniające tęczówki.

– Bingo.

Nie zdążyła zapytać, wszedł w nią z niespotykanym dla niego zaangażowaniem. W jej głowie wybuchło światło, chwilę potem usłyszała jego jęk. Nieproporcjonalnie cichy i słaby w stosunku do tego, co działo się w jej ciele. Potem szeptał słowa w językach, których nie знаła, głaskał jak zawsze długo i delikatnie, niemal każdy centymetr kwadratowy jej skóry. Dotknął ustami skroni, wreszcie miejsca pośrodku czoła.

– Czy wiesz, że w pałacach kalifa Kordoby, w Kairze i Bagdadzie były

specjalne zbiorniki wypełnione rtęcią, przeznaczone do zabawy ze światłem?
Przypomniało mi się, bo twoje oczy wyglądają jak...

Zabolało tak, że przestała oddychać. Obraz Davida rozmazał się w szczypiącej
oczy mgle.

– Rteć kojarzy mi się z termometrem i trucizną.

– Pomyślę nad czymś innym. – Zdziwienie w oczach i szybka decyzja.
Prawie szeptem przy jej skroni zapytał.

– Mam dwie z zaginionych trzydziestu stron *Księgi z Kells*. Uratujesz je dla
mnie, Selino?

Wszystko wirowało, zdążyła jeszcze zapytać:

– Co to było, Davidzie? To słodkie, co mi dałeś.

– Damiana, tak Indianie pomagali swoim kobietom. Mój własny patent.
Upredzając twoje dalsze pytanie: to było tylko dla ciebie.

Nie mogła otworzyć oczu, nie miała siły się ruszyć, machinalnie przesuwała
tylko palcami po przeszłych razach zapamiętanych przez jego skórę.

– Żartowałeś z tymi stronami?

– Nie. Są tutaj, ze mną.

Otworzyła oczy.

– Kim ty jesteś, Davidzie?

– Uratujesz je?

Odczekała bardzo długo.

– Tak, wiesz przecież. Ale nie chcę pieniędzy, chcę odpowiedzi na moje
pytanie.

Przewrócił się na plecy z westchnieniem, zamknął oczy. W ciszy zapadłej
między nimi słyszała poruszające się zasłony, własny oddech. Patrzył w sufit,
jego głos był teraz rzeczowy i obcy. Delikatnie zabarwiony rezygnacją.

– Oczywiście, masz wybór: nieźle pieniądze albo informacja.

- Zabrzmiało jak groźba. Jak myślisz, co wybiorę?
- Nie mam złudzeń, to drugie.
- Nie wyglądasz na zachwyconego.
- To twoja decyzja, ja bym tego nie brał.

Odwróciła głowę w jego stronę. W jego oczach było pożegnanie, nieodwołalna decyzja. Zrozumiała to bez pytania, zresztą nie wypowiedziałaby go na głos. I nawet to nie było największym ciosem. Nie zobaczyła bólu ani rozpacz, najwyżej elegancki smutek. Samotność, którą czuła wcześniej, była tylko cieniem tej, która nadeszła w tej chwili.

W nocy obudził się, czując, że coś jest nie tak. Miał mokre ramię, a chwilę później zrozumiał, że Selina płacze. Przez sen. Chciał wybudzić ją z koszmaru, pocieszyć, ale zatrzymał się, słysząc, jak mówi po niemiecku:

- Max, nie rozumiesz...

Odczekał chwilę, a potem delikatnie obudził pocałunkiem.

- To tylko sen – powiedział w jej ojczystym języku.

Zasnęła natychmiast uspokojona, a on wsłuchiwał się w jej miarowy oddech.

Rano stwierdziła brak Davida obok siebie, ale odetchnęła z ulgą, gdy znalazła małą karteczkę z napisem: „Pobiegłem po śniadanie”.

Litery były pochyłe, długie i smukłe jak on, przypominały starannie kaligrafowane teksty starych ksiąg. Pod wpływem impulsu rozejrzała się po pokoju, szukając jego rzeczy, czegoś, co mogłoby zawierać przyniesione strony, zaraz jednak zdała sobie sprawę, że sama nie odważy się niczego dotknąć.

Wzięła prysznic, włożyła jedwabną bluzkę w kolorze ciemnej butelkowej zieleni i czarną wąską spódnicę. Taką lubił ją najbardziej.

Pojawił się chwilę później z kwiatami, jeszcze ciepłymi panini i kawą z kawiarni na rogu.

- Dziś jeszcze piękniejsza – przywitał ją pocałunkiem w policzek.

– Przechodzisz samego siebie. Tak na ciebie działałam czy to z powodu *Księgi*? – zaryzykowała.

– Jedno i drugie, obie jesteście najważniejsze w moim życiu.

– Ona jest w twoim życiu dłużej i jeśli pozostanę przy swoim wyborze, tak zostanie, prawda?

Westchnął ciężko, odsunął ją na bok i postawił torbę ze śniadaniem na blacie kuchennym.

– Na ogół księgi żyją dłużej od ludzi, sama wiesz lepiej. Dzięki temu masz pracę.

– A co ze mną, Davidzie? – Patrzyła nieustępliwie.

– Posłuchaj, wiem że to trudne, ale nie jestem mężczyzną, z którym można się związać. Nie mogę ci tego wyjaśnić, przynajmniej na razie. Proszę, nie patrz w ten sposób, nic ci nie grozi, rozumiesz? – położył jej dłonie na ramionach, myśląc jednocześnie o tym, ile razy prowadził już podobną rozmowę. – Musisz wiedzieć to już teraz: nie mogę z tobą zostać na zawsze.

– A na ile? Jeśli nie na życie, to na jak długo?

– Nie płacz, proszę cię. – Objął drżące od płaczu szczupłe plecy. Kołysał delikatnie i głaskał po głowie. – Ciii, no już, proszę cię, przestań, to nic nie zmieni. – Odgarnął jej mokre włosy, zawahał się, wreszcie z nagłym zdecydowaniem powiedział: – Opowiedz mi, kim jest Max.

⁶⁷ Charakterystyczne strony wczesnych manuskryptów iluminowanych, przypominające wzorem pięknie tkany, na ogół geometrycznie ozdobiony dywan. Najbardziej znane znajdują się w *Bobbio Orosius*, *Księdze z Kells* czy *Księdze z Durrow*.

Narkolepsja

To było święto, całe trzy dni na miejscu. No, może nie całe. W piątek przylatywał, a w poniedziałek skoro świt znów rozpływał się w świetle lotnisk. Była zaskoczona tym, jak łatwo i bez wysiłku odnajdywał się w jej życiu. Był jednym z tych ludzi, którzy wtapiają się w każde otoczenie, jakby od zawsze tam byli. Nigdy nie pytał, gdzie są sztucce, klucze czy jak operować zabytkowym kurkiem od prysznic. Po prostu wiedział. Apartament był mały, ale nawet na takiej przestrzeni potrafił zniknąć na tle fotela, stworzyć absolutną ciszę, nieruchomiejąc przy oknie, zachwycić nagłą oczywistością dyskretnie przynoszonych jej filiżanek kawy czy herbaty.

Odkąd zajęła się kartkami, stał się uważniejszy, troskliwszy, a przede wszystkim znajdował więcej czasu dla niej albo przy niej. Przyszło jej do głowy, że może chciał dopilnować kartek, może nie ufał jej tak bezgranicznie, jak sądziła, ale szybko odrzuciła to podejrzenie. Mogła zrobić wszystko, ale oboje wiedzieli, że tylko w teorii. Czuła też, że ten przedłużony pobyt ma swoją cenę. Cienie pod jego oczami pogłębiły się, a wzrok nabrał tego zmętnienia, które pamiętała sprzed ataku na Trastevere.

– Nie wyglądasz najlepiej, może się prześpisz?

Przecięgnął dłonią po jej ramieniu. Długo, delikatnie, elegancko.

– Nie trzeba, zawsze mogę nadrobić później.

– Aż tak panujesz nad własnym organizmem?

– Prawie. Zresztą nie lubię spać.

– To przez te koszmary?

– Ja śnię inaczej. Bardzo mocno, długo. Tak jakbym od razu wpadał w film.

Czasem to, co dzieje się na zewnątrz, przenika do snu.

Selina bawiła się przez chwilę kosmykiem włosów.

– Czytałam trochę o narkolepsji...

– Domyślam się. I...?

– Twoja jest inna.

David przyjrzał się jej uważnie, jego ręka zeszła na udo Seliny i na chwilę tam zastygła.

– Każda jest inna.

– To wiem, ale ty prawie sterujesz swoją. Nawet z lekami trudno jest to aż tak kontrolować. Tak przynajmniej wynika z tego, co wyczytałam.

– Bo moja ma inne źródło.

– Zdradzisz?

Ręka drgnęła i delikatnie zaczęła przesuwać się wzdłuż rozcięcia w spódnicy, w kierunku kolan.

– Z zaburzeń percepcji czasu, ale to ostatnia odpowiedź. Nie lubię rozmów o pracy i mojej chorobie. Wybaczysz, prawda?

– A o czym chciałbyś ze mną rozmawiać?

Selina czuła się obolała w środku, nieustannie obijała się o metalowe drzwi dla niepoznaki wygłuszone miękką kotarą eleganckiej delikatności, subtelnego erotyzmu i nieuchwytej tajemnicy.

David delikatnie gładził jej kolana, w zamyśleniu patrząc na brzeg materiału spódnicy. Nie zmieniała ułożenia nóg, nie poruszyła się. Odsunęła jego rękę, chcąc się podnieść.

– Może popracuję jeszcze nad stroną numer...

Zatrzymał ją delikatnie i niespiesznie, jak to leżało w jego naturze.

– To nie jest tragedia, wierz mi. Był taki kolarz, Franck Bouyer, wygrywał na Modafinilu.

– Co było potem?

– Jakaś organizacja kolarska wpisała Modafinil na listę leków zakazanych. No wiesz, doping i te sprawy. A potem pojawił się Xyrem i Bouyer wrócił do sportu.

– Pójdę już...

– A pamiętasz programy Jimmiego Kimmela? To jeden z prowadzących wywiady z waszymi znanymi ludźmi. Jak Oprah, Jay Leno...

– Davidzie, wiem, kim jest Kimmel.

– Też narkoleptyk. Podobnie jak Nastassja Kinsky.

Selina przystanęła.

– Zaciekawiasz mnie.

– A słyszałaś o nosach? Ludziach opracowujących zapachy? My, narkoleptycy, to znaczy wielu z nas, mamy za to supersmak.

– O tym nie wiedziałam. Czyli czujecie bardziej?

– Tak, ale nie wszystko. Przede wszystkim alkohol, kapustę, kawę...

– Musisz jechać do Polski, będziesz cały czas na smakowych dopalaczach.

– Oliwę...

– Zaczynam wierzyć, że to się udziela. Ten zapach oliwek i smak chleba wtedy. Jeśli zaraz powiesz mi jeszcze, że to jest zaraźliwe...

– Nie, to moja własna cecha. Bardzo selektywna pamięć... – nie dokończył wątku. – Selino, to wszystko ciekawostki, anegdoty, ale chciałem tylko powiedzieć, że niepotrzebnie się martwisz. – Proszę – strzelił palcami, jakby coś sobie przypomniał. – Czy wiesz, że były szef personelu Clintona, Harold Ickes, zawsze stał w czasie narad i zebrań? Przeżył nawet końskie dawki Dexerinu, magicznego leku na narkolepsję w tamtych czasach. Brał go ponad dziesięć razy więcej, niż pozwoliłby mu rządowy lekarz. Co najśmieszniejsze, jego ojciec, doradca Roosevelta, cierpiał na bezsenność. Spał trzy godziny na dobę.

– Mówisz, że to się wyrównuje w pokoleniach? Boję się myśleć, jakie będą

twoje dzieci.

Oczy Davida rozszerzyły się gwałtownie, nagle jakby wpuścił ją do środka. Na chwilę zapomniał o elegancji, pełnych zdaniach i dyplomatycznych odpowiedziach.

– Jestem bezpłodny.

Wilk

Miał czas, Selina praktycznie nie wychodziła z pracowni zasypana własną pracą oraz tym, co robiła po godzinach, dla niego. David samotnie spędzał całe godziny, rozmyślając nad czasem, który mu pozostał. Przez cały ranek zastanawiał się nad wyjściem, co jakiś czas spoglądając na pozostawiony przez Selinę laptop. Wreszcie spokojnie przeszedł z kuchni i podniósł czarny prostokąt. Bez trudności sforsował zabezpieczenia i wszedł na jej aktualne, a potem na stare konto pocztowe. Szybko zapisał wszystkie potrzebne dane w pamięci i zastygł nad zdjęciem, które zobaczył na ekranie. Obejrzał załączniki dokumentacji medycznej, nie otwierając, przewinął maile. Wytarł ślady swojej wirtualnej bytności na jej koncie i wyszedł.

Grzało sierpniowe, bezlitosne rzymskie słońce. Wszyscy mieszkańcy miasta uciekli, pozostali turyści, ci, którzy nie mogli wyjechać, Selina i on. Tak się przynajmniej wydawało Davidowi siedzącemu pod ogromną markizą na Trastevere. Było tak gorąco, że nawet cień wycofał się w najdalsze zakamarki ulicy, bezgłośnie omdlewały posadzone w wielkich donicach drzewka pomarańczowe. Przed nim, bez słowa skargi i bez czucia leżały serwetki, sztucce i talerz. Na łyk wody czekała szeroko otwarta szklanka. I on sam.

Przy sąsiednim stoliku znieruchomiała sędziwa rzymianka, elegancka i monumentalna. Osłonięta olbrzymim kapeluszem z rondem, w którym przypominała dojrzałą Audrey Hepburn, w eleganckim jasnym kostiumie, pięknych butach od Blahnika i z torebką Prady. Uosobienie szyku, starej elegancji i klasy. Nie zdołał dojrzeć, jakiej marki były wielkie, upodabniające ją do owada ciemne okulary, ale mógł się założyć, że tak samo drogie jak reszta jej stroju.

W dłoni osłoniętej jedwabną rękawiczką trzymała smycz, na końcu której znajdowała się głowa zrezygnowanego psa. W przeciwieństwie do aury otaczającej właścicielkę był zupełnie pospolity. Mieszanka czegoś z wilkiem, jakieś wspomnienie dzikiego psa. Skundlone i smutne. Nic, czym można by się pochwalić. Leżał zrezygnowany w cieniu jej krzesła, z przymkniętymi oczami i otwartym pyskiem usiłował przetrwać do wieczora.

Kelner przyniósł wreszcie zimną wodę z cytryną, miętą i lodem. David chciwie wypił pierwszy łyk, a pies uniósł głowę zaciekawiony krokami odchodzącego człowieka. Spod otwartych na chwilę powiek spojrzął na Davida wielkie, samio łagodne oczy. Czarne, okrągłe źrenice, wypukłe i błyszczące jak szklane paciorki. Zrezygnowany ból, cierpliwa rezygnacja... Zaraz, gdzie to było? David zastygł ze wzrokiem utkwionym w nieruchomym zwierzęcym spojrzeniu. Psia głowa nieznacznie zmieniła kształt, jak na komputerowej animacji, dzięki której ludzie potrafili współcześnie zmienić każdą rzeczywistość w fantazję.

Mimowolna wizualizacja w głowie Davida nie należała jednak do gatunku science fiction. Jak wszystko, co pojawiało się przed jego oczami, była przeszłością. Ciemnobrązowe futro psa zmieniło kolor na piaskowe umaszczenie dzikiego zwierzęcia. Na boku pojawiły się niemal tygrysie pasy. Podkreślające widoczne, wyostrome głodem żebra. Tamte oczy konały w zoo. W dzień z powodu upału sięgającego trzydziestu ośmiu stopni w cieniu, nocą z powodu przeraźliwego chłodu, kiedy to temperatura spadała poniżej zera. Bez możliwości schronienia się, ucieczki. Uwięzione w klatce z drutu, pozostawionej przez nieliczny personel tam, gdzie została wyładowana po przyjeździe. Oczy ostatniej samicy wilka tasmańskiego. Reszta jej współplemieńców została wytropiona, zaszczuta, zastrzelona, złapana we wnyki, obdarta ze skóry i wybita. David nie pamiętał powodu, dla którego przywieziono ją aż do zoo i kazano skonać w męczarniach. Jakby nie można było jej zabić jak reszty. I tak nie miała już

szansy na szczenięta. Cała ta wyprawa, klatka, tabliczka z opisem nie służyły niczemu. Może tylko ludzkiej zabawie.

Pies zamknął oczy i z westchnieniem wrócił do jedynej słusznej czynności: drzemki w cieniu swej nieruchomej pani.

David usiłował nie dopuścić kolejnych obrazów do mózgu, wiedział, że raz rozpoczęty korowód trudno będzie zatrzymać. Wystarczyło cokolwiek, najdrobniejsze podobieństwo koloru, dźwięku czy zapachu. Przeszłość wyskakiwała w niekontrolowany sposób, zawsze obrazem czegoś, czego już nie było. Drobnymi fragmentami wielkiego dzieła stworzenia zniszczonego przez ludzi. Chciwością, głupotą, z powodem, bez powodu. Bez miłosierdzia. David czasem myślał, że powodem była zazdrość. Ludzie udowadniali sobie i Najwyższemu, że nawet jeśli nie potrafią tworzyć, to na pewno mogą zmienić świat według swojego pomysłu. Według własnych i tylko ludzkich potrzeb.

Przypomniawszy sobie pierwszą noc z Seliną. Znów ten cholerny wyzwalacz skojarzeń. Udziałem Davida nie były wizje kobiecego ciała przeistaczającego się w łuki architektury czy krągło słodki miąższ owoców. Tamta noc przywołała wielkiego, łagodnego ssaka, przypominającego syrenę lub jeszcze istniejące manaty czy foki. Krowa morska Steller. Oczywiście nie z powodu podobieństwa kształtów, to było coś innego. One też kochały się jak ludzie, kładąc na morskich falach na grzbiecie. David pamiętał samca, który kilka dni krążył wokół martwego ciała swojej samicy, zabitej dla skóry. Inne przetopiono na olej. Nie mógł pozbyć się obrazów całego stada usiłującego ciągnąć sieć, w którą złapano jedno z nich. Pomagających wyciągać sobie z boków harpuny i nadal z dziecięcą ufnością podpływających do ludzi.

Taką klatkę z jego pamięci mogło wywołać cokolwiek. Miał ich niezliczenie dużo. Zapełniały jego jaźń, ciążyły, nie pozwalając na myślenie o przyszłości. Nie pozwalały na marzenia, na chwilowe oderwanie się od ziemi. Wiedział, że będzie ich więcej, więcej hologramów nieistniejących stworzeń, rzek, lasów,

krajobrazów. Przychodziły coraz szybciej, częściej. Ludzkie banki nasion, DNA, magazyny pełne fotografii, wypchanych zwierząt, zasuszonych roślin i pieczołowicie połączonych kości były niczym w porównaniu z kolekcją Davida. Zbieraną z ich powodu, ale nieprzeznaczoną dla ludzi. Sam dokładnie nie wiedział dla kogo. Początkowo jeździł bez celu, w różny, niebezpośredni sposób otrzymywał po prostu polecenie, nazwę miasta czy miejsca na ziemi. Małe ułaskawienie przyszło po latach, pozwolono mu nadać sens tym podróżom. Nawlec je na nic jakiejś celowości, jakiejś sprawy do załatwienia. Najpierw został kronikarzem swojego plemienia. Potem przyszło rozczarowanie ludźmi, odwrócił się od nich ostatecznie na małej wyspie północnej Europy. Wszystkie obrazy zbierał w swojej pamięci, nie bardzo wiedząc, co dalej z nimi zrobić. Przekazać je wyżej czy może kiedyś ludziom? Czy komuś w ogóle było to wszystko potrzebne? Sam sobie też zadawał to pytanie, ale nie mógł już zmienić przeznaczenia. To była trzecia i ostatnia korekta jego losu. Poza tym, mimo permanentnego zmęczenia i bólu, jaki sprawiały mu podróże, nie potrafił, po prostu nie potrafił przyglądać się zagłędzie świata obojętnie. Niemający porównania ludzie nie widzieli tego co on. Obrazów, które przypominały mocno przyspieszony film, jaki czasem kręcono, by pokazać wolno następujące zmiany. Cała jego jaźń, prawie wszystkie wspomnienia były takim przyspieszonym filmem o niepostrzeżenie postępującym zniszczeniu.

Ostatnie dni

To był bardzo dziwny okres, zatrzymany cykl wyjazdów i powrotów, ciągła obecność Davida na miejscu. Wszystko to sprawiło, że wpadła w beczasową studnię. Przestały ją prześladować bilety lotnicze, jego walizka, długie okresy wykreślenia jej z życia. Dni, w których był czasem bolącą, zawsze dokuczliwą nieobecnością. Chciała, żeby ten stan zawieszenia trwał bez końca. Zaczęła sobie wyobrażać ich wspólne, normalne życie. Zakupy, spacer, wyprawy do kina i na wakacje. *Zweisamkeit*⁶⁸ – to słowo pojawiło się przed nią nagle, jak wieczornie rozbłyskujący neon ciemnej dotąd fasady domu. Nie chciała dojść do końca, nie chciała zakończyć konserwacji. Co to za cholerna alternatywa. Prawda okupiona końcem, jeśli pieniądze – to miłościwie odroczone, odsunięty w czasie koniec. Nieuchronny jak śmierć.

Szli wzdłuż ciemniejącej wstęgi rzeki. Objął jej talię.

– Nie wyszłaś z laboratorium. Czuję to...

Nie mogła się pohamować:

– Widzisz, taki właśnie jesteś. Przeważnie. Myślam gdzie indziej, zostawiasz mi tylko część siebie.

Nie zaprzeczył, nie odwrócił wzroku. Prawie niezauważalnie westchnął, jakby słyszał ten zarzut już wcześniej.

– Teraz myślisz o mnie czy o *Księdze*?

– Nie chcę rozmawiać o *Księdze*. Czasem myślę, że księgi to przekleństwo. Pomyśl sama, te zwierzęta przerobione na pergamin, niezliczone istnienia, którymi nikt się nie przejmuje, bo nie są wystarczająco duże ani w ludzkim rozumieniu przyjemne, by na to zasłużyć. Czerwce, koszenile, tony, setki tysięcy ton ślimaków... Zresztą sama wiesz. Wiesz, jak wielka była kiedyś puszcza

w Europie? Nic się nie da porównać z odgłosem, zapachem wibrującego życia takiego lasu. Masz jego resztki w swoim kraju. Te opustoszałe miejsca i stosy trupów. Wszystko dlatego, że musicie mieć więcej, że musicie zapisywać swoje myśli, tak zwaną wiedzę. Coś z tego wynikło? A teraz, odkąd coraz więcej książek jest cyfrowych, mam wrażenie, że macie coraz większy dostęp... do zła.

– Naprawdę tak myślisz o książkach? To dlaczego trzymasz...

Nie dał jej dokończyć, przerwał zniecierpliwiony:

– Przypadek. A ty? Należysz do tych, którzy wolą książki niż ludzkie towarzystwo?

Zaskoczyło ją to wystąpienie i delikatna, ale wyczuwalna wrogość w jego pytaniu. Zastanowiła się przez chwilę, przechylając głowę, jakby nasłuchiwała odpowiedzi we własnym wnętrzu.

– Czasem tak mam. Ale czekaj, to nie wynika z wygodnictwa.

– Wygodnictwa?

– Bo książki są niewymagające, bo można je otworzyć, a potem odstawić na półkę, kiedy się chce. To chciałeś zasugerować?

– Czyli? – powiedział, patrząc gdzieś przez nią. Znowu odpłynął, przyzwyczaiła się do tej eleganckiej nieuważności. Nieuchwytniej jak październikowe światło w Rzymie. Pragnęła jego uwagi, bo gdy rzeczywiście patrzył na nią i słuchał, robił to jak nikt inny. W takich chwilach miała wrażenie, że cały świat wstrzymuje oddech, by zrobić dla niej miejsce. Szli niespiesznie w kierunku rzeki, na chwilę zapomniała o pytaniu, zastanawiając się, jak przyciągnąć jego zainteresowanie.

– Więc dlaczego czasem wolisz książki? – zapytał z delikatnym naciskiem na „czasem”.

– Bo są takim wyciągiem z ludzi. Tego, co w nich wyjątkowe. Małe opakowanie instant, które zostaje po nich, gdy odchodzą. Możesz sobie je rozpuścić we własnym mózgu. Magia, prawda?

Zwolnił i potrząsnął głową.

– Dlatego zostałam konserwatorką?

Usiedli na kamiennej ławce nad Tybrem. Wszystko wokół niej było kamienne, most za plecami, kostki chodnika, ławka. Czuła, jak jej puls cichnie wygłuszony skamieliną miasta, gigantycznego cmentarzyska przeszłości. Powrócił znajomy strach: pozostanie z niej w najlepszym razie odcisk na jakiejś trwalszej od niej samej materii. *Selina anemon*. Ślad po ciele i życiu, które minęło. Jak miliony innych.

– Halo! Pani konserwator?

– Chyba tak. Poza tym pisanie mi nie wyszło.

Odchylił się na oparciu, a potem nieoczekiwanie siadł tyłem do niej i położył głowę na jej udach. Ławka była pokaźnych rozmiarów, udało mu się wyciągnąć na niej w całości. Smukłe dłonie nadal obejmowały zwinięte w rulon dzisiejsze wydanie „Il messaggero”. Nigdy nie widziała, by rzeczywiście czytał którąkolwiek z kupowanych gazet. Trzymał je w rękach, kładł na kamiarnianych stolikach, osłaniał nimi oczy przed słońcem. Rozplótł palce i bardziej poczuła, niż usłyszała głęboki wdech, potem zastygł bez ruchu. Zaskoczona straciła na chwilę wątek. Rzadko był tak rozluźniony i beztroski jak teraz. Jeszcze rzadziej pozwalał sobie na gesty przynależności i zaufania.

– Mów dalej...

Patrzyła na niego z góry. Kamienna, przypominająca starożytny relief twarz. Bez wyrazu. Ciemne włosy odcinające się od jasnego materiału spódnicy. Delikatne drgnięcie, jakby zapadł w sen. Wystraszyła się, że będzie musiała budzić go, tu, na zatłoczonym bulwarze. A jeśli nastąpi kolejny atak? Starła się wykasować tę myśl, obserwując stoisko bukinistów. Stare książki, stare okładki, tytuły nic niemówiące większości mijających je ludzi. Obserwowała turystów wyciągających któreś z ułożonych w rzędzie grzbietów. Zdezorientowani obracali je w rękach, nie znajdując ani rekomendacji, ani fascynujących wyjątków z treści,

niepewnie usiłovali czytać dowolnie otwartą stronę. Niektórzy zastygali w lekturze, większość odchodziła.

Z ulgą przyjęła powtórzona pytanie, był przytomny.

– Co takiego jest w książkach...?

Z jakiegoś powodu nie chciała dać mu odpłynąć. Nie chciała, by znów był „u siebie”, tam, gdzie nigdy nie było jej.

– Wiesz, najlepiej widać to w *Księdze z Kells*.

Zrobiła pauzę, ale nie podjął tematu. Rosły w niej irytacja i rozczarowanie. *Księga* była jej konikiem, mogła opowiadać o niej w nieskończoność. A on? Najwyraźniej zasypiał. Zaczęła trochę głośniej niż zwykle. I trochę ostrzej.

– Musisz zrozumieć, że *Księga* nie została stworzona w imię mglistej „chwały Pana”. Tak naprawdę *Księga* jest dziełem konserwacji. My ratujemy jej powłokę, ale ona sama ratowała coś znacznie większego. Pisano ją w stanie obłąkania i na złamanie karku. W obliczu bliskiej zapaści cywilizacji. A słyszałeś o tym? Odporne na promieniowanie kanistry, pełne zdjęć i dokumentów na mikrofilmach, zakopane w górach Harzu w Niemczech tak głęboko, by przetrwać nuklearny holokaust. To jest ich odpowiednik z czasów wczesnego średniowiecza. Wszystko, co wtedy zniknęło lub było zniszczone, znalazło się w *Księdze* jako fantastyczny, wizualny bank danych. To jedyne logiczne wytłumaczenie jej obezwładniającego i trudnego do uzasadnienia bogactwa. Pomyśl tylko: bizantyjskie twarze, greckie kolumny, łacińskie napisy i egipska sztuka, celtycka ornamentyka i śródziemnomorskie wyobrażenia. Bogu z pewnością było to obojętne. Nie potrzebował tak wyszukanego modlitewnika, zrobienia wrażenia na wiernych. Większość z nich i tak nie miała pojęcia, na co patrzy.

Zapalała się coraz bardziej. Chciała go zmusić do słuchania.

– Są teorie, że *Księga* jest formą zapomnienia. Świadomego wymazywania dominującej kultury zwycięzcy. Sprzeciwem wobec buta imperialnego Rzymu.

Że czerpie energię ze starszych, mniej militarystycznych kultur. Widać to w ludzkich twarzach. Nie ma w nich niczego z rzymskiej siły i patosu. Tego, co przeszło potem w narcystyczne twarze renesansu i jeszcze późniejsze wariacje tego wzoru. Przez Trzecią Rzeszę aż do naszych czasów, tabloidów, filmów... – przerwała zdając sobie sprawę, że się zapędza. Zaraz potem uświadomiła sobie, że David nie śpi.

– Mów dalej.

Po raz pierwszy usłyszała w jego głosie ponagląący ton potrzeby. Zaraz potem zgasło poczucie triumfu. Nieoczekiwana, krystaliczna przytomność Davida nie była odpowiedzią na nią, lecz na słowa, które wiernie cytowała z przeczytanej ostatnio monografii.

– *Księga* jest muzeum małych arcydzieł uwiecznionych między okładkami. Jest świętym komiksem. I to całkiem współczesnym dla nas. Pomyśl tylko, tamci skrybowie żyli jak my, na końcu i na początku czasu. Teraz też tyle rzeczy ginie na naszych oczach. Ziemia zmienia się błyskawicznie. Chwieje się grecko-rzymski porządek świata i wszystko to, co z nim dostaliśmy: proste drogi, podporządkowanie przyrody i innych, „niższych” cywilizacji naszym potrzebom, nasz kulturowy narcyzm – wszystko to zaczyna się zacinać. Coraz więcej ludzi na całym świecie potrafi to dostrzec. Wiem, brzmię jak nawiedzona idealistka, ale – zaczerpnęła tchu – zaczynamy rozumieć, że żyliśmy w błędzie, odrzucając to, co skrybowie z Iony wiedzieli ponad tysiąc lat temu. Że kosmos, helisa DNA, losy naszego życia prywatnego, losy grup ludzkich, krajów nie biegną prostoliniowo. Nie są na podobieństwo ruchu maszyn po prostu funkcjami siły. Przemieszczają się po spirali, poddane cyklom przyływów i zmian, poruszane czymś, co naukowcy nazywają energią, a co Connachtach i jego skrybowie odczuwali i nazywali... Nie śmieję się, ja w to wierzę, nazywali miłością.

Szeroko otwarte oczy Davida, kurczowo zaciśnięte dłonie. Patrzył na nią z uwagą, jakiej nie widziała nigdy wcześniej.

– Rozumiesz mnie? *Księga* jest jednym wielkim wyznaniem miłości. Miłość przeciw nienawiści, pokój przeciw chaosowi, forma i światło kontra ciemność i bezkształt. Jest dziełem wdzięczności. Niewypowiedzianej wdzięczności za wszystko, co zostało nam dane. Za symetrię natury, zmysłowość, niesamowitość i nieprzebrane bogactwo stworzenia, za niepojęty, magiczny oddech samego życia. Obejrzyj sobie stronę sto czternastą, wydanie Chrystusa na Górze Oliwnej. Jezus jest na niej wielki, niewzruszony w swoim spokoju, ściśnięty pomiędzy dwoma Wikingami, którzy wykręcają jego ręce w półnelsonie niczym dwóch zbirów przyciskających zakładnika do samochodu. Cała ta scena mówi: możecie spalić nasze monastyny, przeciąć nasze gardła, ale nigdy nie zniszczycie...

Już nie leżał na jej kolanach, siedział na wprost, patrząc nieruchomo w jej twarz.

– Co teraz cytowałaś?

– Czytam każde opracowanie o *Księdze*. Większość to nudne, naukowe rozważania i pseudointelektualne wywody, ale to⁶⁹... To dało mi do myślenia. Nagle dostrzegłam sens w nadmiarze, w kolorach, zwierzętach zaludniających strony, pogańskich motywach i kopulujących kotach, niemal arabskich literach, celtyckich postaciach. Gdy przeczytałam to – sięgnęła do przepastnej torby po Kindle'a – puzzle ułożyły się dla mnie na swoich miejscach. To nie piękny i niezrozumiały kawałek czegoś z przeszłości. Skamielina na podobieństwo kości dinozaura. Ona żyje. Rozmawiałam z ludźmi na wystawie, wizytującymi bibliotekę, z ludźmi, którzy mieli kontakt z *Księgą*. Wracają, ciągle wracają do niej. Wpadają w stan uniesienia. Albo medytacyjnego spokoju. Dostrzegają cudowność porządku w przyrodzie. Doświadczają dotknięcia czegoś poza ilustracjami i kunsztownymi zawijasami. Czują tak naprawdę całymi sobą istnienie piękna, wspaniałości stworzenia i dobroci czegoś, co stoi za tym wszystkim.

David nie poruszył się na milimetr.

– Rany, nie patrz tak na mnie. Nawet ja to czuję.

Wstał gwałtownie, nerwowo zgarnął opadające włosy. Jego oczy miały ten sam rodzaj alergicznego zaczerwienia jak oczy Maxa, kiedy mówił o wizycie u matki.

– Muszę iść.

– Słucham? Coś się stało?

– Nie potrafię, nie mogę ci tego wytłumaczyć...

– Jasne. Jak zawsze, mnie tylko informujesz o swoich superważnych i oczywiście supertajnych powodach. Pewnie nie zrozumiałabym. Szkoda tylko, że tak wygłupiłam się z tym wykładem. Chciałam się tym z tobą podzielić... Tylko że wszystko to spłynęło po tobie bez śladu.

– Nieprawda.

– Masz jakiś dowód?

– Przyjdę jutro...

– Jutro – gorycz zwyciężyła, zakończyła jadowitą strzałą, dokładną kopią słów matki, która używała tego zdania, kiedy jej mąż, a potem córka usiłowali odłożyć spełnienie jej prośby na później – jutro mogę nie żyć.

Ciągle miała nadzieję, że w końcu przełamie niewidzialną linię obrony. Coś się w nim zmieniło, coś pękło, ale nie zdążyła tego nazwać, a on nie chciał się tym podzielić.

– Muszę zostać sam.

Nie zdążyła zareagować, wiedziała, że nie było sensu go zatrzymywać.

Wyjechał następnego dnia, jak zwykle. Miała dość, postanowiła zrobić to samo. Nie siedzieć i czekać na niego. Wzięła krótki urlop, ze złością wyłączyła komórkę i wrzuciła do szuflady. Godzinę później podmiejskim pociągami pojechała nad morze. Oprócz ubrań zabrała tylko dwie książki i kamerę. Ok, ona też potrafi się odciąć. Od przeszłości, pamiętania i czekania. Na telefony

postanowiła nie odpowiadać. Jeśli komuś zależy, może zostawić wiadomość, którą przeczyta, kiedy wróci. Nie na pstryk. Wyjazd, o dziwo, był udany. Poczła, jak wraca jej spokój. Jak odnajduje siebie. Dostrzegła niebo, morze, innych ludzi. Poczła się dobrze. Nawet obejrzała się za jakimś przystojnym Włochem. Po raz pierwszy od dawna poczła się jak kompletny, a nie pozbawiony obecności drugiej osoby człowiek. Zanurkowała we własnym wnętrzu, zapominając o pigmentach, szeleście stron, wysłużonej walizce Samsonite i starożytnych przepisach kulinarnych.

I chyba za to właśnie została ukarana. Tak przynajmniej pomyślała po powrocie do Rzymu. Na sekretarce telefonu stacjonarnego zastała wiadomość o śmierci babci, sprzed tygodnia. Już było po pogrzebie.

⁶⁸ *Zweisamkeit* (niem.) – dosłownie dwubytność, życie we dwoje.

⁶⁹ Simon Worrall, „The Book of Kells: Copulating cats and Holy Men”.

Dług

Odprowadził Selinę na lotnisko. Po raz pierwszy i – czego nie wiedziała – ostatni. Jeszcze jeden wyjątek, dla niej. Będąc tu, we Włoszech, nie podróżowała nigdzie, początkowo zajęta pracą w muzeum, a potem dodatkowo renowacją jego ksiąg. On od początku traktował swoje loty jako coś, czego ich związek nie obejmował. Wylatywał i przylatywał sam.

Teraz też nie zaproponował, że z nią polecą. Zresztą nawet nie pytała. Leciała do matki, ponaglona niedawnym odejściem babci. Tym razem zdążyła, podobnie jak medyczna pomoc, która znalazła się na miejscu wypadku z nietypową dla publicznej służby zdrowia szybkością. Maria leżała w szpitalu po udarze i mówiono o wielkim szczęściu. David był wdzięczny losowi, że to nie pogrzeb. Trudno byłoby odmówić, gdyby poprosiła, a on z zasady nie uczestniczył w pogrzebach. Ten aspekt ludzkiego życia był mu na tyle daleki, że uważał za niestosowne branie udziału w podobnych uroczystościach. Zrobił to kilkakrotnie dawno temu, za każdym razem czując się, jakby oszukiwał. Z biegiem lat ludzka rozpacz stawała się dla niego dalekim, obcym uczuciem, które obserwował jak zza szyby. Drażniły go spóźnione refleksje, żal z powodu niewykorzystanego czasu, zapiekłe sprawy między ludźmi, które dopiero nad grobem okazywały się nieistotne i od samego początku do rozwiązania. Nie mógł tego zrozumieć, nie znajdował w sobie przebaczenia.

Pożegnał ją serdeczniej niż zwykle, co ona zapewne wytłumaczyła sobie sytuacją. Gdyby wiedziała... Wracał, już w drodze układając plan pobytu, bo następnego dnia wyruszał w podróż. W zasadzie podróż była jego stanem permanentnym, jego constans, a kilkudniowe pobyty w mieszkaniu, tym bardziej dzielonego z kimś, świątecznym wyjątkiem. To przed tymi zastojami w jego

nieprzerwanym nurcie podróży dostawał swoistego *zu Hause bleiben Fieber*⁷⁰. Spięcia przed okresem uważania na słowa, gesty, wspomnienia, cenzury języka, opowiadanych historii. Stres silniejszy niż zwykle obawy przed ewentualnym atakiem. Z Seliną było niby łatwiej. Wbrew temu, jak zachowała się w czasie ich ostatniej rozmowy, nie zależało jej na nim. To próżnia pozostawiona po kimś innym na podobieństwo czarnej dziury pochłaniała z jej otoczenia wszystko, co chociaż chwilowo mogłoby wypełnić pustkę. Nie miał wątpliwości, że gdyby został, powiedział te kilka zdań, które są dla każdej kobiety najważniejsze, mógłby wyczarować prawdziwe spełnienie i radość w jej oczach. Ale nie można komuś dać czegoś, czego się nie ma. Znał ten typ kobiet, z tego rozstania już by się nie podniosła, to byłaby odłożona w czasie egzekucja. Czasem wracały do niego twarze tych, z którymi nie pożegnał się na czas. Bo tracił współczucie dla ludzi, coraz rzadziej zdarzały mu się akty łaski i miłosierdzia, jak sam to nazywał. Wiele z tych porzuconych za późno nie miało już szansy na nowe życie. Uparcie o tym zapominał. Dla niego ludzka percepcja czasu była porównywalna ze świadomością żyjącej jeden dzień jętki. Krótkowzroczne i targane nieważnymi namiętnościami życie. A może to on był krótkowzroczny, nie dostrzegając, że nawet egzystencja jętki ma sens? Kto wie? Nie udało mu się rozstrzygnąć tej wątpliwości.

Niezawodny Leonardo Express dowiózł go w pół godziny na Termini. Z ulgą wsiadł do autobusu. Musiał wrócić do jej mieszkania, spakować walizkę i zostawić obiecaną odpowiedź. Wiedział, że będzie rozczarowana, ale jej wyjazd był idealną okazją do zniknięcia, mało eleganckiego – to prawda – ale kiedyś przyzna mu rację.

Wziął jedną z dwóch kartek i miękkim ołówkiem narysował na górze znak:

∞⁷¹

a po chwili wahania jeszcze:

Nie myślał o takim gościu, ale jej praca i absolutna lojalność przeważały. W zasadzie, czego na razie nie potrafił przyznać sam przed sobą, zaważył jej wykład o *Księdze*, wtedy nad brzegiem Tybru. Jeszcze czuł w sobie tamto porażenie oczywistością tego, co mu opowiedziała i co mimo tylu lat nie przyszło mu wcześniej do głowy. Ciężar, jaki wtedy spadł z niego, był nieopisywalny w żadnym znanym mu języku. W jednej sekundzie zniknęła noszona dotąd *Hassliebe*⁷³ wobec *Księgi*, a splątana nić jego podróży zaczęła przypominać prosty odcinek prowadzący dokądś. Delikatnie położył pergamin na łóżku, a potem dotknął samego rogu. Na do widzenia.

Przez chwilę zastanawiał się, jak to odbierze. Może nie uwierzy? Tak by było najlepiej.

Drugą stronę spakował do walizki z zamiarem zostawienia jej w sejfie po drodze na lotnisko. Musi złapać trochę snu, jak zwykle przed wylotem. Klucz do jej mieszkania zostawił na kuchennym stole. Wychodząc, zatrzasnął po prostu drzwi.

Szedł niespiesznie do swojego azylu, dwupokojowego mieszkania na Teatro della Pace. Spokojny i zadowolony. Zastanowił się, kiedy ostatni raz wykorzystał swoją sytuację, by wpływać na bieg zdarzeń. Dawno, tak dawno, że ledwo pamiętał. Teraz już prawie nie przejmował się ludzkim życiem, ale miał zasadę odpłacania za dyskrecję.

Westchnął, spojrzawszy w górę, na swoje piętro w starym budynku, jednym z wielu takich w Centro Storico. Trochę męczyło go, że obiecana kolejność końca okazała się odwrotna: najpierw odejście, potem wyjaśnienie, ale przecież nie musiał nawet tego. Nie dotyczyły go żadne normy i zasady ludzkiego współżycia.

W mieszkaniu nalał sobie kupionego po drodze szampana. Mały toast z samym sobą.

– Ludzie – westchnął z rozczarowaniem.

Ludzie. Dokonują wielkiego wysiłku, by polec na samym końcu, na jednym słowie, geście.

No dobrze, zabawi się w czarodzieja. Od dawna starał się tego nie robić. Ciekawe, czy wszystko zostanie po staremu, czy jednak zrobią z jego prezentu jakiś użytek. Irytujące, nie potrzebowali go tak naprawdę. Cud był w zasięgu ich ręki.

Czarodziej David... Usłyszał to określenie kilka razy. Tak nazwał go Tomaso.

Tomaso... Podobnie jak Selina, nigdy nie próbował go wykorzystać. Przyjął go takim, jakim był. Jak bardzo mu go brakowało, czasem nawet tak, że bolało. Oczywiście, minął już szmat czasu, ale przecież to perspektywa ludzkich jętek. Dla niego Tomaso był ciągle żywym wspomnieniem, któremu nie chciał nadać statusu przeszłości. Pisał do niego listy, opisując go niczym biograf znaną postać dla potomnych. Utrwalał szczegóły, bojąc się, że nawet jego pamięć nie jest zupełnie odporna na korozję. Otworzył laptop i znalazł dokument, który zaczął pisać jeszcze w Palazzo Abadesse w Wenecji.

Minęło już tyle lat, Tomaso, lecz ciągle czuję Twoją nieobecność. A przecież rzadko przywiązuję się do ludzi. Byłeś uosobieniem wdzięku, dobra i tak rzadkiej niezmqcanej radości życia. Do tego miałeś wenecką żyłkę do interesów, a to zawsze cenna umiejętność. Pamiętam Twoje zwycięstwa: pierwsza opera Zenobia, kontrakt u księcia Mantui Karola IV, zlecenia, koncerty, zamówienia... Po śmierci ojca, z typowym dla siebie gestem, zrzekłeś się udziału w lukratywnej manufakturze kart do gry. Oddając ją braciom, pierwszy i ostatni raz zlekceważyłeś swój instynkt przedsiębiorcy. Ich rządy doprowadziły firmę do upadku. Gryzły Cię wyrzuty sumienia, w nocy nawiedzał duch ojca i jak każdy uczciwy człowiek –

przejmowałeś się tym, co szeptano o rodzinie. Puszczając w obieg chwytną plotkę o tajemniczym duchownym, delikatnie przejąłem produkcję. Tak, opatrność boska bywa moją specjalnością, znów mogłeś komponować, i to dla coraz moźniejszych. Pamiętam, jak śmiały Ci się oczy, gdy przyszło zamówienie od Maksymiliana II Emanuela. Potem od jego syna Karola Alberta z okazji własnego ślubu z córką cesarza Józefa I. Od członków rodu Medicich... Wreszcie Adaggio. Pomogłem Ci dyskretnie, jak z manufakturą. Jak lata później Wagnerowi z Latającym Holendrem. Napisałeś jedynie partię basu, a ja bez trudu przekonałem Cię, że komponowałeś w amoku całą noc, do absolutnego wyczerpania. Śmieszne, sprawa niemal wyszła na jaw po drugiej wojnie światowej. Jakiś nadgorliwy muzykolog, niejaki Remo Giazotto, odnalazł w Dreźnie kilka naszych listów oraz napisany przez „Ciebie” fragment Adaggia. Próbował opublikować swoje rewelacje, ale mało kto chciał mu wierzyć. Na szczęście miałem papier z tamtych czasów i w ostatniej chwili podrzuciłem kilka kartek. Wiesz, dziś trzeba być ostrożnym w doborze materiałów. Po strasznej awanturze wśród ekspertów, dziennikarzy i melomanów ostatecznie uznano, że całe Adaggio g-moll to dziecko geniuszu Tomasa Albiniego. Twojego geniuszu.

Czasem jestem sentymentalny, ale tylko kilkoro z Was potrafiło się ze mną obchodzić tak ciepło, niewymuszenie i dyskretnie jak Ty. Nie powiedziałaś Margericie, miłości Twego życia. Żadne z trojga Twoich dzieci nie dowiedziało się o niczym. Nie pisałeś słowem nawet wtedy, gdy przestałem Was odwiedzać, gdy stało się zbyt widoczne, że czas mnie nie zmienia. Jestem Ci za to tak wdzięczny...

Sam nie wiem, dlaczego piszę do Ciebie. Oczywiście, mogłem wcześniej, ale pamiętasz, czas płynie dla mnie inaczej. Wróciłeś do mnie nagle za sprawą The Doors. Nie wiem, czy tam, w górze, śledzisz takie sprawy. Śmierć Morrisona natchnęła resztę zespołu do napisania Feast of Friends (z

fragmentem Twojego dzieła), do tego doszedł film. I siedemnaście innych, nakręconych przez takie sławy jak Herzog, Welles, Weir czy Wong-Kar Wai. Uwierzysz, Tomaso? Tantiemy z Twoich czasów to nic w porównaniu z tym, co teraz zarabiają muzycy. Tu dochodzimy do sedna sprawy. Z Twego rodu nie przeżył do dziś nikt, ale od czego ma się przyjaciół. Moja egzystencja wymusiła na mnie mistrzostwo w „uzdatnianiu” dokumentów, aktów urodzenia, zgonu... Otóż, oficjalnie żyje Twój potomek, spadkobierca praw do utworów. Przypadkowo założył on fundację, małż, ale zbierającą niezły profit za wykorzystanie Adaggia. Dzięki niej ciągle wychodzą płyty z Twoją muzyką. Wiesz, ludziom trzeba przypominać ciągle od nowa. I... może w ten sposób będziesz ze mną do końca, Tomaso.

Zamknął laptop i pomyślał o Selinie. Tomaso nigdy nie dowiedział się, kto uratował jego manufakturę, ani nie przypomniał sobie momentu, w którym dokończył *Adaggio*. I tak było dobrze.

⁷⁰ *Zu Hause bleiben* (niem.) – zostać w domu. *Reisefieber* (niem.) – gorączka przedwyjazdowa, tu jest gorączka pozostawania na miejscu.

⁷¹ Symbol nieskończoności – został zaproponowany przez Johna Wallisa w *De sectionibus conicis* w 1655 r.

⁷² Gwiazda Dawida (מגן דָּוִד, Magen Dawid), zwana też Tarczą Dawida – sześcioramienna gwiazda (heksagram) złożona z dwóch zachodzących na siebie trójkątów równoramiennych (najczęściej równobocznych), obróconych względem siebie. Najstarszym zabytkiem, w którym występuje ten symbol, jest relief z VII w. p.n.e. Od 1897 r. jest to godło syjonizmu. Choć Gwiazda Dawida jest jednym z symboli religii żydowskiej, to obecnie ma wymiar przede wszystkim narodowościowy.

⁷³ *Hassliebe* (niem.) – miłość i nienawiść w jednym.

Papierosy

Max wracał wykończony, ale takie zmęczenie lubił. Przez ostatni tydzień prawie nie wychodził z warsztatu, pracując nad kopią barokowych mebli dla jednego z tych klientów, którzy nie pytają o cenę i kupują to, na co mają ochotę. Nowe, błyskawiczne pieniądze, Dolina Krzemowa. Max polubił go bardzo, gość kierował się marzeniami. Zapragnął mebli na podobieństwo antyków widzianych przed wielu laty w paryskim d’Orsay. Jeszcze jako nastolatek, jeszcze przed pieniędzmi. Miesiąc wcześniej trafiła mu się podobna historia. Zamówienie na kopię mebli, które strawił pożar. Para siedemdziesięciolatków po stracie całego dobytku przeniosła się z okolic San Diego nad Zatokę, ale mąż postanowił odtworzyć starą szafkę biblioteczną żony. Była w jej rodzinie od kilku pokoleń, przekazywana od prababki aż do niej, towarzyszyła jej od dziecka. Nowa stara szafka stała się prezentem pod choinkę. Maxa wzruszały takie gesty. Nie nowy samochód, nie pierścionek z brylantem, ale coś trudniejszego.

Sygnał telefonu zatrzymał go w chwili, gdy zbierał się do wyjścia z pracowni.

– Max Shell, prawda?

Zamarł na chwilę, nieczęsto słyszał niemiecki w służbowej komórce, tylko prywatna odzywała się czasem głosem Jensa lub Martina.

– Zgadza się, czym mogę służyć?

– Chciałbym się spotkać, dość pilnie, jeśli to możliwe. Jestem tu przejazdem, pojutrze mam kolejny lot.

Max zawahał się, był już zmęczony i z zasady nie lubił telefonów w czasie prywatnym, jak to sam określał.

– To bardzo ważne, będę zobowiązany. Zdaję sobie sprawę, że zajmuję

weekend. Proponuję Nob Hill Cafe, ja zapraszam.

Max nie mógł pozbyć się wrażenia, że wybór miejsca nie był przypadkowy. Knajpka znajdowała się dosłownie dwie przecznice od jego domu. Zaintrygowała go niedzisiejsza elegancja i wymowa w intonacji nieznanego i oczywiście nagłość. Pilne zlecenia na ogół były dobrze płatne.

– W porządku, właśnie wracam do domu. Jutro nie mogę, ale dziś, powiedzmy za godzinę. Pasuje?

– Dziękuję, będę czekał.

Rozłączył się, zanim Max zdążył zapytać, jak ma go rozpoznać.

Droga do domu była samą przyjemnością. Ostatecznie jechał w przeciwnym kierunku, niż ciągnęły się korki. Mieszkał w mieście, pracował piętnaście minut jazdy na północ od niego. Co rano widział sznury samochodów karmiących miasto pracującymi w nim ludźmi. Wracając, mijał, czasem z satysfakcją dodając gazu, powolną i grubą gąsienicę aut wracających na przedmieścia. Widoczność na moście była jeszcze dobra, dalej wyglądało, jakby ktoś rozpylił w powietrzu rozcieńczone wodą mleko. Przypomniawszy sobie wystawę, na której byli z Jess. Fotografie nieżyjącego już Artura Ollmana, cykle przedstawiające mgłę. I cytat pod jednym ze zdjęć: „Przyciąga mnie to, czego nie mogę dostrzec”. Z jakiegoś powodu zapamiętał ten wers.

Wjechał na podziemny parking pod budynkiem, potem windą na górę do siebie. Szybko zmienił ubranie i wysłał wiadomość Jess: *Dałem się namówić na spotkanie z klientem, zadzwonię. M.*

Z domu poszedł na piechotę. Krótki spacer w nagle innej akustycznie przestrzeni. Mgła nie miała dźwięku, ale zmieniała te, które dobiegały do jego uszu. Jakby wszystko było owinięte cienką warstwą waty. Wygłuszone, jak w pierwszych minutach po przebudzeniu się z narkozy. Nie zdążył wejść do małego wnętrza restauracji, gdy od stolika na zewnątrz oderwała się bardzo szczupła postać.

Mężczyzna przypominał Maxowi modeli Dolce & Gabbana albo Ermenegildo Zegna, o specyficznym południowym wyglądzie. Nie pięknych, ale przykuwających spojrzenie innością, dysonansem niesymetryczności, ostrością, a jednocześnie archaicznością rysów.

– Dziękuję, że pan przyszedł, doceniam to – wyciągnął rękę, uważnie przyglądając się Maxowi.

– Skąd...?

– Usiądźmy, zaraz wszystko wyjaśnię. David Asher, zapomniałem się przedstawić.

Max zamówił mimosę i penne bettola, jego ulubiony makaron z ostrym, podrasowanym wódką sosem pomidorowym, a potem wyjął paczkę John Pleyer Special i zapraszającym gestem przesunął otwarte pudełko w kierunku siedzącego na wprost mężczyzny.

– Nie, dziękuję, rzuciłem. Tutaj to żadna przyjemność. Palacze traktowani są na równi z przestępcami.

– Wiem, dlatego palę. Zresztą, mam żelazne zdrowie.

– To tak jak ja.

Zapadła cisza. David zarejestrował intensywność, z jaką Max wciągnął w płuca kawiarniano-tytoniową atmosferę ulicy. Nie odzywał się przez chwilę, pozwalając mu spokojnie zaciągać się dymem. W tym czasie obserwował jego zdecydowane ruchy i spojrzenie. Max w sekundowym wyostreniu zmysłów domyślił się, że nie chodzi o meble. Jeszcze zanim padły pierwsze słowa.

– Dobrze, otwarcie i krótko. Proszę tylko o jedno. Żeby pozwolił mi pan dokończyć, potem zrobi pan, co zechce.

– Zamieniam się w słuch.

– Po kolei. Włamałem się na stare konto Seliny. Nie czytałem niczego, wystarczyło mi pańskie nazwisko.

Max prawie wypuścił papierosa. Nie zauważył kelnera i wysokiego kieliszka,

który ten dyskretnie postawił obok jego dłoni.

– Muszę przyznać, że nieźle się zaczyna.

– Przepraszam – David powiedział to powoli i spokojnie. – Wiem, jak to brzmi, ale nie miałem wyjścia. Selina niczego nie chciała mi o Panu powiedzieć.

– Czy ona wie?

– Doceniłbym niezadawanie takich pytań. Obaj wiemy, jaka jest. Wystawiłaby mnie za drzwi.

– Dlaczego jestem taki ważny?

– Nie pan, ona.

– Nie rozumiem – Max powoli odzyskiwał pewność siebie, czuł narastający gniew, ale wiedział, że musi odczekać.

– Chciałem zrozumieć, dlaczego nie jest ze mną.

– A nie jest? – nie zapanował nad głosem, usłyszał w nim irytację i agresję. Minimalną dawkę, ale jednak.

Tamten pochylił się nad stolikiem, popatrzył mu spokojnie w oczy. Mówił tonem łagodnej, ale zdecydowanej perswazji.

– Jesteśmy dorośli, prawda? Śpimy, a raczej spaliśmy ze sobą. Co nie znaczy, że byliśmy razem. Ale może nie ma pan takich doświadczeń. To dosyć smutne i w sumie jałowe uczucie. W każdym razie... Nadal jest pan między nami.

Szczęki Maxa zacisnęły się mimo jego woli, zebrał resztki opanowania.

– Zaraz, zaraz, ponoć nie chciała rozmawiać o przeszłości. Czyli o mnie.

David spojrzął na swoje dłonie, potem znów w jego oczy.

– Nie jest pan przeszłością. I nie zdradziła mi niczego. Czasem mówi przez sen.

– O mnie?!

– Spokojnie, tylko imię. Płakała we śnie.

– To nie musi o niczym świadczyć – Max zaczął gwałtownie marzyć

o kolejnym papierosie.

– To prawda, ale kobieta, która zapomniała, nie robi tajemnicy z poprzedniego związku.

– Może po prostu ma odrobinę przyzwoitości i nie sprzedaje tego, co było? Ja też o niej nie opowiadam. Zaraz, do czego ta rozmowa ma prowadzić?

– Obiecał mi pan dać skończyć, jeszcze chwila. Zaakceptowała mnie bez żadnych warunków... Tylko po to, żeby zapomnieć.

– Nie wierzę...

– Już kończę. Jesteśmy, a w zasadzie byliśmy ze sobą. Moja profesja wyklucza stały związek z kimkolwiek. Ona wie o tym od jakiegoś czasu... od niedawna. Musiałem jej powiedzieć, że odejdę.

David zaczerpnął wilgotnego powietrza. Pozytywnie ocenił to, jak szybko Max się pozbierał z pierwszego szoku. Czekał, bo wiedział, że najważniejsza informacja była przed nim.

– I?

– Mam wobec Seliny olbrzymi dług. Ona nie chce, nie pozwala mi go uregulować. Chcę zrobić coś dla niej. Coś, na co ona nie ma odwagi lub siły. Nie wiem, co zaszło między wami, ale...

– Rozstaliśmy się.

– Tak po prostu?

– No dobrze. Pokłóciliśmy się. Ja się nie odezwałem, ona też. Jednak przeszarżował pan. Wygląda na to, że zapomniała.

David patrzył przez chwilę bez słowa.

– Absolutnie ostatnie pytanie: dlaczego?

– Cholera, dlaczego miałbym powiedzieć? Też mam swoje zasady, mimo że nie jesteśmy razem.

– Proszę posłuchać, to się dzieje poza nią. Mówiłem już, ona nie ma pojęcia,

że tu jestem. Chcę coś dla niej zrobić i próbuję zrozumieć co byłoby najlepsze.

– A może zamiast zasłaniać się profesją, trzeba ją samą zapytać? Zamiast przesłuchiwać mnie czy hakować konta. Przy okazji: to jest przestępstwo, co zapewne jest panu wiadome. Niczemu nie jestem winien, to ona... – Max uderzył ze złością w kolano, czując, że się zapędma. – Dlaczego czuję się jak oskarżony? Ta rozmowa nie ma sensu.

– Przyleciałem specjalnie z Włoch, by zadać to jedno pytanie. Na jeden dzień. Dlaczego rozplakała się, gdy powiedziałem, że ma oczy jak rękę?

David dostrzegł pęknięcie lodowatej powierzchni błękitu, zniknęła pośpiesznie skonstruowana tarcza obojętności.

– Usunęła ciężę. Aha, zapomniała mnie powiadomić, odcięła od decyzji. Wystarczy?

David podniósł ręce jak policjant wstrzymujący uliczny ruch.

– Zaraz, zaraz. Czerwiec dwa lata temu?

– Skąd?...

– Włamanie do skrzynki, mówiłem już.

Max tracił cierpliwość, ale David niespodziewanie mocnym głosem rzucił:

– Proszę zostać – patrząc w przestrzeń za ramieniem Maxa, zaczął mówić. Jakby czytał tekst za jego plecami: – Sabina Hanaj, data przyjęcia na oddział ratunkowy: piętnastego czerwca. Szpital Huntington, Nowy Jork, 270 Park Avenue.

Zauważył, że Max zastyga z rękami na poręczach krzesła.

– Ciężki krwotok, interwencja chirurgiczna. Depresja. Użyte leki: misoprostol – nie zadziałał, antydepresanty Celexa wymiennie z Lexapro.

– Co to niby ma być?

– Kopia dokumentacji medycznej, przysłanej na jej konto. Dziś takie rzeczy dostaje się na żądanie. W elektronicznej formie.

Max siedział nieruchomo. Nie myślał, że słowa mogą mieć taką siłę rażenia. Trudno mu było oddychać, krew pulsowała w skroniach, nie mógł zebrać myśli. David prawie słyszał dźwięk, z jakim spojrzenie Maxa rozdzierało przestrzeń między nimi.

– Nie mam twardych dowodów. Sam pan rozumie. Nie prześlę kopii, z wiadomych względów. Szpital też raczej nie udostępni danych. Oczywiście możesz spróbować, znaleźć powód. Postraszyć ich prawnie.

Patrzyli na siebie bez słowa, wreszcie David dorzucił:

– Jest jeszcze Selina.

– Ale dlaczego mi nie powiedziała?

– O to też należałoby zapytać. Może nawet przede wszystkim o to.

Miasto zniknęło, gęsta mgła otoczyła Maxa niczym wielka szarosrebrzysta perła. Wylądował we wnętrzu gigantycznej szklanej kuli. Takiej, jakie na święta kupuje się dzieciom, z dryfującym w niej sztucznym śniegiem, bałwanem lub symbolem miasta. Był most, białe drobiny mgły i dostawczy Volkswagen jadący po moście. Wszystko inne zniknęło, wygłuszyło się w mlecznej zasłonie.

„– Tu nie mogę cię zostawić.

– W centrum wysiadasz.

– Teraz.”

– Chryste – powiedział Max.

Dostrzegł wstającego od stołu Davida.

– Pojutrze mam kolejny lot. Rachunek jest mój – wyciągnął rękę – mam nadzieję, że pozostajemy bez urazy.

Max automatycznie podniósł się z krzesła. Ciągle szukał słów.

– Proszę mi wierzyć, nie zawsze dostaje się drugą szansę. W zasadzie nigdy.

– Szansę na co?

David wzruszył ramionami.

– No cóż, trudno żyć będąc potępionym za coś, czego się nie zrobiło. Przypadkowo wiem coś na ten temat.

– Gdzie ona jest?

– Jeszcze w Rzymie, ale za dwa tygodnie zaczyna nową pracę. Proszę wejść na stronę biblioteki narodowej we Florencji. Mają tam huk roboty. Ciągłe jeszcze walczą ze skutkami powodzi w 1966. Podtopiło im jedną trzecią zbiorów.

Pożegnali się uściskiem dłoni, bez słów. David zniknął natychmiast, przez chwilę słychać było dźwięk kółek walizki ciągniętej w górę po chodniku.

Max siedział jeszcze przy stoliku przez dobre pół godziny. Mechanicznie, nie czując smaku jedzenia, pochłoniął zamówione spaghetti i wypalił pozostałe pół paczki papierosów. Jeden po drugim, a potem wybiegł. Przecinając Huntington Square, nie wierzył w to, co robi, ale szedł na wszelki wypadek... Prosić kogoś, jakąś siłę wyższą, o pomoc. Mgła nagle wycofała się ze wzgórza, a zachodzące słońce nadało katedrze głębi, domalowując jej nieobecne dotąd cienie.

Niepewnie wszedł po schodach i skierował się do wielkich wrót, misternie ozdobionych scenami ze Starego Testamentu. Były zamknięte, na chwilę ogarnęło go zwątpienie, ale szybko dostrzegł otwarte na oścież boczne wejście po prawej. Wewnątrz było kilku turystów w zamyśleniu wędrujących po spiralnym labiryncie, wydrukowanym na olbrzymim dywanie pokrywającym kamień posadzki. Inni z zadartymi głowami przemierzali gigantyczne wnętrza, zahipnotyzowani światłem przesączającym się przez witraże. Kolorowe plamy tańczyły w powietrzu i na ludzkich twarzach. Skupienie i cisza działały na wszystkich oprócz Maxa. Nie mógł usiedzieć w drewnianej ławie, udawać, że się modli. Na nic zdały się próby uspokojenia poprzez metodyczne podążanie szlakiem dywanowego wzoru. Wstał i niczym zwiedzający zaczął przesuwać się wzdłuż ścian świątyni. Po raz kolejny odnotował wielkie, przykuwające wzrok murale, ozdabiające lewą stronę katedry. Machinalnie odczytywał tabliczki,

informacje, nazwiska, usiłując nie myśleć o czasie, a raczej starając się go przyspieszyć. Wyobrażał sobie wielką klepsydrę ze stożkami piasku, które siłą jego woli przesypują się coraz szybciej.

*Polish artist*⁷⁴ – zastygł, wielkie murale zrobił Henryk Jan de Rosen, polski Żyd. Studiował w Paryżu, w Monachium... Poza USA jego prace można podziwiać we Lwowie i Podkowie Leśnej w Polsce. Zaskoczony przypomniał sobie, że był tam na krótkiej wycieczce z Seliną. Rosen przemycił na zawsze utracony dom z kraju swojego dzieciństwa. Znalazł się tu, na muralu w katedrze nad zatoką. Wyjechał przed wojną, potem już nic nie było takie same.

Max stał osłupiały przed murałem i tabliczką informacyjną, potem wrócił do rzędu ławek i z rezygnacją usiadł. Jego mózg sam wyszukiwał połączenia, jakby był namagnesowany. Przecież był tu tyle razy i nigdy nie zwrócił uwagi na małe, umieszczone na ścianach plakietki. Nie lubił się rozpraszać, obejmował całość budynku, światło, przestrzeń, nastrój. Czytanie informacji sprawiało, że podniosła atmosfera i zachwyty rozpadały się jak domek z kart. Dziś zrobił wyjątek.

„No proszę” – pomyślał bez sarkazmu. – „Jeszcze trochę i informację o wyznaniu podpiszę w dokumentach dla skarbowki z pełnym przekonaniem.”

Wrócił po dwóch godzinach i już kiedy otwierał drzwi, przyszło mu do głowy, że nigdy nie próbował. Ruszył od razu do laptopa... Gorączkowo wpisał jej nazwisko, a potem sprawdzał różne kombinacje po angielsku, niemiecku, nawet wstawił kilka zapamiętanych słów po polsku – w końcu znalazł. Pojawiła się nagle na stronie włoskiego Ministerstwa Konserwacji Zabytków, oddział w Rzymie. Zaparło mu dech: a więc to było takie łatwe! Drżącymi rękami zapisał numer telefonu i adres. Zaklął soczyście, orientując się, że musi poczekać, we Włoszech była teraz piąta rano! Trzeba odczekać co najmniej trzy godziny. Wiedział, że jeśli się czymś nie zajmie, zwariuje.

Jego mózg pracował teraz na wysokich obrotach, już nie chaotycznie

i gorączkowo. Teraz Max błyskawicznie, na zimno i z pełną precyzją dopasowywał dane. Szybko zalogował się na stronę Lufthansy i przejrzał loty, jednocześnie zerkając w kalendarz, w którym zaznaczał terminy oddania prac. Zarezerwował bilet i na wszelki wypadek napisał do dwóch klientów, nie wysyłając jeszcze wiadomości. W razie gdyby nie zdążył, wystarczyło tylko nacisnąć „wyślij”. Wytłumaczył się sprawami rodzinnymi w Europie, co powinni przyjąć ze zrozumieniem.

Czy na pewno wiedział, co robi? A jeśli ona nie zechce z nim rozmawiać? A ten gość, David? Nie mógł znaleźć wystarczająco dalekiej perspektywy, żeby usłyszeć jego głos obiektywnie, znaleźć drugie dno w jego opowieści. Całym sobą chciał, by wszystko, co usłyszał, było prawdą. Czuł nieprzepartą, silniejszą od logiki sympatię do tego mężczyzny. Jej kochanka jakby nie było. Nawet to nie wystarczało, by wykrzesać w sobie niechęć do niego.

Od momentu pożegnania Davida czuł jakieś wielkie organiczne przegrupowywanie, porządkowanie jakiegoś chaosu, który dawno temu zamknął na klucz. Wtedy przypomniał sobie: *damn it*⁷⁵, kolacja z Jessie.

Po raz kolejny sięgnął po komórkę, jednocześnie zdając sobie sprawę, że nie ma ochoty słyszeć jej głosu, tłumaczyć się...

W zasadzie dlaczego miałby? Poczuł, jak wraca jego stare ja, prostolinijny, szczerzy do bólu Max. Najgorsza prawda jest lepsza od najlepszego kłamstwa – przypomniał sobie swoją własną zasadę. Wybrał jej numer.

– Jess, musimy porozmawiać. Lecę do Europy.

Zaskoczona zgodziła się natychmiast.

Godzinę później była już w jego mieszkaniu. Stał oparty o wielkie tarasowe okno, nie patrząc w jej stronę, ze wzrokiem utkwionym w oświetlonej katedrze. Straciła pewność siebie.

– Co się stało?

– Stara sprawa, muszę wrócić i załatwić ją.

- Brzmisz tajemniczo...
- Ok. Zrobiłem komuś krzywdę.
- Teraz do tego doszedłeś? – Uderzył go jej oskarżycielski ton.
- Dziś się dowiedziałem, że nie miałem racji.
- Wytlumaczysz mi, o co chodzi?
- Ta sprawa nie dotyczy nas...
- Dość łatwo decydujesz, co i kogo dotyczy, pozazdrościć pewności.

Czuł jej złość, słyszał podejrzliwość w głosie. O dziwo, nie był na to przygotowany, całym sobą już w drodze, układał plan tego, co mógłby powiedzieć Selinie. Zapragnął jak najszybciej zakończyć tę niepotrzebną dyskusję, która i tak niczego nie zmieniała.

– Nie możesz po prostu zadzwonić? To dość daleko, drogi lot, a jak sam powiedziałeś – to przeszłość.

Zaskoczyła go po raz drugi. Stał, usiłując zebrać myśli i z przerażeniem orientując się, że nawet nie brał takiej opcji pod uwagę. Podjął ostatnią próbę dyplomatycznego uniku:

- To nie jest sprawa na telefon.
- Max – jej ton brzmiał rezygnacją i przegraną – czy chodzi o kogoś, kto był dla ciebie ważny w przeszłości?
- Poniekąd.
- Max, pomyśl, jak czułbyś się na moim miejscu.
- Nie jestem, do cholery, na twoim miejscu. To ty nie próbujesz się wczuć w moje położenie, nie rozumiesz, że czuję się parszywie. Nie odwracam się plecami do krzywd, które wyrządziłem.
- Ale nie chcesz mi niczego wyjaśnić...
- Co by to zmieniło? Myślisz, że jak będziesz znać szczegóły, łatwiej to zaakceptujesz? Mylisz się. Zobaczyłaś cień kobiety z przeszłości i przestałaś mi

wierzyć.

Podeszła bliżej, oczy miał bez wyrazu.

– Cień?

Nie znalazł słów, patrzył na nią, czując, jak przestrzeń między nimi wybucha.

– Proszę, udowodnij mi, że to tylko przeszłość. Zostań.

– Wiesz, jak to się nazywa, prawda? – Czuł rosnące obrzydzenie. Sobą, nią, sytuacją, w której czuł się jak przyparty do muru uciekinier. – Przykro mi, mam już bilet. – Zdał sobie sprawę, że chce, żeby już wyszła. Wszystko jedno, na zawsze czy nie, byle zostawiła go teraz w spokoju.

– Rozumiem – ruszyła w kierunku drzwi.

– Wydaje ci się – rzucił jeszcze za nią, zanim przekreśliła klamkę.

Odetchnął z ulgą, słysząc oddalające się kroki, a potem wyjął ze schowka walizkę. Spojrzał na zegarek i dopadł telefonu. Nic. Cholerni Włosi, kiedy oni pracują? Po kolejnej godzinie doczekał się w końcu odpowiedzi. Podał się za pracownika amerykańskiej biblioteki, nie chciał ryzykować niczego związanego z Niemcami. Na pewno jej powtórzą. Przez kilka minut czekał, aż znaleziono kogoś mówiącego dobrze po angielsku. Tak, pracuje tu, ma kontrakt do... A więc jeszcze trzy tygodnie! Jeszcze jej nie ma, ale mogą przekazać wiadomość. Nie trzeba, zadzwoni jeszcze raz. Podziękował i drżącymi rękami rozłączył się.

⁷⁴ Polish artist (ang.) – polski artysta.

⁷⁵ Damn it (ang.) – A niech to.

Mgła

Weekend przeżyła w stanie hibernacji. Zagrzebana w łóżku, odłączywszy telefon i komputer. Wydawało jej się, że nic nie czuje. Usztywniona szokiem i bólem, poniedziałek zadziwiająco przytomnie spędziła w biurze, ale wieczorem pękła. Kolejne dni skracały odległość Maxa do lotniska, odmierzały czas startu samolotu. Dlaczego nie mogła się pozbyć pewności, że to będzie lot w jedną stronę? Doskonale pracująca maszyna dyscypliny zacięła się. Przez kolejne dwa tygodnie rozmawiali tylko raz, tylko dlatego, że mieli wspólnie dokonać wyboru ślubnego prezentu dla szefa Jess. Nic ważnego ani poważnego, trzecia żona...

Żadnego sygnału z jego strony, jakby tylko czekał na pretekst do milczenia. A więc to takie proste, po takim czasie razem. Wróciły sceny z jego pracowni, mieszkania, prysznic, ona przy stole, jego jęk. To wszystko okazało się nieważną warstwą Maxa, która złuszczyła się z niego jak stary naskórek. Kilka dni wystarczyło, by zniknęła z pamięci jego zmysłów. A więc tak mało znaczyła. Tylko tak powierzchowny ślad potrafiła zostawić. Mózg zalewała zazdrość, niehamowana żadnym kontrargumentem na jej korzyść. Co i z kim przeżył wcześniej? Jakie musiało być to coś, by wymazać ją tak ekspresowo? Jak słaby musiał być jej ciężar gatunkowy w porównaniu z... To było najgorsze: niepewność z kim przygrywała. Dzień przed widziała już tylko obrazy Maxa idącego przez halę odlotów. Umysł pracował niezależnie, w zasadzie wbrew jej woli. Nie spała całą noc, o czwartej nad ranem miała wrażenie, że jej głowa wybuchnie milionami kawałków. Wstała, mechanicznie zjadła tosta, popiła kawą. Bez zamiaru jazdy dokądkolwiek wsiadła w samochód i ruszyła na północ, w kierunku Golden Gate Bridge. Jechała jak we śnie. Jak w jednym z tych szarych, zimnych, przerażających snów, w których wszystko jest pozornie

w porządku, a jednak wie się podskórnice, że znajome obrazy kryją zło. Zignorowała sygnał komórki, obojętnie odrzucając aparat na tylne siedzenie. Czowała lód w piersiach, w przelyku, w głowie. Widziała każdy najdrobniejszy szczegół na drodze, jednocześnie tracąc poczucie odległości i proporcji. A potem, jak w kiepskim, ckliwym romansie bez happy endu, doszła do tego muzyka.

Kto i w której stacji radiowej wyczuł, że właśnie teraz dobrze byłoby puścić jedną z najbardziej przejmujących piosenek o rozstaniu, jakie kiedykolwiek słyszała w życiu? Gdy włączyły się skrzypce, płakała już na całego. Bezgłośnie. Miała wrażenie, że ból rozerwie jej ciało, gorzej – że rośnie w siłę, zjada ją od środka, coraz gwałtowniej, coraz szybciej

Today, you were far away
and I, didn't ask you why
What could I say
I was far away
You just walked away
and I, just watched you
What could I say
How close am I, to losing you

Dziś byłeś daleko stąd
i nie spytałam cię dlaczego.
Co mogłam powiedzieć?
Byłam daleko stąd.
Po prostu odszedłeś
i tylko patrzyłam na ciebie.
Co mogłam powiedzieć?
Jak blisko jestem, by cię stracić?⁷⁶

Zatrzymała się przed mostem. Nic nie widziała. Idiotyczne, znów ten most, jakby zapraszał, tym razem nie do oglądania widoków. Wypróbowany, stary sposób. Znała statystyki, wszyscy w mieście znali, przed nią były tu jakieś trzy tysiące ludzi.

Pogoda sprzyjała, niczego prawie nie było widać. Szła coraz wolniej, coraz bardziej mechanicznie. A więc odchodził. Absolutna pewność, że nie będzie dobrze, a czas nie uleczy niczego. Krystalicznie jasna świadomość, że nie da rady, przyniosła jej niespodziewaną ulgę. Przestała walczyć z bólem, przegraną i obezwładniającą beznadziejnością. Porażka. To słowo paradoksalnie odsunęło ją na bezpieczną odległość od cierpienia. Od niewyobrażalnego wysiłku

wykrzesania w sobie chęci istnienia.

Bolał ją wiatr, ptaki na niebie, srebrzystoniebieskie fale oceanu, jakby ktoś uporczywie pocierał ranę wewnątrz jej ciała. Raz za razem. Zastygnięty ołów w gardle i mózgu. Wszystko w niej stało się metaliczne i martwe, czuła zapach spalenizny.

Nogi były ciężkie jak z kamienia. Zmusiła je do ruchu, do parcia przed siebie. Nie mogła sobie pozwolić, by rozpacz dogoniła ją i zawładnęła ciałem. Sprawdzić, jak to jest przestać być rozsądną i silną. Jeszcze tylko trochę. Jakies sto metrów. Minęła parking i wyprostowała plecy na widok kamery. Na szczęście było bardzo wcześnie i nie musiała patrzeć nikomu w oczy. Jeszcze nie było wszechobecnych biegaczy, udowadniających sobie i innym, że żyją. Ani idiotycznych turystów, po raz ileś tam milionowy powielających obraz zatoki. Jakby chcieli ją zabrać ze sobą. Czuła ulgę, mgła nie zawiodła, spowiła niemal cały most. Nikogo. Złote Wrota, brama do wyzwolenia. Szybkie przełożenie nogi, ciało już za barierką. Jeszcze nie wiedziała, czy to robi, ale czemu nie. Skontrolować ból adrenaliną, wysokością, pamiętała, że jest wysoko, ale mleczone kłęby nie pozwalały tego zobaczyć. Usłyszała w oddali głos, narastający szybki tupot. Cholerna kamera.

– Zejdz – głos odezwał się niespodziewanie blisko, był zdecydowany, ciepły i nagły. – Proszę, zejdz, muszę ci coś powiedzieć, potem przyjedziesz jeszcze raz, jeśli zechcesz.

Rogers biegł szybko, lata doświadczeń w straży wybrzeża wyrobiły w nim intuicję. Prawie nie mylił się w ocenie, kiedy skok jest na serio, a kiedy nie. Teraz modlił się tylko w duchu, by na barierce zostały jakieś dokumenty. Albo list pożegnalny. Inaczej czeka go długi weekend poszukiwań w sieci, telefonów i rozmów na chybił trafił. Boże, dlaczego nie odczepią się od tego miejsca? Tak pięknego i spokojnego bez nich. Straceńców łudzących się, że to będzie bezbolesna śmierć na tle spektakularnego widoku. Że to taka ostateczna,

najmocniejsza adrenalina. Na okrasę ekstremalna wysokość, zero łykania pastylek, obliczania, brudzenia sobie rąk. Przynajmniej własnych.

Dobiegł do ósmego przęsła, tego samego, które zarejestrowała kamera. Niech ją szlag trafi. Stała tam, jeszcze stała.

– Proszę, zejść, muszę ci coś powiedzieć.

Zawahała się, słuchała, to dobrze.

– Czy sprawdziłaś, że w ciągu czterech sekund ciało osiąga prędkość stu dwudziestu kilometrów na godzinę? Że siła uderzenia wyrwie twoje rozpędzone płuca, nerki, serce... Że to boli bardziej niż wszystko, co nosisz w sobie? A rozmowy z rodziną? Ktoś będzie musiał powiedzieć twoim bliskim to, na co nie masz odwagi. Zranić Bóg wie ile osób. Dlaczego spychasz to na mnie?

– Kim jesteś?

– A jak ci się wydaje? Jednym z tych, którzy wyławiają ciała. Jeśli mamy szczęście, że szybko wypłyną. Jeśli nie, trzeba czekać, aż wypchną je na powierzchnię gazy rozkładu. Widok nie należy do przyjemnych, ryby uwielbiają oczy.

Udało się, wystraszył ją, wyrwał z amoku, dotarł do niej. Wiedział, że to, co robi, jest kontrowersyjne, ale przynosiło skutek. Nikt z uratowanych nie przychodził ze skargami, szefostwo udawało, że nie ma pojęcia. Ludzie na pamięć znali typowe próby negocjacji z samobójcami z telewizyjnych relacji, z filmów. Byli na nie uodpornieni.

Zeskoczyła, natychmiast złapał ją za ramiona. Trzęsła się z płaczu i przerażenia tak bardzo, że musiała usiąść.

– Już dobrze. Dziewczyno, wszystko dobrze. Posiedzę tu z tobą, a potem odwiozę.

Przykrył ją własną kurtką i zapytał, do kogo zadzwonić.

Mechanicznie podała mu komórkę. Nie mógł od niej wydobyć niczego, zęby zacisnęły jej się w skurczu. Ciałem wstrząsały spazmy płaczu

i odreagowywanego przerażenia.

Przejrzał listę kontaktów. Nie było żadnych określeń w stylu „mama” czy „tata”. Cholemy zwyczaj wpisywania rodziny po imieniu lub przezwisku. Znalazł za to jeden pogrubiony kontakt ze zdjęciem i specjalną gwiazdką w „ulubionych”. Max. Zawahał się jak zawsze, gdy dzwonił z mostu, i wybrał numer.

Jechali w absolutnej ciszy. Świt podkreślał cienie pod jej oczami, płowy zarost Maxa wydawał się poszarzały. Podobnie jak jego oczy i ruchy, pełne zmęczenia i, jak się jej wydawało, rozczarowania. Jess patrzyła nieruchomo na własne dłonie kurczowo trzymające torebkę i zwinięty w kłębek niebieski kardigan. Jedno i drugie skutecznie tuszowało drżenie rąk i skupiało jej wzrok na czymś innym niż siedzący obok niej mężczyzna.

Było jej niedobrze w sposób, jaki pamiętała z dzieciństwa, kiedy to nieopatrznie podbiegła do brzegu klifu podczas rodzinnej wycieczki do Monterey. Nagłe rozdarcie przestrzeni pod jej stopami, hipnotycznie wołającej ją do siebie, nieludzka, sekundowa chęć by polecieć. A potem żelazna ręka strachu na gardle i błysk zrozumienia, co by było, gdyby nie zdążyła zahamować.

Teraz było tak samo. Nie była już dzieckiem, ale dalej tak się czuła. Głupie dziecko robiące głupie rzeczy. Całe lata spędzone na udowadnianiu sobie i innym, że jest poważną, odnoszącą sukcesy córką Erica Jordana. Długi, wieloletni maraton po zwycięstwo. I załamanie na ostatnich metrach. Świetna szkoła, sukcesy sportowe, świetna praca i wygląd przyciągający spojrzenia mężczyzna. Inny, trochę egzotyczny, Europejczyk. Tylko czy rzeczywiście chciała ukończyć MBA na Berkeley? Czy zależało jej, żeby być najlepszą akurat w tenisie? A czy praca w jednej z najlepszych agencji nieruchomości w San Francisco nie trzymała jej za biurkiem głównie prestiżem, widokiem z okna i wszędzie rozpoznawaną wizytówką? Jasne, słyszała o dziesiątkach takich jak ona ludzi sukcesu z kompletnie zaburzonym kompasem kierunku w życiu.

Latami robiących coś innego niż powinni, będących w związkach z ludźmi, których nie kochali. Jak to mówił Max: *Alles Ersatz*.⁷⁷

Doszła do tego. Była jedną z nich. Kimś, kto nie chce się wycofać, przyznać do porażki i zacząć od samego dołu. Taki obraz widziała przed sobą: nie od początku, tylko od dołu drabiny prowadzącej na szczyt. Jej świat był dotąd uporządkowany wertykalnie, dzisiejszy dzień pokazał jej nowy wymiar, szeroki i zupełnie płaski horyzont, linię, na której była zupełnie zagubiona. Bo gdzie na poziomej linii się zaczyna?

Idiotyczna przegrana w wyścigu do czegoś, czego od początku nie mogła mieć. Wmówiła sobie miłość, której nie było, zwycięstwo, którego nigdy nie odniosła. Przecież ani razu nie powiedział jej, że ją kocha, że jest tą kobietą... Dopowiedziała sobie słowa, które nigdy nie padły. Dokleiła do jego pożądanego, do siły, z jaką działał na jej wyobraźnię. Przeniosła tysiące scen filmowych na scenariusz, który wyglądał na możliwy do zrealizowania. Tyle że główny aktor nie wiedział, w czym gra. A tak naprawdę, nigdy nie grał. Spał z nią, ale nie byli razem, byli obok siebie. Tylko tyle tak naprawdę ich łączyło.

– Myślę, że powinnaś jechać do mnie. – Głos Maxa był prawdziwie zatroskany, ale brzmiał jakby podszyty strachem.

– Nie musisz się bać, nie wrócę tam. Chcę zostać sama.

– Jess, a ja myślę, że to jest ostatnia rzecz, jaką dziś powinnaś zrobić. Jeśli wolisz, pojedziemy do ciebie. Mogę znaleźć sobie miejsce w salonie.

Zrobiło jej się niedobrze. Nie powiedział: „nie muszę spać z tobą, obok ciebie”. Nawet nie użył tego słowa. Znajdzie sobie miejsce, jak pilnujący pies, przypadkowy gość. Dopiero teraz poczuła ból.

Był tu jeszcze, obok niej, na wyciągnięcie... Nawet nie, na odległość ruchu dłonią. Ale wszystko się w nim zamknęło na nią. Był jak dobry kumpel, który przyniesie kawę, pizzę, podwiezie na lotnisko. Miała ich wielu przez całe życie. Zbyt wielu.

Zatrzymali się przed wiktoriańską fasadą domu, zgasił silnik i przez chwilę siedzieli bez ruchu. Ocknęła się, gdy minął ich samotny biegacz, kierujący się wzdłuż półkolistej siatki wokół stadionu w kierunku Frederick Street. Chciała, żeby już sobie pojechał, chciała zostać sama, nie musieć patrzeć w jego oczy. Bo na pewno natychmiast odczyta w nich wstyd. To czuła całą sobą. Nie tak bardzo ból czy rozpacz. Wstyd totalnego nieudacznika. Są ludzie, którym nic nie wychodzi, nawet gdy z zewnątrz wygląda to inaczej. „Nawet samobójstwo” – pomyślała o sobie z nienawiścią.

Nacisnęła kławkę, zareagował natychmiast i wysiadł razem z nią. Pomyślała z zazdrością, że nawet teraz nie było w nim niezdecydowania czy niepewności. Poczucia winy czy zagubienia. Jak w niej.

– Zostanę, przynajmniej do jutra.

– Odejdź Max, nie chcę cię więcej widzieć. Nie potrzebuję niańki ani stróża. Czuję obrzydzenie do samej siebie, ale nie potrzebuję świadka mojego załamania. Wystarczy mi lustro.

– Przestań, nie dorabiaj teraz teorii do sytuacji. Chodzi o twoje bezpieczeństwo. Ja też się czuję odpowiedzialny...

– Kolejnego ojca też nie potrzebuję. Tylko mężczyzny, który mnie kocha. A to na pewno nie ty, prawda? – starała się z całych sił, ale głos jej się załamał. – Jedź już, nic sobie nie zrobię, jeśli o to chodzi. Nie przez ciebie.

Szybko weszła po schodach, zostawiając go przy samochodzie. Usłyszał dźwięk zamka przekręcanego w drzwiach wejściowych.

⁷⁶ The National – „About today” z albumu „Cherry Tree” (2004 r.)

⁷⁷ Ersatz (niem.) – surogat, zamiennik.

Klucze

Nabrała dziwnego wstrętu do tego dźwięku – przekręcane w zamku klucza. Kiedyś wyzwał w niej ekscytację, ale ostatnie dwa lata połączyły w jej pamięci metaliczny odgłos z otwieraniem pustej przestrzeni jej mieszkań. Za drzwiami na ogół nie czekało na nią nic poza ciszą. Myślała, że David będzie tym, który nareszcie zmieni monotonię witającego ją za progiem spokoju, nieruchomego niczym powietrze w zapomnianym muzeum. On jednak zjawiał się, zawsze uprzednio sprawdzając, czy jest. Przychodził jako gość, wpuszczany jej ręką zwalniającą zamek poprzez przycisk domofonu. Czuła się zraniona, jej zaproszenie nie zostało przyjęte. David pozostał oddzielnym, samowystarczalnym bytem, miękko przesączając się do jej świata w swoim własnym rytmie i czasie. Zawsze szczelnie otulony kokonem tajemnicy i kurtuazji. Żadnego wyłomu, żadnego znaku, który przesunąłby go z kategorii wizytującego kochanka w kogoś, kto chce być w jej życiu.

Ile tych zamków ostatnio otworzyła, zamknęła? Hotele i mieszkania w kolejnych miejscach pracy. Kwadraty i prostokąty chwilowo własnych przestrzeni, sześciany czasowo zamieszkiwanego powietrza. Wielki klucz od mieszkania babci, staromodny zamek z dziurką, przez którą można by zajrzeć do środka, gdyby nie wisząca po drugiej stronie klapka. Wąski i nowoczesny Yale w mieszkaniu jej matki. Nie lubiła go, a on jej; za każdym razem reagował zaciniem się w półobrocie. W rękach matki kapitulował natychmiast i bez oporów. Pęki kluczy od pracowni w różnych miastach, budynkach, muzeach. Uzmysłowała sobie, że przez jej dłonie przeszły ich setki otrzymane od dziesiątek ludzi, którzy jej ufali lub potrzebowali. I że przez ten cały czas tylko raz ona sama dała komuś klucz od swojego domu. Tej jednej osobie, która jej nigdy o to nie

poprosiła, ani nie podziękowała. Przypomniała sobie twarz Davida, kiedy podała mu dwa metalowe kształty złączone prostym kółkiem z wygrawerowanym adresem. Teraz zobaczyła, czym było w rzeczywistości to, co wówczas wzięła za wyraz zaskoczony wdzięczności. Zakłopotaniem zmięczonym troską o to, by nie dotknąć jej odmową. O sekundę za szybkie spuszczenie wzroku, zbyt pośpieszne schowanie niechcianego podarunku w kieszeni marynarki.

Rzuciła klucze na kuchenny blat, szybki rzut okiem do lodówki. Jasne, pusta, a więc wyprawa do sklepu przynajmniej po kawę i coś na śniadanie. To za chwilę, musiała zmyć z siebie podróż. Po każdym, nawet najkrótszym locie miała poczucie, że jest chodzącym paradoksem. Drażniło ją wrażenie totalnego wysuszenia skóry, spojówek i włosów, z jednoczesnym przeświadczeniem o byciu otoczoną przez niewidzialny brud, lepkie zmęczenie i wydrenowanie jej przez wymuszony kontakt z tłumem obcych ludzi, z kompulsywnością lotnisk, migających tablic odlotów i przylotów, z gigantycznym ruchem ludzkiej ciżby, która wydawała się jej bezrozumną, wędrującą bez celu masą.

Z ulgą zdjęła ubranie i od razu wrzuciła je do kosza oczekującej na pranie odzieży. Uwielbiała rzymską wodę, miękką i delikatnie pieniącą się w jej prysznicu. Wmasowanie w skórę naturalnych olejków z pobliskiej erboristerii uważała za przywilej i za każdym razem posyłała zielarni wdzięczny pocałunek przez ścianę łazienki. Zatrzymała się na sekundę, rozmasowując pachnącą plamę na łydce. Trochę szkoda, żadna dłoń nie doceni gładkości i zapachu rozgrzanej pomarańczowym aromatem skóry. Ale przecież może dbać o ciało, bo jest jej mieszkaniem, jej powierzchnią, wehikułem niosącym ją przez życie. Nie dlatego, że ma znaleźć aprobatę w oczach innych.

– Nawet twoich, Davidzie – dodała, przekomarzając się z nim na głos w pustym mieszkaniu.

Weszła do sypialni po świeże ubrania i zamarła. Kartka leżała w poprzek łóżka niczym wyrok sądowy – to była jej pierwsza myśl. Kolory i pigmenty

wyblakły w jednej chwili, jej obecność oznaczała odejście Davida. Jakby zamienili się miejscami.

Zażądała prawdy, a on się zgodził. Zapomniała dodać, że chce ją usłyszeć od niego. Oderwała się wreszcie od wąskich drzwi i stanęła przy samym stelażu. Migawki. Obrazy. Wystrzeliwujące w jej mózgu zdjęcia, jedno po drugim: litery, czerwień, czerwień... i złoto. Rajski ogród Hawilat, siarczek rtęci, koszenile i czerwce... Usiadła, usiłując zapanować nad biciem serca.

„Pieniądze albo informacja. Nie brałbym tego na twoim miejscu.”

„Nie jestem mężczyzną na całe życie.”

„*Księga*... I tak nikt by tego dziś nie czytał. Wolisz książki od ludzi?”

„Nic innego nie mam, dużo ryzykuję, pokazując je tobie.”

Słowa ogłuszały ją powracającym co chwila echem. Potem rozpadły się na litery, które nie chciały złożyć się w żadne znane jej słowo.

Ile to mogło być warte? Rząd zer, które z pewnością stały za jakąś cyfrą oznaczającą fantastyczną cenę leżącego przed nią pergaminu. Nagle złapał ją strach: przecież nie może jej nikomu pokazać, gdzie ma ją trzymać i po co? Delikatnie ujęła skraj vellum⁷⁸ kciukiem i palcem wskazującym. I wtedy, podnosząc kartkę z jasnej plamy słońca padającego przez nieosłonięte storami okna, dojrzała je. Dwa ledwo widoczne symbole. Cieniuteńką linią ołówka przy górnym skraju prostokąta, subtelne jak znak wodny.

Oba wykaligrafowane tak pięknie, że gdyby nie brak kolorów, można by je pomylić z fantastycznym wzorem, jakich pełno było w *Księdze*.

Siedziała, usiłując skleić w jakąkolwiek logiczną całość: znaczenie słowa i tysiące migawek z Davidem, które dotąd trzymała pod kluczem fascynacji tajemnicą. Głosy, które uciszyła, przekonując je o konieczności poświęceń w zamian za niezwykłość.

Odłożona w księgarni książka w aramejskim, odruchowa odpowiedź

w dublińskiej bibliotece w staroirlandzkim, przepis na rybę, narkolepsja. „Selino, jestem bezpłodny, wy, ludzie z rodzinami... Wiesz, czego kiedyś dodawano do wina? Borri nie był zbyt urodziwy...”. „Skąd wiesz?”

To wszystko jej się wydaje, takie rzeczy nie dzieją się w dobie internetu i badania warstw obrazu ultrafioletem. Trafiła po prostu na genialnego oszusta, który w piękny sposób osiągnął dwa w jednym. Renowację i brak zapłaty. W zasadzie dostał więcej.

Miała ochotę zmiąć kartkę, podeptać, a najchętniej spalić. Tylko świadomość autentyczności (przecież sama ją sprawdziła) i zawodowy odruch ratowania za wszelką cenę, powstrzymały jej dłoń. Ale dlaczego w takim razie zostawił jej ten prezent? Dla związania tajemnicą? Uczynienia jej współuczestniczką? Czego?

„Masz skórę jak vellum przed zapisaniem.”

O nie! Nie da sobie tego znowu zrobić. Zdała sobie sprawę, jak niewiele powierzchni do zapisania ma w sobie. Może jeszcze tylko kilka kartek? Jeszcze była młoda, ale teraz spłynęła na nią pewność starej kobiety. Która już widzi koniec.

Następnego dnia oznajmiła szefowi, że ma do załatwienia niecierpiące zwłoki sprawy rodzinne i po prostu musi wyjechać. Zrozumie, jeśli dla niego to oznacza złamanie kontraktu, ale nie może inaczej. Ugiął się. Spakowała opróżnioną wczoraj walizkę, a do torby wrzuciła wielki, staromodny klucz pasujący do zamka z kłapką.

Pięć minut

Już od lotniska Fumicino zbierał całą silną wolę i determinację, by nie wyobrazić sobie ich razem. Nie myśleć o tym, jak szybko się związała z Davidem. Dusił w zarodku obrazy, które podsuwała mu wyobraźnia. Seliny mówiącej przez sen, płaczącej... Nie pozwalał im nabrać ostrości, barw. I życia. Wystarczyło mu to, co usłyszał.

Machinalnie wsiadł do taksówki, nie dostrzegając nawet wielkich reklam pociągu jadącego do miasta. Niewidzącym wzrokiem prześlizgiwał się po mijanych widokach. Dojechał do centrum, nagle rejestrując to wszystko, za czym tęsknił: warstwy przeszłości przykryte kolorową i hałaśliwą powłoką nowoczesności. Cienką i półprzezroczystą. W przebłysku zachwyty dostrzegł wąskie ulice, nierówność bruku, napór kamienia. Nie teraz, później pozwoli obrazom, światłu i zapachom przepływać przez ciało i zmysły. Za to w tej chwili, jeszcze z walizką w ręce, stanął przed piaskowym domem. Adres tajemniczo spłynął na jego komórkę, zanim zaczął jej szukać. Nie mógł tylko zrozumieć, jakim cudem David wiedział, że już jest na lotnisku, bo właśnie wtedy dostał wiadomość. Pewnie jak ona często, tak on teraz myślał nad potęgą liter. O tym, że jedno zadanie potrafiło wśród nieprzebranej ludzkości wskazać mu miejsce na ziemi, ten właściwy dom.

Ciemne, drewniane żaluzje zamkniętych okien, przeciwsłoneczne markizy rzucały długi cień na balkony, niczym rzęsy opuszczonych powiek. Jego wzrok był po drugiej stronie ulicy. Na drzwiach wejściowych. Całym sobą stał już przed tamtym wejściem, zaczerpnął głęboko powietrza i przeszedł przez jezdnię. Przycisnął guzik. Żadnej odpowiedzi. Dźwięki ulicy stawały się coraz bardziej natarczywe, jakby usiłowały mu uzmysłowić martwą ciszę po drugiej stronie

przewodu prowadzącego od dzwonka do tamtych drzwi. Z coraz większym rozczarowaniem, potem złością, a wreszcie strachem rejestrował głuchy odgłos. Od dozorca dowiedział się, że wyjechała. W stanie najwyższej paniki zadzwonił do pracowni. Tak, wyjechała, ale będzie z powrotem w niedzielę.

Kolejne dni były koszmarem. Nie docierało do niego nic z piękna miejsca, w którym się znajdował. Obojętnie mijał zastygłe w kamieniu dowody geniuszu niegdyś żyjących tu ludzi. Ledwo rejestrował błękit nieba przywodzący na myśl barwy Technicoloru, którymi przed laty czarowały amerykańskie filmy. Czuł się dosłownie i w przenośni jak cudzoziemiec. Niewidzialny klosz, pod którym się znajdował, nie miał źródła w jego ojczyźnie, ale w czasie. Nie potrafił przeskoczyć do Rzymu tu i teraz, wszechobecny czas przeszły cofał go nieustannie do własnych minionych dni tak, jakby wiekowe mury siłą ciężenia w przeszłość przesuwwały też jego jaźń do tego, co już było. Max mógłby przysiąc, że wszędzie widzi niemal przezroczysty, ale czytelny napis, podobny do tych, jakie umieszcza się na zdjęciach, chroniąc je przed kopiowaniem: VERGANGENHEIT⁷⁹. W niemieckim i w polskim ten czasownik pochodził od ścieżki, którą się minęło. Wybór, do którego stało się odwróconym plecami.

Najchętniej przespałby kolejne dni. Liczyła się tylko niedziela. Musiał, po prostu musiał się dowiedzieć, czy można jeszcze wrócić do punktu wyjścia. Może nie odeszli od niego za daleko. On i ona.

W niedzielę był pod jej drzwiami wielokrotnie, bez rezultatu. Przyszedł nawet po północy, ale piętro, na którym mieszkała, uparcie pozostawało pogrążone w ciemności. Na wtorek miał wykupiony bilet w promocyjnej cenie, bez możliwości zmiany terminu.

W poniedziałek zadzwonił do pracowni konserwacji, podając się za klienta. Nie przyszła jeszcze do pracy, ale będzie. Rozumie pan, dziś rano wróciła z zagranicy, choroba w rodzinie. Poproszono go łamaną angielszczyzną o telefon po południu, najlepiej po szesnastej.

A jednak cieć mówił prawdę, po prostu przełożyła powrót.

Bił się z myślami. Chwila była daleka od idealnej, ale musiał załatwić to, co sprowadziło go tutaj. I choć za nic nie chciał tego sobie powiedzieć, pozwolić tej myśli wybrzmieć w jego głowie, musiał zobaczyć Selineę.

Przyjść do pracowni? Może nie uciekłyby przed nim, nie zamknęła drzwi przed nosem. Co jeśli uda, że go nie zna? Na pewno są tam inni pracownicy, może nawet strażnik.

Po namyśle stwierdził, że to idiotyczne. Sam nie życzyłby sobie niespodziewanych wizyt w pracy, przy innych.

– Co się z tobą dzieje? Jazda, Max, idziesz do domu jak normalny człowiek.

Przez chwilę zatrzymał się przed stoiskiem z kwiatami, ale odrzucił i ten pomysł jako niestosowny. Rozmyślnie zwalniał, starając się uspokoić myśli, oddech, zyskać na czasie i ułożyć pierwsze zdanie. Wszystko brzmiało banalnie lub idiotycznie. Nie zarejestrował całej drogi, zapamiętał zamykanie drzwi hotelowych, szedł jak w tunelu, by ocknąć się nagle przed jej domem.

Wziął głęboki oddech i z determinacją nacisnął owalny przycisk, jeden z sześciu symetrycznie rozmieszczonych na starej mosiężnej płytce. Prawie odskoczył, słysząc brzęczyk otwierający drzwi.

„Nawet nie sprawdziła, może myśli, że to David?” – strach na chwilę ścisnął mu gardło, gdy wyobraził sobie jej rozczarowanie.

W absolutnej ciszy rozgrzanego popołudnia wchodził na pierwsze piętro, usiłując zapanować nad dudnieniem w skroniach. Stanął na szczycie, a potem bez tchu podszedł do drzwi oznaczonych numerem trzynastym. Uchyliły się niemal w tym samym momencie.

Wszystko stanęło w miejscu. Czas, ich oddechy, złote drobinki kurzu przed chwilą jeszcze tańczące w świetle skośnie płynącym z okna klatki schodowej. Stała przed nim zamrożona jego widokiem, niezdolna do ruchu. Max zastygł lustrzanym odbiciem po drugiej stronie progu. Milczał, ze ściśniętym sercem

wchłaniając w źrenice jej wyszczupłą sylwetkę, ciemne kręgi pod rozszerzonymi niedowierzaniem oczami. Aż go zaboląo od patrzenia w szarosrebrzystą powierzchnię migoczącą rozlaną ręcją. W oczy, w których zapadł się jak w lotnych piaskach. Wydawało mu się, że oderwie wzrok, jeszcze tylko sekunda, dwie... Ale potem już nie mógł się ruszyć. Drgnęła, wypuszczając z ręki kłankę, metaliczny dźwięk zamka przywrócił ich rzeczywistości.

– Przepraszam, nie uprzedziłem cię, bałem się, że nie zechcesz mnie widzieć.

Patrzyła, dalej nie rozumiejąc. Dopiero teraz spostrzegł zieleń sukienki i drzące dłonie. Słowa powróciły echem.

– Daj mi pięć minut, potem zrobisz, co zechcesz. Proszę. – Zanim zdążyła zareagować, wyrzucił z siebie: – Przyjechałem cię przeprosić, nie pytaj dlaczego teraz.

Spuściła wzrok, bez trudu odczytał z jej twarzy niepokój. Nadal stali w tych samych miejscach, przedzieleni szybą niedowierzania i strachu.

– Przepraszam.

Max poczuł, że wraca mu odrobina opanowania.

– Niech to... Wiem, że minęło dużo czasu, ale... Sprawdziłem szpitala i...

– Wejdz.

Drgnął, usłyszawszy jej głos. Teraz dopiero zauważył, że drży cała, nie tylko ręce. Przeształ próg i przygarnął ją do siebie.

Modlił się, by go nie odepchnęła, nie kazała się wynosić. Nie potrafił znaleźć słów, jak w jednym zdaniu przetrzucić pomost nad ostatnimi miesiącami, kiedy usilnie starał się od niej oddalić. Zapomnieć *Quecksilber*, pszeniczność włosów przesypujących się między palcami, słodycz ciała tak idealnie pasującego do jego ciała. Jak wycofać, przewinać do początku prawie dwa lata, kiedy to starał się wymazywać słowa, całe zdania, które tylko ona potrafiła znaleźć. Czas, kiedy zapominał światło i spokój, jakie wnosila w jego życie. Stał nieruchomo, jakby na krawędzi przepaści. Wyparte uczucia, niczym spłoszone ptaki, niepostrzeżenie

opadały na dawne miejsce. Wracął z jakiejś przypadkowej, niepotrzebnej wyprawy, na którą wybrał się podczas jazdy z lotniska do centrum Monachium.

Nie przesunął ręk na milimetr, po prostu trzymał ją, przestając czuć granicę między ich ciałami. Drgnął, gdy powoli opuściła ramię i niepewnie objęła go w pasie. Oparł czoło o jej głowę, a potem nie odwracając się, nogą zatrzasnął za sobą drzwi.

Siedzieli w kuchni nad filiżankami wystygłej kawy. Max nie przestawał patrzeć na nią, upewniając się co chwilę, że jest tam, po drugiej stronie stołu. Przerażony, jak oczywista zdawała mu się jej obecność, niezdolny przypomnieć sobie w tej chwili, na czym upłynęły mu ostatnie miesiące. Oddychał jej energią, znajomym, ledwo wyczuwalnym zapachem irysa, rejestrował każdy ruch ręką, poruszenie pasemka włosów, leciutko drgający puls na jej szyi. Zmieniła się. Zeszczupłała, jej twarz nabrała ostrości odchudzających się młodych dziewczyn, oczy wyglądały na większe. Ale najbardziej uderzyło go to, że wydawała się bardzo skupiona. Nie uciekała spojrzeniem jak kiedyś.

– Co z mamą?

Przygryzła dolną wargę i ten jeden ułamek sekundy zabolął go, jak mocne uderzenie w splot słoneczny.

– Powiedzieli mi w pracowni... W zasadzie David mi powiedział, spotkałem go przed twoimi drzwiami, jakiś czas temu.

Jeszcze jedno kłamstwo. Był mu to winien.

– Rozmawialiście? – zapytała wstrząśnięta.

Położył jej uspokajającym gestem dłoń na ramieniu.

– Fajny gość, masz dobry gust – usiłował zażartować.

– Miałam. Odszedł, kiedy mnie nie było. Zostawił... Nieważne zresztą – usłyszał bezradność, jakby nie chciała się temu poddać.

Max poczuł ulgę. A więc teraz właśnie postanowił zniknąć?

– Nie rozumiem, jak cię skojarzył – w głosie Seliny brzmiało niedowierzenie.

– Jak mnie skojarzył? Myślę, że wyłapał niemiecki akcent, zapytałem po angielsku, czy tu mieszkasz, pewnie coś mu mówiłaś.

Znów nieprawda, ale nie chciał oddać pola. Przyznać, że znalazł się tu dzięki niemu. Wiedział, że Selina nie podejmie tematu. Nie pomylił się.

– Do kiedy zostajesz?

– Mam powrotny na jutro, przyleciałem tydzień temu, ze Stanów. Czekałem, aż wrócisz. Nie mam wyboru, możemy porozmawiać?

Skinęła, patrząc na niego w napięciu.

Bał się jak nigdy wcześniej, ale powiedział wszystko. O wyjeździe, o zacieraniu jej w sobie, o Jess, nawet o moście.

– Może kopię sobie teraz grób, ale chcę, byś знаła prawdę... – znów usłyszał echo słów Davida. – Spaliśmy ze sobą, ale nie byliśmy razem. Nie potrafiłem... Rozumiesz? Chciałbym, żebyś zrozumiała.

Patrzyła mu prosto w oczy. Pomyślał, że kiedyś uciekłyby od tematu. Teraz przytaknęła nieznacznym ruchem, nie spuściła wzroku. Nie dostrzegł w nim potępienia ani rozczarowania.

Ciągle jeszcze poruszali się na linii wzajemnego uczucia jak para linoskoków, ze strachem balansując słowami, ciągle bojąc się, że jedno za dużo lub za mało przeważy chwiejną równowagę i pośle któreś z nich w dół.

– Damy sobie szansę?

Wstała, dopiero teraz zauważył, jak bardzo jest zmęczona. Miał wrażenie, że ledwo trzyma się na nogach. Uzmysłowił sobie, że być może o Davidzie dowiedziała się niedawno, a jego pojawienie się dla kogoś takiego jak ona...

– Nie musisz odpowiadać.

Skinęła z wysiłkiem głową, przechyliła ją na bok i ukośnie potarła kark. Znów wspomnienie gestu, to przechylenie szyi, gdy całował swoje ulubione miejsce na granicy obojczyka i ramienia. Znów ból, który uśmierzyłby

dotknięciem, ale tej jednej rzeczy nie mógł teraz zrobić.

– Przepraszam cię, Max. Rozgość się, zaraz stanę na nogi.

– Nie ma potrzeby – poszedł za nią, patrząc, jak się kładzie, potem okrył ją bawełnianą narzutą i pogładził po włosach. Pomyślał, że jest jak dawniej. Nie było między nimi dystansu, nie dała mu do zrozumienia, że wszystko się zmieniło. Nie kazała wyjść.

Jak zwykle, gdy była bardzo zmęczona, zwinęła się na podobieństwo kota. Zawahał się, miał ochotę położyć się obok, objąć, dając jednocześnie sygnał, że nie chodzi o nic więcej. Nie ruszył się jednak, w sypialni drgał jeszcze cień Davida, rozrzedzała się jego niedawna obecność. Czuł na sobie ciężar rozmowy z Jess. Oddałby wszystko, by móc stanąć przed Seliną bez poczucia winy. Wchłaniał jej wyczerpanie i smutek, gdyby mógł, przefiltrowałby je z powietrza z każdym wdechem. Leżeć obok niej i czuć, że ona go chce. Nic poza tym. I jeszcze, żeby była radosna jak kiedyś. Lekka i świetlista, jak w Residenz, jak za pierwszym razem u niego. Przecież właśnie tego pragnął cały czas.

Odwrócił się, żeby wrócić do kuchni, i wtedy na progu słyszalności dotarło do niego:

– Max, nie mogłabym zabić twojego dziecka.

Ogłuszony stał bez ruchu, zastanawiając się, czy to była odpowiedź na tak, czy wręcz odwrotnie, pożegnanie. Chwilę później jej ciało drgnęło i zasnęła.

Wycofał się bezgłośnie do małego salonu i sam padł na przykrótką sofę.

Jednokierunkowa

Wzięła kilka dni wolnego. Nie mogła wrócić teraz do pracy, patrzeć współpracownikom w oczy. Być miłą, skuteczną i wydajną. Rodzicom zostawiła na sekretarce wiadomość, że na jakiś czas zaszywa się z dala od miasta. Bardzo, bardzo starała się, by jej głos brzmiał swobodnie, prawie entuzjastycznie. Niech myślą, że jedzie na wakacje. Że się urywa z rzeczywistości. Z nim. Potem, jak już poczuje grunt pod nogami, powie jak sprawy stoją. Znajdzie siłę, by odpowiedzieć, dlaczego znowu nie wyszło.

Wsiadła do czarnej hondy, czując narastającą złość. Właśnie, dlaczego?

Bo wymyśliła sobie hollywoodzki scenariusz. Jak ze studiami, jak z tenisem, jak z wcześniejszymi mężczyznami. Wszystko według kryterium maksymalnej liczby punktów. Za trudność zdobycia i wrażenie na innych, za notowania na zewnątrz, nic się nie zmieniło, nowoczesna *Vanity Fair*⁸⁰. Złość wzmagała się, miała wrażenie, że parzy jej mózg, zalewa oczy i tamuje oddech. Cholerny ojciec, idiotyczna matka. Możesz, potrafisz, jesteś najlepsza. Nasza duma. Żaden dyplom, żadne dziesiątki wystaw, na które była zabierana jako dziecko, kursy samorealizacji i asertywności, nie dały jej jednej podstawowej umiejętności: dostrzeżenia, że cały czas czeka na oklaski. Na podziw w oczach rodziców, na zazdrość przyjaciółek, na ten jeden moment. Jak zaraz po skończeniu studiów, gdy na przyjęciu rodzinnym Eric Jordan otoczył ją ramieniem, patrząc jednocześnie z dumą i aprobatą.

– Moja krew – usłyszeli wszyscy.

Przecież zawsze czuła ten zgrzyt, to ukłucie, migający czerwony sygnał, że coś jest nie tak. Że stoi tam nie ona, z krwi i kości, z oddechem i myślami, ale jej hologram zbudowany z wyobrażeń o tym, jak powinna wyglądać Jessie. Tylko

czyje one były? Już nie potrafiła tego dociec: ojca, jej własne, kolorowych pism i filmów pokazujących, że każdy, największy przeciętniak, ma szansę na sukces?

Była zmęczona, zła, czuła potrzebę ucieczki i odcięcia się od przeszłości. Ucieczki od idiotycznych wyborów, oczekiwania w oczach rodziców, zmiękczonej pozorami przyjaźni konkurencji w pracy, infantylnej sceny z mostu i samochodu. Nie da się, zacznie od nowa, nie będzie grała według scenariuszy pisanych jej przez innych. Nie będzie ani doskonała, ani tym bardziej śmieszna. A już na pewno nie żałowna. Z całą siłą tego nowego dla niej uczucia, woli drastycznej zmiany, gwałtownie skręciła w lewo. Wjechała bez zastanowienia w Hayes, po raz pierwszy nie dostrzegając zakazu skrętu i znaku ostrzegającego przed jedną z wielu jednokierunkowych ulic miasta.

Mignęła jej biel furgonetki dostawczej Whole Foods, sieci, z której zamówili niemieckie piwo dla Maxa. Jej pamięć wyświetliła obraz miłego gościa z mostu. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że niepotrzebnie wtedy biegł. Potem czuła już w sobie tylko nieogarnione zmęczenie, widziała światło zasłaniające jej ludzkie twarze zebrane nad nią, ta sama poświata wykasowała wszystkie dźwięki.

Zielony laptop

Siedział przed monitorem swojego laptopa, który, podobnie jak komórka, uruchamiany był biometrycznie. Nie było w nim żadnych tajemnic, wojskowych obiektów, wartych miliony przemysłowych danych, nazwisk, współrzędnych, ani niczego co tłumaczyłoby tak utrudniony dostęp. Rozpoznawanie linii papilarnych, wzoru tęczy i głosu David usprawiedliwiał tylko narkolepsją. Po tym, jak wielokrotnie stracił swoje niezwiązane z pracą ukochane zapiski i rysunki, z gorączkową radością skorzystał z nowoczesnych technologii. Zawsze jako jeden z pierwszych zresztą.

„Nareszcie” – myślał z ulgą. – „Nie dość, że przez ludzi muszę znosić te cholerne podróże, to jeszcze okradają mnie z tego, co robię dla nich.”

W wykonanym na zamówienie zielonym laptopie przechowywał wiele rzeczy. Oczywiście najważniejszą część, jak obrazy, dane, migawki, które wybrał jako swoją misję, zatrzymał jego mózg. Ale czasem David chciał utrwalić własne myśli. Z zachowywaniem tych ostatnich było mu znaczenie trudniej. Przede wszystkim z powodu coraz większego zaangażowania w pracę, kradnącą mu siły, sen oraz wolne miejsce w obciążonej pamięci. Lata temu z zaskoczeniem, ale i radością odkrył podobnych do niego. Zbieraczy rzeczy ginących. Wędrując po Syberii natknął się na Amerykanina rejestrującego ginące języki. Potem zupełnie przypadkiem odkrył Chinkę, która przeniosła część owoców jego wędrówki w wirtualną przestrzeń. Po cichu korzystał z ich pracy, równie anonimowo podrzucał im własne zbiory. Projekt Chinki go zachwycił, zaglądał do niego od czasu do czasu, z niepokojem rejestrując nanoszone zmiany.

Przy pierwszym, przypadkowym wejściu zobaczył czarny ekran, na którym niczym świetliki wirowały kolorowe punkty⁸¹. Kropeczki światła płynnie

zbierały się w chmary, potem powoli i tanecznie formowały kształty zwierząt. Wreszcie obsiadły zarys kontynentów, który wyłonił się z przepastnej czerni tła. Siadały nierównomiernie, największe ich zagęszczenia pokrywały się z najludniejszymi skupiskami ludzkimi. Po najechaniu kursorem kropki eksplodowały zdjęciami lub informacją, czasem i tym, i tym. Puncyki reprezentowały to, czego za chwilę nie będzie. Niektóre to, czego już nie było, a pozostało w ludzkich wspomnieniach, w relacjach odczytanych ze starych książek.

Najechał strzałką na pierwszą z brzegu: mały słodkowodny rak, potem wyskoczyła mu barwna papuga na Madagaskarze. Poruszał myszką coraz szybciej: tury, bizona, wieloryby, foki, gołębie, jaszczurki, żółwie... Ale też tlen w oceanicznych zatokach, europejski las znany już tylko z bajek, przesywający odgłos nawołujących się płetwali. Wzruszył się, odkrywając małą kropkę dodaną do wirtualnego projektu przez jakieś dziecko. Zawierała w sobie wspomnienie sadu dziadka, z odmianami drzew, których nikt już nie hodował.

Dwie trzecie z wielobarwnych kropek, wibrujących jeszcze na mapie świata, miały nie przetrwać do końca stulecia. Wielka kropka nad Azją po raz kolejny uświadomiła mu, że co dwie sekundy pada las o powierzchni boiska do piłki nożnej. Z tym wszystkim, co rosło w nim przez stulecia. Wielka akcja wysiedlania, wypędzania i czystki etnicznej co dwie sekundy.

W kolejnej bańce ze światem zegnały się ludzkie języki, co dwa tygodnie jeden. Co czternaście dni jakiś sposób widzenia rzeczywistości, nazywania wszystkiego i myślenia zniknął bezpowrotnie. Wstał i poszedł do kuchni po wino. Zanim otworzył drzwiczki, oparł głowę o metaliczną powierzchnię lodówki. Dlaczego on? Za to, że sprzeciwił się polityce cierpliwego oporu i nadstawiania drugiego policzka? Za to, że chciał walczyć? W imieniu ludzi. Za to, że nie wierzył w odpłacanie dobrem za zło? W cierpliwe nadstawianie karku? W martyrologię? Nie został zrozumiany ani wysłuchany. Ktoś przekreślił jego

słowa, ktoś inny zapisał. Na kolejnej świętej stronie, zapewne z całym przynależnym przepychem, pigmentami, zdobnymi literami i w nadającej wszystkiemu sankcję wyroku łacinie. I tak poszło w świat, kopiując się w nieskończoność niczym wirus. On został wygnany na wieczną podróż, potem ukarany przez samych ludzi. Tych samych, w imieniu których wyłamał się z posłusznego szeregu milczących. To jedno ciągle go bolało, inne rodzaje cierpienia, włącznie z fizycznym, zdążył zapomnieć, wygasły w nim jak większość uczuć. Początkowo chciał nadać swojej wędrówce sens, zapisując ludzkie dzieje. Przygniótł go ogrom oglądanych potworności, eskalująca siła zniszczeń i ofiar przy każdej z kolejnych wojen. Niczego nie nauczyły ich stulecia tych samych błędów, tej samej chciwości i postępującym z ich technologią, bezwzględnością i unicestwianiem. Musiał coś zrobić, nie potrafił tkwić w roli biernego obserwatora powolnej apokalipsy. Zdecydował się rejestrować ginącą naturę, nie rzeczy stworzone przez ludzi, ale to, co było przed nimi. Starsze od bogów. Rośliny i zwierzęta przypominały mu jego samego, zanurzone w trwaniu bez poczucia czasu, bez świadomości śmierci, niepodatne na ludzką bezwzględność i chciwość, pochodne tymczasowości. To, co miało być ciekawym projektem – jakby to określono dziś: kulturowo-przyrodniczym – ludzka chciwość, krótkowzroczność i bezwzględność zamieniły się w drogę przez mękę. Jego spontaniczny wybór ludzie uczynili z czasem katorgą.

Ludzie... Ze złością pomyślał nawet o Selinie, zajętej swoją wielką miłością, o Ginie zanurzonej w podliczaniu zysków hotelu, o nieznanym mu matce Seliny, pogrążonej w wymyślonych nieszczęściach, a nawet o Tomaso. Może był dla Davida wyrozumiały i tolerancyjny, bo tak naprawdę obchodziła go tylko muzyka?

Wszyscy ci ludzie, kurczowo chwytający się swoich miłości, obsesji, pasji, pieniędzy, wspomnień... Ograniczeni czasem, zaślepieni uczuciami, niewidzący niczego poza swoim krótkim, nieważnym życiem.

Najgorsze, że zazdrościł im tej ślepoty. Nieświadomości tego, jak wygląda świat z dystansu czasu. Zazdrościł im braku pamięci będącej cmentarzyskiem przeszłości, zbiorem tego, co zniknęło. Zazdrościł tego, że nie znają przekleństwa porównania. I tego, że czują. Cokolwiek.

Miejsce na urnę

Stał na cmentarzu, ciągle jeszcze ogłuszony. Świeciło hollywoodzkie słońce, ostatecznie byli po drugiej stronie Złotych Wrót, gdzie nie można było spodziewać się mgły. Sylwetka Erica Jordana, którą Max widział z boku, wydała mu się nagle mniejsza, załamana, jakby jeszcze nie zdążył się odgiąć po uderzeniu w brzuch. Caroline praktycznie wisiała na jego ramieniu, skurczona w sobie, postarzała o kilka lat. Kątem oka dostrzegł wszystkich pracowników agencji, przyjaciółki Jess, sąsiadów. Wiadomość o pogrzebie odebrał z automatycznej sekretarki. Jego komórka nie działała w Europie, zapomniał zaopatrzyć się w jedną z tych, które funkcjonują w obu systemach. Początkowo z przerażeniem pomyślał, że Jess jednak dopięła swego, nie śmiał dzwonić do rodziców. Nie wiedział, czy i co im powiedziała.

Dopiero tu, wśród rzędów białych prostych płyt, zorientował się, że o niczym nie mieli pojęcia. Jego oddalenie od tłumu przybyłych przyjęli jako oznakę bólu i załamania. Oczywiście, praktycznie wszyscy ruszyli w jego kierunku. Dyskretnie i pojedynczo. Z kondolencjami, objęciami, zapewnieniami, że rozumieją go i są z nim. I że na pewno ona też go widzi i nadal kocha.

Robiło mu się niedobrze. Ze strachu, wstydu, niezdecydowania, czy powinien się czuć winny, czy nie. Potem przygniótł go kamień nagłej pewności, że akurat tego nie dowie się nigdy. Nawet szczegóły wypadku przekazane mu przez szefa Jess, krótko przed rozpoczęciem ceremonii, nie wyjaśniały wiele.

– Powinna pamiętać, że tam jest jednokierunkowa. Jeździła czasem w tej okolicy. Może zamyśliła się? Zmęczenie? – niedowierzająco potrząsał głową Nick. – Cholerne miasto, tylu ludzi wjeżdża pod prąd, nawet miejscowi się mylą.

Podjechała miniaturowa koparka, prowadzona przez jednego z milionów

meksykańskich migrantów. Kierowca sprawnie wyciął w stwardniałej ziemi nieduży prostokąt, miejsce na urnę. Maxowi zaschło w ustach, stał się nie wyobrazić sobie obejmującego ciało Jess ognia, zwęglania głowy, piersi, brzucha. Nie myśleć, że tyle właśnie zostaje po człowieku. A potem zdał sobie sprawę, że to tylko strach podsuwa mu te obrazy. Nie obawa, żal, nie wstyd i nie miłość. To był ten sam strach, który pamiętał z dzieciństwa, kiedy to z Jensem bawili się zrzucaniem znalezionych na ostatnim piętrze bloku szyb. Miały być wstawione w przeszklone drzwi na korytarz, a oni postanowili sprawdzić, jak będą lecieć z samej góry na chodnik, który ledwo widzieli, wspinając się na palce, by dosięgnąć parapetu. Z wysiłkiem zsuwali przezroczyste tafle i dopiero potem wyglądali. Huk rozpryskującego się szkła, a potem wściekły męski krzyk. Szyba minęła mieszkającego w tamtym domu znajomego matki o kilka centymetrów. Max długo jeszcze kulił się w sobie, słysząc ojca zapowiadającego, co zrobiłby z tymi gówniarzami, gdyby ich złapał. To samo skulenie wróciło teraz. Zabrakło kilku centymetrów, a Jess by żyła. Tylko teraz ten przykurcz przerażenia potrwa dłużej.

Nigdy nie dowie się, czy pozbywając się Jess ze swego życia, nie zepchnął ją gdzieś w dół. Nie było takiej perspektywy, z której mógłby to wyraźnie zobaczyć.

Usiedli w kilku rzędach specjalnie tu ustawionych krzeseł. Najpierw przemawiał ojciec Jess, cicho, jak ktoś, komu ból odebrał wszelką barwę i tonację głosu. Max nie zapamiętał z tego wiele. Eric pożegnał jedyną córkę, zawsze energiczną, wesołą, ambitną, która była ich dumą i nadzieją. Wymienił jej wszystkie osiągnięcia, podziękował za przybycie rodzinie, znajomym. Caroline nie zdołała wydusić niczego poza: „Żegnaj, córeczko”. Dalsze słowa nie przedostały się przez szloch, ktoś podbiegł by ją podtrzymać.

Kolejka ludzi odczytała listy do niej. Dziękowali za to, że była w ich życiu, jak ich zmieniała, co zostawiła po sobie. Max uczeplił się tego jednego zdania.

Jakie znaczenie miała obecność Jessie w jego życiu? Po co potrzebna była jej śmierć, zakładając, że wszystko w świecie jest gigantycznym puzzlem mikroskopijnych fragmentów. Nieobejmowalnych umysłem w całości przez nikogo, ale chyba jest jakaś całość? – rozmyślał gorączkowo. Zaraz potem dopadł go strach, że odkąd poszedł wtedy do kościoła, prosić... kogoś tam wyżej o pomoc, uruchomił coś na kształt losu, przeznaczenia. On, który nigdy nie wierzył w takie rzeczy. A może ich nie dostrzegął wcześniej?

Ścisnął kciukami skronie. Otwierając oczy zauważył, że kilka osób przygląda mu się ukradkiem i zdał sobie sprawę, że czekają na jego słowa. Chciał zapaść się pod ziemię, zniknąć, ale poczucie obowiązku i przyzwoitości zwyciężyło. Niepewnie wyszedł przed pierwszy rząd krzesel.

W absolutnej ciszy usłyszał swój spanikowany głos z nagle znów wyrazistym niemieckim akcentem.

– Jess, mam nadzieję, że mi wybaczysz... – Dostrzegł, jak Eric Jordan nagle podnosi głowę, miał wrażenie, że jeszcze mocniej bieleją zaciśnięte na ramieniu męża dłonie Caroline. – ...że mi wybaczysz moją nieobecność. To ja powinienem prowadzić ten samochód. Powinienem uważać na ciebie. – Więcej nie dał rady.

Chciał powiedzieć, że nie powinien był wyjeżdżać, nie w ten sposób, ale skurczona postać matki Jess zatrzymała go w pół słowa. Teraz było za późno. To byłaby spowiedź i ulga tylko dla niego.

Rozłożył bezradnie ręce, dając sygnał, że więcej nie może.

Wracając na tył tłumu, czuł przekazywane mu uściski, poklepywania, objęcia. Bezwarunkowe, proste, amerykańskie wsparcie. Czuł wstręt do siebie. Chciał zwymiotować samego siebie, pozbyć się z ciała ogarniającego go przekonania, że jest brudny, destrukcyjny, a przede wszystkim wyrzucić z siebie poczucie winy. I tego, że jest ono wielokrotnie większe niż żal po Jess.

Wychodząc przed cmentarz, usłyszał w głowie tamten głos, bezbłędny

niemiecki, leciuteńko pobrzmiwiający jidysz: „Trudno żyć, będąc potępionym za coś, czego się nie zrobiło”.

Najgorsze, że nikt nie mógł rozstrzygnąć, czy zasługiwał na potępienie. Nie było świadków ani listów pożegnalnych. Nigdy nie będzie wiadomo na pewno. Czy zrobił za dużo, czy za mało? Kiedy i z kim? Czego nie powiedział Jess? A może to stało się dużo wcześniej, wcale nie z nią?

Przez następne dni nie mógł sobie znaleźć miejsca. Usiłował odszukać chwilę, w której popełnił błąd, zawinił. Bo co do winy, nie miał żadnych wątpliwości, że była po jego stronie. Z Seliną zaangażował się na całego, z Jess wręcz odwrotnie, tylko w sferze łóżka, przyjemności, w zasadzie miłego i inteligentnego towarzystwa. Pierwsza wdrukowała mu się pod skórę, w mózg i pamięć. Z drugą chętnie spał i przebywał, ale zostawiała go w zasadzie obojętnym. Wiedział, że jego życie było mniej więcej takie samo. Z nią czy bez niej.

Nie wytrzymał, zadzwonił do Martina. Wolałby Jensa, ale musiał pogadać z kimś w cztery oczy. Nie przez telefon, czy nawet przez wideoczat Skype'a. Umówili się w North Beach, dzielnicy nazywanej niegdyś Little Italy, dziś będącej tylko turystycznym obrazkiem dawnego życia włoskich emigrantów. Samo to wywoływało w nim przygnębienie, nie cierpiał sztucznych, spreparowanych dla potrzeb zwiedzających miejsc, ale Martin zdecydował za niego. Było po drodze dla Klaudii, która miała go odebrać. Wiedziała, że będą pić. Zanim wyszedł z domu, zobaczył na komórce wiadomość o nowym mailu.

Max, jesteś już tam? Mam nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku. Przenoszę się do Florencji na jakieś trzy miesiące. Gdybyś chciał przyjechać... Selina

Martin czekał przy barze i widząc nadchodzącego Maxa, od razu wziął dodatkowe piwo.

- Przepraszam za dramatyczny ton. Już mi trochę lepiej.
- Czekaj – Martin nie dał się zbyć tak szybko – co się stało?
- Dużo, lepiej siadaj.

Martin spojrział badawczo i na chwilę przystanął, usiłując dotrzeć do wolnego miejsca przy długim drewnianym blacie baru. Jeszcze raz spojrzął na Maxa i skierował się na sam koniec sali, z dala od tłumu hipnotycznie wpatrującego się w gigantyczny ekran nad głową barmana.

- Jess nie żyje.
- Jak to nie żyje?
- I jeszcze... widziałem się z Seliną.
- Jezu, umiesz zwalić z nóg – Martin zamarł nad trzymanymi szklankami. –

A teraz rozwiń, nic nie rozumiem.

– Dowiedziałem się, nieważne jak... Poroniła. Nie miałem wtedy racji. Pamiętasz, wspominałem po przyjeździe.

– Pamiętam, nie skomentowałem. Nie miałem prawa. Jesteś ulepiony z innej gliny.

- Nie będę pytać, co chciałeś powiedzieć, domyślałem się.

Martin nie podjął wątku, nie lubił rozmawiać o rzeczach, na które nie miał wpływu, przedawnionych.

- Co z Jess?

Max spuścił na chwilę wzrok, usiłując opisać to, co zaszło między nimi, ale w końcu poddał się.

– Do końca nie wiem. Wjechała pod prąd – wyrzucił z siebie resztę – to było po tym, jak powiedziałem jej, że jadę przeprosić Selinę.

- Pojechałeś ją przeprosić?

Martin gorączkowo usiłował zrozumieć sytuację.

- Jasne.

– Dalej nie rozumiem.

– Wszystko padło w jeden dzień, chyba sypnęłoby się wcześniej czy później. To znaczy było niby, jak trzeba.

– Na czym polegało niby? – Martin był nieugięty, dużo twardszy i bardziej zasadniczy od starszego brata.

– No, lubiłem ją, fajna, miła, uczciwa, ale wiesz... To nie była kobieta na życie. O pogrzebie dowiedziałem się po powrocie z Włoch. – Widząc zniecierpliwienie Martina, dodał szybko: – Selina jest teraz tam. Dobra, powiem jak było. Idąc na cmentarz, umierałem ze strachu.

– Czego się bałeś?

– Że Jess próbowała ponownie... – Max nie spuścił wzroku.

– Ponownie?

– Próbowała skoczyć z Wrót.

– Chrzanisz, ona?

– Wiem, to do niej nie pasuje. Chyba nie byłem jedynym powodem. Strażnik ją ściągnął. Cholera, tak mnie zaskoczyła, że nie wziąłem tego poważnie, nawet myślałem, że to rodzaj szantażu, wiesz wyrachowana inscenizacja. Zawsze była taka praktyczna, twarda, rozsądna. Zresztą miałem już bilet – Max rozłożył ręce, jakby usiłując przytrzymać w miejscu rozsypujące się argumenty.

– Mam wrażenie, że nie widziałem cię lata, a nie tygodnie. Jak, do cholery, tyle mogło się zdarzyć w tak krótkim czasie?

Max zacisnął szczęki.

– To nie stało się w krótkim czasie, tylko eksplozja była krótka.

Wypił całe piwo naraz i stanowczo odstawił pustą szklankę.

– Wiesz, co było najgorsze? Nikt nie miał pojęcia o sytuacji między nami, o tej próbie na moście. Pocieszali mnie. Rodzina, znajomi...

– Ale to nie twoja wina, sam powiedziałeś przed chwilą...

– Tego do końca nie wiem. Stary, chciałem zapaść się pod ziemię. Najbardziej dlatego, że czułem ulgę. Że to raczej nie samobójstwo.

Martin gwizdnął cicho.

– Facet, nieźle mieszasz kobietom w życiu.

– Dzięki – Max nagle zdał sobie sprawę, że właśnie tego oczekiwał, potrzebował kogoś, kto powie mu to, na co on jeszcze się nie zdobył. Martin przyglądał mu się, jakby odkrywał nową stronę Maxa. Wreszcie zwyciężyło w nim miłosierdzie.

– Ok. Jedno ci powiem, wcale nie na pocieszenie. Widziałem was razem wiele razy. Nie jestem psychologiem ani wróżką, ale ona nie była w tobie zakochana. Ani ty w niej. Grałście jakąś skomplikowaną grę, każde na własne potrzeby. Tylko że ona chyba przesadziła. Nie wiem, zgaduję. Ty nie doszacowałeś stawki, ona odwrotnie.

– Nie zdradziłeś się z obserwacją...

– Nie prosiłeś, zresztą... Szczerze? Max, nie jesteś dobry w słuchaniu.

– *Verdammt*⁸², było to widać?

Martin nie odpowiedział od razu, patrzył gdzieś ponad Maxem, zbierając słowa.

– Po tobie widać, ty masz wszystko na wierzchu. *Anyway*⁸³, tak to się kończy, gdy robi się coś zamiast...

– Minąłeś się z powołaniem, zamiast winnicy powinieneś mieć gabinet. Psychologa. Tutaj to żyła złota.

Martin spojrział w wielkie lustro wiszące wzdłuż baru, wskazując ich wspólne odbicie.

– Przypatrz się Max, widzisz tam faceta, który codziennie gra w szczęśliwą rodzinę i udany związek. Sam momentami w to wierzę...

– No nie! Ty?

– Ja. Co, nawet ciebie zmyliłem?

– Nie wierzę.

– Nie martw się, ja czasem też nie. Myślę, że mi się to wydaje. Bo przecież mam wszystko, prawda? Z Klaudią jesteśmy razem od liceum. Nawet do głowy nie przychodziło mi, żeby ożenić się z kimś innym. Klasyka: rodziny, znajomi, przyjaciele. Wszyscy widzą i znają nas razem.

– Martin, macie za sobą staż, kawał czasu, trudno, żeby było jak na początku...

– To jest coś innego – Martin patrzył na fasadę domu widoczną przez wielkie okno baru. – Jak się czułeś, kiedy Selina wyjeżdżała na te swoje minikontrakty?

– Kiepsko, wszystko mnie bolało, ciało, mózg... Ssało mnie w żołądku.

– Wcześniej też tak miałeś?

Max zastygł, szybko przebiegając w myślach kobiety mieszczące się w przedziale czasowym oznaczonym etykietą „wcześniej”. Złożony z trzech wagonów pociąg jego życia, kobiece postaci stłoczone w pierwszej, najdalszej części, środkowy wagon zajmowany przez Seline i ostatni, odczepiony i już nienależący do całości, z napisem „Jess”.

– No tęskniłem, ale nie tak. Zresztą nie pamiętam, tak jakby tamtych nie było. Albo były nie naprawdę.

– Widzisz, tak mam z Klaudią. Nigdy nie miałem wrażenia, że bez niej zawali mi się świat, że coś zgaśnie we mnie. Kiedy wyjeżdża do Europy sama, nie brakuje mi jej. Jakoś rzeczywistość zasklepia się natychmiast po tym, jak zamyka drzwi. I jak wraca, też niespecjalnie coś się zmienia. Jest dobrze, spokojnie, miło. Nie kłócimy się, no, prawie. Szanujemy się i lubimy. Śpimy ze sobą bez przykrości. Ale... Nie mogę pozbyć się tego cholernego uczucia, że mogłem spotkać kogoś innego.

– I co z tym chcesz zrobić?

– Zaskoczę cię, nic. Mamy dziecko. I tak się składa, że kocham je bardziej od

niej i siebie. Poza tym Klaudia jest w ciąży, nie ma o czym mówić. Czas wszystko ułożyć. Jak zawsze.

Martin spojrzął na Maxa z nagłą ostrością.

– Facet, mieliśmy rozmawiać o tobie. Co zamierzasz zrobić? Na czym stanęło z Seliną?

– Nie wiem... Nie patrz tak, naprawdę nie mam pojęcia.

– Ty nie wiesz?

– Dostałem dziś wiadomość. Następne miesiące jest we Florencji. Napisała, żebym dał znać, gdybym chciał przyjechać. Rozumiesz? Gdybym chciał...

– Co ci nie pasuje?

– Oddałbym wszystko, gdyby choć raz napisała: „Przyjedź, potrzebuję cię”...

Wiesz...

– Mówiłeś jej o Jess?

– Tak, wszystko, nawet o moście. Nie wie jeszcze o pogrzebie. No nie patrz tak – Max uspokajająco położył dłoń na ramieniu Martina – powiem.

Milczeli, starannie unikając swych spojrzeń, kierując je w dal umiejscowioną daleko poza nimi, poza miastem, w którym znajdował się ich bar.

Martin wstał i po chwili przyniósł dwa kieliszki wódki.

– Nie wierzę, wszystkie winorośle ci zgniją z obrazy.

– Max... Spójrz na mnie. Co ty tu jeszcze robisz? Dojrzyj wreszcie do tego, że ona nie jest tobą. Że dla niej napisanie takiego maila to jak dla ciebie sygnowana krwią deklaracja na życie.

Max usiłował znaleźć ciętą ripostę. Coś, co odwróciłoby uwagę Martina od tego, co z pewnością teraz również musiał mieć wypisane na twarzy.

– Myślisz?

– Nie chrzań. Pakuj się i jedź. Co masz do stracenia? Najwyżej wrócisz. U mnie zawsze jest praca, w Monachium też. Stare, piękne rzeczy znikają, świat

potrzebuje kopii, zawsze będziecie mieli co robić. Ty i ona.

– Nie znałem cię z tej strony, Martin.

– Ja siebie też nie.

Znów zamilkli.

– Martin, nie wiem co powiedzieć. Dzięki, nie potępiłeś mnie. Chciałbym też coś powiedzieć tobie, ale nie jestem dobry w radach.

– Daj spokój, to nie tragedia. Ludzie nie mają nawet tego. Nie uważam się za przegranego. Urządziłem sobie życie, jak potrafiłem. Może nie mam więcej odwagi, może nie wierzę w uczucia tak jak ty, może za wcześnie się zdecydowałem... Cholera wie, od czego to zależy. W każdym razie nie wybieram się na warsztaty rozwoju, szukania wewnętrznego ja, podrywania kobiet czy inne. Uważam, że śpię, jak sobie pościeliłem. W przeciwieństwie do miejscowych poradników nie wierzę, że każdy może dostać gwiazdkę z nieba.

Martin zatrzymał kolejne zdanie zanim padło i spojrzał na zegarek.

– Ok, rachunek jest na ciebie. Wiesz dlaczego, prawda? Muszę lecieć, obiecałem Klaudii wyjazd do Pea in the Pod⁸⁴. Sam rozumiesz... Aha i do końca miesiąca nie chcę cię tu widzieć. Mam na myśli kontynent.

⁸² *Verdammt* (niem.) – a niech to szlag.

⁸³ *Anyway* (ang.) – w każdym razie.

⁸⁴ Znany sklep z odzieżą dla kobiet w ciąży.

Jesień

Powoli sprowadził wszystko z powrotem do Monachium. Nawet część klientów. Ona przesiadywała teraz głównie w urzędach i w poczekalniach lekarskich gabinetów. W tych pierwszych załatwiała wszystko to, czego domagała się rzeczywistość po czyimś odejściu. Dalsza część spraw spadkowych, niezłatwione sprawy papierkowe. Po każdej wizycie w jednym z urzędów niknęły ślady istnienia babci...

Jednocześnie poznawała lekarzy i skomplikowane mechanizmy służby zdrowia. Początkowo w szpitalu, potem w przychodniach i gabinetach prywatnych. Maria wróciła do domu z lekkim niedowładem ręki i minimalnym paraliżem lewej strony twarzy. Miała na to w jakimś stopniu pomóc rehabilitacja, na którą wozila ją teraz Selina. Choroba paradoksalnie wyzwoliła ją od natrętnego strachu przed współczesnym światem i samotnością. Przynajmniej na razie. Selina pomyślała z ulgą, że skończyło się na strachu. Ułga miała też drugie dno: czuła, że odejście matki przyjęłaby bez takiego poczucia bólu i straty jak śmierć babci.

– Sabinko, zawsze będę z tobą, choćby nie wiem co ci mówili. Nie daj sobie wmówić, że tam nic nie ma, że ludzie znikają. Zobaczysz, będę cię pilnować stamtąd... – Pokazywała na sufit, a potem szybko zmieniała temat, widząc przerażone spojrzenie dziewczynki.

Matka była, gdzieś. Na obrzeżach jej pamięci, wracająca z pracy lub idąca do niej. Pojawiała się na kolacji, przy wieczornej kąpieli i niedzielnych lodach. Wyrastała nagle na imieninach u ciotek, na ślubach, weselach, pogrzebach. Dopiero po latach Selina dowiedziała się, że walczyła o przyszłość, nie mogąc liczyć na słabego i nieradzącego sobie z rzeczywistością męża. Upokorzonego

nowym systemem, silną żoną i własną niezaradnością. Bo początkowo matka Sabiny widziała go jako wrażliwego, zakochanego i romantycznego mężczyznę, jakich niewielu było wokół. Był odtrutką na szarość i beznadziejność rzeczywistości. Z biegiem lat, jak w krzywym zwierciadle, wszystkie jego zalety przepoczwarzyły się w wady. Ocknęła się, widząc u swego boku zagubionego, zastraszonego i żalosego ojca rodziny, który w żaden sposób nie dorastał do jej wyobrażeń męża, jaki sobie stworzyła. Walczyła dla siebie, ale może jeszcze bardziej dla niej.

Selina powinna czuć wdzięczność i szacunek dla matki, ale czuła tylko zrozumienie. Że tak musiało być. Co można po fakcie zrobić z tym, że żyło się w trudnych czasach, wybrało niewłaściwego mężczyznę, żyło inaczej, niż chciało? Przepęłniała ją ulga, że jednak jest tu z nią. Nie musi odpowiadać na telefony, zarzuty i skargi na samotność. Nie musi stać przy jej łóżku w szpitalu, żegnać się i mówić, że ją kocha. Bo tego nigdy nie była pewna. Może czas jeszcze coś zmieni. Pomyślała, że dostała drugą szansę.

W przerwach między szpitalem, rehabilitacją, zakupami z matką zajmowała się swoim mieszkaniem po babci.

W łazience pojawiły się stylizowane na secesję flizy i staromodnie wyglądające krany. W kuchni nowy piekarnik z płytą, również wyglądający na przedmiot z przeszłością, ze spatynowaną powierzchnią i udającymi mosiężne pokrętłami.

Selina siadywała w dużym pokoju, rozmyślając o tym, że starym meblom przydałby się nowy blask. Może poprosi Maxa...

Max pojawiał się co piątek. Milcząco, wytrwale, o tej samej porze. Przyjeżdżał wieczorem i prosto z lotniska zabierał ją na kolację. Nie wystawną, jaką funduje się dziewczynie, by ją oszołomić. Po prostu zabierał ją z mieszkania przy Augustiańskiej i szli coś zjeść. Potem rozmawiali jak ludzie, którzy spotkali się po latach, którzy muszą opowiedzieć sobie od nowa. Nocował w maleńkim

hotelu na Szerokiej, nigdy nie dając sygnału, że chce zostać na noc. Nie dotykał jej, nie wykonywał żadnych gestów sugerujących, że coś między nimi jest. Jak dobry przyjaciel albo brat. Czuła się zupełnie zagubiona, nie mogła go poznać. Czy to był ten sam mężczyzna, który potrafił nie dojść do sypialni, wziąć ją po prostu w kuchni na krześle? Teraz sprawiał wrażenie, jakby wydał sobie rozkaz. Jakby zapomniał, że kiedyś potrafili kochać się kilka razy dziennie. Poczuła ból, wspominając jego telefony. Najpierw rozpaczliwą ciszę w słuchawce, a potem prawie gniewną tęsknotę w: „*Scheiße, ich vermiße dich*”.

To był kolejny, trzeci weekend. Połowa października, złote od słońca powietrze, jeszcze pełne wspomnień nabrzmiałego życiem lata. Rano można było wyczuć lekką jak poranny szron zapowiedź schyłku, pierwsze oznaki cofania się natury w głąb siebie.

Jak zwykle w soboty rano, szli na targ.

Stała nad pachnącymi słońcem pomidorami, czerwień skórki była niemal krwista, zieleń woskowej powierzchni jabłek prosiła się o zanurzenie zębów w mięszu. Hojność przed końcem, wielki dar przyrody przed zimą. Max górował nad tłumem w sąsiedniej alejce, podziwiając grzyby. Ich mnogość, zapach, a przede wszystkim zbiorową, wydawałoby się – ogólnospołeczną wiedzę jej rodaków na ich temat. Zawsze go to fascynowało i budziło niekłamany podziw.

Zastygła nad piramidami warzyw i owoców, czując, jak rzeczywistość wokół niej robi szybki *fast forward*. Kolejne lata, jesień z nią coraz starszą, coraz wolniej chodzącą wzdłuż straganów. I wreszcie rok bez niej, z tłumami innych kobiet. Młodych, starych, zakochanych, samotnych. Świat po niej, który bez sekundy zastanowienia i żalu będzie trwał dalej. Dla innych. Wrócił stary strach przed śmiercią, a zaraz potem uderzył ją ból zachwyty chwilą, w której trwała, jednocześnie z żalem za chwilami, które wypuściła z rąk. Chwilami z nim,

cierpliwie pojawiającym się bez zaproszenia, stojącym teraz w sąsiedniej alejce. Przeraziła się nagle: tak rzadko mówiła Maxowi, co myśli, czuje. Zawsze czekając, aż zgadnie, powie za nią. Karmiła się jego energią, pewnością i uczuciem. Tym, że bezwarunkowo był przy niej i kochał. Wreszcie zobaczyła tamtą kobietę, na innym kontynencie, jej zarys. Gdyby poszła do niego, zadzwoniła, odszukała, jak on ją po wielu miesiącach potrafił odszukać, może tamta kobieta żyłaby.

Odwróciła się gwałtownie w kierunku Maxa. Z odległości zobaczył jej rozszerzone oczy i niemo zapytał, o co chodzi. Ruszyła w kierunku alejki, w której stał, strąciła kilka jabłek, przeprosiła nie podnosząc. W zasadzie już biegła.

– Co się stało? – zajrzał w jej oczy, nie rozumiejąc.

– Przepraszam cię... Za wszystko, to moja wina – zabrakło jej oddechu, usiłowała powiedzieć zbyt dużo naraz. Zaskoczony czekał bez ruchu.

Słyszała w głowie słowa Davida: „A co teraz robisz ze swoim życiem?”.

– Czy możemy wrócić do domu?

Nie odezwał się, czytała słowa, jakby miał je wypisane na twarzy. W iskrzących drgnieniach błękitu widziała, że odczytuje z jej oczu odpowiedź. Podniosła jego dłoń i położyła sobie na styku obojczyka i szyi.

Zrozumiał natychmiast, jak wcześniej, jak zawsze. W jego wzroku wybuchło to, czego nigdy nie dostrzegła w twarzy Davida. Ludzkie szczęście, od którego zakręciło jej się w głowie. Drogę powrotną przebiegli jak ludzie starający się złapać odjeżdżający pociąg. Trzasnęły zamykane drzwi, pomidory rozsypały się pod zdjęciem Gerda. Już w przedpokoju dłonie Maxa unieruchomiły jej głowę, całował jej twarz pospiesznie, mocno.

Zapomniała, jak wąski jest teraz przedpokój, uderzyła o ścianę. Zatrzymał się na chwilę i delikatnie roztarł tył jej głowy, a potem poczuła, jak unosi ją w górę. Przeniósł ją do sypialni i postawił na antycznej szafce stojącej przy łóżku. Szybko

rozpinał płaszcz, ostatnie guziki wąskiej bluzki, wreszcie dżinsy. Spojrzał na chwilę w jej zdziwione oczy, a potem niecierpliwie podniósł opadający w dół materiał. Gorączkowo całował odsłonięte miejsce, oparł lewą skroń na jej kości biodrowej, prawą dłonią gładząc brzuch. Ścisnęło ją w gardle, gdy dotknęła płowych włosów, łzy napłynęły nieproszone, gdy schyliła się, by pogłodzić *to* miejsce na jego twarzy. Pokryty zarostem uskok zaraz pod kością policzkową.

– Tęskniłam do twoich rąk. Cały ten czas...

Zastygł na chwilę, potem błyskawicznie zestawiał ją na ziemię. Runęli na łóżko w płątanie płaszczy i ubrań. Max ze złością odgarniał mnożące się rękawy, przeklinał nagle za duże guziki jej bluzki, drugą ręką zdejmował jej spodnie. Nie zdążyła mu pomóc, błyskawicznie uwolnił się z własnych. Zacałowywał ponad dwa lata rozstania, wycierał z niej pamięć Davida, z siebie pamięć tego, co robił z innymi kobietami. Unosili się i spadali w dół rozkoszy. W ostatniej chwili szarpnął nimi spazm, który uratował ich przed rozbiciem.

Epilog

Wyciągnął mieniającą się światłem pigmentów stronę. Przesunął jej koniec, na jakiś czas.

Jedną zostawił w prezencie Selinie. Był prawie pewien, że nie wystawi jej na sprzedaż, ale gdyby kiedyś nie miała wyjścia, mogła się stać jej kołem ratunkowym, jej zabezpieczeniem. Przez pierwszy tydzień po zlikwidowaniu mieszkania na Teatro della Pace, po zmianie numeru komórki, korciło go jeszcze, by sprawdzić, co u niej. W końcu złała się z równie obojętnym mu szeregiem kobiet z przeszłości, które wspominał czasem, zawsze ciepło, ale bez nostalgii. Zresztą był pewien, że rozmowa z Maxem nie pozostała bez wpływu na jej los.

„Fajny gość” – pomyślał o nim – „żyje całym sobą. Tak jak powinno być.”

Dotknął pergaminu tak, jak nigdy nie dotykał skóry Seliny. Z miłością.

Czego w nim nie było: gęsie jaja wiążące pigment, skruszone żelazo roztarte z owocami dębu, oksydowana miedź dająca piękną zieleń, siarczek arsenu wydobyty z irlandzkiej ziemi, żółcący się teraz na stronach przed jego oczami, błękit lapis lazuli z gór Afganistanu. Nieprawda, Selina uświadomiła mu, że to tylko legenda. Nawet on przyjął opowieści o królewskim błękitcie za oczywistość. Jak zwykli ludzie uwierzyli w inną legendę. Ale jednak, kolory wydarte skałom, ziemi, roślinom, ciałom zwierząt... Ciemnoczerwona litera – minia z toksycznym ołowiem.

– Boże, dlaczego tak to urządziłeś: piękno w pakiecie ze śmiercią...

W porę zatrzymał obrazy milionów czerwi i koszenili, stopy wydartych morzu ślimaków. Po raz milionowy dotknął czerwonego inicjału znaczącego początek listu Hieronima do papieża Damazego.

Karmin...

Wyszła z ukrycia, mimo że kazał jej przysiąc, że tego nie zrobi. Nie wytrzymała słysząc, jak go katują. Błąd, nigdy jej nie powiedział, że tak naprawdę nic mu się nie stanie, bo żadna rana ani choroba go nie zabije. Sądziła, że wskazując skarbiec, ocali go. Rozwścieczył ich fakt, że była w nim tylko *Księga*. Rozczarowani wyrwali okładkę ze złota i drogich kamieni, pergaminowa zawartość upadła na ziemię. Nic dla nich nie znaczyła. Tysiące godzin spędzonych na kaligrafii, zaklęte w pigmentowych plamach zwierzęta, symbole i słowa były niczym. Liczyło się zimne złoto, martwe kamienie i... jej żywe ciało. Widział, jak dobiega do miejsca, w którym był przywiązany. Potknęła się na drewnianym mocowaniu pręgierza, a wysoki, jasnowłosy mężczyzna chwycił ją wpół, potem powłókł za sobą, owijając sobie wokół pięści czerwone włosy. Pozostali członkowie bandy nawet nie zwrócili uwagi na jego krzyki. Nie rozumieli go. Wtedy jeszcze nie znał tego języka, twardych słów północnych ludów, którymi mógłby ich przekupić. Nie zwracali zresztą na niego uwagi pewni, że za chwilę skona, zbyt zajęci nowymi łupami, by skrócić jego mękę. Ten, który trzymał ją, nawet nie drgnął widząc zabijanych i kastrowanych na ich oczach mnichów. Jakby samo mordowanie było niewystarczającym sposobem unicestwiania, jakby najważniejszą ich misją było upokorzenie i zniszczenie wszystkiego, co spotkali na swej drodze. Usiłował ją wypatrzeć w drgającym od płomieni i grozy powietrzu, ale wszystko spowijały nisko płynące dymy pożaru. Żałował, że łuna ognia zatrzymywała tylko wzrok. Jego uszy bez trudu wychwytywały jej rozdzierający krzyk i śmiech mężczyzn. Ten specjalny jego rodzaj. Potem przestała krzyczeć, słyszał już tylko ich. Nad ranem odwiązał go wystraszony chłopak ze wsi, który przeżył schowany w łodzi.

Otepiały pogrzebał mnichów. Potem znalazł ją. A raczej to, co z niej zostawili. Kopał grób, wyjąc jak ranne zwierzę i przeklinając wszystkie księgi świata.

Jak powiedziała to Selina? „Pamiętałabym tylko piękne rzeczy”.

David potrząsnął głową i ruszył w kierunku lotniska.

Copyright © 2017, Agnieszka Meyer

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-393-0

Projekt okładki: Zuzanna Malinowska

Redakcja: Monika Czechowska

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

handlowyMG@gmail.com

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com